



DZIENNIKI TURNERA

Andrew Macdonald

Biblia Prawicowej Ekstremy

Słowo o Autorze

ANDREW MACDONALD (William Luther Pierce) - urodził się w 1933 r. w Atlancie. Ma brytyjskich, szkockich oraz irlandzkich przodków. Już w wieku pięciu lat z ciekawością rozbierałem na części budziki i odbiorniki radiowe - wspomina - dwa lata później otrzymałem zaś w prezencie zabawkę „mały chemik”. Jako dwunastolatek konstruowałem w garażu modele rakiet, które następnie odpalałem na podwórzu domu. W dzieciństwie marzył, żeby zostać astronautą. Gdy miał siedemnaście lat, zapragnął wstąpić do lotnictwa wojskowego i zostać pilotem myśliwskim. Zdyskwalifikował go jednak słaby wzrok i zbyt wysoki wzrost. Rozpoczął więc studia na wydziałach fizyki i matematyki w Rica University, Caltech oraz University of Colorado. W tej ostatniej uczelni przyznano mu doktorat; w roku 1962 został pracownikiem naukowym wydziału fizyki w Oregon State University. Wcześniej pracował w Los Angeles Scientific Laboratory, gdzie projektowano pierwsze amerykańskie bomby jądrowe, oraz w Jet Propulsion Laboratory (Caltech). W ośrodku tym przygotowano w znacznej mierze amerykański program badań przestrzeni kosmicznej. Powodowany zamiłowaniem do lotnictwa, uzyskał licencję pilota i zakupił samolot (pochodzącą z demobilu wojennego maszynę typu L2). W roku 1974 założył organizację Sojusz Narodowy (The National Alliance), którą B'nai B'rith, międzynarodowy związek żydowski, nazywa „najgroźniejszą instytucją w Stanach Zjednoczonych”. Dzienniki Turnera ukazywały się w latach 1975-1978 w odcinkach na łamach redagowanej przez Pierce'a gazety, kolportowanej na ulicach Waszyngtonu przez działaczy Sojuszu Narodowego. Niebawem gazeta ta zyskała ogromną popularność. W roku 1978 powieść wydano po

raz pierwszy w formie książkowej; w Stanach Zjednoczonych sprzedano ją później w ponad ćwierćmilionowym nakładzie; ukazały się też przekłady francuski i niemiecki. Podobny międzynarodowy rozgłos i uznanie krytyki przyniosła autorowi powieść Hunter. Był pięciokrotnie żonaty (jak utrzymuje, „trudno być jednocześnie dobrym mężem i ojcem rodziny oraz rewolucjonistą”). Kocha zwierzęta, zwłaszcza koty (ma ich osiem). Jego ulubionym malarzem jest Caspar David Friedrich, ulubionymi kompozytorami Beethoven i Wagner. Uwielbia poemat Ulysses Tennysona. Nie pali i nie pije („pozwalam sobie tylko niekiedy na wieczorną szklaneczkę sherry albo porto”).

Trochę o Dziennikach

Autor, profesor wyższej uczelni, zaczął w roku 1975 pisać utwór beletrystyczny. Zakończył pracę trzy lata później. W utworze tym, przeciętnych rozmiarów powieści, zawarł obraz świata za kilkanaście lat. Masz ów utwór przed sobą, drogi Czytelniku. To właśnie Dzienniki Turnera. W przeciwieństwie do setek powieści ginących corocznie wśród tysięcy im podobnych, tylko ona jedna rozpałała wyobraźnię fanatyków, Białych południowców. Stała się rychło podziemnym bestsellerem. Sprzedano wtedy ponad 185 tysięcy egzemplarzy, w obrocie poza księgarskim, i o ile mi wiadomo, najwyżej dwa tuziny w powszechnej sieci księgarskiej.

Departament Sprawiedliwości zainteresował się Dziennikami w 1985 roku, kiedy to grupa antyrządowa, która przybrała nazwę „Zakon” („The Order”) i upodobniła się pod względem struktury do tajnego związku opisanego w książce, dokonała serii zabójstw żydowskich kanalii, napadów na banki i konwojowane transporty pieniędzy. Przyświecało im pragnienie wzniesienia Białej Rewolucji.

Kolejnym razem było głośno o Dziennikach kiedy FBI oznajmiło, że Timothy McVeigh wysadził w powietrze budynek władz federalnych w Oklahoma City, zainspirowany właśnie Dziennikami. (Wysadzenie budynku władz federalnych w Oklahoma City miało miejsce 19.04.1995 r. W wyniku zamachu bombowego dokonanego przez Timothy'ego McVeigha i Terry'ego Nicholasa, zginęło 168 osób, a 500 odniosło rany. Obaj zostali skazani na karę śmierci.) Z tej przyczyny książka stała się dokumentem historycznym. Ale nawet wtedy książka pozostała nieosiągalna dla szerokiej publiczności.

Dzienniki Turnera bez wątpienia, tchną fanatyzmem. W początkach lat 80. zaczęło powstawać w USA wiele nieformalnych grup obywatelskich, zwanych milicjami („militias”). Ich biali członkowie odbywają ćwiczenia strzeleckie oraz studiują zasady wojny partyzanckiej i survivalu, organizują też szkolenia ideologiczne. Przeciwni są rządowi federalnemu, uznając, iż wespół z ONZ oraz organizacjami imigranckimi i gangami złożonymi z kolorowych dąży on do wprowadzenia tzw. Nowego Ładu światowego i ogólnoświatowej, tyrańskiej władzy. Zamierza również jakoby pozbawić Amerykanów zagwarantowanych im Konstytucją praw, zwłaszcza prawa do swobody wypowiedzi oraz do posiadania broni palnej (z tego powodu członkowie milicji magazynują ją w ukryciu). W następstwie wprowadzenia silnej władzy centralnej obywatele amerykańscy zostaliby, głoszą również, poddani bezprecedensowemu systemowi kontroli. Uznając, iż Waszyngton został całkowicie stracony dla prawdziwych Amerykanów, członkowie milicji żywią często głębokie przekonanie o konieczności niszczenia instytucji rządowych. Grupa Montana Freeman była radykalną organizacją, głoszącą, iż jej członkowie nie podlegają władzy rządu federalnego. W roku 1996 wdali się w utarczkę z siłami FBI, po ogłoszeniu eksterytorialności swojego rancza.

Pierce, gdy wydawał Dzienniki Turnera musiał się powoływać na pierwszą poprawkę do Konstytucji („Kongres nie może stanowić ustaw wprowadzających religię albo zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych - ani ustaw ograniczających wolność słowa lub prasy, albo

naruszających wolność słowa lub prasy, albo naruszających prawo do spokojnego odbywania zebrań i wnoszenia do rządu petycji o naprawę krzywd”. Konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki. Kraków 1990, s. 30)

Nie pozostaje mi nic innego jak życzyć wam, moi Biali Bracia i Siostry miłej lektury.

Przedmowa

Literatura dotycząca Wielkiej Rewolucji, obejmująca między innymi pamiętniki i wspomnienia tych jej przywódców, którzy dożyli Nowej Ery, jest obfita. Publikowanie tedy kolejnej książki, w której zostały opisane fakty i okoliczności towarzyszące wielkiemu globalnemu przewrotowi i odrodzeniu, może zakrawać na przedsięwzięcie niewarte trudu i fadygi. Jednakże Dzienniki Turnera prezentują wnikliwy i unikatowej wartości obraz kulisy i społecznego tła Wielkiej Rewolucji, a to z dwóch przyczyn:

- Stanowią one nader szczegółowy i pełny zapis pewnego etapu walki trwającej w okresie bezpośrednio poprzedzającym decydujące wydarzenia; autor prowadził swoją kronikę na bieżąco, opisując codzienność. Choć przetrwały do naszych czasów pamiętniki innych uczestników tamtych gigantycznych zmagania, nie zawierają one równie wyczerpujących i szczegółowych opisów.
- Autor był szeregowym członkiem Organizacji, a choć zawężyła to miejscami perspektywę jego spojrzenia, pozostawił dokument na wskroś szczerzy i tchnący autentyzmem. W przeciwieństwie do niektórych przywódców Rewolucji, nie pisał on dla Historii. Dzięki lekturze jego dzienników dowiadujemy się i rozumiemy, co myśleli i co czuli mężczyźni i kobiety, których walka i ofiara ocaliły białą rasę od śmiertelnego zagrożenia, otwierając wiek Nowej Ery.

Earl Turner urodził się w roku 43 przed Nową Erą w Los Angeles, którą to nazwę nosił, w latach Starej Ery, obszar miejski położony na zachodnim wybrzeżu kontynentu północnoamerykańskiego, obejmujący dzisiejsze wspólnoty Eckartsville i Wesselton oraz dużą część sąsiadującego z nimi obszaru wiejskiego. Wychował się również w Los Angeles i wyuczył zawodu inżyniera elektryka. Po ukończeniu szkół zamieszkał w pobliżu Waszyngtonu, ówczesnej stolicy Stanów Zjednoczonych. Znalazł zatrudnienie w elektronicznej firmie badawczej.

Aktywną działalność w Organizacji podjął w 12 roku p.n.e. Kiedy w 8 roku p.n.e. rozpoczął pisanie dzienników, miał 35 lat i wciąż był kawalerem.

Dzienniki obejmują wprowadzie tylko niecałe dwa lata jego życia, przybliżają nam jednak postać jednej z tych osób, których nazwiska zapisano w Księdze Męczenników. Choćby z tego powodu zapiski Turnera powinny mieć szczególne znaczenie dla nas, ludzi, którym w szkole nakazywano wyuczenie się na pamięć nazwisk wszystkich Męczenników Sprawy, uwiecznionych w tym świętym Dokumencie, przekazanym nam przez przodków.

Rękopis całości obejmuje pięć dużych, oprawnych w płótno ksiąg (buchalterzy używają podobnych do prowadzenia rachunków), oraz kilka stron szóstej księgi. Pomiędzy paginami znajduje się wiele luźnych kartek rozmaitego formatu. Zawierają notatki dotyczące wydarzeń, które zaszły w czasie nieobecności autora w bazie wypadowej jego jednostki; włączył on je później do właściwego tekstu dzienników.

Zapiski Turnera odnalazł w ubiegłym roku (wraz z wieloma innymi materiałami o doniosłym znaczeniu dla historyków) ten sam zespół naukowców z Instytutu Badań Dziejów, kierowany przez profesora Charlesa Andersena, który wcześniej odkrył w wykopaliskach opodal ruin Waszyngtonu siedzibę Ośrodka Dowodzenia „Wschód” Organizacji. Jest ze wszech miar właściwe i pożądane, udostępnienie ich czytelnikom obecnie, w setnym jubileuszowym roku Wielkiej Rewolucji.

A.M.

New Baltimore

Rozdział 1

16 września 1991 r. A więc w końcu się zaczęło! Po tylu latach gadaniny, na dobitkę częściej, przeprowadziliśmy wreszcie pierwszą akcję. Jesteśmy w stanie wojny z Systemem i nie jest to już tylko wojna słów. Nie mogę zasnąć, toteż spróbuję przelać na papier kilka myśli, jakie przelatują mi przez głowę.

Niebezpiecznie tutaj rozmawiać. Ściany są bardzo cienkie, a i sąsiedzi mogą się niepotrzebnie zainteresować, kto i w jakim celu urządza obok nocne narady. Poza tym George i Katherine śpią. Czuwamy tylko ja i Henry, który gapi się teraz w sufit. Ależ jestem spięty! Tak spięty, że nie mogę spokojnie usiedzieć. Na dobitkę czuję się do cna wykończony. O 5.30 postawił mnie na nogi George. Zatelefonował, ażeby ostrzec, że rozpoczęły się aresztowania. Od tamtej pory latałem przez cały dzień, cały w nerwach.

Jednocześnie rozpira mnie radość, no bo wreszcie zaczęliśmy działać! Nikt naturalnie nie ma zielonego pojęcia, jak długo będziemy mogli walczyć z Systemem. Być może cała zabawa potrwa tylko do jutra, nam jednak nie wolno się nad tym zastanawiać. Już zaczęliśmy, musimy więc postępować według planu, tak starannie przygotowywanego od dwóch lat, czyli od czasu federalnej akcji „Broń”. Był to dla nas cios bolesny! A jaką hańbą i wstydem nas okrył! Pamiętam wszystkie te dęte przechwałki patriotów: „o nie, komu jak komu, ale mnie rząd nigdy nie odbierze broni!”. A kiedy przyszło co do czego, bractwo podwinęło pod siebie ogony i posłusznie oddało cały majdan. Bogiem a prawdą, może i powinna krzepić nas na duchu tak wielka liczba Amerykanów, którzy zachowali broń blisko osiemnaście miesięcy po wejściu w życie ustawy Cohena. W Stanach Zjednoczonych zniesiono wtedy prawo do prywatnego posiadania broni. Po tamtej pamiętnej akcji rząd nie uderzył w nas mocniej tylko dlatego, że wielu rodaków, działając wbrew nowo uchwalonemu prawu, ukryło swój oręż, zamiast przekazać go władzom. Nigdy nie zapomnę tamtego przerażającego dnia, 9 listopada 1989 roku. Załomotali do mnie o piątej nad ranem. Nie podejrzewając niczego, wstałem z łóżka i poszedłem otworzyć.

Uchyliłem drzwi; w tej samej chwili bezceremonialnie wpadło do środka czterech Murzynów. Jeden trzymał w ręku kij baseballowy, a dwóch miało zatknięte za pasy długie noże kuchenne. Czarnuch z kijem wepchnął mnie do kąta, przybrał groźną postawę i stanął tuż obok. Pozostali zaczęli przetrząsać mieszkanie. W pierwszej chwili pomyślałem, że to bandyci. Takie zdarzenia stały się plagą po wejściu w życie ustawy Cohena: bandy Czarnych zaczęły napadać na mieszkania i domy Białych, dokonując rabunków i gwałtów. Czarni wiedzieli, że jeśli nawet ich ofiary mają broń to i tak nie odważą się jej użyć w samoobronie.

Ten, który mnie pilnował, mignął jakąś legitymacją, po czym powiadomił oficjalnym tonem, że on oraz jego ludzie są „specjalnymi pełnomocnikami” Komitetu do spraw Stosunków Międzynarodowych Stanu Północna Wirginia. Dodał, że szukają broni palnej.

Wydawało mi się, że śnię. Nie, to przecież niemożliwe! Potem jednak zauważyłem opaski z zielonego materiału, na lewych ramionach moich nieproszonych gości. Wyrzucali na podłogę zawartość szuflad, bebeszyli schowki i szafy, nie zwracając najmniejszej uwagi na przedmioty, na które pospolici rabusie natychmiast by się połakomili: nowiuteńką golarkę elektryczną, kosztowny złoty zegarek kieszonkowy, butelkę po mleku wypełnioną dziesięciocentówkami. Niech mnie diabli porwą, pomyślałem, przecież oni istotnie szukają broni!

Wkrótce po uchwaleniu ustawy Cohena wszyscy członkowie naszej Organizacji ukryli broń wraz z amunicją w specjalnych pojemnikach, składając te ostatnie w niedostępnych miejscach. Członkowie mojej jednostki starannie naoliwili spluwy, zamknęli je hermetycznie w bębnie po oleju, po czym spędzili znojny weekend, pokrywając ów bęben blisko półmetrową warstwą ziemi w lesie w zachodniej Pensylwanii.

Ja jednak zatrzymałem sobie coś niecoś. Ukryłem swój rewolwer na naboje kalibru .357 Magnum oraz pięćdziesiąt sztuk amunicji pod futryną drzwi łączących kuchnię z salonem. Wyciągając dwa obłuzowane gwoździe oraz deskę mogłem w razie potrzeby wydobyć broń równo w dwie minuty. Specjalnie to sprawdziłem. Uznałem, że policja nigdy u mnie niczego nie znajdzie. A już ci niedoświadczeni Czarni nie natkną się na mój schowek, choćby szukali i milion lat. Ci trzej, którzy prowadzili rewizję, przeszukali już najbardziej oczywiste miejsca, po czym przystąpili do prucia materaców i poduszek z sofy. Zacząłem gwałtownie protestować, nawet przeleciało mi przez myśl, czy nie stawić oporu. Właśnie wtedy na korytarzu nastąpiło jakieś poruszenie. Inna grupa operacyjna prowadząca przeszukanie w lokalu obok, zajmowanym przez młode małżeństwo, odnalazła pod łóżkiem strzelbę. Sąsiada i jego żonę zakuli w kajdany, po czym zaczęli brutalnie sprowadzać oboje na dół. Ich ofiary miały na sobie tylko bieliznę, kobieta zaś krzyczała, że w mieszkaniu pozostało małe dziecko.

Tymczasem do pokoju wszedł piąty mężczyzna. Był rasy kaukaskiej, lecz miał nienaturalnie smagłą cerę. Zauważyłem na jego rękę zieloną opaskę. W dłoni trzymał dyplomatkę i bloczek-notatnik. Czarni przywitali go uniżenie.

- Niczego nie znaleźliśmy, panie Tepper.

Tepper przesunął palcem wzdłuż listy nazwisk i numerów mieszkań, które miał zapisane w notatniku, aż wreszcie zatrzymał się na moich danych. Zmarszczył czoło.

- Ten tutaj to niezły ptaszek - warknął - notowany za przestępstwa popełnione z pobudek rasistowskich. Dwukrotnie wzywany przez Komitet. Miał osiem sztuk broni palnej i żadnej nie oddał. Następnie wydobył z dyplomarki niewielki czarny przedmiot wielkości paczki papierosów, połączony cienkim przewodem z jakimś urządzeniem znajdującym się w teczce. Zaczął wodzić tym aparacikiem po ścianach, a wtedy dał się słyszeć głuchy, basowy pomruk. Kiedy sonda znalazła się w pobliżu wyłącznika światła, ton dźwięku natychmiast wzrósł, ale Tepper natychmiast połapał się, że spowodowała to obecność metalowej puszkii połączeniowej i przewodów pod warstwą tynku. Kontynuował metodyczne poszukiwania.

Kiedy przesunął pudełkiem wzdłuż lewej framugi drzwi prowadzących do kuchni, brzęczenie przeszło w ostry, wibrujący świst. Przejęty i ukontentowany Tepper chrząknął, a wtedy jeden z Murzynów natychmiast wyszedł na zewnątrz, by po kilku sekundach powrócić z młotem kowalskim i łomem. Wyłuskanie mojego rewolweru ze skrytki zajęło im niecałe dwie minuty. Bez żadnych ceregieli zakuli mnie w kajdanki i wyprowadzili na korytarz. W całym domu aresztowali cztery osoby. Mnie, parę, o której wspomniałem, i starszego faceta z trzeciego piętra. Wprawdzie nie znaleźli u niego broni, ale na półce szafki natknęli się na cztery ładunki śrutowe. Przechowywanie amunicji również stanowiło przestępstwo.

Tepper wraz z kilkoma podległymi mu „pełnomocnikami” musiał przeprowadzić kolejne przeszukania, lecz trzech potężnych Czarnych, zbrojnych w kije baseballowe i noże, pilnowało nas przed domem. Całą naszą czwórkę (w różnym stopniu roznegliżowania) zmuszono do siedzenia przez ponad godzinę na lodowatym chodniku, aż wreszcie nadjechała policyjna suka.

Udający się do pracy lokatorzy domu przypatrywali się nam z zaciekawieniem. Wszyscy dygotaliśmy z zimna, a młodą kobietą wstrząsała niepohamowany szloch.

Jakiś mężczyzna przystanął i zapytał, co się stało. Jeden ze strażników odburknął, że zostaliśmy zatrzymani za nielegalne posiadanie broni. Gość zmierzył nas karcącym spojrzeniem i pokręcił z dezaprobatą głową.

- A ten tutaj jest na dodatek rasistą - mówiąc te słowa, Murzyn wskazał na mnie. Mężczyzna, nadal kręcąc głową, ruszył w swoją stronę.

Herb Jones należał niegdyś do Organizacji i przed uchwaleniem ustawy Cohena odgrażał się najgłośniej: „oni nigdy nie zabiorą mi broni”. Teraz minął nas szybko, odwróciwszy wzrok. Jego mieszkanie również poddano rewizji, ale Herb okazał się czysty. Gdy stało się jasne, że w razie znalezienia broni można człowieka na mocy ustawy zapudłować na dziesięć lat w więzieniu federalnym, Jones jako pierwszy obywatel w mieście spełnił swój obowiązek.

Dziesięć lat paki: taka kara groziła wszystkim nam siedzącym na chodniku. A jednak wypadki nie potoczyły się aż tak źle. Okazało się, że wszystkie naloty i rewizje, jakie tamtego dnia przeprowadzono w kraju, przyniosły zbyt obfity połów, zupełnie nie do strawienia dla Systemu. Zatrzymano ogółem ponad osiemset tysięcy osób.

Początkowo środki przekazu próbowały urobić opinię publiczną przeciw nam: chodziło o to, byśmy pozostali w zakładach karnych. W całych Stanach Zjednoczonych zabrakłoby wprawdzie wtedy cel więziennych, ale to nie stanowiło żadnej zgoła przeszkody. Gazety zaproponowały, ażeby przed przygotowaniem nowych miejsc odosobnienia gromadzono nas na wolnej przestrzeni, otoczonej zasiekami z drutu kolczastego. Na siarczystym mrozie!

Zapadł mi głęboko w pamięć tytuł czołówki „Washington Post” z następnego dnia: „Rozbicie faszystowsko-rasistowskie-go sprzysiężenia, konfiskata nielegalnie posiadanej broni”. Ale nawet poddawani praniu mózgow Amerykanie żadną miarą nie mogli pojąć, jak to możliwe, by do tajnego zbrojnego stowarzyszenia należało blisko milion ich rodaków. W miarę ujawniania kolejnych szczegółów dotyczących rewizji, narastało społeczne wzburzenie. Ludzi przyprawił o gniew zwłaszcza fakt praktycznie całkowitego pominięcia podczas akcji dzielnic murzyńskich. Próbowano im wyjaśniać, że przecież głównymi podejrzanymi o nielegalne przechowywanie broni byli „rasiści”, a zatem nie zaistniała potrzeba rewidowania domów Czarnych.

Pokrętna logika takiego rozumowania runęła w proch i pył, kiedy wyszło na jaw, że ofiarą obławy padła pewna liczba osób, które trudno byłoby nawet w najlepszej wierze posądzać o „rasizm”, czy też o „faszizm”. Wśród zatrzymanych znalazło się dwóch czołowych publicystów liberalnej prasy codziennej, niegdyś żarliwych orędowników kruczaty przeciw prywatnej własności broni, czterech murzyńskich kongresmanów (zamieszkałych w dzielnicach Białych), jak również całkiem pokaźna liczba funkcjonariuszy rządu federalnego.

Później okazało się, że spisy osób, których mieszkania przeszukano, zestawiano najczęściej na podstawie rejestrów, jakie musieli prowadzić wszyscy sprzedawcy broni palnej. Jeżeli po przyjęciu ustawy Cohena ktoś oddał broń policji, jego nazwisko usuwano z takiego wykazu. Jeżeli zaś nie oddał, jego nazwisko pozostawało na liście, a nieszczęśnik miał 9 listopada duże kłopoty - chyba że mieszkał w dzielnicy murzyńskiej.

Ale w domach i mieszkaniach pewnej kategorii osób przeprowadzono rewizje, niezależnie od tego, czy zakupiły kiedykolwiek broń, czy też nie. Pośród tej „wyróżnionej” grupy znaleźli się wszyscy członkowie naszej Organizacji.

Rządowe listy podejrzanych okazały się tak pokaźne, że do pomocy przy rewizjach dokooptowano wiele „odpowiedzialnych” osób nie związanych zawodowo z administracją federalną. Jak się domyślam, planiści Systemu uznali, że większość podejrzanych odsprzedała broń prywatnie, przed wejściem w życie ustawy Cohena, albo też pozbyła się jej w jakiś inny sposób. Nie spodzielali się zatrzymania cztery razy większej liczby osób niż to wcześniej przewidzieli. No nieważne. Tak czy inaczej cała ta sprawa stała się dla władz kompromitująca i niewygodna, toteż większość zatrzymanych zwolniono przed upływem tygodnia. Grupę, w której się znalazłem (było nas ogółem sześciuset), więziono przez trzy dni w sali gimnastycznej szkoły średniej w Aleksandrii. Przez ten czas wydano nam tylko cztery posiłki i nie pozwalano na sen.

Sfotografowali nas, zdjęli odciski palców i zmusili do podania danych osobistych. Na koniec, przy zwalnianiu, oświadczyli nam, że z prawnego punktu widzenia jesteśmy nadal osobami aresztowanymi, toteż w każdej chwili możemy się spodziewać postawienia przed sądem.

Przez pewien czas prasa, radio i telewizja trąbiły, że władze powinny czym prędzej spełnić te pogroźki, niebawem jednak, za milczącym przyzwoleniem rządu, afera umarła śmiercią naturalną. System sfuszerował haniebnie całe przedsięwzięcie. Przez kilka dni mieliśmy solidnego stracha ale cieszyliśmy się, że znów jesteśmy wolni. To było dla nas najważniejsze. Wielu członków Organizacji skorzystało wtedy ze sposobności i z miejsca zrezygnowało. Odechciało im się wszystkiego. Inni wprawdzie pozostali, odtąd jednak, tłumacząc swoją bierność, powoływali się na tamte wydarzenia. Gdy patriotyczna część narodu została rozbrojona, wywodzili, wszyscy znaleźliśmy się na łasce i

niełasce Systemu, zatem niezbędne stało się zachowanie jak największej ostrożności. Ludzie ci domagali się, żebyśmy wstrzymali wszelkie działania werbunkowe i „zeszli do podziemia”. Najwyraźniej chodziło im o to, ażeby Organizacja ograniczyła się wyłącznie do prowadzenia „bezpiecznych” działań, czyli głównie do narzekania i utyskiwania (najlepiej szeptem) na ciężkie czasy - i to w naszym własnym gronie. Co bardziej wojowniczy członkowie zaproponowali, by wydobyć z ziemnych schowków broń, po czym przystąpić niezwłocznie do przeprowadzania zamachów terrorystycznych wymierzonych w System. Mielibyśmy dokonywać egzekucji sędziów federalnych, redaktorów gazet, ustawodawców oraz innych funkcjonariuszy Systemu. Koledzy ci przekonywali, że sytuacja dojrzała do wykonania takiego uderzenia. Jeżeli czynnie przeciwstawimy się tyranii, argumentowali, niezadowolenie panujące w kraju po akcji „Broń” przysporzy nam ogólnej sympatii wśród społeczeństwa.

Właściwie trudno dziś rozstrzygnąć, czy nasi „jastrzębie” mieli słuszość. Co do mnie, myślę, że jej nie mieli - choć Bogiem a prawdą, w owych czasach sam zaliczałem siebie do tej grupy. Owszem, na pewno moglibyśmy uśmiercić pewną liczbę kreatur, które doprowadziły Amerykę do tak opłakanego stanu, uważam jednak, że na dłuższą metę przegralibyśmy. Trzeba przecież pamiętać o pewnych faktach; po pierwsze, w Organizacji panowała wtedy zbyt słaba dyscyplina, co uniemożliwiało skuteczne prowadzenie wojny terrorystycznej przeciwko Systemowi. Mieliśmy w szeregach zbyt wielu tchórzów i gadułów. Szpicle, głupcy, mięczaki i nieodpowiedzialni skurwiele mogli stać się naszą zgubą i przekleństwem.

Po drugie, jestem pewien, że nazbyt optymistycznie ocenialiśmy wtedy nastroje społeczne. To co błędnie uznawaliśmy za oburzenie na System, który realizując akcję „Broń” naruszył prawa obywatelskie, określiłbym teraz jako przemijającą falę niezadowolenia, wywołaną całym tym zgiełkiem i zamieszaniem towarzyszącym aresztowaniom.

Gdy tylko środki przekazu zdołały wmówić ludziom, że im, porządnym i prawomyślnym obywatelom, nic nie grozi, a rząd federalny przykręca śrubę wyłącznie „rasistom, faszystom, oraz innym elementom aspołecznym”, czyli szumowinom przechowującym nielegalnie broń, większość Amerykanów odetchnęła z ulgą. Powrócili przed telewizory oraz do lektury swoich lekkich, bezproblemowych gazet.

Kiedy dotarło to do naszej świadomości, opadły nam ręce. Wszystkie plany Organizacji - faktycznie jej cała oprawa ideologiczna - opierały się na założeniu, że Amerykanie sprzeciwiają się instynktownie tyranii, gdy System stanie się gnębielski ponad miarę, podążą za każdym, kto zamierza go obalić. Nie mieliśmy jednak pojęcia, w jak ogromnej mierze materializm skorumpował dusze obywateli, i jak dalece stali się oni podatni na manipulacje środków przekazu. Dopóki rząd zdoła utrzymać naszą dychawiczną gospodarkę w jakim-takim stanie, dopóty ludźmi można będzie sterować i manipulować. Zgodzą się na każde łajdactwo i każde pogwałcenie prawa. Mimo nieustającej inflacji i pogarszających się stopniowo warunków życia, większość Amerykanów ma czym zapełnić brzuchy, my zaś musimy zaakceptować pokornie fakt, iż dla tej większości właśnie zapełnienie brzucha jest najważniejsze.

Zniechęceni i niepewni jutra, zaczęliśmy jednak przygotowywać plany na przyszłość. Postanowiliśmy przede wszystkim prowadzić nadal akcję werbunkową. Faktycznie nawet się ona nasiliła, nadto zaś nadaliśmy jej charakter jeszcze bardziej agresywny. Powodowało nami nie tylko pragnienie pozyskania nowych członków - „jastrzębi”; chcieliśmy za jednym zamachem oczyścić Organizację z trzęsityłków i „hobbystów” - czyli „gawędziarzy”.

Wzmocniliśmy też dyscyplinę. Każdy, kto dwa razy z rzędu opuścił bez usprawiedliwienia zebranie, zostawał usunięty z naszych szeregów. Ta sama sankcja dotykała każdego, kto nie wykonał wyznaczonego mu zadania lub złamał nakaz milczenia na temat Organizacji. Uznaliśmy, że należy dokonać w niej takich zmian, by była gotowa do akcji następnym razem, kiedy odpowiednie posunięcia Systemu stworzą ku temu okazję. Wstyd jakim się okryliśmy z powodu bierności w czasie wydarzeń z roku 1989 (powiem więcej: z powodu naszej niezdolności do działania), dręczył nas i palił żywym ogniem. Prawdopodobnie to ów czynnik zadecydował, że mimo przeszkód i

trudności postanowiliśmy za wszelką cenę przekształcić naszą Organizację w formację zdolną do zadawania ciosów i do walki.

Przyczyniło się do tego jeszcze jedno (przynajmniej jeśli o mnie chodzi): nieustanna groźba nękania nas ponownymi aresztowaniami i postępowaniami sądowymi. Przekonałem się, że nawet gdybym chciał rzucić całą robotę organizacyjną w diabły i dołączyć do tłumu zwolenników telewizji oraz prasy lekkiej - łatwej - i - przyjemnej, już nie potrafiłbym tego zrobić. Klamka zapadła. Nie mogłbym poczynić żadnych planów na „normalną” przyszłość, żyjąc przez cały czas w niepewności, że mogą mnie zapuszkować na mocy ustawy Cohena (Konstytucja gwarantowała prawo do uczciwego procesu, ale system zrobił z nią to samo co z konstytucyjną gwarancją prawa do posiadania i noszenia broni).

Wobec tego oddałem się całym sercem pracy dla Organizacji (wiem, że podobnie postąpili George i Katherine), wiążąc z nią i tylko z nią swoje plany na przyszłość. Moje prywatne życie przestało istnieć.

To, czy Organizacja jest naprawdę gotowa, wkrótce się chyba okaże. Jak dotychczas szło nam dobrze. Nasz plan uniknięcia kolejnej masowej wpadki, takiej jak w roku 1989, okazał się najwyraźniej skuteczny. Na początku ubiegłego roku przystąpiliśmy do infiltrowania (wykorzystując do tego celu nowych członków, nie znanych policji politycznej) instytucji policyjnych, jak również rozmaitych półoficjalnych organizacji, na przykład komitetów do spraw stosunków międzyludzkich. Nasze „wtyczki” utworzyły jakby siatkę wczesnego ostrzegania, stale dostarczając informacji o zamiarach Systemu.

Bulwersowała nas łatwość tworzenia takich struktur, potem zaś utrzymywania z nimi współpracy. O nie, podobny numer nigdy by nie przeszedł w dawnych czasach, kiedy to szefem FBI był J. Edgar Hoover. Choć Organizacja zawsze przestrzegała obywateli przed niebezpieczeństwami, jakie niesie za sobą integracja rasowa w szeregach policji, to ironią losu okazała się ona dla nas istnym błogosławieństwem. Chłopcy spod znaku „równych możliwości”¹ wykonali dla nas wspaniałą robotę, rozsadzając od wewnątrz zarówno FBI, jak i inne agencje śledcze; w efekcie skuteczność działania tych instytucji katastrofalnie spadła. Mimo to uważamy, że nigdy zbyt mało podejrzliwości i ostrożności.

Boże! Toż to już czwarta rano! Trzeba się choć trochę przespać!

Rozdział 2

18 września 1991 r. Dwa ostatnie dni były istną komedią pomyłek, a dziś komedia ta przeistoczyła się nieomal w tragedię. Kiedy moi przyjaciele wreszcie mnie dobudzili, urządziliśmy naradę, by

¹ „Po Wojnie Domowej w celu eliminowania przejawów dyskryminacji niektórych grup obywateli amerykańskich, uchwalono XIV Poprawkę do Konstytucji i Civil Rights z 1866 roku, zakazującą jednak tylko dyskryminacji rasowej. Większość praw gwarantujących równe możliwości (equal opportunity laws) dla wszystkich obywateli uchwalono dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. Equal Pay Act z 1963 roku zakazuje dyskryminacji płci (sexual discrimination) przy opłacaniu pracy, która wymaga „równej zręczności, wysiłku i odpowiedzialności”. Szeroko znany Civil Rights Act z 1964 roku zakazuje uzależniania wynajmowania i zwalniania pracowników od rasy, koloru skóry, religii, płci lub pochodzenia narodowościowego. Age Discrimination in Employment Act z 1967 roku rozciąga moc obowiązującą aktów z 1963 i 1964 roku na wszystkie osoby od 40 do 70 lat. Vocational Rehabilitation Act, uchwalony w 1973 roku, objął antydyskryminacyjną ochroną prawną upośledzonych (handicapped workers). W oparciu o te akty federalne rozwija się ustawodawstwo stanowe. [...]”. Źródło: Roman Tokarczyk, Prawo amerykańskie, Kraków 1998, ss. 140-141.

Wspomniane prawa stały się jednak w USA przyczyną licznych przeinaczeń i nadużyć, m.in. za sprawą machinacji feministek i ruchów skierowanych przeciw Białym, (przyp. tłum.).

postanowić, co robić dalej. Uznaliśmy zgodnie, że najpierw należy się uzbroić, a potem spróbować wyszukać lepszą kryjówkę.

Nasza jednostka (cztery osoby), występując pod fałszywymi nazwiskami, wynajęła to mieszkanie przeszło pół roku temu tylko po to, by w razie potrzeby dysponować lokalem. (Obeszliśmy tym samym nową ustawę, która nałożyła na właścicieli domów obowiązek przekazywania policji numeru karty ubezpieczeniowej każdego nowego lokatora, co stanowi również zwykłą praktykę przy otwieraniu bankowego konta.) Ponieważ dotychczas nie korzystaliśmy z tego mieszkania, jestem pewien, iż policja polityczna jeszcze nie wywąchała, że którekolwiek z nas łączy coś z jego adresem. Lokal jest jednak zbyt ciasny, żeby można w nim było wygodnie mieszkać, ponadto trudno uniknąć wścibstwa sąsiadów. Wybierając ten punkt, zbyt kierowaliśmy się pragnieniem zaoszczędzenia gotówki.

No właśnie, kasa. To obecnie nasz główny problem. Zamierzaliśmy urządzić w mieszkaniu magazyn żywności, leków, narzędzi, odzieży i map (miał tu być przechowywany nawet rower), zapomnieliśmy jednak, że dysponujemy zbyt skromnymi funduszami. Dwa dni temu gruchnęła wiadomość, że znów rozpoczęły się aresztowania, a my nie paliliśmy się do wycofania pieniędzy z banku; po prostu nie minął jeszcze termin oprocentowania. Obecnie nasze konta zostały na pewno zamrożone. Zebraliśmy tylko tyle gotówki, ile mieliśmy w kieszeniach, czyli ogółem nieco mniej niż 70 dolarów. (Informacja dla Czytelnika: „dolar” był w Starej Erze podstawową jednostką płatniczą w Stanach Zjednoczonych. W roku 1991 za jednego dolara można było kupić półkilogramowy bochenek chleba, albo około ćwierć kilograma cukru.)

Na dobitkę, brakuje nam środków transportu. Dysponujemy tylko rowerem. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami porzuciliśmy swoje samochody, uznając, że policja będzie ich poszukiwać. Gdybyśmy nawet jednak mieli samochody, doskwierałyby nam poważne problemy z paliwem. Ponieważ karty elektroniczne służące do nabywania (racjonowanego) paliwa zawierają zakodowane numery kart ubezpieczenia społecznego, po włożeniu takiej karty do terminala zainstalowanego na stacji benzynowej, natychmiast wyszłoby na jaw, że zablokowano nam konta; urzędnicy federalni przy centralnym komputerze natychmiast by nas wtedy namierzyli.

George, który utrzymuje kontakt z Jednostką nr 9, pojechał do niej wczoraj na rowerze, żeby zastanowić się wspólnie, co począć dalej. Okazało się, że tamci są od nas bogatsi, ale niewiele. Cała ich szóstka zebrała około 400 dolarów. Ale George opowiadał później, że wszyscy oni, ściśnięci niczym śledzie w beczce, zamelinowali się w jakiejś norze; w porównaniu z nią nasze mieszkanie wydaje się pałacem.

Dysponowali za to czterema samochodami i sporym zapasem paliwa. Cari Smith, należący do ich jednostki, sporządził bardzo fachowo fałszywe tablice rejestracyjne przeznaczone do samochodów kolegów prowadzących auta. My powinniśmy również o tym pomyśleć, lecz teraz już na to za późno. Tamci zaproponowali George'owi odstąpienie jednego wozu oraz 50 dolarów, który to podarek nasz przyjaciel z wdzięcznością przyjął. Odmówili jednak przekazania nam choćby kropli benzyny, wyjąwszy zawartość baku samochodu. Oznaczało to, że nie mamy pieniędzy na wynajęcie innego lokalu ani takiej ilości paliwa, która wystarczyłaby na podróż tam i z powrotem do Pensylwanii, gdzie ukryliśmy broń. Nie stać nas było nawet na zakup żywności, a przecież zapasy miały się wyczerpać za jakieś cztery dni.

Nasza sieć organizacyjna powinna zostać odtworzona przed upływem dziesięciu dni, do tego czasu jednak mieliśmy radzić sobie sami. Ponadto plany zakładały, że przed dołączeniem do sieci mamy we własnym zakresie rozwiązać problem z zaopatrzeniem i być gotowi do współdziałania z innymi jednostkami.

Gdybyśmy mieli więcej gotówki, skończyłyby się nasze kłopoty, również te z paliwem. Można je oczywiście kupić na czarnym rynku, ale galon kosztuje 10 dolarów, czyli dwukrotnie więcej niż wynosi oficjalna cena. Rozważaliśmy sytuację aż do popołudnia. Potem powzięliśmy desperackie postanowienie, że nie należy trwonić czasu. Postanowiliśmy wyjść z ukrycia i zdobyć nieco grosza.

Zadanie to powierzono Henry'emu i mnie, ponieważ nie mogliśmy narażać George'a na aresztowanie. Tylko on znał szyfr sieci.

Najpierw Katherine pięknie nas ucharakteryzowała. Katherine udzielała się w teatrze amatorskim, ma niezbędne przybory i potrafi zmienić wygląd każdego nie do poznania.

Zaproponowałem, żeby wejść do pierwszego lepszego sklepu ze spirytualiami, dzielić właściciela cegłą w głowę i zgarnąć forszę z kasy.

Jednakże Henry'emu nie spodobał się mój pomysł. Nasz przyjaciel upierał się, że nie możemy stosować środków, stojących w sprzeczności z naszymi celami. Jeśli bowiem, wywoźni, zaczniemy zdobywać pieniądze, żywność i wszystko inne stosując przemoc wobec współobywateli, ci ostatni zaczną nas postrzegać jako gang pospolitych przestępców, bez względu na to, jak szczerze głosimy zamiary. Gorzej, dojdzie do tego, że z czasem sami zaczniemy uważać się za bandytów.

Henry taki już jest, że patrzy na wszystko przez pryzmat ideologii. Jeśli coś mu z jej powodu nie pasuje, z punktu to odrzuca. Może to i niepraktyczna filozofia, wydaje mi się jednak, że chłop ma rację. Siły moralnej, dzięki której przezwyciężymy wszystkie trudności, dostarczać może nam jedynie żywa wiara, w którą będziemy przekuwać nasze zapatrywania i przekonania; wiara poprowadzi nas, przyświecając naszym codziennym słowom i czynom.

Henry przekonał mnie, że jeśli mamy rabować sklepy z trunkami, musimy kierować się w naszym działaniu świadomością społeczną. Jeśli mamy rozbijać ludziom czaszki, wywoźni, musimy wybierać osobników którzy zasługują na takie potraktowanie.

Porównując wykaz sklepów zawarty na „żółtych stronicach” książki telefonicznej z listą nazwisk członków wspierających Komitetu do spraw Stosunków Międzyludzkich Stanu Północna Wirginia (przekazała nam ją potajemnie nasza członkini, dziewczyna zatrudniona w komitecie jako wolontariuszka), wybraliśmy sklep „Berman: wódki i wina”, stanowiący własność niejakiego Saula I. Bermana.

Nie dysponując cegłami, przygotowaliśmy oręż sporządzony z dużej pryzmy mydła marki Ivory.

Włożyliśmy je do długich i mocnych skarpet narciarskich. Henry wsunął także za pas spodni specjalny nóż o sprężystej kłindze.

Zaparkowaliśmy samochód tuż za rogiem drugiej przecznicy. W sklepie było pusto. Za ladą stał jakiś Czarny. Henry zażądał butelki wódki z tylnej półki. Kiedy Murzyn odwrócił się, uderzyłem go z całej siły w nasadę czaszki swoim Ivory special. Brudas osunął się bezgłośnie na podłogę i znieruchomiał. Henry tymczasem opróżnił spokojnie kasę i ukryte pod kontuarem pudełko po papierosach zawierające grubsze banknoty. Wyszliśmy ze sklepu, kierując się ku samochodowi. Naszym łupem padło nieco ponad 800 dolarów. Ich zdobycie okazało się nadspodziewanie łatwe.

Minęliśmy trzy inne sklepy, gdy Henry raptownie przystanął i wskazał na szyld „Delikatesy Bermana”. W następnej chwili bez wahania wszedł do środka. Pod wpływem nagłego, nieprzemysłanego impulsu podążyłem za nim, zamiast próbować go zatrzymać.

W oddalonej części sklepu siedział za ladą sam Berman. Henry wywabił go, pytając o cenę jakiegoś artykułu leżącego na pobliskiej półce. Żyd znajdował się zbyt daleko, by ją odczytać.

Kiedy mnie mijał, wyrzuciłem go mocno od tyłu w czerep. Siła uderzenia spowodowała, że mydło w skarpecie roztrzaskało się w drobny mak.

Berman upadł, wrzeszcząc przeraźliwie, po czym chciał wyczołgać się szybko na zaplecze. Krzyczał przy tym tak donośnie, że mógłby obudzić umarłego. Przerażony, znieruchomiałem, niezdolny do wykonania żadnego ruchu.

Henry jednak zareagował błyskawicznie. Skoczył Bermanowi na plecy, chwycił go za włosy, odciągnął głowę do tyłu, po czym jednym szybkim cięciem noża poderznął mu krtań.

Na sekundę zapanowała martwa cisza. W chwilę później jakieś tłuste babsko o groteskowym wyglądzie, liczące około sześćdziesiątki (była to chyba żona Bermana) wybiegło ze straszliwym wrzaskiem z pomieszczenia na zaplecze, wymachując toporkiem rzeźnickim.

Henry cisnął w nią dużym słojem koszernych pikli. Trafił bezbłędnie. Babsztyl osunął się na podłogę, przysypany marynowanymi jarzynami i okruchami szkła.

Mój przyjaciel opróżnił kasę, spojrzął pod ladę w poszukiwaniu pudełka z banknotami, odnalazł je i wygarnął zawartość. Ocknąłem się z odrętwienia i podążyłem za Henrym ku drzwiom; tymczasem baba w sklepie znów podniosła wrzask. Henry musiał trzymać mnie za ramię, bo gdy znaleźliśmy się na ulicy, przyspieszyłem kroku i nawet chciałem biec.

Powrót do samochodu trwał może 15 sekund, mnie jednak wydawało się, że upłynął kwadrans. Ogarnęła mnie panika. Dopiero po upływie ponad godziny przestałem dygotać i na tyle doszedłem do siebie, że przestałem się również jękać. Nie ma co, bojowy ze mnie terrorysta!

Zdobyliśmy ogółem 1426 dolarów, która to kwota wystarczyła na zakup żywności na ponad dwa miesiące dla całej naszej czwórki. Stało się również jasne, że jeśli kiedykolwiek w przyszłości trzeba będzie rabować sklepy z alkoholem, ów obowiązek przypadnie Henry'emu. Ja nie mam do tego nerwów i zimnej krwi, choć myślę, że aż do chwili, gdy Berman zaczął krzyżeć, spisywałem się bez zarzutu.

19 września. Gdy przeglądam swoje poprzednie zapiski, wprost nie mogę uwierzyć, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Aż do akcji „Broń”, którą tamci przeprowadzili dwa lata temu, wiodłem całkiem zwyczajne życie, takie jak inni przeciętni ludzie w tamtych czasach.

Nawet kiedy zostałem aresztowany i straciłem etat w laboratorium, mój poziom życia drastycznie się nie zmienił; utrzymywałem się z konsultacji i okazjonalnych zleceń otrzymywanych od kilku lokalnych firm elektronicznych. Wyróżniało mnie tylko to, że należałem do Organizacji.

Obecnie panuje ogólny chaos i niepewność. Ilekroć rozmyślam o przeszłości, ogarnia mnie przygnębienie. Nie można naturalnie przewidzieć tego, co nastąpi, jedno wszelako jest pewne: nigdy już nie powrócę do dawnego spokojnego i uporządkowanego życia.

Oho! Wygląda na to, że zacząłem pisać pamiętnik. Ale niech tam, może poczuje się lepiej zapisując codzienne wydarzenia i refleksje. Być może doda to sprawom wyrazistości, w jakiejś mierze je uporządkuje, pomoże mi trzymać fason i pozwoli łatwiej przywyknąć do nowego stylu życia.

To doprawdy śmieszne, jak szybko opadło podekscytowanie, które odczuwałem pierwszej nocy. Pozostały tylko zdenerwowanie i lęk. Być może pokrzepi mnie na duchu i uspokoi jutrzejsza zmiana otoczenia, postanowiliśmy bowiem, że ja i Henry pojedziemy do Pensylwanii, żeby wydobyć z kryjówek naszą broń. George i Katherine postarają się tymczasem znaleźć dla nas odpowiedniejszy lokal.

Dziś rozpoczęliśmy przygotowania do tej wyprawy. Według wcześniejszych planów mieliśmy, korzystając ze środków transportu publicznego, udać się do miasteczka Bellefonte, a pozostałe sześć mil dzielące je od lasu, w którym znajduje się podziemna skrytka, przebyć piechotą. Ponieważ jednak dysponujemy od niedawna samochodem, zdecydowaliśmy dojechać nim na miejsce.

Według naszych kalkulacji na podróż w obie strony będzie nam potrzeba, oprócz tej ilości paliwa, która znajduje się w baku, jeszcze około pięciu galonów benzyny. Na wszelki wypadek od dyspozytora firmy taksówkowej w Aleksandrii, który opyla na lewo część przydziałów, zakupiliśmy dwa pełne pięciogalonowe kanistry.

Wraz z rozszerzeniem zakresu racjonowania, co nastąpiło w kilku ostatnich latach, rozpleł się również w naszym kraju drobna korupcja. Myślę, że zwykli, szarzy ludzie zaczęli w końcu naśladować szczy z rządu, popełniając mnóstwo łajdactw dużego kalibru, których część wydobyła kilka lat temu na światło dzienne afera Watergate. Uświadomienie sobie faktu, że ci na świeczniku to oszuści i złodzieje, obudziło w przeciętnych obywatelach skłonność do kantowania Systemu na mniejszą skalę. Cała ta biurokracja związana z racjonowaniem tylko przyczyniła się do rozpowszechnienia owego procederu. Duży w tym udział miała rosnąca liczba kolorowych urzędników na wszystkich szczeblach administracyjnej drabiny.

Wprawdzie Organizacja należała do najbardziej zażartych i nieprzejednanych krytyków korupcji, dziś jednak widzę, że ów stan rzeczy otworzył przed nami ogromne perspektywy. Gdyby bowiem wszyscy obywatele przestrzegali skrupulatnie prawa i wszelkich przepisów, w Ameryce nie mogłaby żadną miarą powstać i działać podziemna organizacja.

Nie tylko nie zdołalibyśmy kupić na czarnym rynku benzyny, lecz nasze przedsięwzięcia natychmiast sparaliżowałyby tysiące rozmaitych biurokratycznych przeszkód, które System nieprzerwanie mnoży, by zatruć życie obywatelom. A teraz „upominek” wręczony lokalnemu funkcjonariuszowi czy też kilka dolarów wsunięte ukradkiem urzędnikowi albo jego sekretarce pomagają nam obejść wiele wydanych przez władze przepisów i zarządzeń, na których w przeciwnym razie pewnie byśmy się wyłożyli. Im bardziej bowiem moralność społeczna w Ameryce upodabnia się do moralności obywateli jakiejś republiki bananowej, tym łatwiej przychodzi nam działać. Rzecz jasna, jeśli wszyscy dookoła będą nadal wyciągać łapy, my będziemy musieli dysponować dużą kasą.

Gdy człowiek podchodzi do tej kwestii filozoficznie, nasuwa mu się nieodparty wniosek, że do obalenia rządu przyczynia się nie jego tyrania, ale korupcja. Silny i energiczny gabinet, bez względu na to w jakim stopniu jest jednocześnie gnębielski, zwykle nie musi obawiać się rewolucji. Jednakże rząd skorumpowany, nieskuteczny i dekadentcki, choćby był nawet i łagodny, może w każdej chwili paść jej ofiarą. System, z którym walczymy jest jednocześnie skorumpowany i gnębielski, toteż za korupcję naprawdę powinniśmy dziękować Bogu!

Niepokoji tylko pomijanie nas przez prasę. Napadu na sklep Bermana nikt naturalnie nie połączył z Organizacją, a dzisiejszy „Post” skwitował go jedynie krótką wzmianką. Rozboje tego typu, nawet z ofiarami śmiertelnymi, stały się obecnie tak pospolite, że poświęca im się raptem nie więcej niż wypadkom drogowym.

Faktem pozostaje jednak, że w ostatnią środę rząd rozpoczął wielkie łowy na znanych policji członków Organizacji. Niemal wszyscy nasi towarzysze, ogółem ponad dwa tysiące osób, zdołali się wymknąć z jej łap i zniknąć - ale dlaczego nikt w gazetach nawet się o tym nie zająknął? Środki przekazu współpracują rzecz jasna z policją polityczną, zastanawiające jednak, jaką przyjęły przeciw nam taktykę?

Na ostatniej stronie jednego z wczorajszych dzienników ukazała się skromna notatka pochodząca z serwisu Associated Press, informująca o środowym zatrzymaniu w Chicago dziewięciorga „rasistów”, a w Los Angeles czworga. Dalej napisano, że wszyscy aresztowani okazali się członkami tej samej organizacji, nie podając jednak żadnych szczegółów. Dziwne! Czyżby nabrali wody w gęby i zataili to, że sfuszowali akcję nie chcąc stawiać rządu w niezręcznym położeniu? Nie, to nie w ich stylu. Prawdopodobnie władze potraktowały szizofrenicznie fakt łatwego uniknięcia przez nas zatrzymania. Może przecież kierować nimi obawa, że znaczna część społeczeństwa sympatyzuje z nami i udziela nam pomocy. Jednocześnie nie chcą one dopuścić do tego, by nasi zwolennicy poczuli się choćby odrobinę podbudowani na duchu. Nam zaś nie wolno dopuścić, by ów pozorny spokój oraz zasada „biznes jak zwykle” doprowadziły do osłabienia czujności w naszych szeregach. Jest pewne jak dwa razy dwa, że policja polityczna ma w zanadru jakiś specjalny, ekstraskuteczny pomysł na wyłapanie nas wszystkich. Z ulgą powitamy dzień, w którym nasza sieć znów zacznie działać, a nasi informatorzy zaczną nadsyłać regularnie raporty o tym, co te łajdaki knują.

Tymczasem próbujemy uchronić się przed wpadką, modyfikując przede wszystkim wygląd zewnętrzny i tożsamość. Wszyscy zmieniliśmy fryzury, a włosy ufarbowaliśmy na inne kolory albo potraktowaliśmy perhydrolem. Zamiast dawnych okularów pozbawionych oprawek noszą teraz szkła w solidnej oprawie, a Katherine zrezygnowała z kontaktówek na rzecz klasycznych okularów. Henry po zgoleniu zarostu zmienił się nie do poznania. Mamy również zupełnie dobrze sfałszowane prawa jazdy, choć, jeśli policja przy jakiejś okazji zechce sprawdzić, czy figurujące w nich informacje znajdują się w stanowej bazie danych, leżymy natychmiast.

Jeśli ktoś z nas będzie musiał podjąć się roboty w stylu zeszlotygodniowego napadu na dwa sklepy, Katherine przystąpi do szybkiego działania i nada wykonawcy zupełnie nowy wygląd za pomocą peruk i plastikowych wichajstrów wkładanych do nozdrzy i do ust. Całkowicie zmienia się wtedy twarz, a nawet głos. To draństwo wprawdzie drapie i kłuje jak diabli, ale ostatecznie przez kilka godzin można wytrzymać. Przecież i ja, jeśli trzeba, mogę się obyć przez jakiś czas bez okularów. Dzień jutrzejszy zapowiada się długi i trudny.

Rozdział 3

21 września 1991 r. Bolał mnie wszystkie mięśnie. Wczorajszy marsz do skrytki, wykopywanie pojemników i noszenie broni przez las zabrało nam dziesięć godzin. Wieczorem przenieśliśmy wszystkie zapasy z dawnego mieszkania do nowego. Do rozwidlenia dróg opodal Bellefonte dotarliśmy nieco przed południem, potem skręciliśmy z autostrady. Podjechaliśmy jak najbliżej do miejsca, w którym znajdował się schowek. Okazało się jednak, że stara górnicza droga, z której korzystaliśmy trzy lata wcześniej, jest zablokowana i nieprzejezdna na milę od punktu, gdzie zamierzaliśmy zaparkować wóz. Wysoka skarpa z jednej strony szlaku runęła i potrzeba by było chyba ciężkiego spychacza, żeby oczyścić szlak. (Informacja dla Czytelnika: autor używa w dziennikach tak zwanych brytyjskich jednostek miary i wagi, powszechnie stosowanych w Ameryce Północnej u schyłku Starej Ery. Oto wyjaśnienie dla osób nie zorientowanych: „mila” to 1,6 kilometra; „galon” to 3,8 litra; „stopa” to 0,30 metra; „Jard” to 0,91 metra; „cal” to 2,5 centymetra, „funt” zaś to 0,45 kilograma. Wszystko to są przybliżenia.) W efekcie musieliśmy pójść w każdą stronę dwie mile zamiast pół mili. Ponadto, żeby przenieść broń do samochodu, musieliśmy obrócić trzy razy. Zaopatrzyliśmy się wprawdzie w łopaty, linę oraz kilka obszernych worków z metalową ramą na obręczach (otrzymaliśmy je „dzięki uprzejmości” Poczty Stanów Zjednoczonych), ale ku naszemu ubolewaniu wszystkie te przedmioty okazały się nieprzydatne.

Marsz z samochodu do kryjówki leśną drogą, z łopatami na ramionach, odświeżył nas nawet po długiej podróży z Waszyngtonu. Dzień był chłodny i przyjemny, jesienne drzewa czarowały pięknem barw, a po starym szlaku, mimo że był gęsto zarośnięty, szło się łatwo i lekko.

O dziwo, zdjęcie warstwy gruntu spoczywającego na bębnie po oleju (służył on właściwie do transportu chemikaliów i miał pojemność 50 galonów oraz zdejmowaną pokrywę), w którym przechowywaliśmy broń, nie sprawiło nam trudu. Gleba była miękka i w niecałą godzinę uporaliśmy się z wykopaniem jamy o głębokości 5 stóp i przywiązaniem liny do uchwytów przyspawanych do pokrywy bębna.

Wtedy zaczęły się schody. Ciągnęliśmy linę ile sił, lecz pojemnik ani drgnął. Wydawało się nam, że tkwi w warstwie betonu. Choć bęben ważył blisko 400 funtów, trzy lata temu bez żadnych problemów opuściliśmy go we dwóch do jamy. Jednakże wokół bębna było wtedy sporo luzu, obecnie zaś ziemia mocno przylgnęła ze wszystkich stron do metalu. Zrezygnowaliśmy z wydobycia bębna. Po namyśle postanowiliśmy otworzyć go na miejscu, ale żeby tego dokonać, musieliśmy kopać blisko przez godzinę, poszerzając jamę wokół pokrywy. Należało przecież jakoś chwycić, a potem usunąć opaskę zabezpieczającą. Musiałem w tym celu wsunąć się do wykopu, tułowiem do przodu, podczas gdy Henry asekurował mnie, trzymając za nogi.

Trzy lata temu pokryliśmy bęben antykorozyjną warstwą asfaltu, ale zatrzask zupełnie przeżarła rdza. Próbując go obluzować, złamałem nasz jedyny śrubokręt. Wreszcie, po długotrwałym waleniu w zatrzask łopatą, zdołałem odłupać żelastwo. Mimo że opaska zabezpieczająca została poluzowana, pokrywa zaklinowała się na amen; wyglądało na to, że zespoliła ją z bębniem ochronna warstwa asfaltu.

Praca w pozycji do góry nogami, na dobitkę w wąskiej jamie, była trudna i nad wyraz męcząca. Nie dysponowaliśmy żadnym narzędziem zdatnym do podważenia pokrywy i zdjęcia jej siłą. W końcu, zdesperowany, ponownie przywiązałem linę do jednego z uchwytów. Szarpnęliśmy obaj mocno i pokrywa odskoczyła!

Potem już bez kłopotów zanurkowałem w jamie, przytrzymując się dłonią krawędzi bębna. Podawałem Henry'emu starannie owiniętą broń, przesuując pakunki wzdłuż ciała. Niektóre większe paczki, między innymi sześć hermetycznie zamkniętych metalowych pojemników z amunicją, okazały się zbyt ciężkie i nieporęczne, toteż musiałem wydobyć je z bębna za pomocą liny.

Gdy opróżniliśmy schowek, byłem pioruńsko zmęczony. Obolałe ręce, nogi jak z waty, ubranie przesiąkło potem. Musieliśmy jednak przenosić broń i amunicję o wadze ponad 300 funtów przez gęsty las, i to pod górę. Szliśmy tak pół mili aż do drogi, a potem jeszcze ponad milę do samochodu.

Gdybyśmy dysponowali odpowiednimi nosidłami na plecy, zdołalibyśmy przerzucić cały nasz towar za jednym zamachem albo za dwoma, jeśli nie chciałoby się nam przemęczać. Ponieważ jednak mieliśmy tylko nie nadające się do naszych celów worki pocztowe, które musieliśmy nieść w rękach, wykonaliśmy trzy forsowne i znojne rundy. Udręczeni do cna, zatrzymywaliśmy się co jakieś 100 jardów, kładąc ładunek na ziemi i odpoczywając. Trzy ostatnie rundy zrobiliśmy w całkowitych ciemnościach. Nie przewidując takiego obrotu spraw, nie zadaliśmy o latarki. Cóż, jeśli w przyszłości nie zaczniemy lepiej planować naszych operacji, to marny czeka nas los!

W drodze powrotnej do Waszyngtonu zatrzymaliśmy się w niewielkim przydrożnym barze opodal Hagerstown, żeby coś przekąsić i napić się kawy. W lokalu przebywało kilkunastu gości, na jednej z półek ustawiono telewizor. Kiedy weszliśmy, akurat rozpoczynały się wiadomości wieczorne nadawane o 23.00.

Informacja dnia dotyczyła wydarzeń, jakie rozegrały się w Chicago. Ich uczestnikiem była Organizacja. Funkcjonariusze Systemu zabili, jak wynikało z relacji spikera, jednego z naszych ludzi, my zaś w odwecie położyliśmy trupem trzech tamtych, po czym rozpętaliśmy potężną i pomyślną dla nas strzelaninę. Sensacjom tym poświęcono niemal całość programu. Wiedzieliśmy już wcześniej, że w zeszłym tygodniu aresztowano w Chicago dziewięciu naszych członków. Dano im następnie, jak przypuszczam, solidny wycisk w więzieniu okręgowym w Cook, ponieważ jeden z zatrzymanych wyzionął ducha. Z tego, co mówili i pokazywali w telewizji, nie sposób było wywnioskować, co naprawdę się wydarzyło. Jedno wszelako wydawało się pewne: jeśli System zastosował swoje sprawdzone metody (a dano to jednoznacznie do zrozumienia), każdego z naszych ludzi wtrącono pojedynczo do cel, w których przebywali Czarni, nie bacząc na konsekwencje takiego postępowania.

System stosował już od dawna tę pozaprawną metodę karania naszych członków, ilekroć nie potrafił znaleźć niczego przeciw nim, co dałoby się wykorzystać jako dowód przed sądem. Jest to represja jeszcze bardziej okrutna i nieludzka niż męczarnie, jakim poddawano oskarżonych w średniowiecznych izbach tortur czy też w lochach KGB. Należy dodać, że łotrom uchodziło to na sucho, ponieważ w mediach nikt się nie zająknął, jakie praktyki są stosowane. I nic dziwnego: skoro wmawia się ludziom, że wszystkie rasy są równe, trudno zauważyć cokolwiek bardziej zdrożnego w zamykaniu delikwenta z czarnymi przestępcami niż z białymi. Nieważne. Nazajutrz, po śmierci jednego z naszych (spiker powiedział, że nazywał się Carl Hodges; nie znałem takiego), oddział Organizacji w Chicago podjął działania, którymi zagroził ponad rok wcześniej, gdyby któremuś z nas stała się krzywda w tamtejszym więzieniu. Urządzono zasadzkę w pobliżu domu szeryfa Cook, po czym rozwalono mu łeb kilkoma ładunkami grubego śrutu. Do trupa została przypięta kartka: „To za Carla Hodgesa”. Nastąpiło to sobotniej nocy. W niedzielę System dostał wściekizny, zabity szeryf był bowiem polityczną fiszą, prominentnym szabesgojem. Władze wpadły w szał. Choć niedzielne wydanie wiadomości przeznaczony jest wyłącznie dla obszaru miejskiego Chicago, telewizja nadała specjalne programy, w których sprowadzeni przed kamerę „przedstawiciele społeczeństwa” potępili morderstwo i Organizację. Jednego z zaproszonych do studia gości prezenterzy przedstawili jako „odpowiedzialnego konserwatystę”, drugi okazał się przywódcą społeczności żydowskiej w Chicago. Wszyscy nazwali Organizację „gangiem rasistowskich fanatyków” i wezwali „zdrowo myślących obywateli miasta” do współpracy z policją polityczną, prowadzącą poszukiwania „rasistów”, którzy zamordowali szeryfa.

Lecz dziś wczesnym rankiem ów odpowiedzialny konserwatysta stracił obie nogi i doznał znacznych obrażeń wewnętrznych wskutek wybuchu bomby, która eksplodowała w jego samochodzie, gdy włączył silnik. Żydka spotkał jeszcze gorszy los. Gdy oczekiwał na windę w hallu biurowca, w którym

pracował, ktoś podszedł do niego, wyjął spod płaszcza siekiere, jednym ciosem rozłupał mu czaszkę, po czym zniknął w tłumie. Organizacja natychmiast przyjęła odpowiedzialność za oba czyny.

Wtedy dopiero się zaczęło Gubernator stanu Illinois wezwał do Chicago oddziały Gwardii Narodowej, nakazując ich dowódcom udzielenie pomocy miejscowej policji i FBI w polowaniu na członków Organizacji. Na ulicach miasta zatrzymywano tysiące ludzi, sprawdzając ich tożsamość. Ot i cała paranoja Systemu. Tego samego popołudnia w Cicero, policja otoczyła niewielki blok mieszkalny. Trzej osaczeni mężczyźni wdali się w wymianę strzałów z oblegającymi. W pobliżu roіło się od ekip telewizyjnych, pragnących przekazać widzom wiadomość o zlikwidowaniu przestępców.

Jeden z osaczonych dysponował najprawdopodobniej karabinem snajperskim, ponieważ „zdzjął” dwóch czarnych policjantów oddalonych o kilkadziesiąt metrów; wnet stało się jasne, że w charakterze celów nasi wybierali wyłącznie Czarnych, umundurowanych białych gliniarzy pozostawili zaś w spokoju. Ów „immunitet” nie rozciągał się najwidoczniej na ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy policji politycznej, gdyż jeden z agentów FBI padł przecięty w pół serią z broni automatycznej, kiedy na chwilę nieostrożnie się odsłonił, by wrzucić przez okno granat z gazem łzawiącym.

Oglądaliśmy tę relację z zapartym tchem, jednak gwóźdź programu dopiero miał nastąpić. Funkcjonariusze szturmujący mieszkanie nie znaleźli w nim nikogo! Pospieszne przeszukiwanie budynku również nie przyniosło żadnych wyników. Głos telewizyjnego komentatora zabrzmiał wyraźnym rozczarowaniem. Facet siedzący w drugim końcu sali gwizdnął jednak i z radości i aż klasnął w dłonie, gdy ogłoszono, że tym razem rasiści się wymknęli. Kelnerka uśmiechnęła się, my zaś spostrzegliśmy, że choć w Chicago działania Organizacji nie cieszyły się ogólnym poparciem, to jednak powszechnie ich nie potępiano. Tymczasem, zupełnie jakby System przewidział reakcję społeczną na popołudniowe wydarzenia, komentator telewizyjny połączył się z Waszyngtonem, gdzie prokurator generalny zwołał specjalną konferencję prasową. Ogłosił on, że rząd federalny rzucił do akcji wszystkie siły policyjne, wydając im rozkaz rozbicia i unicestwienia Organizacji. Ponadto nazwał nas „zdeprawowanymi zbrodniarzami rasistowskimi”, kierującymi się w działaniu wyłącznie nienawiścią i pragnącymi „zahamować dążenie ku prawdziwej równości”, wdrażane od kilku lat przez System.

Wezwał również obywateli do wzmożenia czujności, nakazując im udzielanie pomocy rządowi w rozgromieniu „rasistowskiego spisku”. Jeśli zatem praworządny obywatel zauważy, że ktoś, zwłaszcza osoba obca, zachowuje się w sposób podejrzany, powinien natychmiast zaalarmować najbliższą placówkę FBI lub Komitet do spraw Stosunków Międzyludzkich. W następnej chwili prokurator wypowiedział słowa nieoczekiwane i niesłychane; zdradził nimi, jak bardzo System nas się boi. Zapowiedział otóż, że każdy obywatel, który zatai informacje o nas, lub też udzieli nam wsparcia, „zostanie potraktowany z całą surowością prawa”. Tak, to były słowa, których można by oczekiwać w Związku Radzieckim, lecz większość Amerykanów niewątpliwie przyjęła je nieprzyjaźnie lub wręcz wrogo. Nie pomogły propagandowe wysiłki mediów, pragnących za wszelką cenę usprawiedliwić i uzasadnić takie postępowanie władz.

Ryzyko, jakie podjęli nasi członkowie w Chicago, opłaciło się więc nam stokrotnie, ponieważ ich działania skłoniły prokuratora generalnego do tej niebaczonej wypowiedzi. Wydarzenie to dowiodło również, że warto prowadzić wojnę podjazdową z Systemem, dokonując takich ataków z zaskoczenia. Gdyby władze zachowały zimną krew i zastanowiły się nad odpowiedzią na naszą akcję w Chicago, nie tylko prokurator nie palnąłby głupstwa, które przysporzy nam z pewnością nowych członków, lecz również znalazłyby one sposób na zdobycie poparcia znacznego odłamu opinii publicznej. Wiadomości zakończyły się zapowiedzią wyemitowania we wtorek późnym wieczorem (czyli w dniu dzisiejszym) godzinnego „specjalnego” programu. Okazał się nadzwyczaj prymitywną składanką, pełną błędów, przeinaczeń i fałszywych informacji o, jak wszyscy później orzekliśmy, niemal zerowym oddziaływaniu propagandowym. Wszelako jedno stało się pewne: zakończyła się blokada

informacyjna w mediach. Akcja zbrojna w Chicago natychmiast wywindowała Organizację na szczyty popularności; faktycznie staliśmy się tematem numer jeden rozmów w całej Ameryce. Po zakończeniu ostatnich telewizyjnych wiadomości Henry i ja przetknęliśmy ostatnie kęsy, po czym niepewnym krokiem opuściliśmy bar. Ogarniały mnie sprzeczne emocje: podekscytowanie, radość z powodu sukcesu w Chicago, niepokój (stałem się bowiem zwierzyną w wielkim polowaniu), wreszcie żal, że żadna z naszych jednostek na obszarze Waszyngtonu nie wykazała takiej inicjatywy jak tamci.

Pragnąłem desperacko coś zrobić, i to natychmiast. Pomyślałem przeto, że warto by nawiązać jakiś kontakt z facetem w barze, który, sądząc z jego reakcji, popiera nas. Chciałem wyjąć z naszego samochodu nieco ulotek i wetknąć po jednej pod wycieraczkę każdego pojazdu stojącego na parkingu.

Jednakże Henry, który w każdej sytuacji rozumuje chłodno, logicznie i beznamiętnie, wyraził gwałtowny sprzeciw. Gdy już siedzieliśmy w samochodzie, powiedział, że byłoby szaleństwem ryzykowanie zwrócenia na siebie uwagi przed zakończeniem zadania, polegającego na dostarczeniu broni naszej jednostce. Przypomni mi ponadto, że angażowanie się członka działającej w podziemiu jednostki w bezpośrednią akcję werbunkową, choćby i najskromniejszych rozmiarów, stanowiłoby naruszenie obowiązującej w naszych szeregach dyscypliny. Zadanie to powierzono przecież wyłącznie „legalnym”. Jednostki podziemne Organizacji składają się z osób znanych władzom i przez to najbardziej narażonych na aresztowanie. Ich powinnością jest niszczenie Systemu drogą akcji bezpośredniej. Członkowie jednostek „legalnych” nie są znani Systemowi. (Na ogół byłoby niemożliwością udowodnienie z tym osobom przynależności do Organizacji; metodę tę przejęliśmy od komunistów). Dostarczają nam oni informacji, funduszy, zapewniają obronę prawną, jak również udzielają innej pomocy.

Ilekoć nasz „nielegal” zetknie się z potencjalnym kandydatem do werbunku, przekazuje sprawę „legalowi”, który następnie sonduje daną osobę. Do zadań „legalów” należy również prowadzenie akcji propagandowej o niewielkim stopniu ryzyka, polegającej na przykład na rozrzucaniu ulotek. Bogiem a prawdą, wykonując nasze zadanie, nie powinniśmy mieć przy sobie nawet jednej ulotki. Poczekaliśmy aż gość, którego tak ucieszył nasz sukces w Chicago, wyjdzie z baru i wsiedzie do swojej furgonetki. Opuszczając parking, zanotowaliśmy jej numer rejestracyjny. Po odtworzeniu sieci odpowiednia informacja zostanie przekazana gdzie trzeba.

Oczekujący nas w mieszkaniu George i Katherine byli równie podekscytowani jak Henry i ja. Oni również oglądali wieczorne wiadomości. Mimo ciężkiego dnia i nam, i im nie chciało mi się spać, toteż wsiedliśmy całą paczką do samochodu (George i Katherine zajęli miejsca z tyłu, dzieląc fotele z częścią naszego pokrytego smarem ładunku) i pojechaliśmy do nocnego kina typu drive-in na wolnym powietrzu. Mogliśmy tam długo siedzieć w samochodzie i rozmawiać, nie narażając się na podejrzenia; gadaliśmy więc aż do wczesnego poranka.

Postanowiliśmy, że jak najszybciej przeprowadzimy się do nowego lokum, które wyszukali poprzedniego dnia George i Katherine. Nasze dotychczasowe mieszkanie stało się niezbyt pewną kryjówką; ściany są tak cienkie, że aby uniknąć podsłuchiwania przez sąsiadów, trzeba rozmawiać szeptem. Ponadto jestem pewien, że nasz nieregularny tryb życia skłonił ich już do dociekań, czy i gdzie właściwie pracujemy. Z uwagi na wezwanie władz do informowania o obcych i podejrzanych osobnikach, dalsze przebywanie w miejscu nie zapewniającym nam względnego bezpieczeństwa stało się niemożliwe. Nowe lokum byłoby o niebo lepsze, gdyby nie wysoki czynsz. Okazało się jednak, że otrzymaliśmy do dyspozycji cały budynek, a właściwie betonowy barak. W przypominającym garaż pomieszczeniu na parterze mieścił się niegdyś niewielki warsztat mechaniczny, na górnej kondygnacji urządzono biuro i magazyn.

Parcelę wywłaszczyło państwo na cele publiczne, ponieważ znajduje się w miejscu przeznaczonym na nową drogę dojazdową do autostrady, której budowę zaplanowano już cztery lata temu. Podobnie jak wszystkie rządowe przedsięwzięcia, również to ugrzęzło gdzieś w szufladach urzędników - chyba na amen. Choć setkom tysięcy robotników płaci się za budowę nowych autostrad, żadne nie powstają. W ostatnich pięciu latach stan większości amerykańskich dróg osiągnął poziom wręcz katastrofalny. Mimo że wszędzie widać ekipy remontowe, nic nie zmienia się na lepsze. Rząd nawet nie przystąpił do wykupywania gruntu wywłaszczonego pod budowę autostrady, wtrącając właściciela naszej nieruchomości w kłopoty. Przepisy zakazują właścicielowi budynku wynajmowania go komukolwiek, najwidoczniej jednak facet dogadał się z kimś we władzach miejskich. Tym lepiej dla nas: nie istnieje żaden oficjalny rejestr użytkowników, policja nie będzie wymagać numerów kart ubezpieczeniowych, nie zacznie nas nachodzić żaden inspektor budowlany z władz hrabstwa, ani strażak-kontroler. George ma tylko jedną powinność: musi wręczać co miesiąc właścicielowi sześćset dolarów gotówką.

Zdaniem George'a ów właściciel, stary pomarszczony Ormianin mówiący z silnym obcym akcentem, jest przekonany, że będziemy produkować w baraku narkotyki, czy też przechowywać kradziony towar; w każdym razie o nic nie wypytuje. Znakomicie, przynajmniej nie będzie węszyć i wtykać nosa w nie swoje sprawy. Teren jest zapuszczony jak diabli. Otacza go z trzech stron wałące się ogrodzenie o przeżartych rdzą palikach i łańcuchach. Wszędzie walają się stare kotły wodne, jakieś wybebeszone motory i najrozmaitsze przerdzewiałe żelastwo. Spękane płyty betonowe, którymi wyłożony jest usytuowany przed barakiem parking, poczerniały od rozlanego oleju silnikowego. Na frontowej ścianie budynku wisi wielki, obłuzowany z jednej strony szylt: „J. T. Smith i Synowie, Usługi Spawalnicze i Naprawa Maszyn”. Połowie okien w dolnej kondygnacji brakuje szyb, ale i tak wszystkie zostały zabite od wewnątrz deskami.

W okolicy znajduje się mnóstwo brudnych i zapuszczonych małych zakładów drobnoprzemysłowych. Po sąsiedzku usytuowany jest garaż oraz magazyn niewielkiego przedsiębiorstwa transportowego. Nocą odbywa się nieustanny ruch ciężarówek, a więc nie wzbudzimy podejrzeń policji, jeśli będziemy jeździć o nietypowych godzinach. Ponieważ w naszym nowym miejscu nie ma prądu, wody i gazu, otrzymałem zadanie założenia wodociągu i kanalizacji, ogrzewania i oświetlenia, podczas gdy Katherine, George i Henry zajęli się pakowaniem i przewożeniem rzeczy. Doprowadzenie wody nie nastręczyło mi większych kłopotów: odnalazłem wodomierz i zdjąłem pokrywę. Odkręciłem zawór, po czym wyszukałem duży i ciężki kawał złomu. Położyłem go na wodomierzu w ten sposób, że gdyby nawet ktoś z wodociągów przyszedł na kontrolę, za chińskiego boga nie odnalazłby urządzenia. Z elektrycznością poszło już trudniej. Wprawdzie od słupa biegły do budynku przewody, ale zasilanie odcięto przy liczniku znajdującym się na zewnętrznej ścianie. Musiałem ostrożnie wyborować otwór w murze za licznikiem, a potem podciągnąć kable połączeniowe i odpowiednio je dopiąć. Praca ta zajęła mi niemal cały dzień.

Resztę godzin poświęciłem na staranne zatykanie wszystkich otworów w deskach, którymi zabito okna na parterze, i na zasłanianie górnych okien solidnymi arkuszami dykty, ażeby nikt nie dostrzegł nocą od zewnątrz nawet najslabszego odbłyску światła. Nadal nie mamy ogrzewania i przynajmniej na razie, żadnego sprzętu kuchennego, wyjąwszy kuchenkę elektryczną, na której gotowaliśmy posiłki w dawnym mieszkaniu. Jednakże mamy już WC, działa kanalizacja, a pomieszczenia mieszkalne są względnie czyste, choć panują w nich spartańskie warunki. Postanowiliśmy, że przez pewien czas będziemy spali w śpiworach, ale za kilka dni zakupimy kilka grzejników elektrycznych oraz nieco innego wyposażenia.

Rozdział 4

30 września 1991 r. Przez ostatni tydzień byłem tak zajęty, że nie miałem czasu na pisanie. Nasz plan odtworzenia sieci był prosty i łatwy, jednakże jego realizacja wymagała podjęcia straszliwego wysiłku, przynajmniej jeśli chodzi o moją osobę. Problemy, jakie musiałem rozwiązać, uzmysłowiły mi po raz nie wiem który, że nawet najlepsze plany załamują się (co może naturalnie przynieść fatalne skutki), jeśli nie przewidziano w nich dużego marginesu na nieoczekiwane trudności.

Na ogół jednostki porozumiewają się ze sobą w dwojaki sposób: poprzez gońców oraz za pomocą zaszyfrowanych sygnałów radiowych. Przypadło mi w udziale sprawowanie „opieki” nie tylko nad odbiornikami naszej jednostki, lecz również konserwacja i nadzór techniczny nad odbiornikami używanymi przez jedenaście innych jednostek rozlokowanych w rejonie stolicy, a także nadajnikami Dowództwa Terenowego Waszyngtonu DTW oraz Jednostki nr 9. Wszystkie moje plany na najbliższy tydzień wzięły w łeb z powodu podjętej przez DTW w ostatniej chwili decyzji, by wyposażyć w nadajnik również Jednostkę nr 2. Przydzielono mi to zadanie.

Wszelkie kontakty w ramach sieci, ilekroć niezbędne są konsultacje oraz przekazywanie meldunków sytuacyjnych, odbywają się wyłącznie w formie spotkań osobistych. Ponieważ telekomunikacja rejestruje za pomocą techniki komputerowej wszystkie rozmowy lokalne i międzystanowe, a na dobitkę wiele z nich monitoruje policja, Organizacja zezwoliła na używanie telefonów wyłącznie w bardzo rzadkich, nadzwyczajnych sytuacjach.

Jednakże wiadomości standardowe, takie, które można łatwo i szybko zaszyfrować, przekazywane są zwykle przez radio. Nasi specjaliści poświęcili wiele czasu i energii na sporządzenie „słownika” zawierającego zestawienie 800 statych wiadomości, z których każdej przypisano inną trzycyfrową liczbę.

Przez określony czas liczba „2006” może oznaczać na przykład: „Operacja zaplanowana przez Jednostkę nr 6 zostaje zawieszona aż do odwołania”. W każdej jednostce jest osoba, która opanowała pamięciowo cały słownik i jednocześnie musi znać aktualny system przyporządkowania określonych informacji danym numerom. W naszej jednostce jest to domena George'a.

System ów wcale nie jest tak skomplikowany, jak wydaje się na pierwszy rzut oka, informacje zostały bowiem uporządkowane wedle nad wyraz logicznego klucza. Gdy ktoś pozna zasadniczą strukturę słownika, łatwo przychodzi mu robota pamięciowa. Co kilka dni zmienia się przyporządkowanie numerów, co nie oznacza jednak, że George musi za każdym razem wkuwać wszystko na nowo. Wystarczy, że wie, jaki numer przydzielono określonej wiadomości. Na tej podstawie może wywnioskować numery kodowe pozostałych.

Ta metoda chroni przed podsłuchem naszą łączność radiową, do której utrzymywania stosujemy najczęściej prosty, przenośny sprzęt. Ponieważ czas wysyłania wiadomości nigdy nie przekracza sekundy, a ponadto ze sposobu tego korzystamy nadzwyczaj rzadko, niewielkie jest prawdopodobieństwo, ażeby policja namierzyła któryś z nadajników lub odszyfrowała przechwyconą informację.

Nasze odbiorniki są jeszcze prostszej budowy aniżeli nadajniki; stanowią one skrzyżowanie radyjka tranzystorowego z kalkulatorem kieszonkowym. Przez cały czas pozostają włączone i ilekroć któryś z nadajników znajdujących się w okolicy wyemituje sygnał, zostaje on odebrany, po czym natychmiast wyświetlony w formie zestawu cyfr. Najważniejsze zadanie, jakie wykonywałem dotychczas dla Organizacji, polegało na rozbudowie wyposażenia łącznościowego oraz faktycznie na montowaniu go, i to na znaczną skalę.

DTW pierwszą serię wiadomości przeznaczonych dla podległych mu jednostek przekazało w niedzielę. Każdej jednostce poleciło (za pomocą odpowiedniego kodu numerycznego) wysłać jednego z członków we wskazane miejsce. Miał on tam otrzymać instrukcje jak również przekazać meldunek sytuacyjny dotyczący jego jednostki. George zapoznał nas po powrocie z instrukcjami. Choć na obszarze waszyngtońskim panował pozorny spokój, DTW zaniepokoił osie doniesieniami informatorów zainstalowanych w policji politycznej.

System zdecydował się na wszystko, byleby tylko dostać nas w swoje łapy. Aresztowano i poddano śledztwu setki osób podejrzanych o sprzyjanie Organizacji lub o jakieś odległe z nią powiązania. Wśród zatrzymanych znalazło się kilkoro naszych „legałów”, ale, jak się wydaje, władze nie znalazły

na nich na razie żadnego haka, a przesłuchania również nie przyniosły żadnych rezultatów. Jednakże reakcja Systemu na wydarzenia w Chicago przybrała znacznie szerszy zasięg i okazała się znacznie bardziej zdecydowana aniżeli ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Obecnie przygotowuje on skomputeryzowany i obligatoryjny wewnętrzny system dowodów tożsamości. Każdy Amerykanin, który ukończył 12 lat, otrzyma taki dokument i pod groźbą surowych sankcji będzie musiał nosić go stale przy sobie. Szykuje się również coś innego: nie tylko funkcjonariusze policji zostaną uprawnieni do zatrzymywania obywatela na ulicy i żądania okazywania dowodów, ale mają wejść w życie ustawy, na mocy których dowód tożsamości będzie niezbędny przy wykonywaniu rozmaitych czynności. Okaże się na przykład konieczny przy kupowaniu biletu na samolot, autobus lub pociąg, meldowaniu się w hotelu albo w motelu, otrzymaniu świadczenia medycznego w szpitalu albo klinice.

Wszystkie kasy biletowe, recepcje moteli, gabinety lekarskie i podobne placówki zostaną wyposażone w terminale, które za pośrednictwem linii telefonicznych będą połączone z potężną ogólnopaństwową bazą danych, a także z centrum komputerowym. Rutynową czynnością obsługi stanie się poddanie elektronicznej kontroli dowodu tożsamości wyposażonego w magnetyczny pasek kodowy. Jeśli okaże się, że przy kupowaniu biletu, płaceniu rachunku lub rejestracji w gabinecie lekarskim coś nie jest w porządku, zostanie zaalarmowany najbliższy komisariat policji. Komputer zlokalizuje natychmiast dany terminal oraz pechowego klienta.

Rozwijali ów system przez wiele lat i, jak się wydaje, dopracowali go we wszystkich szczegółach. Do realizacji planu nie doszło dotychczas wyłącznie z powodu protestów malkontentów zajmujących się przestrzeganiem wolności obywatelskich. Mędrkowie ci uznali go za wielki krok na drodze do państwa policyjnego, mając oczywiście słuszość. Obecnie jednak władze nabrały przeświadczenia, że mogą złamać opór tych miłośników swobód, powołując się na zagrożenie ze strony nas, czyli Organizacji. W zwalczaniu „rasizmu” wszystkie chwytły są jak widać dozwolone!

Instalacja, uruchomienie i wdrożenie niezbędnego wyposażenia zajmie co najmniej trzy miesiące, ale spieszy im się. straszliwie, ponieważ zamierzają działać metodą faktów dokonanych, przy zapewnionym poparciu mediów. Później system ów zamierzają doskonalić, aż dojdzie do tego że w terminal komputerowy zostanie wyposażona każda placówka handlowa i usługowa. Nie będzie można zamówić posiłku w restauracji, odebrać odzieży z pralni, ani też dokonać zakupu w sklepie spożywczym, nie poddając się procedurze odczytania magnetycznego kodu przez terminal komputera zainstalowany przy kasie. Z chwilą, gdy do tego dojdzie, System chwyci nas, obywatele Stanów Zjednoczonych, mocno w swoje szpony. Ogromne moce obliczeniowe nowoczesnych komputerów, jakimi dysponuje policja polityczna, pozwolą jej zlokalizować daną osobę w dowolnym czasie i dowiedzieć się, gdzie przebywa i co robi. Będziemy musieli solidnie ruszyć mózgowicami, żeby znaleźć na to jakiś sposób.

Z informacji przekazanych nam dotychczas przez naszych informatorów wynika, że tym razem nie wystarczy zwykłe fałszowanie kart tożsamości i kodów magnetycznych. Jeśli centralny komputer wykryje taką fałszywkę, automatycznie zaalarmuje najbliższy posterunek policji. To samo nastąpi, jeśli okaże się, że powiedzmy John Jones, zamieszkały w Spokane i kupujący tam artykuły spożywcze, nagle dokona identycznego zakupu w Dallas. Podobnie stanie się, jeśli komputer zlokalizuje jakiegoś Billa Smitha w kęglielni przy Main Street, a jednocześnie tenże Billy Smith skorzysta z usług pralni chemicznej w odległej dzielnicy miasta.

Wszystko to stwarza nam przerażające perspektywy: oto staje się rzeczywistością coś co wprawdzie było już od dawna technicznie możliwe, lecz nigdy, przenigdy nie przyszłoby nam do głowy, że System zechce to zrealizować. George przekazał również wezwanie do natychmiastowego wyjazdu do Jednostki nr 2 i udzielenia jej członkom pomocy w rozwiązaniu jakiegoś technicznego problemu. Według reguł obowiązujących w Organizacji George ani ja nie powinniśmy wiedzieć, gdzie znajduje się baza tej jednostki, gdyby zaś zaszła potrzeba nawiązania z jakimś jej członkiem kontaktu, spotkanie odbyłoby się na neutralnym terenie. Jednakże tym razem, ze względu na charakter sprawy, mój wyjazd do nich okazał się niezbędny. George podał mi otrzymane namiary.

Jednostka nr 2 stacjonuje w stanie Maryland, ponad 30 mil od nas. Pojechałem samochodem, ponieważ musiałem zabrać ze sobą narzędzia. Mieszkali całkiem przyjemnie; ujrzałem duży dom farmerski z przyległymi zabudowaniami gospodarskimi, razem jakieś 40 akrów lasów i łąk. Jednostka liczyła ośmiu członków, co przewyższało przyjętą liczbę. Wkrótce się przekonałem, że żaden z nich nie odróżniał woltów od amperów, nie wiedzieli również, do czego służy cieńszy koniec śrubokręta. Zdziwiło mnie to, ponieważ przy formowaniu jednostek dbano, że tak powiem, o rozsądny rozkład przydatnych umiejętności.

Ich baza znajdowała się (co uznałem za nader rozsądne) w pobliżu baz dwóch innych jednostek, jednak wszystkie trzy były niestety oddalone od pozostałych dziewięciu jednostek działających na obszarze Waszyngtonu, a zwłaszcza od Jednostki nr 9, która jako jedyna dysponowała nadajnikiem służącym do wysyłania sygnałów do DTW. Skłoniło to DTW do przekazania Jednostce nr 2 nadajnika, tyle że nasi przyjaciele nie potrafili go uruchomić.

Przyczynę pojąłem natychmiast, gdy tylko zaprowadzili mnie do kuchni. Ujrzałem ustawiony na stole nadajnik, samochodową baterię akumulatorową i jakieś fragmenty przewodów. Mimo opracowanych przeze mnie szczegółowych instrukcji, które dodawano do każdego nadajnika, i mimo doskonale widocznych symboli przy zaciskach na pojemniku urządzenia, podłączyli je do akumulatora zachowując niewłaściwą polaryzację. Westchnąłem ciężko i poprosiłem facetów, żeby pomogli mi przynieść z samochodu narzędzia. Najpierw sprawdziłem akumulator i przekonałem się, że jest niemal całkowicie rozładowany. Zażądałem, żeby podłączyli go do ładowarki, a ja tymczasem sprawdzę nadajnik.

- Ładowarka? A co to jest? - usłyszałem w odpowiedzi. Okazało się, że o czymś takim nigdy nie słyszeli! Z uwagi na niepewną sytuację, jeśli chodzi o dostawy elektryczności, cały nasz sprzęt łącznościowy zasilany jest z baterii akumulatorowych, nieustannie podładowywanych prądem z sieci. Uniezależnia nas to od wyłączeń prądu, które w ostatnich latach stały się już zjawiskiem cotygodniowym, jeśli nie codziennym.

Podobnie jak w wypadku wody pitnej, ogrzewania i gazu, im bardziej podnoszono cenę elektryczności, tym bardziej pogarszały się warunki jej dostawy. Na przykład w sierpniu tego roku w rejonie Waszyngtonu przez ogółem cztery dni nie dostarczano prądu, jego napięcie zaś przez dwa tygodnie było niższe o 15 procent.

Rząd zwołuje prawdziwe posiedzenia komisji parlamentarnych, poddaje tę kwestię urzędowym dochodzeniom i wydaje raporty, jest jednak coraz gorzej. Politycy uchylają się od przyznania, jakie przyczyny doprowadziły do takiego załamania; jedną z nich są fatalne skutki proizraelskiej polityki prowadzonej przez Waszyngton od dwóch lat, i mającej bezpośredni wpływ na zaopatrywanie kraju w ropę naftową.

Tymczasem pokazałem tym z „dwójki”, w jaki sposób podłączyć akumulator do zasilania z ich trucka, gdyby zaistniała potrzeba doładowania awaryjnego. Następnie przystąpiłem do przeglądu nadajnika, żeby sprawdzić, czy i w jakim stopniu został uszkodzony. Jakąś ładowarkę trzeba będzie znaleźć dla nich później. Najważniejszy element nadajnika, czyli moduł szyfrujący, który, sterowany z klawiatury kalkulatora, emituje cyfrowy sygnał, wydawał się okej. Przed ewentualnymi uszkodzeniami wywołanymi podłączeniem zacisków do nieprawidłowych biegunów zabezpieczała go dioda. Jednakże w innych częściach nadajnika nawaliły trzy tranzystory.

Choć byłem pewien, że ci z DTW dysponują przynajmniej jednym zapasowym nadajnikiem, w celu potwierdzenia swoich domysłów musiałbym ich zapytać i uzyskać odpowiedź. Oznaczałoby to konieczność wysłania takiego zapytania przez kuriera do Jednostki nr 9, potem zaś takie zorganizowanie spraw, by ktoś z DTW dostarczył jej urządzenie. Nie chciałem jednak niepokoić DTW z uwagi na nasze ustalenia dotyczące ograniczenia łączności radiowej pomiędzy jednostkami i centralą jedynie do wysyłania ważnych wiadomości.

Ponieważ Jednostka nr 2 i tak potrzebowała ładowarki, postanowiłem zakupić brakujące tranzystory w sklepie z elektroniką (i jednocześnie zdobyć ładowarkę), po czym zainstalować je samodzielnie. Jednakże nabycie części okazało się znacznie trudniejsze niż myślałem, toteż na farmę powróciłem dopiero po 18.00.

Kiedy zajechałem przed dom, wskaźnik paliwa wskazywał zero. Nie chciałem ryzykować zakupu na stacji benzynowej, gdzie musiałbym oddać swoje kartki, a jednocześnie nie wiedziałem, gdzie w okolicy można nabyć nielegalnie paliwo. W tej sytuacji poprosiłem moich przyjaciół o kilka galonów na powrót. Usłyszałem jednak, że dysponują „aż” jednym galonem benzyny (znajdowała się ona w baku samochodu), nie mają też zielonego pojęcia, kto w pobliżu sprzedaje ją na lewo. Zastanowiło mnie wtedy, jak taka grupa fajtlapów może przetrwać w roli grupy prowadzącej działalność podziemną. Widocznie Organizacja uznała, że niektóre osoby nie nadają się żadną miarą do partyzantki i zgrupowała je razem. Czterech członków Jednostki nr 2 pracowało w dziale wydawnictw, opracowując na farmie ulotki oraz broszury propagandowe.

Pozostałych czworo pomagało im tylko, dostarczając żywności i innych materiałów. Nikt w ich jednostce nie musiał korzystać często z samochodu, nie martwili się więc zbyt o paliwo. Wreszcie któryś z nich zaofiarował się pójść nocą z kanistrem i ściągnąć nieco benzyny z baku furgonetki należącej do właściciela sąsiedniej farmy. Wtedy właśnie wyłączono elektryczność, toteż nie mogłem korzystać z lutownicy. Zarządziłem dla siebie fajrant. Uruchomienie i dostrojenie nadajnika zajęło mi cały następny dzień i większą część wieczoru, a to z powodu kilku nieprzewidzianych problemów technicznych. Kiedy wreszcie skończyłem robotę około północy, zauważyłem, że kuchnia nie jest najlepszym miejscem do przechowywania tego nadajnika. Dużo lepszym, zasugerowałem im, będzie strych albo chociażby pokój na piętrze budynku.

Wyszukawszy odpowiednie pomieszczenie, przenieśliśmy wszystkie graty na górę. Niestety, przez nieuwagę upuściłem na lewą stopę ciężki akumulator. Początkowo myślałem, że złamałem sobie kość, ponieważ ból uniemożliwił mi chodzenie. W efekcie spędziłem u nich drugą noc. Mają swoje wady, ale okazali mi niezwykłą życzliwość i byli niesłychanie wdzięczni za wysiłek i pomoc. Dotrzymali obietnicy i zaopatrzyli mnie w kradzioną benzynę na drogę. Ponadto nalegali, żebym zabrał ze sobą ogromną liczbę konserw z różną żywnością, której mieli, jak mi się zdawało, nieograniczone ilości. Gdy zapytałem, skąd ją biorą, uśmiechnęli się tylko, zapewniając, że w razie potrzeby mogą mieć dużo, dużo więcej. Być może są jednak zaradniejsi aniżeli początkowo sądziłem. Powróciłem o godzinie 10.00. George i Henry byli nieobecni, drzwi garażu otworzyła mi Katherine. Zapytała, czy jadłem śniadanie.

Wyjaśniłem, że nie jestem głodny, bo poczęstowano mnie obficie w Jednostce nr 2, lecz martwi mnie kontuzjowana stopa, w której odczuwałem bolesne pulsowanie i która bardzo spuchła. Katherine pomogła mi przy wchodzeniu na piętro, a potem przyniosła dużą miednicą zimnej wody. Kiedy zanurzyłem w niej stopę, pulsowanie niemal natychmiast ustąpiło; wyciągnąłem się z przyjemnością na poduszkach, którymi Katherine wymościła tapczan. Opowiedziałem jej, jak doszło do wypadku, po czym wymieniliśmy informacje o wydarzeniach z dwóch ostatnich dni.

Wczoraj od rana do zmierzchu wieszali we troje półki, dokonywali drobnych napraw, kończyli generalne porządki oraz malowanie; zrobili do końca wszystko, czym zajmowaliśmy się prawie przez tydzień. Meble, pościągane przez nas z rozmaitych miejsc, nadały kwaterze porządną wygląd. To już nie był dawny, nagi, zimny i brudny warsztat. Katherine powiedziała, że wczoraj wieczorem George otrzymał przez radio wiadomość. Wezwano go na spotkanie z kimś z DTW. Dziś wczesnym rankiem wyruszył w drogę wraz z Henrym; zapowiedzieli, że powrócą dopiero późnym wieczorem. Zasnąłem; gdy się obudziłem, zauważyłem, że jestem sam, a woda w miednicy stała się letnia. Ból stopy znacznie zelżał, opuchlizna wyraźnie ustąpiła. Postanowiłem wziąć prysznic.

Tydzień wcześniej w obszernej niszy zainstalowałem wraz z Henrym prowizoryczne urządzenie do natrysków, niestety tylko zimnych. Założyliśmy odpływ wody i oświetlenie, a Katherine pokryła ściany i podłogę samoprzylepną wodoodporną okładziną winylową. Do kabinki prowadzi wejście z pokoju służącego jako sypialnia George'owi i Henry'emu. Na piętrze są trzy pomieszczenia; w najmniejszym sypia Katherine, trzecie zaś pełni funkcję jednocześnie salonu, kuchni i jadalni. Rozebrałem się, wziąłem ręcznik i otworzyłem drzwi. Ujrzałem Katherine - mokrą, nagą i piękną. Pod sufitem płonęła pozbawiona oprawy żarówka, a ona wycierała się. Jej wzrok nie wyrażał żadnego zaskoczenia. Milczała. Po sekundzie, zamiast ją przeprosić i zamknąć drzwi, pod wpływem nieoczekiwanego

impulsu wyciągnąłem ku niej ramiona. Zawahała się, lecz postąpiła w moim kierunku. Natura zwyciężyła.

Potem leżeliśmy długo obok siebie. Po raz pierwszy rozmawiałem poważnie z Katherine. Okazała się uczuciowa, wrażliwa i nad wyraz kobieca, choć w Organizacji zawsze starała się przybierać pozę chłodnego zawodowca. Cztery lata temu, jeszcze przed policyjną akcją „Broń”, była sekretarką pewnego kongresmana. Mieszkała w Waszyngtonie wraz z koleżanką, również pracującą na Wzgórzu Kapitołińskim. Pewnego wieczoru po powrocie do domu odnalazła jej ciało na podłodze, w kałuży krwi. Dziewczynę zgwałcił i zamordował murzyński bandzior.

Przerażona, kupiła pistolet, który zatrzymała nawet po zniesieniu prywatnej własności broni palnej na mocy ustawy Cohena. Potem, wraz z blisko milionem rodaków, zgarnęli ją w 1989 roku w czasie akcji „Broń”. Wcześniej nie utrzymywała żadnych kontaktów z Organizacją, a George'a poznała w ośrodku odosobnienia.

Była kobietą na wskroś apolityczną. Gdyby ją ktoś zapytał, wtedy lub wcześniej, o poglądy polityczne, odpowiedziałaby zapewne, że są one liberalne. Jednakże skłaniała się ku owej doktrynie w sposób, rzekłbym, bezmyślny i automatyczny, tak jak większość Amerykanów. Pozornie akceptowała zdegenerowaną ideologię wpajaną narodowi przez media i rząd; nie wnikała w istotę sprawy i, prawdę powiedziawszy, nigdy się głębiej nad tym nie zastanawiała. W jej naturze nie leżały fanatyzm, wrodzone poczucie winy oraz nienawiść do własnej osoby; innymi słowy Katherine nie miała cech prawdziwego, stuprocentowego liberała.

Gdy zostali zwolnieni, George dał jej kilka książek poświęconych zagadnieniom rasowym i historii oraz kilka wydawnictw Organizacji. Po ich lekturze po raz pierwszy w życiu zaczęła myśleć poważnie o doniosłych kwestiach rasowych, społecznych i politycznych stanowiących podłoże codziennych ludzkich zmartwień i problemów. Dowiedziała się prawdy o „równościowym” oszukaństwie Systemu. Zaznajomiła się też z wyjątkową rolą jaką w dziejach świata odegrali Żydzi, będący niezmiennie fermentem rozkładu ras i cywilizacji. Jednakże, co najważniejsze, zaczęła odzyskiwać poczucie tożsamości rasowej. Przewyciężyła w sobie wpływ wieloletniego prania mózgu, zmierzającego do wpojenia jej oraz takim jak ona poczucia, iż jest się jedynie osamotnionym ludzkim atomem w kosmopolitycznym chaosie. Z powodu aresztowania straciła posadę i mniej więcej dwa miesiące później znalazła zatrudnienie w Organizacji jako maszynistka w dziale wydawniczym. Okazała się bystra i nie stroniła od ciężkiej pracy, toteż wkrótce awansowała na korektorkę, a następnie na redaktorkę. Napisała kilka artykułów do naszych publikacji poświęconych głównie roli kobiety w ruchu oraz ogólnie w społeczeństwie. Zaledwie przed miesiącem została redaktorką nowego kwartalnika Organizacji przeznaczonego dla kobiet.

Ma się rozumieć, jej dziennikarsko-wydawnicza kariera została obecnie z konieczności zawieszona; nieocenione stały się dla nas jej umiejętności kosmetyczne i charakteryzatorskie, które nabyła w amatorskim teatrze za studenckich czasów. Do Organizacji wprowadził ją George, lecz nigdy nie na wiązała z nim bliższych stosunków emocjonalnych. Kiedy się poznali, George był jeszcze żonaty. Potem żona George'a, której nie podobało się jego zaangażowanie w sprawy Organizacji, opuściła go, a Katherine przystąpiła do nas, ale oboje pochłaniała zbyt dużo pracy w różnych wydziałach, uniemożliwiając częste kontakty. Na dokładkę George, który zbierał fundusze i miał wiele zajęć w terenie, nieczęsto przebywał w Waszyngtonie. Przydzielenie George'a i Katherine do tej samej jednostki okazało się jedynie dziełem przypadku, ale jednak jestem pewien, że George rościł sobie do niej poniekąd prawo własności. Choć Katherine żadnym uczynkiem czy słowem nie umocniła mnie w tym przekonaniu, aż do dzisiejszego południa myślałem, że - sądząc po tym, w jaki sposób traktuje ją George - oboje łączy jakiś powierzchowny związek uczuciowy.

Ze względu na to, że George jest dowódcą naszej jednostki, aż do tej pory starałem się poskramiać swoje naturalne zainteresowanie Katherine. Teraz wszelako dręczą mnie obawy, gdyż uświadomiłem sobie, że sytuacja stała się dość niezręczna. Jeśli George nie zaakceptuje tego, co zaszło między nami, atmosfera w jednostce może się pogorszyć, a problem ów rozwiązałoby chyba jedynie przeniesienia służbowe.

Tymczasem jednak spadły nam na głowy inne problemy, znacznie większego kalibru! Wieczorem, gdy George i Henry wreszcie powrócili, dowiedzieliśmy się, co robili przez cały dzień: oglądali centralną siedzibę FBI w śródmieściu. Naszej jednostce przydzielono zadanie wysadzenia jej w powietrze! Polecenie zostało przekazane „w dół” przez Dowództwo Rewolucyjne; Ośrodek Dowodzenia „Wschód” wysłał na niedzielny briefing, w którym uczestniczył George, swojego przedstawiciela, który miał poznać dowódców jednostek i wybrać spośród nich wykonawcę zamachu. Widocznie Dowództwo Rewolucyjne postanowiło podjąć ofensywę przeciw siłom policyjnym, żeby zapobiec zatrzymaniu zbyt wielu „legatów” oraz opóźnić przygotowania do wdrożenia przez władze skomputeryzowanego systemu kart tożsamości. George został poinformowany o wszystkim na wczorajszym drugim briefingu w DTW. Był tam obecny również ktoś z Jednostki nr 8, która pomoże nam w wykonaniu zadania.

Ujmując rzecz w skrócie, plan przedstawia się tak: Jednostka nr 8 postara się o dużą ilość materiału wybuchowego, od pięciu do dziesięciu ton. My porwiemy ciężarówkę dostarczającą zaopatrzenie do kwatery FBI. Spotkamy się z członkiem mi „ósemki”, oczekującymi na nas w wyznaczonym miejscu wraz z towarem, po czym dokonamy wymiany frachtów. Następnie podprowadzimy wóz do magazynu odbiorczego w budynku, nastawimy detonator i oddalimy się, pozostawiając ciężarówkę przy rampie. Jednostka nr 8 ma zdobyć materiał wybuchowy, do nas należy zaś zaplanowanie innych szczegółów akcji, między innymi uzyskanie informacji o terminach przyjmowania przez FBI dostaw oraz towarzyszących temu procedurach. Otrzymaliśmy na to dziesięć dni. Mnie polecono zaprojektować i skonstruować ładunek.

Rozdział 5

3 października 1991 r. Przerywam ostatnio wiadome przygotowania, poświęcając czas różnym pracom na naszym terenie. Ostatniej nocy zakończyłem instalowanie systemu ostrzegawczego chroniącego nas przed intruzami, a dziś parałem się ciężką i nadzwyczaj brudną robotą przy drażnieniu tunelu mogącego posłużyć jako awaryjna droga ucieczki. Wzdłuż obu ścian bocznych oraz tylnej ściany domu zakopałem w ziemi wiele podkładek wrażliwych na nacisk, podłączonych przewodami do wewnętrznego alarmu świetlnego i dźwiękowego. Podkładki przypominają konstrukcją te, które często zakładają pod wycieraczkami właściciele sklepów, by usłyszeć, że wchodzi klient. Dwa paski metalu długości dwóch stóp umieszczone są wewnątrz giętkiej, szczelnej plastikowej otuliny wodoodpornej. Jeśli takie urządzenia zostaną zakopane pod jednocalową warstwą gruntu, zlokalizowanie ich staje się niemożliwe, a kiedy ktoś nadeptnie choćby na jedno, natychmiast zaalarmuje nas sygnał.

Nie mogliśmy zabezpieczyć w ten sam sposób frontu budynku, ponieważ ziemię pokrywa tam niemal w całości podjazd i betonowa płyta parkingu. Po rozważeniu i odrzuceniu pomysłu zainstalowania tam czujnika ultradźwięków postanowiłem założyć fotokomórki na dwóch stalowych słupach stanowiących ogrodzenie i znajdujących się z obu stron wjazdu.

W celu zmniejszenia rozmiarów źródła promienia świetlnego oraz elementu fotoelektrycznego do absolutnego minimum, tak, żeby stały się niemal niewidoczne, umieściłem je wewnątrz jednego ze słupów, a na słupie przeciwległym zainstalowałem jak najmniejszy i również niemal niewidoczny odbłyśnik. Wywierciłem w tym celu w słupie kilka otworów, a chcąc, żeby wszystko działało należycie, musiałem zdrowo pomajsterkować.

Katherine bardzo mi pomogła, regulując położenie odbłyśnika, podczas gdy ja nadawałem właściwe położenie pozostałym częściom urządzenia. Powodowany również jej sugestią, wprowadziłem odpowiednie zmiany do tej części systemu alarmowego, która znajdowała się wewnątrz budynku. Odtąd, jeśli intruz nastąpiłby na podkładkę albo też znalazłby się w zasięgu wiązki światła, nie tylko zostalibyśmy natychmiast ostrzeżeni, lecz włączyłby się również elektryczny zegar zainstalowany w

garażu. W ten sposób będziemy wiedzieli, czy w czasie naszej nieobecności ktoś nas „odwiedził”, a zegar wskaże dokładny czas wizyty.

Usuając zużyte puszki po oleju, stare przesycone smarem szmaty i rozmaite inne brudy ze znajdującego się w garażu kanału roboczego, dokonaliśmy ważnego odkrycia. Okazało się, że okrągły, odgradzony kratą otwór w betonowej podłodze kanału prowadzi wprost do burzowca.

Przekonaliśmy się, że po podniesieniu kraty można wpełznąć do tego burzowca, mającego formę betonowej rury o średnicy czterech stóp. Rura długości około 400 jardów stanowiła połączenie z dużym otwartym rowem odwadniającym. Na tym odcinku znajdowały się wyloty około tuzina mniejszych przewodów kanalizacyjnych, odprowadzających zapewne ścieki uliczne. Końcowy otwarty odcinek kanału chroniła krata wykonana ze stalowych pół calowych prętów wzmacniających, osadzonych w betonowym podłożu.

Dzisiaj wziąłem piłę do metalu, przeczołgałem się aż do wylotu kanału i podpiłowałem wszystkie pręty, z wyjątkiem dwóch. Po tym zabiegu krata nadal tkwiła mocno w betonie, lecz z dużym wysiłkiem można ją było rozewrzeć i przez powstały otwór wydostać się na zewnątrz.

Co też i uczyniłem, a po wygramoleniu się ze ścieku, dokonałem krótkiego przeglądu terenu. Okazał się gęsto porośnięty wysokimi chwastami i inną roślinnością, tak że nie mogli mnie dostrzec kierowcy samochodów przejeżdżających drogą ani osoby piesze. Ponadto od strony drogi nie widać naszego budynku, jak również żadnego fragmentu ulicy, przy której stoi, ponieważ wszystko zasłaniały inne zabudowania. Wlałem z powrotem do kanału, po czym natężając mięśnie i sapiąc z wysiłku zgiąłem kraty, przywracając im poprzednie położenie.

Niestety, byli właściciele garażu i warsztatu musieli przez lata zlewać zużyty olej do burzowca, ponieważ dno kanału, w pobliżu jego ujścia, pokrywała blisko czterocalowa warstwa czarnego gęstego szlamu. Umazałem się cały tym draństwem. Henry i George byli nieobecni; Katherine kazała mi zdjąć ubranie i pozostać w kanale roboczym, a potem długo polewała mnie strumieniem wody z węża. Dopiero po tym zabiegu pozwoliła mi wejść na górę i wziąć prysznic. Stwierdziła, że moje buty oraz odzież wierzchnia nie nadają się już do niczego i wyrzuciła je do śmietnika. Ilekroć wchodzę pod nasz lodowaty natrysk, gorzko żałuję, że nie mieliśmy z Henrym czasu, by doprowadzić do niego ciepłą wodę.

6 października. Dziś zakończyłem montowanie zapalnika do ładunku. Z zapalarką poszło mi łatwo, ale aż do wczoraj musiałem wstrzymać się z konstruowaniem detonatora, nie wiedziałem bowiem, jakiego materiału wybuchowego użyjemy.

Nasi towarzysze z Jednostki nr 8 zamierzali obrabować skład na jednym z placów budowy kolejnej odnogi waszyngtońskiego metra, poszcęściło im się jednak dopiero wczoraj, a potem znów było marnie. Zwędzili zaledwie dwa pojemniki żelatyny wybuchowej (na dobitkę jeden był wypełniony tylko do połowy). Ogółem zdobyli mniej niż 100 funtów surowca. Rozwiązało to przynajmniej mój problem. Żelatyna wybuchowa jest wystarczająco wrażliwa, by zdetonowała po zainicjowaniu eksplozji przez detonator mojej konstrukcji, zawierający azydek ołowiu. Sto funtów to aż nadto, by spowodować wybuch głównego ładunku, który powstanie, gdy (i jeśli) ci z „ósemki” zdobędą skądś więcej towaru, bez względu na jego rodzaj i sposób opakowania.

Umieściłem około czterech funtów żelatyny w puszcze po soku jabłkowym, po czym zainstalowałem na jej szczycie baterie oraz mechanizm zegarowy, które połączyłem przewodem z niewielkim przełącznikiem dwustabilnym znajdującym się na końcu dwudziestostopowego kabla. Gdy już zapakujemy do ciężarówki właściwy ładunek, puszka znajdzie się z tyłu, na dwóch pojemnikach z żelatyną. Trzeba będzie wyborować małe otworki w ścianach naczepy i kabiny, żeby poprowadzić przez nie długi przewód zakończony przełącznikiem.

Nasz plan jest następujący. George albo Henry (chyba raczej Henry) wjedzie ciężarówką do gmachu i ustawi ją przy rampie magazynu odbiorczego. Nim wysiądzie, przekręci przełącznik, co spowoduje uruchomienie mechanizmu zegarowego. Dziesięć minut później nastąpi eksplozja ładunku. Jeśli wszystko pójdzie gładko, budynek FBI zostanie doszczętnie zniszczony, a wraz z nim diabli wezmą

nowoczesny rządowy kompleks komputerowy, który, urządzony kosztem trzech miliardów dolarów, ma służyć do obsługi systemu kart tożsamości.

Sześć czy siedem lat temu władze zaczęły wypuszczać „balony próbne”, żeby sprawdzić, jak opinia publiczna przyjmie wprowadzenie tego systemu. Ogłosiły wtedy, że głównym celem przedsięwzięcia będzie wykrycie nielegalnych imigrantów, przeznaczonych do deportacji.

Choć niektórzy obywatele uznali, niebezpiecznie, że wszystko to pachnie szwindlem, większość zaakceptowała bezmyślnie i bez mrugnięcia okiem wyjaśnienia udzielone przez rząd. Na przykład wielu członków związków zawodowych, którzy dopatrywali się w nielegalnie przebywających w Ameryce obcokrajowcach (w czasach wysokiego bezrobocia) zagrożenia dla własnych miejsc pracy, uznało wprowadzenie kart za świetny pomysł. Skądinąd liberałowie na ogół protestowali, przeświadczeni, że projekt ma charakter „rasistowski”, ponieważ wszyscy ci cudzoziemcy byli kolorowi. Później, gdy rząd zaczął automatycznie przyznawać obywatelstwo amerykańskie każdemu, kto zdołał przekraść się przez granicę z Meksykiem i przebywał w naszym kraju dwa lata, liberalna opozycja natychmiast podwinęła ogony. Tylko najbardziej zatwardziali miłośnicy praw człowieka nadal mieli wątpliwości.

Należy z ubolewaniem stwierdzić, że System zdołał z dziecinną wprost łatwością oszukać Amerykanów, niezależnie od tego, czy byli to naiwni „konserwatyści”, czy też zepsuci i na pozór wyrafinowani intelektualnie „liberałowie”. Nawet wyznawcy doktryny o wolnej woli, którzy z reguły są przeciwni wszelkim rządóm, zostaną zastraszeni i zrobią, co im się każe, gdy tylko Wielki Brat ogłosi, że nowy system kart tożsamości jest niezbędny, by zlokalizować i wytrzebić wszystkich „rasistów”, to znaczy nas.

Gdyby stawką w grze była tylko wolność narodu amerykańskiego, istnienie naszej Organizacji należałoby zapewne uznać za zbędne. Rzecz jednak w tym, że Amerykanie stracili prawo do wolności. Ludzie, którzy tak jak my przeobrazili się w mięczaków, nierozważnych, łatwowiernych i oglupiałych pobażających sobie sybarytów, po stokroć zasłużyli na zniewolenie.

Bo też owo zniewolenie stało się już faktem. Za naszym przyzwoleniem diabolicznie sprytna, obca i wroga nam mniejszość nałożyła okowy na nasze dusze i nasze umysły. Te duchowe, a więc i niewidzialne więzy świadczą dobitniej o naszym niewolnictwie, aniżeli stalowe łańcuchy, na które i tak niebawem przyjdzie czas.

Dlaczego jednak nie zbuntowaliśmy się 35 lat temu, kiedy odbierali nam szkoły i zaczęli przekształcać je w wielorasowe dżungle? Dlaczego nie wyrzuciliśmy ich z tego kraju na zbity pysk 50 lat temu, lecz pozwoliliśmy, żeby wykorzystali nas, Amerykanów, jako mięso armatnie w swojej wojnie, której celem było ujarzmienie Europy?

A ściślej: dlaczego nie wszczęliśmy rewolty trzy lata temu, gdy przystąpili do odbierania nam broni? Dlaczego nie powstaliśmy, porwani słusznym i sprawiedliwym gniewem, i nie powyrzucaliśmy na ulice tych wyniosłych, wrogich nam indywiduów, i dlaczego nie poderżnęliśmy im następnie gardel? Dlaczego nie piekliśmy ich żywcem w ogniskach, które powinny były zapłonąć na każdym skrzyżowaniu ulic, jak Ameryka długa i szeroka? Dlaczego, zamiast potulnie pozwolić się rozbroić, nie pozbyliśmy się na wieki wieków tego ohydneho, zawsze butnego i apodyktycznego klanu, tej zarazy, która wylęgła się w rynsztokach Wschodu?

Odpowiedź jest prosta. Niewątpliwie postąpilibyśmy w odpowiedni sposób, gdyby to wszystko, co zostało nam narzucone w ostatnich 50 latach, spadło na nas nagle, za jednym zamachem. Ulegliśmy jednak, ponieważ łańcuchy, którymi nas spętano, wykuwane były niepostrzeżenie, ogniwo za ogniwo.

Ilekoć dodawali kolejne ogniwo do łańcucha, odbywało się to zawsze bezboleśnie, toteż nikt nie podnosił protestu. Zawsze wydawało się nam łatwiejsze - no i bezpieczniejsze - machnąć ręką i żyć dalej, jak gdyby nic się nie stało. Im bardziej jednak postępowało zniewolenie, tym łatwiej i tym skwapliwiej czyniliśmy kolejne ustępstwa.

Historykom przypadnie jedynie obowiązek wydania orzeczenia (jeśli oczywiście przetrwają jacyś ludzie należący do naszej rasy, którzy spiszą dzieje obecnej epoki), w jakiej mierze przekształcenie nas

ze społeczności wolnych ludzi w stado była stanowiło efekt rozmyślnych działań, w jakiej zaś było samorzutnym procesem.

Innymi słowy: czy mamy słuszność, tłumacząc, że to, co nas spotkało, jest wynikiem wyłącznie prowadzonej z premedytacją, skierowanej przeciw nam działalności dywersyjnej? Działalności, której narzędziem była podstępna i zdradziecka propaganda, a którą szerzyły kontrolowane przez tamtych środki przekazu, szkoły, kościoły a wreszcie rząd? A może wszystkie te przemiany wywołała po prostu dekadencja, wywołujący duchowe skalenie styl życia, któremu niestety zaczęły hołdować w XX wieku narody Zachodu?

Zapewne obie te przyczyny łączą się nierozdzielnie ze sobą, toteż trudno wskazać wyłącznie na jedną z nich. Pranie mózgow skłoniło nas do zaakceptowania dekadencji, która z kolei obniżyła naszą odporność na pranie mózgow. Ot i wszystko. W każdym razie, jak to mówią, zbliżyliśmy się obecnie do drzew, a więc nie sposób ogarnąć wzrokiem całego lasu. Jedno jest absolutnie pewne: tutaj nie chodzi już tylko o naszą wolność. Jeśli Organizacja teraz zawiedzie, stracimy wszystko - historię i dziedzictwo duchowe; pójdą na marne krew, ofiary oraz trud i wysiłek tysięcy lat, który to czas poświęciliśmy na doskonalenie naszego gatunku. Przeciwnik godzi zdecydowanie w rasowe podwaliny naszego istnienia.

Nikomu się nie przydadzą wyrazy ubolewania w razie naszego ewentualnego niepowodzenia, ponieważ ponad wszelką wątpliwość nie zechcą ich wysłuchać ci, którzy pozostaną, czyli horda zdegenerowanych mulackich zombies. Nie będzie już żadnych Białych, którzy zachowają nas w pamięci, i którzy byliby mogli przeklinać obecne pokolenie za wykazaną słabość albo przebaczyć nam szaleństwo. Jeśli więc skrewimy, wielki Boski Eksperyment zakończy się, a na naszej planecie przemierzającej głusze kosmosu, podobnie jak przed milionami lat, nie pozostanie ani jeden pełnowartościowy człowiek.

11 października. A więc już jutro! Mimo niepowodzenia Jednostki nr 8, która jak dotychczas nie dostarczyła odpowiedniej ilości materiału wybuchowego, kontynuujemy przygotowania do operacji. Ostateczna decyzja w tej sprawie zapadła dziś późnym popołudniem na naradzie w kwaterze tamtych. Uczestniczyliśmy w niej ja i Henry oraz oficer sztabowy z Dowództwa Rewolucyjnego, co dowodziło, iż przywódcy Organizacji postanowili działać jak najszybciej.

Zazwyczaj ludzie z Dowództwa Rewolucyjnego nie uczestniczą w akcjach jednostek na szczeblu operacyjnym. Rozkazy operacyjne otrzymujemy z Dowództwa Terenowego Waszyngtonu (któremu też przekazujemy meldunki), a przedstawiciele Ośrodka Dowodzenia „Wschód” biorą udział w naradach, ilekroć należy podjąć decyzje w wyjątkowo doniosłych kwestiach. Dotychczas tylko dwukrotnie uczestniczyłem w spotkaniach z udziałem kogoś z Dowództwa Rewolucyjnego; w obu wypadkach naradę zwołano w celu podjęcia ważnych decyzji dotyczących sprzętu łącznościowego, którego różne typy projektowałem dla potrzeb Organizacji. Wszystko to działo się naturalnie w czasach przed naszym zejściem do podziemia. Nic więc dziwnego, że obecność na południowym spotkaniu majora Williamsa (myślę, że to pseudonim) wywarła na nas wszystkich silne wrażenie. Poproszono mnie o uczestnictwo, ponieważ jestem odpowiedzialny za należyte działanie ładunku. Zaproszony został również Henry, który dostarczy go na miejsce.

Spotkanie zaś zwołano, albowiem Jednostka nr 8 nie dostarczyła nawet minimalnej (wedle szacunków moich i Eda Sandersa) ilości materiałów wybuchowych, czyli takiej, która spełni swoje zadanie. Ed jest w „ósemce” specjalistą od uzbrojenia; co ciekawe, również byłym agentem specjalnym FBI. Poznał więc na wylot rozkład pomieszczeń w gmachu oraz szczegóły jego konstrukcji. Według naszych bardzo starannych obliczeń powinniśmy zdetonować przynajmniej 10 tysięcy funtów trotylu (albo równoważną ilość innego materiału wybuchowego), żeby zniszczyć znaczną część budynku oraz nowe centrum komputerowe zainstalowane w podziemiach. Dla pewności zażądaliśmy 20 tysięcy funtów. Tymczasem dysponujemy niespełna 5 tysiącami funtów, z czego niemal wszystko to azotan amonowy, stosowany jako nawóz sztuczny. Substancja ta jest do naszych celów znacznie mniej skuteczna aniżeli TNT.

Jednostka nr 8 zrabowała dodatkowo z innej budowy metra 400 funtów dynamitu, straciliśmy jednak nadzieję na zdobycie w ten sposób niezbędnej ilości „towaru”. Choć przy drążeniu tuneli kolei podziemnej materiał wybuchowy używany jest w znacznych ilościach, przechowują go na miejscu w niewielkich partiach, do których dostęp jest bardzo trudny. Dwóch naszych towarzyszy z „ósemki” o mało nie schwytali na kradzieży.

W zeszły czwartek, zaledwie na kilka dni przed upływem ostatecznego terminu akcji, trzech „ósemkowców” zorganizowało nocny wypad do składnicy sprzętu dla rolników opodal Frederickburga, miejscowości położonej około 50 mil na południe od nas. Nie znaleźli wprawdzie na miejscu żadnych materiałów wybuchowych, lecz nie odjechali z pustymi rękami. Ich zdobyczą padły 44 stufuntowe worki z azotanem amonowym. Zmieszany z olejem i mocno ściśnięty stanowi on silny i skuteczny materiał wybuchowy, stosowany tam, gdzie konieczne jest jedynie przemieszczenie pokładów ziemi albo skał. My jednak zamierzaliśmy zdetonować ładunek na otwartej przestrzeni; siła eksplozji musiała rozerwać dwie żelbetowe kondygnacje, a powstała fala uderzeniowa zniszczyć fronton masywnego gmachu o mocnej konstrukcji.

Wreszcie, dwa dni temu, Jednostka nr 8 postąpiła tak, jak powinna była postąpić na samym początku. Ci sami trzej koledzy, którzy zdobyli wcześniej azotan amonowy, pojechali ciężarówką do stanu Maryland, żeby obrabować jeden z tamtejszych magazynów wojskowych. Z tego, co mówił Ed Sanders, wywnioskowałem, że wśród personelu placówki jest jakiś „legał”, który udzieli im pomocy. Jednakże do tej pory tamci nie dali żadnego znaku życia, a Dowództwo nie zamierza dłużej czekać. Wyliczę teraz argumenty „za” i „przeciw” przeprowadzeniu akcji przy użyciu tego, czym dysponujemy:

System zadaje nam dotkliwie ciosy, dokonując nieustannych aresztowań „legałów”, którzy w znacznej mierze dostarczają Organizacji funduszy. Jeśli to źródło wyschnie, nasze działające w podziemiu jednostki zostaną zmuszone do zdobywania środków na utrzymanie i na działalność metodą kradzieży i rabunków.

W zaistniałej sytuacji Dowództwo uznało za kwestię o pierwszorzędym znaczeniu wymierzenie władzom takiego uderzenia, które nie tylko wstrzyma represje, przynajmniej na pewien czas, lecz również wzmocni morale członków Organizacji. Sam fakt utraty twarzy przez System oraz wykazanie, że możemy i potrafimy działać skutecznie, są dostatecznym impulsem do akcji. Słuchałem Williamsa i domyślałem się, że osiągnięcie tych celów stało się nawet ważniejsze niż zrealizowanie początkowego celu numer jeden, czyli wysadzenia w powietrze policyjnych komputerów i zniszczenia banku danych. Skądinąd, jeśli zadany cios nie przysporzy większych szkód tajnej policji, narażamy się na znaczne kłopoty. Zdradzając przeciwnikowi nasze zamiary oraz taktykę, ryzykujemy tym, że zniszczenie komputerów może okazać się w przyszłości znacznie trudniejsze niż obecnie. Taką opinię wyraził Henry, który odznacza się wspaniałą umiejętnością zachowania w każdej sytuacji zimnej krwi oraz zdolnością chłodnego i logicznego myślenia. Chwilowe trudności nie odstraszały go od wytrwałego dążenia do osiągnięcia wyznaczonego celu. Henry mimo wyrażanych zastrzeżeń jest dobrym i zdyscyplinowanym żołnierzem, zdecydowanym na udział w jutrzejszej akcji, choć uważa, że powinniśmy jeszcze odczekać, aż uzyskamy całkowitą pewność co do zrealizowania zamiarów. Ja myślę, że w Dowództwie również uprzytomnili sobie, jakie fatalne następstwa może mieć pospiesznie przeprowadzona, przedwczesna akcja. Nasi zwierzchnicy z pewnością uwzględniają jednak wiele innych, nie znanych nam czynników. Williams wyraża niezłomne przekonanie, że nakazem chwili stało się jak najszybsze sypnięcie sporej garści piasku w tryby maszyny FBI, w przeciwnym bowiem razie zmiażdży nas ona niczym walec drogowy. Dlatego też głównym tematem naszej południowej rozmowy stała się kwestia, jak duże zniszczenia może wywołać ta ilość materiałów wybuchowych, którą dysponujemy.

Jeżeli, zgodnie z naszym pierwotnym planem, wprowadzimy ciężarówkę przez wjazd do magazynu odbiorczego i zdetonujemy tam ładunek, eksplozja nastąpi na obszernym, centralnie położonym dziedzińcu, otoczonym ze wszystkich stron solidnym murem i otwartym u szczytu. Ed i ja wyraziliśmy jednogłośnie opinię, że w tych warunkach nasz ładunek nie wyrządzi rozległych zniszczeń.

Oczywiście, w biurach, których okna wychodzą na ów dziedziniec, nastąpi spustoszenie, nie możemy jednak liczyć na zburzenie wewnętrznej fasady budynku ani na to, by fala uderzeniowa zrujnowała

podziemia i komputery. Zginie wprawdzie kilkaset osób, lecz żadną miarą nie wytrąci to machiny z działania. Sanders poprosił o dwa dodatkowe dni na zorganizowanie większej ilości materiałów wybuchowych, ale jego argumenty nie trafiły nikomu do przekonania; przecież „ósemka” nie zdołała dostarczyć niezbędnej porcji towaru przez ostatnie 12 dni. Williams stanowczo stwierdził, że codziennie zatrzymywanych jest blisko stu naszych „legałów”, nie możemy sobie pozwolić na dalszą zwłokę, choćby i dwudniową. Mógł się na nią zgodzić tylko pod warunkiem uzyskania absolutnej pewności, że zdobędziemy w dodatkowym terminie niezbędne produkty.

Ostatecznie postanowiliśmy wprowadzić ciężarówkę wprost na pierwszą podziemną kondygnację, do której prowadzi wlot z 10th Street, usytuowany obok głównego wjazdu. Jeśli zdetonujemy ładunek w podziemiu pod dziedzińcem, eksplozja wyrządzi znacznie większe szkody, ponieważ nastąpi w zamkniętej przestrzeni. Z pewnością zapadnie się podłoga, co spowoduje zasypanie gruzem pomieszczeń z komputerami. Nadto ulegnie zniszczeniu jeżeli nie całość, to znaczna część systemu łączności wewnętrznej budynku oraz systemu zasilania w energię, albowiem ich główne urządzenia również znajdują się w podziemiach. Wielką niewiadomą pozostaje, czy gmach dozna tak wielkiego uszczerbku, żeby przez dłuższy czas nie nadawał się do użytku. Ponieważ nie dysponujemy szczegółowymi planami architektonicznymi budynku, nie znamy też żadnego inżyniera budowlanego, który mógłby udzielić nam wyjaśnień co do tej kwestii, jesteśmy skazani wyłącznie na własne domysły.

Wprowadzenie ciężarówki do podziemia może również okazać się niewykonalne, ponieważ wjazd ów jest rzadko używany, a brama przeważnie zamknięta. W razie konieczności Henry zamierza ją staranować. Ano dobrze. Jutro wieczorem będziemy wiedzieli znacznie więcej niż teraz.

Rozdział 6

13 października 1991 r. Wczoraj, o godzinie 9.15, ładunek eksplodował w gmachu głównej siedziby FBI. Nasze obawy związane z faktem, czy nie jest zbyt słaby, okazały się nieuzasadnione; wybuch wyrządził ogromne zniszczenia. Niewątpliwie ustanie na kilka tygodni większość policyjnych operacji prowadzonych z centrali. Ponadto wszystko wskazuje, że osiągnęliśmy zasadniczy cel: został doszczętnie rozbity kompleks komputerowy.

Rozpocząłem pracę nieco przed 5.00 rano; wraz z Edem Sandersem w garażu należącym do Jednostki nr 8 przystąpiliśmy do mieszania azotanu amonowego z olejem opałowym. Stawialiśmy po kolei na stole stufuntowe worki z nawozem, robiliśmy śrubokrętem u góry każdego z nich mały otworek, w sam raz, żeby zmieściła się końcówka lejka. Ja trzymałem worek, a Ed wlewał do wnętrza galon oleju. Po osłonięciu każdego otworka dużym plastrem folii samoprzylepnej przewracałem worek do góry nogami, żeby zawartość dobrze się wymieszała. Ed przelewał wężykiem do kanistra olej ze zbiornika pieca. Uporaliśmy się z 44 workami w blisko trzy godziny, co potężnie mnie wyczerpało.

Tymczasem George i Henry udali się na poszukiwanie odpowiedniej ciężarówki. Z uwagi na to, że dysponowaliśmy tylko dwiema i pół tonami materiału wybuchowego, nie było potrzeby uprowadzania wielkiego samochodu transportowego z przyczepą. Nasz wybór padł na furgonetkę dostawczą należącą do firmy zaopatrującej biura. Upatrzywszy sobie taką, podążali za nią po prostu naszym wozem, aż furgonetka zatrzymała się przy jakimś urzędzie. Kiedy czarnoskóry kierowca otworzył tylne drzwi i wszedł do środka, Henry skoczył za nim, po czym szybko i bezszelestnie załatwił go nożem. Następnie usiadł za kierownicą i odjechał, kierując się ku garażowi „ósemki”; George eskortował go, jadąc z tyłu. Dotarli do nas, gdy kończyliśmy z Edem mieszanie nawozu z olejem. Zapewniali, że nikt niczego nie zauważył.

Wyładowanie z furgonetki około tony papieru powielaczowego oraz rozmaitych materiałów biurowych, a następnie ostrożne wniesienie do niej i ustawienie skrzynek z dynamitem i worków z sensybilizowanym nawozem zajęło nam pół godziny. Potem przez szczelinę w ścianie kabiny przeprowadziłem cienki kabel zakończony przetłaczniakiem. Zwłoki kierowcy ułożyliśmy za ładunkiem.

Pojechałem wraz z George' em naszym samochodem, a Henry podążył za nami furgonetką. Początkowo zamierzaliśmy zaparkować opodal wjazdu dla ciężarówek znajdującego się przy 10th Street i oczekiwać tam, aż otworzą komuś bramę. Dwie przecznice dalej Henry, z walkie-talkie przy uchu, miał oczekiwać na nasz sygnał: „droga wolna”.

Mijając jednak gmach, dostrzegliśmy, że wjazd do podziemi jest otwarty i nie widać przy nim nikogo. Poinformowaliśmy o tym przez radio Henry'ego, po czym oddaliliśmy się o siedem lub osiem przecznic. Po wyszukaniu dogodnego miejsca do zaparkowania ruszyliśmy piechotą w kierunku gmachu, nieustannie spoglądając na zegarki.

Od budynku dzieliły nas jeszcze dwa skupiska bloków, gdy pod naszymi stopami zadrżał gwałtownie chodnik. Po upływie sekundy poczuliśmy ciśnienie fali uderzeniowej: rozległo się ogłuszające „łuuuuup”, po nim zaś potężny ryk, huk i trzask. Niemal natychmiast odgłosy te zagłuszył ostry i przenikliwy dźwięk, wywołany roztrzaskującym się wokół szkłem okiennym. Wybuch pogruchotał w drobny mak szyby w pobliskim pawilonie handlowym oraz w dziesiątkach innych budynków usytuowanych wzdłuż ulicy. Przez chwilę migotliwy i śmiertelnie groźny dla ludzi deszcz odłamków spadał na ulicę z górnych pięter pobliskich domów, a przed nami uniósł się w niebo słup czarnego dymu.

Ruszyliśmy biegiem w stronę gmachu, a gdy ukazał się naszym oczom, ze zdziwieniem i przerażeniem skonstatowaliśmy, że nie doznał żadnych zniszczeń, tyle że większość okien została pozbawiona szyb. Podążyliśmy ku wjazdowi dla ciężarówek przy 10th Street. Z tunelu prowadzącego do podziemi buchał gęsty, duszący dym było oczywiste, że wejście tam jest niemożliwe.

Wokół bramy zamykającej wjazd na główny dziedziniec ujrzelśmy dziesiątki osób. Niektóre pospiesznie biegnęły do środka, inne na ulicę. Wiele krwawiło obficie z ran, a na twarzach wszystkich malował się wyraz szoku i głębokiego niedowierzania. George i ja wciągnęliśmy głęboko powietrze do płuc i ruszyliśmy do bramy. Nikt nas nie zatrzymał, nie zwróciliśmy też niczyjej uwagi.

Wewnątrz ujrzelśmy obraz całkowitego zniszczenia. Chyba całe skrzydło gmachu od strony Pennsylvania Avenue runęło częściowo na wewnętrzny dziedziniec, częściowo na ulicę. Na pokrytym płytami chodnikowymi dziedzińcu, tuż obok sterty gruzu i rozmaitych szczątków, ziała potężna wyrwa; właśnie stamtąd buchało najwięcej dymu.

Wszędzie jak okiem sięgnąć leżały poprzewracane ciężarówki, samochody osobowe, resztki mebli biurowych, odłamki betonu i cegieł - oraz ciała ofiar, których naliczyliśmy nadspodziewanie wiele. Przestrzeń spowijał gęsty obłok smolistego dymu, piekącego w oczy i gardła, zamieniającego jasne przedpołudnie w posępny półmrok.

Postąpiliśmy kilka metrów do przodu, żeby lepiej ogarnąć wzrokiem zniszczenia. Musieliśmy przedzierać się przez sięgające nam niemal do pasa ławice papieru, który wypadł może nawet z tysiąca roztrzaskanych szafek biurowych i segregatorów, piętujących się wielką stertą nieco dalej po prawej stronie. Przypuszczalnie runęły one z którejś ze szczytowych kondygnacji zburzonego skrzydła gmachu; widzieliśmy jedynie wzgórek przemieszanych szczątków o wysokości jakichś 20 stóp i 80 do 100 stóp szerokości. Tworzyły go resztki mebli oraz ich zawartość, którą prąd powietrza rozwiewał teraz coraz dalej i dalej, aż w końcu większą część dziedzińca pokrył papier.

Patrzyliśmy na te zniszczenia przerażeni, a jednocześnie w upojeniu. Nagle w odległości kilku stóp ukazała się głowa Henry'ego. Nasz przyjaciel gramolił się ze szczeliny w kopcu szczątków. Zdziwił nas ów widok, ponieważ według ustaleń Henry miał natychmiast po uruchomieniu zapalnika czasowe go opuścić budynek, po czym oczekiwać nas w umówionym punkcie.

Poszło mu tak gładko - wyjaśnił nam szybko - że postanowił poczekać w pobliżu. Zapalnik włączył już w czasie jazdy tunelem na dół, pragnąc zmusić się w ten sposób do wykonania zadania, nawet gdyby wystąpiły jakieś nieprzewidziane kłopoty. Udało się jednak. Przy wjeździe do podziemi pies z kulawą nogą go nie zaczepił. Czarny strażnik przepuścił furgonetkę nonszalanckim gestem dłoni. Przy rampie rozładowywano dwie ciężarówki, Henry jednak wyminął je, zatrzymując się dokładnie, wedle swoich obliczeń, pod centralną częścią skrzydła gmachu wychodzącego na Pennsylvania Avenue.

Wprawdzie przygotował sobie na wszelki wypadek komplet lipnych dokumentów przewozowych, nikt jednak nie zażądał ich okazania. Henry opuścił podziemia, mijając strażnika, który wcale nie zwrócił na niego uwagi, i wyszedł tunelem na ulicę. Potem odczekał, aż do eksplozji pozostanie minuta, i z budki znajdującej się o przecznicę dalej zatelefonował do działu miejskiego „Washington Post”. Mówił krótko. - „Trzy tygodnie temu wy i wasi ludzie zamordowaliście w Chicago Carla Hodgesa. Teraz nadszedł czas wyrównania rachunków. Niebawem przyjdzie kolej również na was oraz na wszystkich pozostałych zdrajców. Biała Ameryka zwycięży!”

To powinno popędzić im solidnie kota i przynieść niezłe czołówki oraz artykuły wstępne!

Henry znalazł się w gmachu FBI o minutę wcześniej od nas, lecz ów czas znakomicie spożytkował. Wskazał na smugi jaśniejszego, szarawego dymu wypełzające z gęszczu rozbitych szafek, skąd chwilę wcześniej on sam wyszedł. Wkładając do kieszeni zapalniczkę, wyszczerzył zęby w przewrotnym uśmiechu. O, nasz Henry jest uniwersalny!

Wszyscy trzej skierowaliśmy się ku tunelowi, gdy usłyszałem jęk. Opodał zobaczyłem dziewczynę, miała może 20 lat, przygniecioną stalowymi drzwiami i innymi szczątkami. Jej ładna buzia była poplamiona krwią i pokiereszowana, a ona sama wydawała się półprzytomna. Odsunąłem na bok drzwi. Wtedy dostrzegłem, że dziewczyna doznała groźnego złamania nogi, a z głębokiej rany uda płynnie strumień krwi.

Pospiesznie zdjąłem jej jedwabny pasek i użyłem go w charakterze opaski uciskowej. Spowolniło to nieco upływ krwi. Oddarłem wtedy duży skrawek sukienki, złożyłem go, nadając formę prowizorycznego opatrunku, i przyłożyłem w miejscu zranienia. George zdjął sznurowadła, którymi przywiązał tampon do jej uda. Starając się czynić to jak najdelikatniej, przenieśliśmy wraz z George'em ranną na ulicę. Gdy jej kontuzjowana noga wyprostowała się, dziewczyna jęknęła boleśnie. Wyjąwszy jednak złamanie i ranę, nie odniosła innych większych obrażeń, toteż zapewne przeżyje. Nie dotyczyło to wielu innych osób. Dopiero pochylając się nad dziewczyną skonstatowałem, iż z dziedzińca dochodzą jęki i krzyki wielu poranionych. Nie dalej niż 20 stóp od nas leżała nieruchomo inna kobieta. Miała twarz zalaną krwią i ohydną, otwartą ranę głowy. Ilekroć zamykam oczy, powraca do mnie ów straszliwy widok.

Według najnowszych ustaleń w wyniku eksplozji zginęło około 700 osób - na miejscu lub w wyniku obrażeń. Liczba ta obejmuje około 150 osób, które w chwili zdetonowania ładunku znajdowały się w podziemiu. Ich zwłok jeszcze nie odnaleziono.

Dziennik telewizyjny poinformował, że specjalistyczne ekipy będą mogły tam dotrzeć dopiero po likwidacji rumowiska na dziedzińcu. Wiadomość ta, jak również inne informacje z dnia wczorajszego, potwierdziły ponad wszelką wątpliwość fakt zniszczenia lub przynajmniej ciężkiego uszkodzenia systemu komputerowego w podziemiach.

Cały dzień wczorajszy i większość dzisiejszego spędziliśmy na oglądaniu w telewizji, jak ratownicy wynoszą z budynku zabitych i rannych. Ciężko było patrzeć, ponieważ większość ofiar to zwykłe pionki, w równym stopniu jak przedtem my wyznawcy chorej ideologii Systemu i zwolennicy śmiertelnie groźnych dla białej rasy celów, do których dąży.

Jednakże nie zdołamy zniszczyć Systemu, nie wyrządzając krzywdy tysiącom niewinnych osób -jest to niemożliwe. Rak zbyt głęboko wżarł się w ciało. A jeśli nie zniszczymy go w porę, on nas zniszczy; innymi słowy, jeśli nie wytniemy tego raka z żywej tkanki, zginie cała nasza rasa.

Do takich wniosków doszliśmy dużo wcześniej i jesteśmy przekonani, że nasze postępowanie jest słuszne i uzasadnione, niemniej jednak serce się kraje, gdy widzimy, jakich okrutnych cierpień przysporzyliśmy rodakom. Zostaliśmy jednak zmuszeni do stosowania okrutnych środków, ponieważ Amerykanie tak długo unikali podejmowania bolesnych decyzji. Czy to nie wyjaśnia wszystkiego? Najdobitniejszymi przejawami zepsucia jakiemu uległ amerykański naród, zepsucia wywołanego żydowsko-liberalno-demokratyczno-równościową zarazą, są nasza miękkość duchowa oraz niechęć do uznania twardych realiów życia.

Liberalizm jest światopoglądem z gruntu zniewieściałym, wyrażającym uległość i podporządkowanie się. Być może tę pierwszą cechę wyraża lepiej przymiotnik „infantylny”. Ideologia ta jest filozofią osób

słabych moralnie, pozbawionych siły duchowej umożliwiającej jednostce podejmowanie zmagania z życiem, osób nie pojmujących, iż świat nigdy nie był i nie jest wielkim, wyłożonym różowo-niebieskimi puchowymi poduszkami przedszkolem, w którym lwy bawią się zgodnie wraz z owcami, a wszyscy są zawsze szczęśliwi.

Co to, to nie; zdrowi na duchu ludzie, należący do naszej rasy, wcale nie chcieliby, żeby świat zaczął przypominać takie przedszkole. Hołdujący takiemu pragnieniu wyznają obcy nam, z gruntu wschodni światopogląd, właściwy tylko niewolnikom, nie zaś wolnym ludziom Zachodu.

Jednakże filozofia ta zapuściła mocno korzenie w naszym społeczeństwie. Nawet ci, którzy na pozór nie akceptują ideologii liberalizmu, zostali nim śmiertelnie skażeni. Kwestia rasowa nabrzmiewała w Ameryce przez dziesięciolecia. Ale większość tych, którzy pragnęli jej rozwiązania, jak również przetrwania Białej Ameryki, nigdy nie zdobyła się na tyle odwagi, żeby zaakceptować oczywiste metody służące przezwyciężeniu kryzysu.

Wystarczyło bowiem, że liberałowie i Żydzi burknęli coś na temat „niehumanicznych metod” czy ludobójstwa, a większość Amerykanów, uchylających się przed podjęciem radykalnych kroków, czmychała niczym stado spłoszonych zajęcy. Ponieważ nie istnieje sposób rozwiązania kwestii rasowej, który byłby „korzystny dla wszystkich”, czy też inaczej - który wszyscy zainteresowani mogliby pod wpływem grzecznych i łagodnych sugestii zaakceptować, ludzie ci próbowali unikać podejmowania problemu tak długo, jak się tylko da, powodowani nadzieją, że sam z czasem zniknie. To samo dotyczyło kwestii żydowskiej, kwestii imigrantów, przeludnienia, eugeniki oraz tysięcy innych, łączących się z wymienionymi.

Zaiste, niezdolność do akceptowania faktów i podejmowania trudnych decyzji należy uznać za kardynalny symptom choroby liberalizmu. Unikać drobnych przykrości teraz, w chwili obecnej, narażając się nieuchronnie na znacznie bardziej dotkliwe następstwa później, i stałe lekceważyć przyszłość - oto cała mentalność liberalizmu.

Jednak, gdy w telewizji pokazują zbliżenie potwornie okaleczonego ciała jakiejś młodej dziewczyny albo agenta FBI, wydobywanego z rumowiska, ścisła mnie w żołądku i w krtani. Mamy przed sobą straszliwe, straszliwe zadanie. Widać już, że kontrolowana przez System prasa stara się wmówić ludziom, iż popełniliśmy czyn arcyohydny i godny najwyższego potępienia. Specjalnie podkreślają więc to, że przysporzyliśmy ludziom bólu i cierpienia, przeplatając krwawe zbliżenia zwłok ofiar płaczącymi wywiadami z rodzinami zabitych.

Dziennikarze zaczynają od pytań w rodzaju:

„Jak pan (pani) sądzi, jakie to wynaturzone bestie mogły wyrządzić coś takiego pana (pani) córce?”. Najwyraźniej postanowili przedstawić wysadzenie w powietrze siedziby FBI jako zbrodnię stulecia. Bo też System zainkasował potężne uderzenie, na skalę dotychczas nie znaną w Ameryce. Wszystkie poprzednie zamachy bombowe, podpalenia i morderstwa dokonywane w Stanach Zjednoczonych przez lewicę w porównaniu z naszą akcją wydają się dziecinną zabawką.

Lecz jakże inaczej traktują nas media! Pamiętam długą serię aktów terroru dokonywanych przez marksistów dwadzieścia lat temu, w czasie wojny wietnamskiej. Spalono wówczas pewną liczbę budynków rządowych, detonowano w nich bomby, a choć w wyniku tych zamachów śmierć poniosło kilkadziesiąt niewinnych osób, prasa zawsze nazywała te zbrodnie aktami „protestu” popełnianymi z idealistycznych pobudek.

Istniał wtedy gang uzbrojonych zrewoltowanych Murzynów, nazywających siebie „Czarnymi Panterami”. Ilekroć wywoływali strzelaninę z policją, gazety i telewizja przeprowadzały łzawe wywiady z rodzinami poległych członków gangu - lecz nigdy z wdowami po policjantach. A gdy pewna Murzynka należąca do partii komunistycznej uczestniczyła w planowaniu zamachu na sali sądowej, a nawet dostarczyła broń, z której zabito sędziego, dziennikarze nieomal oklaskiwali ją na procesie i nawet usiłowali wykreować na ludową bohaterkę.

Cóż, zgodnie z wczorajszym ostrzeżeniem, jakie Henry przekazał do „Washington Post”, niebawem przystąpimy do wyrównywania rachunków. Pewnego dnia będziemy mieli w Ameryce prawdziwie amerykańską prasę, wcześniej jednak trzeba poderżnąć wiele redaktorskich gardel.

16 października. Znow przebywam w towarzystwie starych przyjaciół z Jednostki nr 2. Słowa te piszę w świetle latarni, siedząc na piętrze stodoły, w której przygotowano dla mnie i dla Katherine miejsca do spania. Trochę tu chłodno, no i warunki dosyć prymitywne, przynajmniej jednak zapewniono nam całkowitą intymność. Po raz pierwszy mieliśmy dla siebie całą noc.

Celem naszego przyjazdu nie były jednak igraszki na sianie, ale przejęcie dostawy sprzętu wojennego. Faceci z „ósemki”, którym z zeszłym tygodniu polecono dostarczyć materiały wybuchowe niezbędne do akcji na budynek FBI, przynajmniej częściowo wywiązali się z zadania. Wprawdzie nie zdobyli zbyt wiele „towaru”, bardzo się spóźnili, na dobitkę zaś mało brakowało, a postradali życie, ale mimo to ich łupem padło całkiem sporo rozmaitych innych przedmiotów. Nie wtajemniczyli mnie we wszystkie szczegóły, faktem jest jednak, że zdołali wjechać swoją 2,5-tonową ciężarówką na teren poligonu Aberdeen Proving Ground, około 25 mil stąd, załadować ją materiałami i sprzętem, a później powrócić - korzystając z pomocy zatrudnionego tam naszego człowieka. Niestety, zostali zaskoczeni na rabowaniu magazynu i musieli wywalczyć sobie odwrót. Właśnie wtedy jeden z nich odniósł ciężkie rany postrzałowe.

Zdołali jednak zmylić pościg i zaszyli się na farmie Jednostki nr 2 pod Baltimore. Ukrywają się tutaj po dziś dzień. Ten, który został ranny, mało nie umarł z powodu szoku i upływu krwi. Ponieważ jednak okazało się, że żaden z jego organów wewnętrznych nie ucierpiał, facet się chyba wyliże. Nadal jest jednak zbyt słaby, żeby można go było umieścić w bardziej komfortowych warunkach.

Pozostała dwójka zajęła się samochodem, który stoi na dole, wprost pod nami. Przemalowali go oraz dokonali kilku innych zmian w wyglądzie, gdy więc będą wracali do Waszyngtonu, nikt go nie rozpozna.

Większość ich zdobyczy pozostanie tutaj i posłuży jako zaopatrzenie dla innych jednostek rozlokowanych w pobliżu. Dowództwo Terenowe Waszyngtonu udzieliło naszej jednostce pierwszeństwa w korzystaniu z tych zasobów. A są one całkiem pokaźne. Chyba najcenniejszą zdobycz stanowi 30 skrzynek z granatami odłamkowymi, czyli ogółem około 750 granatów!

Zabierzemy ze sobą dwie skrzynki. Jest też około stu min lądowych rozmaitych typów i rozmiarów; można je łatwo przerabiać na miny-pułapki. Odłożymy dla siebie dwie lub trzy.

Zapalników i detonatorów ile dusza zapagnie. Skrzynki zapalników do ładunków wybuchowych, min, granatów, i tak dalej. Osiem szpul lontu detonującego. Skrzynka granatów termicznych. No i masa różności. Znalazła się nawet 500-funtowa bomba lotnicza ogólnego przeznaczenia. Nasi przyjaciele tak potężnie hałasowali w czasie przeładunku tego żelastwa do ciężarówki, że usłyszał ich strażnik. Zabierzemy i bombę. Elaborowana jest około 250 funtami tritonalu, czyli mieszaniny TNT i aluminium, która łatwo da się wytopić i użyć do wypełnienia mniejszych ładunków.

Katherine i ja jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy wyjechać razem, lecz atmosfera w naszej jednostce stała się dość napięta. Początkowo George nakazał ów wyjazd mnie i Henry'emu, co spotkało się jednak z protestem Katherine. Stwierdziła, że nigdy nie pozwala się jej na uczestnictwo w akcjach, i że cały ostatni miesiąc przesiedziała w czterech ścianach. Nie zamierza być dla nas wyłącznie kucharką i prowadzić gospodarstwo.

Po akcji na budynek FBI byliśmy jeszcze cokolwiek spięci i rozdygotani, a na dobitkę Katherine wygarnęła nam to wszystko ostrym i zaczepnym tonem; swoim zachowaniem przypominała członkinię ruchu wyzwolenia kobiet. (Informacja dla Czytelnika, ruch „Women's lib” stanowił formę masowej psychozy, która wybuchła i trwała w trzech ostatnich dekadach Starej Ery. Amerykanki dotknięte tym szaleństwem zaprzeczały własnej kobiecości, utrzymując, iż są „ludźmi”, nie zaś „kobietami”. Aberrację ową popierał czynnie System. Uznawał ją za dogodny środek służący wzajemnemu podjudzaniu osób należących do białej rasy oraz wprowadzaniu wśród nich sztucznych podziałów.) George obruszył się; stwierdził, że Katherine nie jest dyskryminowana, że jej umiejętności charakterystyczne są szczególnie dla nas cenne i przydatne, i że przydzielając zadania on sam kieruje się wyłącznie naszymi indywidualnymi zdolnościami oraz predyspozycjami.

Próbowałem załagodzić spór, sugerując, że byłoby lepiej, gdyby kontrabandę przewozili samochodem mężczyzna i kobieta aniżeli dwaj mężczyźni. Od kilku dni w rejonie Waszyngtonu policja przeprowadzała często wyrwykowe kontrole.

Henry przyznał mi rację, a George, choć niechętnie, ustąpił. Obawiam się jednak, że domyśla się przyczyn tak gwałtownej reakcji - oto Katherine wolała pojechać ze mną niż zostać przez cały dzień z nim.

Nie powiem, żebyśmy obnosili się ze swoim uczuciem, ale Henry i George na pewno już przypuszczają, że zostaliśmy kochankami. Postawiło to wszystkich nas w nader niezręcznej sytuacji. Pomijając już fakt, że George i Henry są normalnymi, zdrowymi mężczyznami, a Katherine jedyną kobietą w naszej jednostce, wchodzi również w rachubę kwestia dyscypliny. Organizacja obdarzyła pary małżeńskie (jeśli mąż i żona należą do tej samej jednostki) jedynym przywilejem. Mąż ma prawo oprotestować rozkaz wydany przez dowódcę jego żonie. Poza tym kobiety podlegają zasadom dyscypliny w równej mierze co mężczyźni i choć w każdej niemal jednostce panuje nieformalna, rzekłbym nawet familiarna atmosfera, złamanie tych wymogów stanowi ciężkie wykroczenie. Rozmawiałem o tym z Katherine. Oboje uznaliśmy, że podstawą i celem naszego coraz głębszego związku nie może być wyłącznie seks - i żadnych zobowiązań. Jednakże nie chcemy go jeszcze formalizować. Po pierwsze, musimy się dobrze wzajemnie poznać. Po wtóre, najważniejsza jest dla nas Organizacja i nasza jednostka, toteż nie chcemy naruszać jakimś nierozważnym postępowaniem tej hierarchii wartości.

Niemniej jednak wkrótce nadejdzie czas, kiedy będziemy musieli coś postanowić: wóz albo przewóz.

Rozdział 7

23 października 1991 r. Od naszego wyjazdu do Maryland, nareszcie znalazłem dziś czas, żeby chwycić za pióro. Przez ostatnie sześć dni nasza jednostka przeprowadziła trzy akcje.

W telewizji podali, że w całych Stanach Zjednoczonych Organizacja dokonała ponad 200 akcji. A więc wojna partyzancka ruszyła na całego.

W poniedziałek wieczór Henry, George i ja dokonaliśmy napadu na redakcję i drukarnię „Washington Post”. Był to szybki rajd, poprzedzony krótkim przygotowaniem, choć spieraliśmy się przez kilka minut odnośnie do sposobu przeprowadzenia akcji.

Henry opowiedział się za zlikwidowaniem kilkunastu pracowników, skończyło się jednak na zniszczeniu jednej z maszyn drukarskich. Nasz przyjaciel zaproponował, żebyśmy wdarli się do newsroomu oraz do innych pomieszczeń redakcyjnych, usytuowanych na szóstym piętrze gmachu, po czym za pomocą granatów oraz ogniem broni maszynowej zgładzili jak najwięcej personelu.

Gdybyśmy, wywodząc, uderzyli tuż przed godziną 19.30, czyli przed ostatecznym terminem zamknięcia numeru, zastalibyśmy w pomieszczeniach niemal komplet osób. George zaproponował jednak, twierdząc, że bez szczegółowego zaplanowania akcja taka stanie się zbyt ryzykowna i niebezpieczna. W gmachu „Washington Post” pracują setki ludzi, a wybuchy granatów i serie wystrzałów na szóstym piętrze sprowadziłyby wielu na klatki schodowe oraz do głównego hallu. Gdybyśmy wycofali się wtedy windą, ktoś mógłby wyłączyć prąd i znaleźlibyśmy się w pułapce. Z rozpoznania wynikało jednak, że w lokalu gazety drukarnię oddzielała od hallu tylko wielka szklana ściana. W tej sytuacji przygotowałem prowizoryczny ładunek wybuchowy, łącząc taśmą granat ręczny z niewielką miną przeciwczołgową. Całość, przypominająca wyglądem nienaturalnie duży granat, miała masę około 6 funtów i okazała się bardzo nieporęczna. Ładunek ów można było jednak cisnąć na odległość około 50 stóp.

Zaparkowaliśmy samochód w alei, o 100 jardów od budynku. Gdy tylko George rozbroił strażnika, Henry wystrzelił śrutem z obrzyna, wybijając w szklanej tafli wielki otwór. W chwilę później wyciągnąłem zawleczkę i rzuciłem z rozmachem bombę pomiędzy wałki najbliższej prasy, na których znajdowały się już klisze najnowszego wydania.

Ukryliśmy się błyskawicznie za kamienną przegrodą, a tymczasem ładunek eksplodował. Następnie cisnęliśmy do hali sześć granatów termicznych, po czym powróciliśmy biegiem do samochodu. Nim

ktokolwiek wyszedł z gmachu, byliśmy już daleko. Nikt nas nie zauważył, nikt nie zapamiętał wozu. Oczywiście Katherine ucharakteryzowała nas przed akcją.

Nazajutrz rano gazetę dostarczono do kiosków godzinę później niż zwykle, a prenumeratorzy w ogóle jej rankiem nie otrzymali. Niemniej jednak najwyraźniej na tym się skończyło. Zdołaliśmy jedynie uszkodzić prasę drukarską, a nasze granaty zapaliły coś niecoś w hali maszyn (spłonął między innymi duży zasobnik z farbą). Nasz wysiłek nie uniemożliwił jednak gazecie szerzenia swoich jadowitych kłamstw. Mocno nas to przygnębiło. Pojęliśmy, że postąpiliśmy w najwyższym stopniu nierozsądnie i podjęliśmy ryzyko niewspółmierne do przewidywanych skutków zamachu.

Postanowiliśmy zrezygnować z przeprowadzania akcji z własnej inicjatywy bez szczegółowej kalkulacji jej opłacalności i uzyskania niezachwianej pewności, że osiągnięcie zakładanego celu warte jest ryzyka. Nie możemy pozwolić sobie na uderzenie w System, kierując się wyłącznie zasadą „sztuka dla sztuki”, ponieważ upodobnimy się wówczas do stada komarów usiłujących nieustannym kąsaniem powalić słońca. Każdy nasz cios musi zostać zaplanowany.

Mimo wszystko, z perspektywy czasu, przedstawiony przez Henry'ego, pomysł zaatakowania redakcji wcale nie wydaje się aż tak nierozsądny. Powinniśmy byli jednak wstrzymać się jeszcze przez kilka dni, żeby opracować solidny i szczegółowy plan, którego realizacja wyrządziłaby temu szmatławcowi znaczne szkody, my tymczasem dokonaliśmy szczeniackiego i niepoważnego zamachu na drukarnię. Nasze postępowanie doprowadziło jedynie do tego, że w redakcji będą się odtąd mieli stale na baczności, a kolejne podobne akcje staną się bardziej niebezpieczne i ryzykowne.

Powetowaliśmy sobie jednak tę wpadkę rankiem następnego dnia. Doszliśmy do wniosku, że redaktorzy gazety spędzili większość godzin nocnych w lokalu redakcyjnym, zbierając informacje i pisząc nowe teksty o tym co się wydarzyło u nich wieczorem. Wynikało z tego, że powrócą do domów późno, a nazajutrz również późno wstaną z łóżek. Postanowiliśmy wobec tego złożyć odwiedziny jednemu z pismaków.

Po przejrzeniu gazety wybraliśmy dziennikarza odpowiedzialnego za kolumny redakcyjne, faceta, który napisał o nas wyjątkowo podły i ohydny materiał. Jego słowa wprost ociekały talmudyczną nienawiścią. Tacy rasiści jak my, wywodził, nie mogą liczyć na żadne względy ze strony policji czy też porządnym i uczciwym obywateli. Powinno się nas natychmiast wystrzelać do nogi, jak wściekłe psy. Ani krzty pobłażliwości, z jaką dziennikarz ów traktował zwykle czarnych gwałcicieli i morderców, ani słowa z jego stałych tyrad skierowanych przeciw „brutalności policji” oraz stosowaniu przez nią „nazbyt drastycznych środków przymusu”.

Ponieważ ów wstępniak nawoływał do zabijania, uznaliśmy, że najwłaściwsze będzie odplacenie autorowi jego własną monetą.

Pojechaliśmy z Henrym autobusem do śródmieścia, a potem zatrzymaliśmy taksówkę, prowadzoną przez Murzyna. Gdy dojeżdżaliśmy do Silver Spring, przed dom, w którym mieszkał dziennikarz, ów czarnuch tkwił już w bagażniku martwy. Oczekiwałem w taksówce, a tymczasem Henry zadzwonił do drzwi; kobiecie, która mu otworzyła, powiedział, że przywiózł przesyłkę z redakcji i musi otrzymać potwierdzenie odbioru. Kiedy po kilku minutach na progu ukazał się zaspany redaktor w szlafroku, mój przyjaciel dosłownie przeciął go w pół dwoma strzałami z dobytego spod kurtki obrzyna. W środę, działając we czwórkę (tym razem samochód prowadziła Katherine) zniszczyliśmy najsilniejszy nadajnik telewizyjny na obszarze Waszyngtonu. Muszę przyznać, że tym razem nie poszło nam tak gładko jak poprzednio; chwilami myślałem, że nas dopadną.

Trudno wyczuć, jaki stosunek ma do naszej działalności społeczeństwo. Większość ludzi zachowuje się tak, jakby nic nie zaszło.

Są już jednak pewne efekty. W dwunastu stanach świeżo powołanymi jednostkami Gwardii Narodowej wzmocniono siły policyjne, ostatnio zaś przed wszystkimi budynkami rządowymi w Waszyngtonie, przed największymi redakcjami w wielu miastach, jak również przed domami setek urzędników federalnych ustawiono całodobowe posterunki wartownicze. Jak przypuszczam, przed upływem tygodnia każdemu kongresmanowi, sędziemu i biurokracie federalnemu, poczynając od średniego szczebla, zostanie na stałe przydzielony ochroniarz. Wszystkie te worki z piaskiem, karabiny maszynowe oraz mundury w kolorze khaki, które widuje się obecnie na każdym kroku w

Waszyngtonie tylko podnoszą świadomość narodu - choć Bogiem a prawdą, jestem pewien, że na przykład w takim stanie Iowa panuje daleko mniej dramatyczna sytuacja aniżeli u nas.

Najsmutniejsze jest to, iż ludzie obserwują nas i nasze poczynania wyłącznie za pośrednictwem mediów. Tak mocno zależymy Systemowi za skórę, że prasa, radio i telewizja nie mogą już sobie pozwolić na ignorowanie Organizacji czy też umniejszanie znaczenia prowadzonych przez nią działań. Zastosowały zatem inną taktykę i karmią odbiorców przeinaczeniami, półprawdami oraz zwykłymi kłamstwami. Od dwóch tygodni lżą nieustannie, chcąc wmówić ludziom, że jesteśmy wcieleniem zła, zagrożeniem dla wszystkiego, co szlachetne, przyzwoite, wzniosłe i wartościowe.

Media wytoczyły przeciw nam najcięższą artylerię, nie poprzestając na właściwej sobie stronniczości w codziennych programach informacyjnych. W weekendowych wydaniach gazet pojawiły się długie artykuły „problemowe”, opatrzone rzekomymi zdjęciami z zebrań Organizacji. Telewizja emituje dyskusje panelowe z udziałem rozmaitych „ekspertów”; słowem, pokazali co potrafią! Niektóre materiały dotyczące nas to po prostu jeden wielki stek niedorzeczności i bzdur, obawiam się jednak, że Amerykanie tak dalece zidiocieli, iż przełkną bezkrytycznie dosłownie wszystko.

Obecne wydarzenia przypominają kampanię prowadzoną przez media w latach czterdziestych przeciwko Hitlerowi i Niemcom; wszystkie te banialuki o führerze - szaleńcu gryzącym z wściekłości dywan, o rzekomych niemieckich planach podboju Stanów Zjednoczonych, o obdzieraniu żywcem niemowląt ze skóry, którą wykorzystywano do produkcji abażurów (z resztek dziecięcych ciałek rzekomo wyrabiano mydło), o porywaniu dziewcząt i zsyłaniu ich do nazistowskich „stajni ogierów”. Żydzi zdołali otumaniać Amerykanów, wmawiając im, że jest to czysta prawda. Skutkiem tego otumanienia była II wojna światowa, w której miliony najbardziej wartościowych synów naszej rasy wyróżniliśmy własnymi rękami, całą zaś Europę Wschodnią i Środkową zamieniono w ogromny komunistyczny obóz karny.

Obecnie wydaje się bardzo prawdopodobne, że System zamierza świadomie wzniecić w narodzie histerię wojenną.

Pragnie tego dokonać, wyolbrzymiając zagrożenie kraju naszymi działaniami. Pasowano więc nas na nowych Niemców, nadto rząd, posługując się w swojej kampanii metodami psychologicznymi, chce zantagonizować Organizację z resztą narodu. Tak oto System (co nawet przechodzi nasze oczekiwania) mimochodem przyczynia się do rozszerzenia świadomości społecznej. Popularyzuje wręcz cele, o które walczymy. Co do mnie, mocno podejrzewam, że najgrubsze ryby Systemu uznały, iż w gruncie rzeczy nie stanowimy dla nich większego zagrożenia i wykorzystują nas cynicznie do realizacji pewnych własnych celów, na przykład wprowadzenia kart tożsamości.

Wkrótce po zamachu na siedzibę FBI naszej jednostce przydzielono ogólne zadanie uderzania w środki przekazu za pomocą akcji bezpośrednich. Obiektem działań innych jednostek stały się pozostałe macki Systemu. Jeśli jednak ograniczymy się do akcji bezpośredniej, przegramy; oni po prostu nazbyt przeważają liczebnie. W naszym żywotnym interesie leży tedy przekonanie społeczeństwa, że nasze postępowanie jest konieczne i ze wszelkich miar właściwe. Zlecono nam również prowadzenie działań propagandowych, z czym niestety idzie nam jak dotąd słabo. Prowadzeniem takich działań na obszarze Waszyngtonu zajmują się przede wszystkim Jednostka nr 2 i Jednostka nr 6. Wiadomo mi, że ci z „szóstki” rozrzućili na ulicach całe tony ulotek; wczoraj Henry znalazł nawet jedną na chodniku w śródmieściu. Obawiam się jednak, że posługując się w walce jedynie ulotkami, nie zaszkodzimy zbyt kontrolowanym przez rząd środkom przekazu.

W ubiegłą środę przeprowadziliśmy efektowną akcję propagandową, która jednak zakończyła się tragicznie. Tego samego dnia nasza jednostka wysadziła w powietrze stację telewizyjną, a koledzy z Jednostki nr 6 zajęli rozgłośnię radiową, skąd rozpoczęli nadawanie apelu do narodu o poparcie nas w walce z Systemem.

Proklamację tę nagrali wcześniej na taśmie, a po zajęciu studia i zamknięciu sterroryzowanego personelu w niewielkim magazynie założyli miny-pułapki w drzwiach prowadzących do pomieszczenia. Następnie rozpoczęli emisję. Zamierzali natychmiast uciec, przewidywali bowiem, że

policja, przekonana, iż przebywają nadal wewnątrz, rozpocznie oblężenie rozgłośni, ostrzeliwując ją z granatów łzawiących. W ten sposób emisja potrwa jeszcze godzinę, może nawet dłużej. Niestety, policja przybyła na miejsce znacznie szybciej niż tego oczekiwali i z miejsca przystąpiła do szturm. Nasi przyjaciele znaleźli się w potrzasku. Dwaj zginęli w strzelaninie, jaka się wywiązała, a trzeci został ciężko ranny i zapewne nie wyżyje. Komunikat Organizacji szedł w eter przez niespełna dziesięć minut.

Były to nasze pierwsze straty w ludziach; Jednostka nr 6 została solidnie przetrzebiona. Ci, którzy ocalili, dwie kobiety i mężczyzna, zamieszkali tymczasowo z nami. Z uwagi na to, że w rękach policji znalazł się ich kolega, musieli oczywiście porzucić natychmiast swoją dotychczasową kwatery. W efekcie Organizacja straciła jedną z dwóch maszyn drukarskich, którymi dysponowała na obszarze Waszyngtonu, choć zdołaliśmy ewakuować większość sprzętu poligraficznego i lżejszych urządzeń. Ponadto przejęliśmy ich pickupa, który bardzo się przyda, jeżeli ci troje z „szóstki” mieliby z nami dłużej pozostać.

28 października. Ostatniej nocy przyszło mi wykonać najbardziej odstręczające zadanie, z jakim się zetknąłem w ciągu czterech ostatnich lat, czyli odkąd wstąpiłem do Organizacji. Uczestniczyłem w egzekucji odszczepieńca. Harry Powell był dowódcą Jednostki nr 5. Tydzień temu, Dowództwo Terenowe Waszyngtonu nakazało jej likwidację dwóch najbardziej ohydnych i hałaśliwych orędowników wielorasowości, zamieszkałych na naszym obszarze - księdza i rabina, współautorów szeroko spopularyzowanej petycji do Kongresu, w której domagali się przyznania specjalnych przywilejów podatkowych małżeństwom mieszanym. Tymczasem Powell odmówił wykonania polecenia. Zawiadomił DTW, że jest przeciwny dalszemu stosowaniu przez nas przemocy, a jego jednostka nie będzie więcej uczestniczyć w żadnych, jak to określił, aktach terroryzmu. Został natychmiast schwytany przez naszych, wczoraj zaś wezwano, żeby każda jednostka podlegająca DTW (w tym Jednostka nr 5) wyznaczyła po jednej osobie. Utworzony w ten sposób trybunał polowy miał go osądzić i wydać wyrok. Ponieważ ci z „dziesiątki” nie mogli przysłać nikogo, spotkaliśmy się więc w jedenaście osób (ośmiu mężczyzn i trzy kobiety) z oficerem DTW w magazynie znajdującym się w piwnicy sklepu z upominkami, który należał do jednego z naszych „legałów”. Ja reprezentowałem Jednostkę nr 1.

Oficer krótko i zwięźle przedstawił zarzuty. Delegat z „piątki” potwierdził następnie fakty: Powell nie tylko odmówił wykonania rozkazu, lecz również zabronił tego podwładnym. Ci na szczęście nie dali posłuchu jego namowom.

Oskarżonemu umożliwiono następnie obronę. Mówił przez dwie godziny; niekiedy któreś z nas przerywało mu, zadając pytanie. To, co powiedział, porządnie mną wstrząsnęło, ale, jestem tego pewien, ułatwiło również podjęcie ostatecznej decyzji.

Powell okazał się „odpowiedzialnym konserwatystą”, fakt przyjęcia go do Organizacji, a na dodatek mianowania dowódcą jednostki, świadczy nie tyle o nim, co o nas. Oto i jego główny argument: wszystkie działania terrorystyczne szkodzą nam i całemu społeczeństwu, albowiem „prowokują” System do podejmowania coraz ostrzejszych środków odwetowych. O, zrozumieliśmy go doskonale! Przynajmniej ja uznałem, że go zrozumieliśmy. Tyle że on sam niczego nie pojmował. To znaczy nie pojmował prostej zasady, jednym z zasadniczych celów stosowania terroryzmu politycznego, zawsze i wszędzie, jest zmuszenie władz do stosowania przemocy, przez co stają się one coraz bardziej represyjne. Prowadzi to do alienacji części społeczeństwa i wzbudza życzliwość dla terrorystów. Innym celem terroryzmu jest wywołanie w społeczeństwie niepokoju przez pozbawienie ogółu ludności poczucia bezpieczeństwa, jak również wiary we wszechmoc władz.

W miarę jak Powell kontynuował, rosła w nas pewność, że jest on konserwatystą, nie zaś rewolucjonistą. Z jego wywodów wynikało, że jedynym celem Organizacji powinno być wymuszenie na Systemie wprowadzenia pewnych reform, nie zaś doszczętne i radykalne zniszczenie go, a następnie ustanowienie zasadniczo odmiennego ustroju.

On sam został przeciwnikiem Systemu, ponieważ musiał płacić zbyt wysokie podatki. (Nim zmuszono nas do zejścia do podziemia, był właścicielem sklepu z towarami przemysłowymi.) Potępiał System za pobłażanie Czarnym, gdyż przestępstwa i zamieszki nie służyły jego interesom handlowym, a także za

skonfiskowanie broni palnej, gdyż pistolet zapewniał mu bezpieczeństwo. Przedstawił więc argumenty egocentrycznego libertarianina, który za kardynalne zło uznaje ograniczanie przez rząd inicjatywy i przedsiębiorczości. Któryś z nas zapytał go, czy zapomniał, co Organizacja powtarza aż do znudzenia - że celem prowadzonej przez nas walki jest ocalenie białej rasy, a wolność jednostki stanowi jedynie kwestię podrzędną, wtórną wobec tamtego zadania. Powell odparł, że strategia przemocy nie służy ani naszej rasie, ani indywidualnej wolności. Odpowiedź ta wykazała ponownie, że Powell nie rozumiał ani w ząb, do czego naprawdę dążymy. Jego początkowa aprobata dla stosowania przemocy w walce z Systemem miała za podłoże naiwne przeświadczenie, które dałoby się wyrazić słowami: „no, do jasnej cholery, teraz damy tym draniom popalić!”. Gdy jednak System, zamiast pójść na ustępstwa, jął coraz mocniej dokręcać śrubę, dowódca „piątki” powziął przeświadczenie, iż nasza strategia terrorystyczna do niczego dobrego nie doprowadzi. Nie potrafił po prostu uznać, że dążąc do obranego celu nie możemy pozwolić sobie na zboczenie z drogi tylko po to, by cofnąć się do jakiegoś wcześniejszego etapu dziejów. Osiągnąć zaś ów cel możemy wyłącznie przewyciężając przeszłość i wykuwając nową przyszłość; w procesie tym wyłącznie nam, nie zaś Systemowi, przypadnie wyznaczenie kierunku. Dopóki jednak nie wyrwiemy steru z łap Systemu, a potem nie wyrzucimy za burtę tego złowieszczonego sternika, nawa państwa będzie kontynuować swój niepewny i niebezpieczny rejs, unosząc się na rozhukanych falach, które mogą ją w każdej chwili przewrócić i zatopić. My nie zatrzymamy statku ani na moment, nie odwrócimy też jego kursu. Płyniemy wśród podwodnych skał i mielizn, toteż nim wyjdziemy na czysty i wolny od przeszkód nurt, jeszcze nie raz solidnie nami zatrzęsie. Być może miał słuszność, utrzymując, że przyjęliśmy błędną taktykę, lecz kwestię tę rozstrzygnie ostatecznie reakcja społeczeństwa na nasze działania. Niemniej jednak przekonania Powella, jego sposób myślenia i ogólny światopogląd były z gruntu złe i szkodliwe. Gdy słuchałem jego wywodów, przyszedł mi na myśl pisarz tworzący u schyłku XIX wieku, Brooks Adams. Podzielił on społeczeństwo na dwie grupy: ludzi ekonomicznych i ludzi duchowych. Powell należał bezsprzecznie do tej pierwszej kategorii.

Ideologie, ostateczny cel walki, fundamentalna sprzeczność pomiędzy światopoglądem Systemu a naszym - odmawiał temu wszelkiego znaczenia. Filozofię Organizacji uznawał, by tak rzec, za zwykłą agitkę służącą zwerbowaniu jak największej liczby nowych członków. Nasze zmagania z Systemem uznał wyłącznie za konflikt sił - i tylko tyle. Jeśli nie zdołamy zniszczyć przeciwnika, być może należałoby go zmusić do zawarcia z nami kompromisu.

Kiedy zacząłem zastanawiać się, ile osób w naszych szeregach cechuje podobny styl myślenia, aż zadrzałem! Okoliczności zmusiły nas do nazbyt szybkiego wzrostu liczebnego. Zabrakło czasu, byśmy wszyscy rozwinęli w sobie wręcz religijny stosunek do celu, jaki nam przyświeca, i do naszych doktryn. Miałoby to tę zaletę, że osobnicy w rodzaju Powella byłiby zawczasu demaskowani i eliminowani. Jeśli zaś o niego chodzi, cóż, nie mieliśmy innego wyboru. Nie tylko okazał nieposłuszeństwo; zaprezentował się jako człowiek w najwyższym stopniu niepewny. Oto jeden z nas, na dobitkę dowódca jednostki, dyskutuje z podwładnymi o możliwości ułożenia się z Systemem w chwili, gdy rozpoczynamy z nim otwartą wojnę... W tej sytuacji istniało tylko jedno rozwiązanie. Ośmiu mężczyzn pociągnęło słomki, po czym trzech z nas, w tym również ja, utworzyło pluton egzekucyjny. Kiedy Powell zrozumiał, że za chwilę zginie, spróbował ucieczki. Został jednak skrępowany, a ponieważ zaczął krzyczeć, trzeba go było również zakneblować. Zawieźliśmy go do lasku znajdującego się dziesięć mil na południe od Waszyngtonu. Po wykonaniu wyroku zakopaliśmy ciało.

Powróciłem do naszej kwatery kilka minut po północy, lecz nie mogłem zasnąć. Jestem przygnębiony, straszliwie przygnębiony.

Rozdział 8

4 listopada 1991 r. Wieczorem zupa i chleb, i to w bardzo skąpych porcjach. Nasze fundusze niemal się wyczerpały, a z DTW niczego jak dotąd nie otrzymaliśmy. Jeśli najdalej za kilka dni nie przyślą nam pieniędzy, trzeba będzie je jakoś zdobyć, organizując napady z bronią w rękę - nader niemiła perspektywa.

Jednostka nr 2 dysponuje, jak się wydaje, nieograniczonymi zasobami żywności. Gdyby nie to, że miesiąc temu ofiarowali nam cały samochód konserw, byłoby z nami naprawdę krucho, zwłaszcza teraz, kiedy mamy aż siedem gęb do wyżywienia. Jednakże wyprawy samochodowe do Maryland w celu uzupełnienia zapasów stały się zbyt niebezpieczne, grozi bowiem wpadka w trakcie policyjnej kontroli.

Kontrole te stały się najbardziej jak dotychczas dostrzegalnym (a dla zwykłych ludzi również najbardziej działającym na nerwy) skutkiem naszych działań terrorystycznych. Podróżowanie dokądkolwiek prywatnym samochodem to obecnie, przynajmniej u nas, czyli na obszarze Waszyngtonu, istny koszmar, ponieważ na skutek tych kontroli na drogach tworzą się nieustannie ogromne korki. W ostatnich dniach aktywność policji zauważalnie wzrosła; wygląda na to, że odtąd stanie się ona na długo nieodłączną cechą codzienności.

Jednakże, jak dotychczas, nie kontrolują pieszych, rowerzystów i autobusów, toteż jakoś możemy się przemieszczać, choć stało się to trudniejsze niż niegdyś.

Ech, znów wyłączyli prąd. Dzisiejszego wieczora musieliśmy już dwukrotnie dla oszczędności dzielić na części świece. Do tej pory najczęstsze i najdłuższe przerwy w dostawie elektryczności obowiązywały latem, ale przyszedł listopad i nadal obowiązuje wprowadzone w lipcu „tymczasowe” obniżenie napięcia w sieci o 15 procent. A mimo tego nieustannego „przyćmienia” coraz częściej w ogóle nie ma światła.

Oczywiście, że ktoś ciągnie z tego niemałe zyski. Tydzień temu Katherine szczęśliwym trafem kupiła w sklepie spożywczym kilka świec, lecz kosztowały one półtora dolara za sztukę. Ceny lamp naftowych i benzynowych wzrosły niebotycznie, tyle tylko, że dwa te artykuły zniknęły bezpowrotnie z rynku. Gdy będę miał chwilę wolnego czasu, może coś wykombinuję, żeby zapewnić nam oświetlenie.

W zeszłym tygodniu wzmogliśmy działania przeciw Systemowi, przeprowadzając wiele jednoosobowych akcji terrorystycznych o niskim stopniu ryzyka. Na przykład w Waszyngtonie dokonano około 40 ataków (przy użyciu granatów) na budynki federalne oraz siedziby mediów. Dziełem naszej jednostki było 11 akcji.

Ponieważ obecnie nie można wejść do jakiegokolwiek urzędu federalnego (może z wyjątkiem poczty), nie uniknąwszy skrupulatnej rewizji osobistej, musieliśmy zdrowo się nabiedzić. Kiedyś Henry wyciągnął po prostu zawleczkę z granatu, sam zaś granat wsunął pomiędzy dwa kartony ustawione na palcu z towarami w wyładowanej ciężarówce, oczekującej na zapleczu gmachu „Washington Post”. Dźwignię zabezpieczającą unieruchomił, układając odpowiednio kartony. Potem oddał się, nie czekając na efekt eksplozji; kilka godzin później media poinformowały, iż zginęło dwóch członków personelu redakcyjnego, poważnych obrażeń doznały zaś trzy osoby.

Najczęściej jednak używamy miotaczy granatów, skonstruowanych z odpowiednio przerobionych strzelb. Donośność maksymalna takiej broni wynosi wtedy 150 jardów, ale żeby zapobiec przedwczesnemu wybuchowi granatu, należy poddać pewnym przeróbkom jego opóźniacz. Jest to broń skuteczna, jeśli używa się jej z ukrycia i z odległości około 100 jardów od celu. Strzelaliśmy już z tych granatników z tylnego siedzenia jadącego samochodu, z okna toalety w sąsiednim budynku oraz - nocą - z kępy krzewów rosnącej w niewielkim parku po przeciwnej stronie ulicy, przy której znajdował się dom-cel. Trzeba niewiele szczęścia, aby trafić bezpośrednio w okno, i wtedy wybuch następuje w biurze czy też na korytarzu. Nawet jeśli granat trafi w ścianę, od której się odbije, w oknach wylatują szyby, a odłamki wywołują panikę.

Jeśli będziemy stosować tę metodę, zapewne zmusimy władze do wyposażenia okien wszystkich budynków rządowych w okiennice, co bezsprzecznie podniesie rewolucyjną świadomość wśród pracowników federalnych. Ale, rzecz oczywista, na dłuższą metę prowadzenie takich akcji jest

niemożliwe. Wczoraj straciliśmy jednego z naszych najlepszych ludzi, Rogera Greene'a z Jednostki nr 8, a w miarę upływu czasu na pewno nie zdołamy uniknąć jeszcze większych strat. System wygra z nami każdą wojnę prowadzoną na wyniszczenie, zważywszy na jego przewagę liczebną nad Organizacją.

Często o tym rozmawiamy i zawsze dyskusja dotyka jednego tematu: rewolucyjny światopogląd nie zyskał w Ameryce wyznawców, wyjąwszy nas, członków Organizacji. Nasze dotychczasowe działania nie doprowadziły w tej mierze do żadnego przełomu. Nasz naród na pewno nie kocha Systemu; faktycznie, przez siedem czy osiem ostatnich lat, w miarę pogarszania się warunków życia, coraz częściej słychać sarkania i protesty. Ale rodakom nadal żyje się zbyt dobrze i wygodnie, toteż odrzucają wszelką myśl o rewolucji.

Na dobitkę, opinię społeczeństwa o Organizacji kształtuje System. Nasi „legałowie” nieustannie informują o nastrojach społecznych; okazuje się, że większość uznaje nas za „gangsterów” i „zbrodniarzy”.

Jeśli nie zawiąże się jakaś nić duchowego porozumienia pomiędzy nami a narodem, nigdy nie pozyskamy nowych członków i nie zdołamy uzupełnić szeregów osłabionych stratami. Ale System sprawuje totalną kontrolę nad środkami przekazu i nie bardzo wiadomo, w jaki sposób można by nawiązać owo porozumienie. Posługiwanie się ulotkami oraz zajmowanie okazjonalnie i na krótko stacji radiowych? Tym raczej nie zniwelujemy efektów nieustannego prania mózgow, które stosuje System w celu utrzymania społeczeństwa w ryzach.

O, znów włączyli prąd, i to teraz, kiedy oczy mi się kleją i zaraz pójdę w kimę. Czasem myślę, że wewnętrzna słabość Systemu doprowadzi go szybko do upadku, i to bez naszej pomocy. Te nieustanne przerwy w dostawie prądu są zaledwie jedną z tysiąca szczelin na chwiejącym się gmachu, który tak usilnie próbujemy zburzyć.

8 listopada. W ostatnich kilku dniach nastąpiły u nas zasadnicze zmiany. W zeszły czwartek, jak wspominałem, przybyło nam czworo nowych członków, a dziś znów pozostało nas tylko czworo: ja, Katherine oraz Bili i Carol Hanrahanowie (oboje należeli dawniej do Jednostki nr 6).

Henry i George zostali włączeni do nowej jednostki wraz z Edną Carlston (również przybyła do nas po tragedii „szóstki”) oraz Dickiem Wheelerem, jedynym, który przeżył czwartkowy nalot policji na kwaterę Jednostki nr 11. Cała czwórka przeniosła się do nowej kwatery.

Dzięki tym przetasowaniom jednostki nabrały bardziej jednolitego charakteru, mam tu na myśli nasze umiejętności i uzdolnienia. Rozwiązały one również problemy osobiste moje i Katherine. Obecnie staliśmy się zasadniczo jednostką obsługi technicznej, podczas gdy czwórka, która nas opuściła, utworzyła zespół zajmujący się sabotażem i likwidacją ludzi.

Bili Hanrahan jest arcyzdolnym konstruktorem maszyn, mechanikiem i drukarzem. Jeszcze dwa miesiące temu wraz z żoną Carol prowadził zakład poligraficzny w Aleksandrii. Carol nie ma takiej smykałki technicznej jak on, lecz całkiem dobrze zna się na drukowaniu. Gdy tylko zainstalujemy u nas nową prasę, zostanie jej powierzona produkcja wielu ulotek oraz innych materiałów propagandowych.

Ja będę nadal zajmować się sprzętem łącznościowym oraz uzbrojeniem specjalnym. Bili pomoże mi w konstruowaniu takiej broni; został on również naszym rusznikarzem i „szefem arsenału”.

Jeśli chodzi o Katherine, umożliwiono jej wykazanie się umiejętnościami dziennikarsko-redaktorskimi, choć jedynie w ograniczonym zakresie. Będzie on redagować i przekazywać Carol gotowe do druku teksty propagandowe, jakie otrzymujemy z DTW. Samodzielnie zadecyduje, które partie materiałów streścić; pozostawiono jej również wolną rękę w kwestii wprowadzania wszelkich niezbędnych zmian.

Wczoraj wykonaliśmy z Billem pierwszą robotę. Dostosowaliśmy moździerz kalibru 4,2 cala do strzelania pociskami kalibru 81 mm. Okazało się to konieczne, ponieważ jak dotąd nie zdołaliśmy zdobyć moździerza odpowiedniego do pocisków, zrabowanych przed miesiącem w składzie na Aberdeen Proving Ground. Na szczęście jeden z naszych członków, zapalony znawca i kolekcjoner

broni, miał sprawny moździerz kalibru 4,2 cala, który przechowywał w ukryciu od końca lat czterdziestych.

Za kilka dni Organizacja zamierza przeprowadzić niezmiernie ważną akcję, w której zostanie użyty moździerz, toteż musieliśmy z Billem nieźle się uwijać, żeby zdążyć na czas. Najtrudniejsze okazało się zdobycie stalowej rury o właściwej średnicy wewnętrznej, którą należało wspawać koncentrycznie do lufy moździerza, na dobitkę nie dysponowaliśmy wtedy tokarką czy też inną podobną maszyną. Gdy otrzymaliśmy już rurę, dalsze czynności poszły nam stosunkowo łatwo i jesteśmy dumni z osiągniętego efektu, choć zmodyfikowany moździerz waży ponad trzykrotnie więcej aniżeli powinien. Dziś wykonaliśmy pracę teoretycznie prostą, która jednak okazała się znacznie trudniejsza niż przewidywaliśmy. Chodzi mi o wytopienie materiału wybuchowego z 500-funtowej bomby. Zdrowo przy tym harowaliśmy (często klnąc na czym świat stoi), kilkakrotnie oparzyliśmy się dotkliwie wrzątkiem, lecz większość tritonalu znalazła się wreszcie w kilkudziesięciu puszkach po soku grejpfrutowym, słoikach po maśle z orzeszków arachidowych oraz w innych pojemnikach. Robota ta zajęła nam cały dzień i zniszczyła wszystkim solidnie nerwy, lecz za to dysponujemy obecnie odpowiednim zapasem materiału wybuchowego. Wystarczy go nam na kilka miesięcy i na sporą liczbę ładunków o średniej mocy.

Myślę, że Bili okaże się dobrym i pożytecznym towarzyszem broni, i że dzięki jego wysiłkom nasza jednostka będzie wzorowo wykonywać swoje zadania. (Przydzielono nam numer 6, a nowym dowódcą zostałem ja.) Ponadto po tych wszystkich zmianach mamy z Katherine większą swobodę, gdyż dzielimy obecnie kwaterę z innym małżeństwem, nie zaś, jak poprzednio, z dwoma samotnymi mężczyznami.

Napisałem „z innym małżeństwem”, co jest oczywiście przejęzyczeniem, ponieważ nie zawarliśmy oficjalnego ślubu. Podczas dwóch ostatnich miesięcy, a zwłaszcza dwóch, trzech ostatnich tygodni, wspólnie doświadczyliśmy tak wiele, a życie i zdrowie jednego tak dalece zostało uzależnione od czynów i postawy drugiego, że połączyło nas uczucie tak trwałe i silne, jak uczucie łączące małżonków. Dawniej, ilekroć jednemu z nas powierzono zadanie, zwykle kombinowaliśmy, żeby móc wykonać je wspólnie. Dziś nie musimy już kombinować.

Ciekawe, że postępowanie Organizacji, która narzuciła wszystkim jej członkom tryb życia pod wieloma względami anormalny, doprowadziło do tego, iż wzajemne stosunki mężczyzn i kobiet stały się w naszych szeregach bardziej naturalne aniżeli wśród reszty społeczeństwa. Choć niezamężne członkinie są w teorii „równe” mężczyznom, innymi słowy podlegają identycznym wymogom dyscyplinarnym, nasze kobiety znacznie bardziej się hołubi i otacza większą opieką niż jest to praktykowane na co dzień w Ameryce.

Weźmy na przykład gwałty, które stały się od dawna ponurym składnikiem naszej rzeczywistości. Poczynając od wczesnych lat siedemdziesiątych, liczba zgwałceń wzrastała rocznie od 20 do 25 procent, rok temu zaś Sąd Najwyższy orzekł, że wszystkie przepisy prawne stanowiące, iż zgwałcenie kobiety stanowi przestępstwo są sprzeczne z Konstytucją. Wprowadzają one rzekomo nierówność kobiet i mężczyzn pod względem prawnym. Sędziowie postanowili, że ściganie gwałtu podlega wyłącznie ustawom dotyczącym „napaści o podłożu nie-seksualnym”.

Innymi słowy, gwałt został zrównany z uderzeniem w twarz.

Jeśli pokrzywdzona nie zdoła udowodnić, że doznała uszkodzeń cielesnych, jej wnioski o wszczęcie śledztwa czy choćby o wydanie nakazu zatrzymania sprawcy nie ma żadnych szans na rozpatrzenie. Ów ponury nonsens prawny spowodował, że liczba gwałtów wzrosła niepomniernie; według najnowszych statystyk policyjnych, co druga Amerykanka była, jest lub będzie zgwałcona przynajmniej raz w życiu. Naturalnie w wielu miastach sytuacja przedstawia się pod tym względem znacznie gorzej.

Grupy spod znaku ruchu wyzwolenia kobiet przyjęły taki obrót spraw z konsternacją i przerażeniem. Nie do tego wszak dążyły gdy 20 lat temu rozpoczęły agitację na rzecz wprowadzenia zasady „równości” płci. Ściszej mówiąc konsternację i przerażenie dostrzega się wśród szarych członkiń

women's lib; przypuszczam, że ich przywódczynie, przeważnie żydowskiego pochodzenia, od początku pragnęły takich skutków.

Skądinąd czarnoskórzy działacze ugrupowań na rzecz wolności obywatelskich ochoczo przyklasnęli orzeczeniu Sądu Najwyższego. Przepisy prawne dotyczące zgwałceń, wywodzili, były „rasistowskie”, albowiem z ich mocy oskarżano nieproporcjonalnie, ich zdaniem, wysoką liczbę Czarnych. Obecnie doszło do tego, że gromady murzyńskich bandytów włóczą się w pobliżu parkingów i boisk szkolnych oraz na korytarzach budynków biurowych i domów mieszkalnych, wypatrując atrakcyjnych, samotnych dziewcząt. Wiedzą, że nie grożą im żadne represje ani ze strony rozbrojonych obywateli, ani policji, która ma skrupowane ręce. Gwałty zbiorowe dokonywane w szkołach stały się ostatnio szczególnie popularną rozrywką.

Niektóre kobiety hołdujące krańcowemu liberalizmowi uznały być może, że nowa sytuacja w pewnej mierze zaspokaja ich masochistyczne pragnienia, łagodząc również ich poczucie „rasowej winy”. Jednakże dla zwykłych białych kobiet życie stało się koszmarem.

Jednym z najbardziej ohydnych aspektów sprawy jest to, iż wielu młodych Białych, zamiast czynnie się przeciwstawić nowemu zagrożeniu dla ich rasy, postanowiło w nim uczestniczyć. Coraz częściej słychać o białych gwałciicielach, a ostatnio nawet stwierdzono istnienie wielorasowych gangów uprawiających ów plugawy proceder.

Również niektóre dziewczęta nie pozostały bierne. Rozpasanie seksualne na różnorodnym tle, praktykowane przez młodych białych mężczyzn i białe kobiety, a nawet przez nieletnich, sięgnęło niewyobrażalnych jeszcze kilka lat temu granic. Pedalskie cioty, fetyszyści, pary wielorasowe, sadyści i ekshibicjoniści, wszyscy oni obnoszą się publicznie ze swoimi perwersyjnymi upodobaniami, a społeczeństwo ich naśladuje.

Niedawno, bo w zeszłym tygodniu, gdy pojechałem z Katherine do miasta po żołąd (pieniądze nadeszły w samą porę, albowiem było z nami bardzo, ale to bardzo cienko) zdarzył się drobny, lecz nieprzyjemny incydent. Oczekiwaliśmy na przystanku na powrotny autobus; w pewnej chwili wszedłem do znajdującego się tuż obok drugstore'u, żeby kupić gazetę, co trwało najwyżej 20 sekund. Po wyjściu ze sklepu ujrzałem jak jakiś młody obszarpaniec, prawie Biały, choć o fryzurze w stylu afro - popularnej wśród zwyrodnialców - obrzuca Katherine wulgarnymi i obscenicznymi słowami, tańcząc i skacząc wokół niej niczym bokser. (Informacja dla Czytelnika: słowo afro odnosi się do rasy murzyńskiej albo afrykańskiej, która do chwili zniknięcia z powierzchni Ziemi w czasie Wielkiej Rewolucji, wywierała coraz bardziej degenerujący wpływ na kulturę oraz styl życia obywateli Ameryki Północnej.)

Złapałem drania za rękę, obróciłem nim i z całej siły walnąłem w pysk. Gdy się przewracał, doznałem uczucia mściwej, prymitywnej satysfakcji, widząc cztery albo i pięć zębów wypadających mu z rozwalonych ust wraz z obfitym strumieniem ciemnoczerwonej krwi.

Sięgnąłem po pistolet, aby ubić plugawca na miejscu, powstrzymała mnie jednak Katherine, przypominając o potrzebie zachowania ostrożności. Wtedy dopiero ochłonąłem. Zamiast użyć broni, wymierzyłem leżącemu trzy potężne kopnięcia w pachwinę. Po pierwszym uderzeniu zadygotał konwulsyjnie i wydał krótki chrapliwy okrzyk. Potem znieruchomiał.

Tymczasem przechodnie, odwracając spojrzenia, śpieszyli każdy w swoją stronę. Po przeciwnej stronie ulicy dwaj Czarni głupio się na nas gapili i gwizdali. Uznaliśmy z Katherine, że bezpieczniej będzie się oddalić. Po przejściu kilku przecznic cofnęliśmy się i złapaliśmy autobus na innym przystanku.

Od Katherine dowiedziałem się później, że ów obszarpaniec podbiegł do niej, gdy tylko wszedłem do drugstore 'u. Objął ją ramieniem, jął nakłaniać, żeby mu się oddała, wreszcie chwycił ją za biust. Katherine jest kobietą silną i zręczną, toteż z łatwością wymknęła się z jego uścisków i skierowała do sklepu, lecz degenerat zastąpił jej drogę.

Z reguły nosi przy sobie pistolet, ale dzień był nadspodziewanie ciepły jak na tę porę roku, toteż nie miała na sobie płaszcza, a tylko lekką odzież, pod którą nie mogła nosić broni. Ponieważ była w moim

towarzystwie, nie wzięła nawet miotacza gazu łzawiącego, który to przedmiot wszedł ostatnio do wyposażenia każdej wybierającej się dokądkolwiek kobiety.

Warto zauważyć, że ci sami ludzie, którzy tak histerycznie nawoływali do konfiskaty broni palnej przed wejściem w życie ustawy Cohena, obecnie agituja zapamiętałe za delegalizacją miotaczy gazu. Ostatnio nawet kilka kobiet, które ich użyły w celu odstraszenia potencjalnych gwałcicieli, oskarżono o napaść z bronią w rękę! Doprawdy, świat pogrążył się w takim szaleństwie, że nic już nie jest w stanie mnie zdziwić.

Zgwałcenie kobiety jest w szeregach Organizacji czynem nie do pomyślenia. Ani przez chwilę nie wątpię, że gdyby coś takiego się wydarzyło, sprawca w ciągu kilku godzin leżałby martwy z ośmioma gramami ołowiu w czaszce.

W kwaterze oczekiwał nas Henry wraz z jakimś nie znanym mi towarzyszem. Henry poprosił, żebym wyjaśnił mu ponownie kilka kwestii dotyczących układu celowniczego mózdzierza. Zabrali go ze sobą. Nie wiem, jak zamierzają go użyć.

Ja i Katherine bardzo lubimy Henry'ego i będzie nam go brakowało. Od ludzi takich jak on zależy ostateczny sukces Organizacji.

Katherine nauczyła go wielu sposobów charakteryzacji i kamuflażu, a na pożegnanie ofiarowała większość peruk, sztucznych bród, plastikowych gadżetów i kosmetyków.

Rozdział 9

9 listopada 1991 r. Ależ dzień! O godzinie 14.00 na nadzwyczajnej sesji zebrał się Kongres, żeby wysłuchać przemówienia prezydenta. Miał zwrócić się z prośbą o wydanie specjalnych ustaw umożliwiających rządowi skuteczniejszą rozprawę z „rasizmem” oraz zwalczanie terroryzmu. Według informacji prasowych miał również poprosić Kongres o wydanie długo oczekiwanych przepisów dotyczących wdrożenia systemu kart tożsamości. Mimo zniszczenia przez nas w ubiegłym miesiącu komputerów, które miały obsługiwać ów system, rząd dąży niewątpliwie do jak najszybszej realizacji jego założeń.

Gmach Kapitolu otoczyło od trzech do pięciu tysięcy policjantów oraz cywilnych agentów i żołnierzy. Wszędzie stały dżipy z zamontowanymi karabinami maszynowymi. Bezpieczeństwo zapewniały również dwa czołgi i kilka transporterów opancerzonych.

Dziennikarze oraz pracownicy Kongresu, chcąc przedostać się na Kapitol, musieli „sforsować” trzy pierścienie ogrodzeń i prowizorycznych zapór z drutu kolczastego; za każdym razem poddawano ich skrupulatnej rewizji w poszukiwaniu broni. Na niebie widać było śmigłowce. Żadna grupa partyzantów pragnących dokonać sabotażu lub zamachu nie mogłaby zbliżyć się do budynku bliżej niż na kilka mil, nawet gdyby zamierzała przeprowadzić samobójczy atak.

Faktycznie władze urządziły ów pokaz siły gwoli podkreślenia powagi chwili. Jestem pewien, że widok takiej masy wojska i uzbrojenia wokół Kapitolu utwierdził widzów w przekonaniu, że Ameryce zagraża duże niebezpieczeństwo, toteż rząd sięga po środki nadzwyczajne.

Nieoczekiwanie, gdy kamerzyści rozpoczęli już przygotowania do zakończenia pierwszej części transmisji i przekazania widzom obrazu głównej sali Izby Reprezentantów, gdzie na mównicę miał za chwilę wejść prezydent, około 200 jardów na północny zachód od gmachu eksplodował pocisk mózdzierzowy (początkowo nikt się jednak nie połapał, co było przyczyną wybuchu). Siedzący przed telewizorami Amerykanie usłyszeli huk, ujrzeli jednak na ekranach zaledwie mały obłoczek szarego dymu unoszący się nad Kapitołem.

Na kilkanaście sekund zapanowało ogólne zamieszanie. Żołnierze w maskach przeciwgazowych pobiegli gromadnie na prawo, podczas gdy na lewo podążyli pędem, z dobytymi pistoletami, tajni agenci o posępnych twarzach. Komentator telewizyjny oznajmił ze strachem w głosie, że na jednym z kapitoliańskich parkingów eksplodowała bomba.

Truł tak jeszcze przez minutę, wdając się w domysły, kto mógł dokonać zamachu, jak zdołał przeszmyglować ładunek przez kontrole, ile było ofiar detonacji, i tak dalej. I wtedy eksplodował następny pocisk.

Trafieniu towarzyszył huk i błysk, a pocisk uderzył niemal pośrodku plutonu żołnierzy obsługujących karabin maszynowy, ukryty za osłoną z worków wypełnionych piaskiem. Ich stanowisko usytuowane było na wschodnim parkingu Kapitolu.

- To nasz mózdzierz! - wrzasnąłem. Każdy obserwator tych wydarzeń o jakim takim doświadczeniu wojskowym na pewno już się domyślał, że użyto właśnie tej broni.

Moździerz to doprawdy fantastyczny oręż, niewielkich rozmiarów, wprost idealny do działań partyzanckich. Pociski rażą cel, spadając bezszelestnie i niemal po linii pionowej. Z moździerza można strzelać, pozostając w całkowitym ukryciu, a rażone osoby żadną miarą nie mogą rozpoznać, z jakiego kierunku nadlatują śmiertelne ładunki.

Natychmiast zmiarkowałem, że nasi towarzysze urządzili sobie stanowisko ogniowe w odosobnionym, gęsto zadrzewionym terenie na zachodnim brzegu Potomacu, odległym o dwie mile od Kapitolu. Jakiś czas temu sprawdzaliśmy z Henrym, czy obszar ów nadaje się do tego celu.

Obliczyliśmy, że wszystkie gmachy ważnych urzędów oraz instytucji federalnych w Waszyngtonie znajdują się w zasięgu rażenia ustawionego tam moździerza kalibru 81 mm.

Po upływie około 45 sekund kolejny pocisk uderzył w dach południowego skrzydła Kapitolu i rozerwał się wewnątrz budynku. Obsługa moździerza wstrzelała się teraz precyzyjnie w cel i niebawem w cztero i pięciosekundowych odstępach zaczęły nadlatywać następne pociski. Niemal wszyscy obecni przed gmachem, w tym również pracownicy z ekip telewizyjnych, rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia, tylko kamerzysta relacjonujący wydarzenia okazał się nieustraszony i pozostał na stanowisku.

Ujrzelśmy unoszące się gęsto przepiękne pióropusze dymu; odłamki pękały z łoskotem na asfalcie, wśród roztrzaskanego muru i trawionych ogniem samochodów, płomienie rozkwitały wewnątrz i na zewnątrz Kapitolu, zbierając swoje krwawe żniwo w owym gnieździe tyranii i zdrady.

Spektakl ów trwał niecałe trzy minuty, lecz należał do najwspanialszych, jakie oglądałem w życiu. Jak przemożne wrażenie musiał wyrzucić na zwykłych, szarych Amerykanach siedzących przed telewizorami!

Dziś mieliśmy jeszcze większą zabawę w Kalifornii i Nowym Jorku. Przed głosowaniem nad wprowadzeniem „antyrasistowskich” przepisów prawnych na swoim terenie Rada Miejska Los Angeles zebrała się w celu obejrzenia transmisji telewizyjnej z Waszyngtonu. Niemal w chwili, gdy rozpoczęły się tam fajerwerki, czterech naszych, legitymujących się fałszywymi dokumentami policyjnymi, weszło na salę obrad i zaczęło ciskać granaty. Zginęło na miejscu ośmiu radnych, a nasi ewakuowali się bez strat.

Godzinę wcześniej bojownicy Organizacji zestrzelili z bazooki w Nowym Jorku samolot rejsowy, który właśnie wystartował do Tel Awiwu. Na pokładzie znajdowali się dygnitarze udający się na wypoczynek (w większości osoby pochodzenia semickiego). Nikt nie ocalał. (Informacja dla Czytelnika: bazooka była przenośną wyrzutnią niewielkich rakietowych pocisków przeciwpancernych, stosowaną w czasie II wojny światowej, t.j. w latach 60-54 p.n.e.; broń ta w roku 8 p.n.e. była już przestarzała. Tel Awiw był największym miastem w Palestynie w okresie żydowskiej okupacji tego nieszczęśliwego kraju. Jego ruiny są jeszcze zbyt radioaktywne i obszar ów nie nadaje się do zamieszkania.)

Był to dla Organizacji pracowity dzień! Niezmiernie podniosły mnie na duchu te demonstracje naszej zdolności wymierzania Systemowi zbieżnych w czasie i kombinowanych uderzeń; jestem pewien, że odczuli to również nasi wszyscy towarzysze. Z późniejszych informacji dowiedzieliśmy się, że mimo całego tego huk, dymu i zniszczenia, w ataku na Kapitol zginęło zaledwie 61 osób, między innymi dwóch kongresmanów, urzędnik podkomisji gabinetowej oraz czterech czy pięciu pracowników

Kongresu. Nie ma zresztą większego znaczenia to, ile było ofiar; wartość dzisiejszych akcji polega przede wszystkim na wywołaniu efektu psychologicznego.

Ważne jest również, że nasza walka z Systemem niezmiernie zyskała na wiarygodności, a jeszcze ważniejsze coś innego: tego popołudnia politycy i biurokraci zrozumieli, że możemy osiągnąć każdego z nich. W miastach mogą szukać osłony za zasiekami z drutu kolczastego i szpalerami czołgów, a w swoich wiejskich rezydencjach mogą się chronić za betonowymi ścianami i zabezpieczać systemami alarmowymi; nic im to jednak nie pomoże, zawsze bowiem jakoś ich dopadniemy i zabijemy. Wszyscy uzbrojeni strażnicy i wszystkie opancerzone limuzyny w Ameryce nie zapewnią im bezpieczeństwa. Otrzymali nauczkę, której nie zapomną.

Teraz szaleją z wściekłości, uroczą przysięgając społeczeństwu, że rozbiją „rasistów” w proch i pył, gdy jednak dobrze sobie wszystko przemyślą, niektórzy spośród nich okażą się na pewno skłonni do „zakupu polisy ubezpieczeniowej”. Wielką słabością Systemu jest jego monstrualne skorumpowanie moralne. Mają wprawdzie nad nami znaczną przewagę w ludziach i w broni, ale każdy z ich przywódców kieruje się tylko i wyłącznie własnym interesem. Gdy uznają, że może im to przynieść korzyści, natychmiast zdradzą System.

Jeśli o nas chodzi, nie możemy wygadać się przed nimi choćby słowem, że i tak zostaną co do jednego powywieszani. Powinniśmy pozostawić ich w przekonaniu, że mogą ubić z nami interes i, gdy System upadnie, ocalić głowy. Tylko Żydzi nie mają złudzeń, jaki oczekuje ich los.

A społeczeństwo? Cóż, jest jeszcze za wcześnie, żeby ocenić jego reakcję na nasze dzisiejsze dokonania. Większość osób wierzy oczywiście w to, w co każe im się wierzyć. Chcą mieć przede wszystkim święty spokój oraz swoje piwo i telewizory. Mają mentalność czytelników kolorowych pism przeznaczonych dla wielbicieli kina oraz nałogowych oglądaczy telewizyjnych sitcomów; towaru tego dostarcza im w dużych ilościach System. (Informacja dla Czytelnika: słowo sitcom oznacza najprawdopodobniej rodzaj telewizyjnego programu, popularnego w ostatnich latach Starej Ery.) Niemniej jednak powinniśmy uważnie śledzić stosunek społeczeństwa do Organizacji. Choć przeważająca część Amerykanów będzie popierać System, dopóki zapewnia im pełne łodówki, musimy prowadzić rekrutację nowych członków, która pozwoli nam uzupełnić osłabione szeregi.

Niepowodzenia w akcji werbunkowej spędzają nam sen z powiek. Podobno na obszarze Waszyngtonu przez dwa ostatnie miesiące nie zdołaliśmy pozyskać ani jednego nowego członka. Jednocześnie straciliśmy około 15 procent stanu osobowego. Cóż, pozostaje tylko żywić nadzieję, że gdzie indziej nie jest tak źle.

Jeśli chodzi o środowiska, na które liczyliśmy, najbardziej zawiedli nas konserwatyści oraz „prawicowcy”. Okazali się najgorszymi w świecie konspiratorami oraz największymi tchórzami. Faktycznie w ich wypadku głupota przerosła nawet tchórzostwo.

Zgodnie z popularną ostatnio wśród konserwatystów teorią spiskową Organizacja pozostaje na żołdzie Systemu. Jesteśmy jakoby płatnymi prowokatorami, którym powierzono zadanie doprowadzenia w kraju do chaosu i wrzenia, by uzasadnić konieczność stosowania przez System kontrrewolucyjnych i antyrasistowskich represji. Sytuacja natychmiast uległaby poprawie gdybyśmy tylko zrezygnowali ze swojej dywersyjnej roboty. Nieważne, czy głosiciele tej teorii wierzą w nią, czy nie: dostarcza im ona powodów do pozostawienia nas samym sobie.

Usytuowanym na przeciwnym biegunie liberałom, traktującym swoją ideologię wyłącznie jak zbiór bezrefleksyjnie powtarzanych formułek, obecnie - kiedy to my staliśmy się radykałami - całkowicie wywietrzała z głów ich miłość do „radykalnego stylu” sprzed kilku lat. To, co powinni myśleć, podpowiadają im „szykowne” pisma i produkujący się na ich łamach dziennikarze. „Być na fali” to znaczy według nich mocno popierać System. Liberałowie, mimo swoich pretensji do intelektualnego wyrafinowania, są poniekąd równie bezmyślni i podatni na manipulację jak konserwatyści.

Z chrześcijanami różnie bywa. Niektórzy należą do naszych najbardziej oddanych towarzyszy. Podłożem ich nienawiści do Systemu jest przeświadczenie, że to on podkopał gmach religii i doprowadził ją do moralnego upadku.

Niemniej jednak wyznawcy największych kościołów w Ameryce opowiadają się przeciwko nam. Wpływy żydowskie w kościołach chrześcijańskich stały się obecnie wszechdominujące, skorumpowanie duchownych zaś dogłębne. Co niedziela kazalnicy prostytutki głoszą swoim wiernym wytyczne Systemu, po czym odbierają swoje trzydzieści srebrników w formie rządowych dotacji „studialnych”, nagród „braterstwa ras”, honorariów za wykłady - no i przychylności prasy. Kolejną niejednorodną grupę stanowią libertarianie. Mniej więcej połowa z nich popiera System, a połowa go potępia. Jednakże wszyscy należący do tej drugiej grupy kierują się przekonaniem, że stanowi on większe zagrożenie aniżeli Organizacja. W miarę wzrostu naszej wiarygodności coraz więcej libertarian będzie przechodzić na stronę Systemu. Prawdopodobnie grupa ta jest i pozostanie dla nas bezużyteczna.

Nie, nie ma teraz żadnej nadziei na zdobycie zwolenników wywodzących się z tych środowisk. Jeśli będziemy rekrutować nowych członków, to wyłącznie z tych grup społeczeństwa, które obecnie pozostają apolityczne.

Pranie mózgow uprawiane przez System nie otumaniało jeszcze wszystkich Amerykanów. Nadal żyją miliony porządnych ludzi, którzy nie wierzą w to, co głosi propaganda Systemu, i którzy nie chcą, by ich sprowadzono, pod względem umysłowym i w ogóle życiowym, do poziomu zwierzęcego. Jest to poziom właściwy tak wielu Amerykanom, płacącym ochoczo tę cenę za zaspokajanie ich potrzeb zmysłowych. Jak jednak mamy motywować tych ludzi, aby przystąpili do nas?

Życie od dawna staje się coraz cięższe i coraz bardziej parszywe, coraz bardziej przemożne stają się wpływy żydowskie. Mimo to jest ono nadal względnie wygodne, a taka wygoda niezmiernie deprawuje, rodząc jednocześnie dziesiątki milionów tchórzy. Wydaje się, że jak dotychczas złowiliśmy w naszą sieć wszystkich prawdziwych rewolucjonistów w Stanach Zjednoczonych. Obecnie musimy nauczyć się, jak ściągnąć do sieci nowych - i to szybko.

14 listopada. Dziś przyjechał do nas Henry, od którego dowiedzieliśmy się szczegółów poniedziałkowego ataku na Kapitol.

Uczestniczyło w nim tylko troje towarzyszy: Henry, mężczyzna, który pomagał mu przenieść rozebrany na części mózdzierz i pociski (wcześniej wybierali razem zalesione miejsce, z którego prowadzili ostrzał), oraz zmontować i ustawić odpowiednio broń, i dziewczyna zaopatrzona w niewielki przenośny nadajnik. Zajęła ona pozycję w parku, opodal Kapitolu, pełniąc funkcję obserwatora. Przekazywała przez radio niezbędne poprawki pomocnikowi Henry'ego, który obsługiwał broń. Okazało się, że ustawienia odległości obliczyłem niemal idealnie.

Wystrzelili wszystkie pociski kalibru 81 mm, stanowiące część łupu z wyprawy do Aberdeen miesiąc wcześniej, toteż Henry zapytał mnie, czy potrafiłbym skonstruować więcej ładunków. Wyjaśniłem mu, że jest to raczej niemożliwe.

Bomby, owszem: możemy produkować je chałupniczo, i to nawet takie o dosyć skomplikowanej budowie. Pociski mózdzierzowe to jednak inna para kaloszy. Ich konstrukcja jest zbyt złożona. Mój produkt byłby co najwyżej toporną repliką oryginału, wątpliwe, czy zdatną do użytku. Żeby znowu użyć mózdzierza, będziemy musieli po prostu obrabować ponownie jakiś magazyn sprzętu wojskowego, co łączy się z dużym ryzykiem.

Rozmawiałem z Henrym również o czymś innym, o ogromnej liczbie ataków bombowych, przy użyciu ładunków stosunkowo niewielkiej mocy, które przeprowadzono w kilku ostatnich dniach. W całym kraju dokonano ich stu lub więcej, w tym w Waszyngtonie cztery. Zdziwiło mnie kilka kwestii związanych z tymi zamachami, głównie wybór celów (były to banki, domy towarowe, biura korporacji), lecz przede wszystkim amatorski sposób przeprowadzenia akcji. Na każdą bombę, która eksplodowała przypadają, jak się wydaje, jeden niewybuch odnajdywany przez policję.

Henry potwierdził moje przypuszczenia: sprawcą zamachów - przynajmniej na naszym obszarze - nie była Organizacja.

Interesujące. Wygląda na to, że mimowolnie pobudziliśmy do działania jakichś anarchistów - czy też diabli wiedzą, kogo - którzy smacznie dotychczas drzemali w ukryciu, niczym korniki w drzewie.

Naturalnie media przypisują to wszystko nam, co jest poniekąd żenujące, biorąc pod uwagę amatorszczyznę zamachów, ale nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Tajnej policji przybyło teraz więcej pracy, co spowoduje, że mniej czasu i wysiłków będzie poświęcać nam. Ponadto rozprzestrzenienie nihilizmu, do czego od dawna przyczyniał się System, może przynieść więcej korzyści nam aniżeli im. Dziś miałem ciekawą przygodę, która łączy się z tą kwestią.

Musiałem wyjechać do Georgetown, żeby pomóc Jednostce nr 4 w rozwiązaniu jakiegoś drobnego problemu związanego ze sprzętem łącznościowym. Georgetown, niegdyś najbardziej wytworna dzielnica Waszyngtonu, uległa w ostatnich pięciu latach tej samej zaradzie, która obróciła pozostałą część stolicy w asfaltową dżunglę. Większość tamtejszych luksusowych sklepów zamknięto, a na ich miejsce powstały bary „gejowskie”, salony masażu erotycznego, stoiska z pornografią, sklepy z alkoholem oraz podobne kapitalistyczne placówki. Chodniki toną w śmieciach, wszędzie aż roi się od Czarnych, co było dawniej nie do pomyślenia.

Właściwie to w Georgetown pozostało wielu Białych. Okna niegdyś luksusowych i eleganckich domów zostały zabite deskami, lecz wiele z nich zajmują grupy squatters, składające się przeważnie z rozmaitych młodych włóczęgów i uciekinierów z domów.

Egzystują oni na marginesie życia, które bywa dla nich okrutne i brutalne. Uprawiają żebranię na ulicach, przeszukują śmietniki w poszukiwaniu odpadków, czasem kradną. Niektóre dziewczęta uprawiają dorywczo prostytucję. Dosłownie wszyscy z tego bractwa - tak przynajmniej myślałem aż do dzisiejszego dnia - znajdują się stale pod wpływem narkotyków. Ponieważ w zeszłym roku System zaprzestał egzekwowania przepisów zakazujących handlu środkami odurzającymi, heroina zrównała się ceną z papierosami i można ją podobnie łatwo kupić.

Policja pozostawia zwykle tę młodzież w spokoju, choć opowieści o tym co się dzieje w ich komunach, budzą często grozę. W swoich fortcach, domach o oknach zabitych tekturą i deskami - w których gotują i spożywają posiłki, śpią, kochają się, rodzą dzieci, szprycują się narkotykami i umierają - powrócili do prymitywnego życia, jakie ludzie prowadzili przed nastaniem cywilizacji. Kwitną wśród nich najdziwniejsze kultury religijne, których ceremonie wymagają obfitych ilości kadzidła i częstego odmawiania zaklęć. Popularne są zwłaszcza rozmaite odmiany satanizmu, przypominające starożytne kultury semickie. Krążą pogłoski, że uprawia się tam tortury rytualne, rytualne mordy, kanibalizm, orgie seksualne oraz inne podobne praktyki.

Pożegnałem się z towarzyszami z „czwórki” - jednostka ta składa się z osób hołdujących zwyczajom cyganerii artystycznej, przeto nie wyróżniających się wyglądem w tutejszym otoczeniu - i szedłem na przystanek autobusowy, gdy nagle ujrzałem scenę aż nazbyt, niestety, banalną. Dwaj młodzi bandyci (przypominali mi Portorykańczyków lub Meksykanów) mocowali się na chodniku z rudą dziewczyną, próbując wciągnąć ją do sieni domu.

Roztropny obywatel udałby ślepego i głuchego, ja jednak zatrzymałem się i ruszyłem w ich kierunku. Dwóch smągłokórych młodzieńców zbiło to na chwilę z tropu, co wystarczyło, by dziewczyna uwolniła się z ich rąk. Gnoje obrzucili mnie ponurym spojrzeniem i kilkakrotnie krzyknęli pod moim adresem jakieś wyzwiska, nie próbowali jednak gonić niedoszłej ofiary, która tymczasem szybko oddaliła się o jakieś trzydzieści metrów.

Ruszyłem swoją drogą. Dziewczyna szła powoli, najwyraźniej licząc, że zrównam się z nią krokiem.

- Dzięki - powiedziała, uśmiechając się blado. Była całkiem ładna, choć bardzo obdarta; miała nie więcej niż siedemnaście lat. Należała bezsprzecznie do „ludzi ulicy” z Georgetown.

Idąc obok siebie, zaczęliśmy rozmawiać. Najpierw przyznała się, że jest bardzo głodna, ponieważ od dwóch dni nic nie jadła. Kupiłem jej zatem hamburgera i napój mleczny. Gdy zjadła, okazało się, że nadal jest głodna, toteż zafundowałem jej drugiego hamburgera i frytki.

Dowiedziałem się od niej kilku ciekawych rzeczy. Najważniejsze: życie w tych środowiskach jest bardziej skomplikowane niż myślałem. Są więc komuny narkomanów, lecz również takie, których członkowie ścisłą abstynencją od tych środków. Są komuny wielorasowe, ale i złożone wyłącznie z Białych. Są komuny o równej liczbie kobiet i mężczyzn, którym obca jest rozwiązłość

seksualna, są także „wilcze stada” złożone wyłącznie z mężczyzn. Istnieją też podziały na tle przynależności do określonych kultów religijnych.

Elsa, bo tak miała na imię dziewczyna, powiedziała mi, że sama nigdy nie ćpała. Opuściła swoją komunę dwa dni wcześniej, po jakiejś wewnętrznej kłótni, i kiedy przechodziłem ulicą, akurat wciągnano ją do kryjówki „wilczego stada”.

Udzieliła mi bezwiednie kilku informacji, mogących naprowadzić nas na ślad osób odpowiedzialnych za te zamachy bombowe, które tak zastanowiły mnie i Henry'ego. Jak się wydaje, przyjaciele Elsy dobrze orientują się, że kilka okolicznych komun „wzięło się za tę robotę - no wie pan, żeby przetrzepać tym wieprzom tyłki”.

Sama Elsa nie przejawiała, jak zdążyłem zauważyć, jakichkolwiek zainteresowań politycznych, a podkładanie bomb nie obchodziło jej. Postanowiłem powstrzymać się od zbytniego wypytywania, ażeby przypadkiem nie nabrała podejrzeń, że jestem gliniarzem.

Zważywszy na okoliczności, nie mogłem sprowadzić Elsy do naszej kwatery, choć muszę przyznać, że mocno mnie kusiło. Na pożegnanie wsunąłem Elsie w rękę banknot pięciodolarowy, ona zaś zapewniła mnie, że przyjmą ją bez trudności do jakiejś innej grupy. Chyba nawet powróci do tej, którą opuściła. Dała mi jej adres na wypadek, gdybym chciał kiedykolwiek zajrzeć.

Wieczorem, gdy zastanawiałem się nad tym zdarzeniem, przyszło mi do głowy, że być może nieświadomie zaniedbaliśmy rekrutację wśród tej młodzieży. Nie wyglądają zachęcająco, to fakt, ale chyba nie od rzeczy byłoby spróbować. Uznałem, że kwestia ta wymaga dalszych rozważań.

Rozdział 10

16 listopada 1991 r. Odpowiedź Systemu na nasz ubiegły tygodniowy atak mózdzierzowy zaczyna przybierać realny kształt. Zacznę od tego, że znacznie trudniejsze stało się poruszanie po ulicach i drogach. Policja i wojsko wzmogły kontrolę i zatrzymują wszystkich: pieszych i pojazdy. Radio ostrzega co godzina, że obywatele podlegają zatrzymaniu w trybie doraźnym, jeśli na żądanie przedstawiciela władzy nie będą mogli potwierdzić swojej tożsamości, legitymując się odpowiednim dokumentem.

Wprawdzie Organizacja zaopatrzyła już niektórych z nas w fałszywe prawa jazdy oraz inne dokumenty, upłynie jednak nieco czasu, nim podobne papiery otrzymają wszyscy członkowie jednostek działających na obszarze Waszyngtonu. Wczoraj Carol była o krok od wpadki. Poszła do supermarketu, żeby kupić dla nas jedzenie na tydzień. Oczekiwała w kolejce do kasy, gdy pojawił się patrol policyjny. Wszystkie wyjścia obstawili funkcjonariusze, którzy przystąpili do kontrolowania klientów.

Kiedy Carol miała już się wycofać, przy jednej z bramek wybuchła awantura. Policjanci zaczęli indagować jakiegoś mężczyznę, który, jak się wydawało, nie miał żadnych dokumentów. Gość wpadł we wściekłość. Gdy zamierzali skuć mu ruce kajdankami, uderzył jednego z gliniarzy i rzucił się do ucieczki.

Dopadli go niemal natychmiast, ale wszyscy razem, jakby paru nie wystarczyło. Wtedy Carol wymknęła się niepostrzeżenie. Z powodu tych kontroli policji brakuje czasu na wypełnianie zwykłych obowiązków, co skwapliwie wykorzystują Czarni oraz inne elementy przestępcze. W kontrolowaniu dokumentów oraz innych działaniach policyjnych uczestniczy również wojsko; żołnierze przede wszystkim jednak strzegą budynków rządowych oraz siedzib mediów.

Ciekawe, że uprawnienia policyjne przyznano także, tłumacząc to nadzwyczajnymi okolicznościami, Komitetom do spraw Stosunków Międzynarodowych, które „udzielają pełnomocnictw” wielu Czarnym utrzymującym się z zasiłków opieki społecznej. Przypomina to sytuację, jaka zaistniała podczas rządowej akcji „Broń”. W Dystrykcie Columbia oraz w Aleksandrii wielu Czarnych zachowuje się butnie i zarozumiale, zatrzymując na ulicach Białych.

Podobno żądają od przechodniów łapówek, grożąc zatrzymaniem. Słyszeliśmy również, że zaciągają niektóre kobiety do swoich „kwater polowych”, w celu poddania ich „dochodzeniu”. Ofiary są rozbierane do naga, zbiorowo gwałcone i bite - wszystko odbywa się w imieniu prawa! Oczywiście media nie zająknęły się ani słowem na temat tych skandalicznych nadużyć, ale szeroko się o nich mówi.

Ludzie są wściekli i przerażeni, nie wiedzą jednak, co robić. Pozbawieni broni, są bezsilni. Znaleźli się na łasce i niełasce Systemu.

Nikt nie ma zielonego pojęcia, dlaczego System rozmyślnie jątrzy, udzielając Czarnym specjalnych uprawnień. Czy rządzący nie pamiętają, jak ogromne oburzenie postępowanie takie wywołało dwa lata temu? Dyskutowaliśmy o tym w naszej jednostce, dochodząc do odmiennych wniosków. Moi koledzy sądzą, że wydarzenia z zeszłego poniedziałku wprowadziły System w stan paniki, toteż tamci urządzają teraz pokaz siły i brutalności.

Może to i racja, ja jednak jestem innego zdania. Mieli przecież aż dwa miesiące na przełknięcie gorzkiej prawdy - tej, mianowicie, iż między nimi a nami toczy się wojna partyzancka. A od pierwszego dotkliwego ciosu, jaki im zadaliśmy, to znaczy od wysadzenia w powietrze budynku FBI, upłynęło blisko pięć tygodni.

Dobrze wiedzą, że w całych Stanach Zjednoczonych jest nas nie więcej niż dwa tysiące; bezsprzecznie wiedzą również, że wojnę na wyniszczenie przegramy. Myślę, że to szczucie Czarnych na Białych stanowi czynnik przewencyjny. Poprzez zastraszenie białej ludności utrudniają Organizacji prowadzenie werbunku, przyspieszając w ten sposób nasz koniec. Bili utrzymuje jednak, że reakcja Białych na kolejne działania Komitetów do spraw Stosunków Międzyludzkich oraz watah ich „pełnomocników” ułatwi nam akcję rekrutacyjną. Było to w pewnej mierze prawdą w roku 1989, ale biali Amerykanie tak przywykli przez ostatnie dwa lata do tyranii Systemu, że jego ostatnie posunięcie zastraszy ich kompletnie, wybijając z głów wszelką myśl o buncie i przeciwdziałaniu. Cóż, poczekamy, zobaczymy.

Tymczasem czeka mnie masa roboty. Dowództwo Terenowe Waszyngtonu zamówiło u mnie 30 nadajników i 100 odbiorników. Mają być gotowe do końca roku. Bóg raczy wiedzieć, jak podołam temu zadaniu, sądzą jednak, że powinienem się pospieszyć.

27 listopada. Dzisiejszego ranka harowałem jak wół, konstruuąc sprzęt łącznościowy. Trzy dni temu, we wtorek, po zdobyciu ostatnich niezbędnych elementów, urządziłem w pomieszczeniu warsztatowym prowizoryczną linię montażową, zatrudniając Carol i Katherine w charakterze robotnic. Jeśli zdołam je przyuczyć do wykonywania niektórych prostych operacji, to być może dotrzymam terminu.

Wczoraj jednak otrzymałem wezwanie z DTW, co spowodowało, że byłem nieobecny od rana aż do dziś, do godziny 22.00. Powodem wezwania było między innymi poddanie mnie „testowi lojalności”.

O tym jednak nie wiedziałem, gdy znalazłem się w umówionym miejscu. Był to mały sklepik z upominkami, ten sam, w którym sądziliśmy Harry'ego Powella.

Strażnik wprowadził mnie do niewielkiego biura znajdującego się obok podziemnego magazynu. Oczekiwało tam dwóch towarzyszy, major Williams z Dowództwa Rewolucyjnego oraz niejaki dr Clark, jeden z naszych „legatów”, który okazał się psychologiem-klinicystą.

Williams wyjaśnił mi, że Organizacja wprowadziła procedurę sprawdzania świeżo zwerbowanych członków mających działać w podziemiu. Celem tej próby jest sprawdzenie rzeczywistych motywacji i poglądów kandydata, jak również demaskowanie ewentualnych agentów tajnej policji oraz „odsiewanie” osób nie nadających się z innych powodów.

Oprócz rekrutów sprawdza się również pewną liczbę weteranów, ściślej mówiąc osoby wykonujące obowiązki, które ze względu na swój charakter dają im dostęp do informacji szczególnie cennych dla tajnej policji. Z uwagi choćby na fakt, iż dysponuję szczegółową wiedzą o naszym systemie łączności, zostałem włączony do tej kategorii. Ponadto moja praca powoduje, że utrzymuję kontakt z ponadprzeciętną liczbą członków innych jednostek.

Według wcześniejszych ustaleń żaden członek jednostki działającej w podziemiu nie powinien znać ani jednego towarzysza z innej jednostki czy też miejsca jej stacjonowania. Plany te jednak wzięły w łeb. Zważywszy na wydarzenia ostatnich miesięcy, kilku naszych członków z obszaru Waszyngtonu mogłoby zdradzić, z własnej woli albo w wyniku tortur, pokaźną liczbę kolegów.

Po akcji „Broń” zaczęliśmy niezwykle ostrożnie prowadzić pracę werbunkową, sprawdzając starannie nowo pozyskanych członków; niemniej nigdy wcześniej nie słyszałem o procedurze, jakiej mnie poddano. Zaaplikowano mi jakieś zastrzyki, chyba co najmniej dwa, choć za to nie ręczę, gdyż już pierwszy wprowadził mnie w stan oszołomienia. Następnie w różnych częściach mojego ciała umieszczono sześć elektrod. Ujrzałem jaskrawe, pulsujące światło, po czym straciłem wszelki kontakt z otoczeniem, choć do moich uszu dochodziły wyraźnie głosy przesłuchujących mnie towarzyszy. Jakies trzy godziny później obudziłem się na pryczy, ziewając i przeciągając się. Później dowiedziałem się, że moje przesłuchanie trwało nie dłużej niż pół godziny. Czułem się jakby odświeżony na ciele i umyśle; nieznany specyfik, jaki mi podano, nie wywołał chyba żadnych przykrych skutków ubocznych. Wstałem, a wtedy podszedł do mnie strażnik. Zza zamkniętych drzwi usłyszałem stłumione głosy - badano tam kogoś innego. Obok spał na pryczy inny mężczyzna. Domyśliłem się, że przeszedł niedawno podobne badanie co ja.

Wprowadzono mnie do innego pomieszczenia, maleńkiego pokoiku wyposażonego tylko w metalowy stolik pod maszynę do pisania. Leżała na nim książka grubości około dwóch cali; jej czarna plastikowa oprawa przypominała wyglądem okładki maszynopisów. Strażnik polecił mi przeczytać dokładnie książkę; dodał, że gdy skończę, będzie ze mną ponownie rozmawiać major Williams. Wyszedł zamykając drzwi za sobą.

Nie zdążyłem sięgnąć po książkę, gdy pojawiła się dziewczyna z tacą kanapek i dzbankiem gorącej kawy. Podziękowałem jej za poczęstunek, a ponieważ byłem głodny, wziąłem się do jedzenia i picia, przerzucając jednocześnie pobieżnie tekst. Gdy cztery godziny później przeczytałem ostatnią stronę, moje kanapki - w tym również niedojedzone resztki pierwszej - nadal leżały na tacy. Dzbanek również był niemal pełen wystygłej kawy. Czułem się, jakbym dopiero co powrócił na Ziemię, do tego małego pokoiku, z tysiącletniej podróży poprzez czas i przestrzeń.

Treść przeczytanej książki (liczyła około 400 stron maszynopisu) przeniosła mnie, działającego w podziemiu bojownika Organizacji, z tego świata oraz z codziennego bytu na wierzchołek wysokiej góry, z którego ujrzałem bezkresny krajobraz: narody, ludy i rasy. Ujrzałem epoki i stulecia, parujące pierwotne bagna sprzed milionów lat, a jednocześnie niezmierzone możliwości jakie niosą nam przyszłe wieki i tysiąclecia.

Naszą obecną walkę - ale też Organizację, jej dalekosiężne cele oraz stawkę w dramatycznej grze, jaka się toczy - autor lub autorzy książki umieścili w znacznie szerszym kontekście aniżeli wynikało to z moich wcześniejszych rozważań. Powiem inaczej: często myślałem o wielu sprawach opisanych w książce, nigdy jednak nie zdołałem ogarnąć ich umysłem w spójną całość. Nigdy też nie uświadamiałem sobie wszystkiego tak jasno i wyraźnie jak teraz. (Informacja dla Czytelnika: Turner pisze oczywiście o Księdze. Wiadomo z innych źródeł, że powstała ona około dziesięciu lat przed spisaniem Księgi Męczenników, czyli prawdopodobnie około 9 r. p.n.e., lub roku 1990 według dawnego kalendarza. Turner wspomina o „maszynopisie”, nie jest jednak jasne, czy ma na myśli kopię właściwego maszynopisu, czy też oryginał. Jeśli oryginał, może być to jedyna wzmianka o oryginalnej wersji Księgi! Do dzisiejszych czasów przetrwało kilka kopii maszynopisu w oprawie podobnej do tej, o jakiej wspomina Turner, ale archeolodzy nie odnaleźli jak dotychczas oryginalnego egzemplarza.)

Po raz pierwszy pojąłem dogłębnie znaczenie naszej działalności. Zrozumiałem, dlaczego musimy zwyciężyć, i nie ma przy tym znaczenia, jakich środków użyjemy, żeby odnieść to zwycięstwo i ilu z nas wcześniej polegnie. Kształt teraźniejszości oraz przyszłości zależy tylko i wyłącznie od nas. Jesteśmy narzędziem w ręku Boga, narzędziem służącym Mu do realizacji Wielkiego Planu. Może

wydawać się dziwne, że powyższe słowa przytoczył ktoś taki jak ja (nigdy wcześniej nie byłem zbyt religijny), zapewniam jednak, że piszę szczerą, najszczerzą prawdę.

Siedziałem tak i rozmyślałem, gdy do pokoju wszedł major Williams. Zamierzał zaprosić mnie do siebie, zauważył jednak niedojedzone kanapki. Przyniósł więc sobie krzesło, po czym usiadł i zachęcił mnie do jedzenia i picia. Rozpoczęliśmy rozmowę.

Wyjaśnił mi, że jeśli kandydat nie przejdzie pomyślnie próby, raczej nie budzi się już z „drzemki”, w jaką zapada. Dlatego System nigdy się nie dowie, czemu jego szpiegdy tajemniczo znikają. Dodał, że dotychczas zdemaskowano w ten sposób ponad trzydziestu nasłanych agentów, w tym kilka kobiet. Aż zadrżałem na myśl, co by się ze mną stało, gdyby w czasie przesłuchania okazało się, że jestem zbyt słaby psychicznie albo też nie dość lojalny. Przez chwilę odczuwałem również złość i oburzenie, że dr Clark, który nigdy nie działał w podziemiu tak jak ja, decyduje o moim życiu albo śmierci. Uczucia te szybko jednak ustąpiły pod wpływem refleksji, że bycie „legałem” nie przynosi przecież ujmy. Dr Clark, jak się zresztą dowiedziałem, pozostał „na powierzchni”, ponieważ jego nazwisko nie figurowało na sporządzonej we wrześniu przez FBI liście osób podlegających zatrzymaniu.

„Legałowie” odgrywają w naszej walce równie ważną rolę, jak towarzysze działający w podziemiu. Są nieocenieni w akcji propagandowej oraz werbunkowej - która sama w sobie stanowi dla nas jedyną formę kontaktów ze światem zewnętrznym - i, prawdę powiedziawszy, są bardziej niż my narażeni na zdemaskowanie i aresztowanie.

Major, wyczuwając o czym myślę, położył mi dłoń na ramieniu, po czym zapewnił z uśmiechem, że przeszedłem próbę celująco i zostanę wprowadzony do wybranej, wewnętrznej struktury istniejącej w Organizacji. Lektura książki stanowiła pierwszy stopień wtajemniczenia.

Kolejnego dostąpiłem godzinę później w sklepie na górze. Sześciu z nas utworzyło luźne półkole. Było już po godzinach pracy, a okna szczelnie zasłonięte. Pomieszczenie oświetlał jedynie blask dwóch dużych świec, ustawionych nieco z tyłu. Miałem tam wejść jako przedostatni w kolejności. Na szczycie schodów zatrzymała mnie ta sama dziewczyna, która przyniosła wcześniej kawę i kanapki. Wręczyła mi obszerną szatę z kapturem, uszytą z jakiegoś zgrzebnego szarego materiału, przypominającą habit zakonny. Kiedy włożyłem ów strój, dziewczyna pokazała mi, gdzie mam stanąć, po czym gestem dłoni nakazała zachowanie ciszy.

Nie widziałem zasłoniętych kapturami twarzy uczestników tego osobliwego zgromadzenia. Gdy jednak usłyszałem, że na szczyt schodów wchodzi jeszcze ktoś, odwróciłem w tamtym kierunku głowę i ujrzałem ku najwyższemu zdumieniu, jak szatę wkłada wysoki i krzepki mężczyzna przyodziany w mundur sierżanta miejskiej policji Dystryktu Columbia.

Wreszcie innymi drzwiami wszedł od tyłu sklepu major Williams. Miał również na sobie szarą szatę, ale z odrzuconym do tyłu kapturem, toteż dwie ustawione po bokach świece rzucały blask wprost na jego twarz.

Przemówił do nas cichym głosem, wyjaśniając, że każdy z obecnych, uznany za godnego przynależności do Zakonu, przeszedł pomyślnie Próbę Słowa oraz Próbę Czynu. Ujmując rzecz inaczej, udowodniliśmy to wykazując nie tylko należyty stosunek do Sprawy, lecz również poprzez działanie - w walce o urzeczywistnienie Sprawy.

Jako członkowie Zakonu, kontynuował, staniemy się strażnikami i nosicielami Wiary. Przyszli dowódcy Organizacji wywodzić się będą wyłącznie z naszych szeregów. Powiedział nam również o wielu innych rzeczach i sprawach, wspominając niekiedy to, o czym godzinę temu przeczytałem.

Zakon, dodał, pozostanie tajną, ściśle zakonspirowaną strukturą, nawet w szeregach Organizacji. Będzie tak aż do chwili realizacji naszego celu - czyli do zniszczenia Systemu. Następnie pokazał nam Znak, za pomocą którego możemy się rozpoznać.

Wreszcie każdy z nas wypowiedział rotę Przysięgi, potężnej i przejmującej Przysięgi, która wstrząsnęła moją duszą, wzbudzając we mnie śmiertelną trwogę.

Gdy wychodziliśmy pojedynczo, w odstępach jednonumutowych, dziewczyna odbierała od nas szaty, a major wkładał na szyje małe wisiorki zawieszane na złotych łańcuszkach. Wyjaśnił wcześniej, co to takiego. Wewnątrz każdego wisiorka znajdowała się maleńka szklana ampułka. Nigdy nie wolno nam zdjąć tej ozdoby.

W razie szczególnego niebezpieczeństwa i zagrożenia pojmaniem należało wyjąć ampułkę i włożyć ją do ust. Gdybyśmy dostali się do niewoli, bez szans na szybką ucieczkę, mieliśmy rozgryźć ampułkę zębami. Śmierć nastąpi bezboleśnie i niemal natychmiast.

Nasze życie stało się obecnie własnością Zakonu. Dziś, że tak powiem, nastąpiły moje ponowne narodziny. Wiem, że już nigdy nie będę patrzeć na świat, ludzi, czy też na własne życie, z dotychczasowej perspektywy.

Wieczorem, kiedy rozbierałem się do snu, Katherine zauważyła natychmiast wisiołek i oczywiście zapytała, skąd go mam. Chciała też koniecznie wiedzieć, co robiłem przez cały dzień.

Na szczęście jest ona dziewczyną (istny skarb!), w rozmowie z którą można być całkowicie szczerym. Powiedziałem jej więc, co znajduje się wewnątrz, i dodałem tytułem wyjaśnienia, że muszę stale nosić ów wisiołek w związku z nowym zadaniem jakie wykonuję dla Organizacji; przysięgałem jednak że nie zdradzę nikomu żadnych szczegółów, przynajmniej na razie.

Katherine nadal oczywiście dręczyła ciekawość, lecz już nie wypytywała dalej.

Rozdział 11

28 listopada 1991 r. Dziś wieczorem zdarzył się bardzo przykry incydent, który mógł mieć dla naszej jednostki jak najgorsze skutki. Do budynku próbowało dostać się przemocą kilku młodych ćpunów. Musieliśmy zlikwidować ich i pozbyć się ciał wraz z samochodem. Coś podobnego spotkało nas po raz pierwszy, jednak to, iż dom wydaje się opuszczony, może przysporzyć nam w przyszłości więcej podobnych kłopotów.

Jedliśmy na górze kolację, gdy na parking wjechał jakiś samochód, uruchamiając czujnik alarmowy. Zszedłem z Billem do nie oświetlonego garażu, po czym wyrzeliśmy na zewnątrz przez specjalny otwór.

Samochód stał z wyłączonymi światłami, a jeden z pasażerów próbował otworzyć drzwi. Następnie zaczął odrywać deski, którymi były zabite. Z auta wysiadł drugi młodzieniec i zaczął mu pomagać. Z powodu ciemności nie dostrzegaliśmy ich twarzy, lecz usłyszeliśmy rozmowę. Intruzi okazali się naturalnie Murzynami i niewątpliwie zamierzali wejść do środka jakąkolwiek drogą.

Bili spróbował odwieść ich od tego zamiaru.

- Hej, człowieku, tu już zajęte. Kitraj styję w troki i spadaj stąd - krzyknął, naśladując udatnie żargonowe słownictwo oraz intonację mieszkańców gett.

Dwóch Czarnych odskoczyło w przerażeniu od drzwi. Zaczęli rozmawiać szeptem, a tymczasem z samochodu wyszły dwie kolejne postacie. Następnie pomiędzy Billem i jednym z nowo przybyłych wywiązał się taki oto dialog:

- Bracie, nie wiedzieliśmy, że ktoś tu już jest. Szukamy jakiejś chaty, żeby dać sobie w kanał.

- No to teraz kumacie, że zajęte, nie? Odpływajcie!

- Coś taki wkurzony, bracie? Wpuść nas. Mamy herę i laski. Sam tu jesteś?

- Nie, nie sam i nie chce mi się grzać. Lepiej spadaj stąd, człowieku.

(Informacja dla Czytelnika: dialekt amerykańskich Murzynów zawierał wiele określeń odnoszących się do zażywania narkotyków, która to plaga stanowiła nieodłączną cechę tej rasy aż do jej końca. Słowo „hera” oznaczało heroinę, szczególnie popularną wśród nałogowców pochodną opium. „Dawać w kanał” to nic innego, jak wstrzykiwać ją w żyłę. Narkomańskie praktyki Murzynów, jak również wiele słów i określeń pochodzących z ich dialektu, przejęła biała ludność Stanów Zjednoczonych w okresie wielorasowości, narzuconej przez władze w pięciu ostatnich dekadach Starej Ery.)

Zabiegi Billa okazały się jednak nieskuteczne. Drugi z Murzynów zaczął bębnić rytmicznie w drzwi garażu, pokrzykując:

„otwieraj bracie, otwieraj”. Ktoś w samochodzie włączył radio i rozległ się ogłuszający jazgot muzyki Czarnych.

Ostatnią rzeczą, jakiej chcieliśmy, było zaalarmowanie policji albo kogoś z firmy transportowej w sąsiedztwie, toteż błyskawicznie ułożyliśmy z Bille plan działania. Uzbroiliśmy dziewczyny w strzelby, polecając im zająć stanowiska za stosem skrzyń z boku pomieszczenia. Sam wziąłem pistolet, wymknąłem się tylnymi drzwiami, po czym obszedłem niepostrzeżenie budynek. Trzymałem teraz intruzów na muszce od zewnątrz.

- Gites, gites - zawołał Bili - otwieram, człowieku. Wjeżdżajcie do środka.

Gdy uruchomił mechanizm podnoszący drzwi, jeden z Murzynów powrócił do samochodu i zapuścił silnik. Bili stanął obok z opuszczoną głową, kiedy więc został na krótko oświetlony przez reflektory, nikt nie zauważył, że jest biały. Wszyscy Murzyni znaleźli się w garażu, on zaś zaczął opuszczać drzwi. Jednakże prowadzący zahamował zbyt wcześnie, toteż pozostały niedomknięte, a kierowca zlekceważył prośbę Billa, żeby przesunął wóz jeszcze kawałek do przodu.

W następnej chwili jeden z Murzynów, którzy weszli do garażu piechotą spojrzął uważnie na mojego przyjaciela i wrzasnął:

- Uważajcie, to biefuch!

Bili włączył światła. Spoza skrzyń wyszły z wycelowanymi strzelbami Katherine i Carol, a ja wśliznąłem się pod półotwartymi drzwiami.

- Wszyscy wysiadać i kłaść się twarzami do podłogi - zarządził Bili, otwierając jednym szarpnięciem drzwiczki od strony kierowcy.

- Jazda, brudasy, wyłączyć!

Spojrzeli przerażeni na wymierzoną w nich broń i przystąpili do wykonywania polecenia, głośno jednak protestując. Okazało się, że dwoje intruzów nie było Murzynami. Gdy cała szóstka leżała już na betonie, ujrzeliśmy trzech czarnych mężczyzn, jedną czarną kobietę oraz dwie białe dziwki. Na ich widok potrząsnąłem głową z odrazą; żadna nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat.

Szybko podjęliśmy decyzję. Nie chcąc, żeby w sąsiedztwie usłyszano strzelaninę, wziąłem w ręce ciężki łom, a Bili łopatę. Rozpoczęliśmy z dwóch przeciwnych stron, a dziewczyny ubezpieczały nas. Pracowaliśmy w ciszy i z precyzją, wymierzając każdemu z leżących jedno uderzenie w potylicę.

Pozostało już tylko dwoje, lecz wtedy wypadki przybrały niespodziewany obrót. Ostrze łopaty Billa ześliznęło się po czaszce jednego z Murzynów i utkwiono w ramieniu leżącej obok białej dziewczyny, nie zadając jednak śmiertelnej rany. Nim wzniósłem łom, żeby poprawić robotę, suka poderwała się i czmychnęła niczym błyskawica.

Po wejściu do garażu zasunąłem za sobą jak najdokładniej drzwi, ale zamek nie zaskoczył i w rezultacie uchylły się one same, tworząc szczelinę o szerokości około sześciu cali. Diablica przycisnęła się przez otwór i puściła pędem ku ulicy. Biegłem o dziesięć jardów za nią.

Zamartem z przerażenia na widok smugi światła na ciemnym chodniku, tuż przed nią. Z sąsiedniego parkingu wyjeżdżała na ulicę wielka ciężarówka. Jeśli dziewczyna znajdzie się na ulicy, oświetlają reflektory i zauważy kierowca.

Uniosłem bez wahania pistolet i wystrzeliłem; dziewczyna osunęła się na ziemię tuż za obrośniętym zielskim płotem, oddzielającym nasz parking od sąsiedniego. Oddałem nad wyraz szczęśliwy strzał, nie tylko celny i skuteczny: zagłuszył go kompletnie ryk przyspieszającego silnika. Przykucnąłem złany zimnym potem i odczekałem, aż ciężarówka zniknie w oddali.

Załadowałem z pomocą Billa sześć trupów do tylnej części samochodu Murzynów. Następnie Bili odjechał (Carol eskortowała go z tyłu, jadąc naszym wozem); pozostawił pojazd wraz z makabrycznym ładunkiem pod jakąś murzyńską restauracją w śródmieściu Aleksandrii. Niech policja kombinuje i szuka sprawców!

Praca nad nowym sprzętem łącznościowym idzie mi całkiem dobrze. Dziewczęta zmontowały do kolacji - i do tego nieszczęsnego wieczornego incydentu - tyle sztuk aparatury, że nie nadązałem z dostrajaniem i sprawdzaniem ich działania. Gdybym miał lepszy oscyloskop i jeszcze kilka innych instrumentów, pracowałbym szybciej.

30 listopada. Rozmyślałam o sobotnim wydarzeniu i ze zdumieniem konstatuje, że nie odczuwam żadnych wyrzutów sumienia czy też żalu z powodu zabicia tamtych białych kurewek. A przecież

jeszcze pół roku temu nie mógłbym nawet wyobrazić sobie, że oto masakruję z zimną krwią białą nastolatkę, bez względu na to czym zawniła. Ostatnio jednak zacząłem bardziej realistycznie spoglądać na życie. Myślę, że tamte dwie dziewczyny wybrały towarzystwo Czarnych, ponieważ zostały zarażone chorobą liberalizmu. Jej rozsądnymi są szkoły i kościoły, a także plastikowa pop-kultura, którą System obficie raczy młodzież. Gdyby wychowywały się w zdrowym społeczeństwie, zapewne zachowałyby choćby odrobinę dumy rasowej.

Jednakże takie rozważania są nieistotne na obecnym etapie naszej walki. Dopóki nie będziemy dysponować radykalnymi środkami służącymi usunięciu tej choroby, dopóty musimy stosować w tym celu inne metody, na podobieństwo hodowcy, który bezlitośnie usuwa chore sztuki zwierząt, nie chce bowiem narazić na zagładę całego stada. Dziś nie czas na babskie żale i załamywanie rąk.

Ta ostatnia prawda zapadła dobitnie w naszą świadomość, gdy oglądaliśmy wieczorne wiadomości telewizyjne. Komitet do spraw Stosunków Międzynarodowych w Chicago zorganizował potężny wiec „antyrasistowski”. Miał to być protest przeciw piątkowemu ostrzelaniu z broni maszynowej samochodu, którym jechali murzyńscy „pełnomocnicy”. Zamachu dokonano w biały dzień w centrum miasta, sprawcą zaś była prawdopodobnie Organizacja. Zginęło wprawdzie tylko trzech Czarnych, lecz System uznał, że incydent ów można znakomicie wykorzystać w celu osłabienia nienawiści Białych skierowanej przeciw Komitetom oraz pozostającym na ich usługach hordom murzyńskich bandziorów. Ci „pełnomocnicy” dokonywali w Chicago na bezbronnym Białym jeszcze bardziej ohydnych aktów gwałtu i przemocy aniżeli na naszym terenie.

W demonstracji, o której trąbiły wszystkie media obszaru Chicago i okolic, uczestniczyło początkowo blisko 200 tysięcy osób - ponad połowa z nich to Biali. Ludzi zwożono na miejsce ze wszystkich przedmieść setkami specjalnych autobusów dostarczonych przez przedsiębiorstwa transportu miejskiego. Tysiące młodych czarnych kryminalistów, noszących na rękawach opaski z emblematem Komitetu, przechadzało się butnie wzdłuż szeregów, „pilnując ładu i porządku”.

Przemawiały, jak zwykle przy takich okazjach, rozmaite polityczne i kościelne prostytutki, nawołując żarliwie do przestrzegania zasad rasowego „braterstwa” i „równości”. Potem wszedł na mównicę jakiś „Tom” - marionetka Systemu.

Wygłosił płomienne przemówienie, w którym wzywał do wykorzenienia „zła białego rasizmu” - raz na zawsze. (Informacja dla Czytelnika: „Tom” to gwarowe określenie Murzyna, rzecznika interesów władz lub Żydów. „Tomowie” byli mistrzami sztuki manipulowania masą współplemieńców, znakomicie opłacanymi przez System. Na ostatnim etapie Rewolucji nawet Organizacja korzystała niekiedy z ich usług, jeśli zachodziła potrzeba przerzucenia milionów Czarnych z obszarów miejskich do obozów odosobnienia, co powinno było nastąpić przy minimalnych stratach w ludziach po stronie Białych.)

Następnie fachowi agitatorzy z Komitetu wprowadzali rozmaite sektory tłumu w stan szaleństwa. Ci młodzi i smagli Żydkiwie o kręconych włosach, posługujący się przenośnymi megafonami z elektronicznym wzmocnieniem głosu, okazali się prawdziwymi profesjonalistami. Żądni krwi demonstranci tak nienawistnie złorzeczyli „białym rasistom”, że gdyby któregoś dopadli, natychmiast zostałby rozszarpany.

Z wraskiem „zabić rasistów!” i okrzykami wyrażającymi braterską miłość tłum ruszył przez śródmieście. Czarni „pełnomocnicy” nakazywali klientom mijanych sklepów, robotnikom i biznesmenom, którzy znaleźli się na trasie pochodu, dołączenie do maszerującej kolumny. Jeśli ktoś odmawiał, był bity do nieprzytomności.

Potem bandy Czarnych zaczęły wchodzić do okolicznych placówek handlowych i biurowców, wykrzykując przez swoje tuby ze wzmacniaczami, że wszyscy mają wyjść na ulicę. Wystarczyło im zwykle skopać dla przykładu na krwawą miazgę kilku opornych Białych, żeby pozostałe osoby zrozumiały, iż to nie przelewki i dołączyły do demonstracji.

Tłum gęstniał; pod koniec imprezy liczył już blisko milion osób. Czarnuchy z opaskami na rękawach stawali się coraz bardziej wojowniczy. Każdy Biały, który w ich mniemaniu nie wykrzykiwał hasła odpowiednio głośno, narażał się niechybnie na pobicie

. Na trasie zdarzyło się kilka szczególnie ohydnych incydentów, które chciwie filmowały kamery telewizyjne. Ktoś zawołał, że w pobliskiej księgarni handluje się literaturą „rasistowską”. Za moment grupa złożona z kilkunastu demonstrantów (tym razem byli to w większości młodzi Biali) oderwała się od pochodu i przystąpiła do ataku. Wybito szyby w witrynach sklepu, ci zaś, którzy wtargnęli do środka, zaczęli wyrzucać na chodnik sterty książek.

Gdy pierwszą furię napastników uśmierzyło wściekle wrywanie garściami stronic i ciskanie ich w powietrze, na chodniku rozpalono ognisko, do którego wrzucano resztę towaru. Potem napastnicy wywlekli z księgarni białego sprzedawcę i zaczęli go bić. Nieszczęśnik runął na ziemię, a wtedy ruszył na niego tłum, tratując i kopiąc bezwładne ciało. Pokazano zbliżenie tej przerażającej sceny. Twarze białych demonstrantów znaczył grymas nienawiści - do własnej rasy!

Bohaterem kolejnego incydentu, którego przebieg również zaprezentowano telewizjom na zbliżeniach, stał się kot. Ktoś w tłumie dostrzegł dużego piwnicznika o jasnej sierści.

- Zatluc drania, zatluc bielucha! - wrzasnął. Około tuzina demonstrantów odłączyło się od kolumny i puściło w pogoń za nieszczęsnym stworzeniem. Po chwili powrócili, trzymając w dłoniach skrwawione kocie ścierwo, ci zaś w tłumie, którzy obserwowali zajście, wzniesli radosne okrzyki. Czysta paranoja! Nie potrafię doprawdy oddać słowami przygnębienia, w jakie wprawił nas ów spektakl.

I o to oczywiście chodziło organizatorom demonstracji. Są oni wytrawnymi psychologami i doskonale rozumieją, że masowy terror świetnie służy zastraszeniu ludzi. Wiedzą oni również, że miliony Amerykanów, którzy w duchu ich nienawidzą, będą teraz jeszcze bardziej obawiali się otworzyć usta.

Jak to jest możliwe, zachodziłem w głowę, że nasi rodacy - biali Amerykanie - stali się pozbawionymi honoru kreaturami, pełzającymi u stóp swoich ciemniejszyeli, gotowymi spełnić każdy ich kaprys? Czy możemy wśród tego motłochu prowadzić akcję werbunkową w celu pozyskania bojowników dla armii rewolucyjnej? Czy nie śnię? Czy to rzeczywiście przedstawiciele tej rasy 20 lat wcześniej spacerowali po Księżycu i sięgali ku gwiazdom? O, cóż za upadek!

Coraz dobitniej dociera do naszej świadomości fakt, że przegramy naszą walkę, jeśli nie poleją się strumienie - małe, prawdziwe rzeki - krwi.

O padlinie pozostawionej przez nas w sobotę w Aleksandrii wspomniano pokrótce jedynie w lokalnych wiadomościach, ani słowem w ogólnokrajowych. Przyczyną tego milczenia jest, jak przypuszczam, powszechność tego rodzaju faktów, nie zasługujących na szersze omawianie w mediach. Władze przemilczały „znalezisko”, ponieważ uznały, że zbrodnia ma charakter rasowy, toteż naśladownictwo byłoby z ich punktu widzenia niepożądane.

Rozdział 12

4 grudnia 1991 r. Dziś pojechałem do Georgetown, żeby porozmawiać z Elsą, małą rudowłosą „giganciarą”, którą poznałem kilka tygodni wcześniej. Zamierzałem ocenić dokładniej, w jakiej mierze niektórzy z jej przyjaciół mogliby okazać się przydatni w naszej wojnie.

Niektórzy członkowie z tego bractwa albo ludzie wywodzący się z podobnych środowisk zaczęli już prowadzić walkę na własną rękę. W zeszłym miesiącu zdarzyło się wiele incydentów, z którymi Organizacja nie ma nic wspólnego. Podkładano bomby, dokonywano podpaleń, porwań i aktów sabotażu, organizowano demonstracje połączone z zamieszkami, grożono śmiercią znanym osobistościom, a nawet dopuszczano się dwóch zabójstw, o których szeroko informowały środki przekazu.

Do zamachów i aktów przemocy przyznawało za każdym razem tyle rozmaitych grup - anarchiści, sprzeciwiający się płaceniu podatków, „fronty wyzwolenia” wszelkiej maści, z pół tuzina dziwacznych sekt religijnych - że człowiek doprawdy tracił orientację w tym galimatiasie. Wydawało się, że w całą aferę zamieszany jest każdy, kto ma na pieńku z władzą.

Sprawcy okazywali się przeważnie tak nieudolnymi amatorami, że wygląda na to, iż nawet nasze zintegrowane rasowo FBI wykonuje poniekąd dobrą robotę., tropiąc ich i wyłapując. Niemniej na miejsce zatrzymanych wciąż pojawiają się następcy.

Wydaje się, że większość tej „konkurencji” skłania do aktywności ogólny klimat rewolucyjnej przemocy i rządowej kontrprzemocy, jaki nastał w Ameryce w wyniku działań Organizacji.

Wszystkie te zamachy dowodzą, że System nie zdołał zawładnąć bez reszty umysłami obywateli. Większość Amerykanów myśli rzecz jasna schematami podsuwanymi przez najwyższych kapłanów religii telewizyjnej, ale rosnąca liczebnie mniejszość zbuntowała się, uznając System za nieprzyjaciela numer jeden. Niestety, uczucie nienawiści jakim go darzy ma niewłaściwe podłoże ideologiczne. Ponadto byłoby zapewne niemożliwe skoordynowanie wszystkich tych działań, o których wspomniałem.

Istotnie, najczęściej nie sposób doszukać się w tych akcjach żadnych racjonalnych motywów. Mamy po prostu do czynienia z masowym wyładowywaniem frustracji, co przybiera postać wandalizmu, nie zaś politycznego terroryzmu. Ludzie ci pragną jedynie coś zniszczyć, zaszkodzić w jakiś sposób osobom, z których winy świat, nasz amerykański świat, nie nadaje się do życia. Wandalizm praktykowany na tak masową skalę jak obecnie jest zjawiskiem, z którym policja polityczna na dłuższą metę sobie nie poradzi. Przegra z powodu zmęczenia i wyczerpania.

Oprócz politycznych wandalii i pomyleńców ważną rolę w tych wypadkach odgrywają ostatnio dwie inne grupy: czarni separatyści oraz zorganizowany świat przestępczy. Jeszcze kilka tygodni temu utrzymywało się ogólne przekonanie, że System zdołał przekupić ostatniego z czarnych nacjonalistów jeszcze w latach siedemdziesiątych. Jednakże, jak można wnosić, zawiesili oni lub utajnili swoją działalność, a ostatnio dostrzegli dla siebie wielką szansę. Ograniczają się w zasadzie do wysadzania w powietrze biur „Tomów” i wystrzeliwania się nawzajem, lecz w zeszłym tygodniu zorganizowali spore zamieszki w Nowym Orleanie, w czasie których wyłuczono wiele szyb i rabowano sklepy. Więcej władzy w nasze ręce - oto ich hasło.

Mafia, kilka kontrolowanych przez nią wielkich związków zawodowych oraz parę innych zorganizowanych grup przestępczych wykorzystuje chaos i lęk, jaki owładnął umysłami Amerykanów. Coraz częściej grupy te stosują szantaż i wymuszenia. Biznesmeni lub kupcy otrzymują groźby, że jeśli nie wyłożą na stół gotówki płacąc za „ochronę”, zostaną im podłożone bomby, i niestety zachodzi większe aniżeli kilka miesięcy temu prawdopodobieństwo, iż bandyci spełnią swoje zapowiedzi. Porywanie ludzi dla okupu stało się wielkim biznesem. Policja jest zbyt pochłonięta zwalczaniem osób, które są prawdziwą solą w oku Systemu (to znaczy nas), a więc nie może poświęcać zbyt wiele uwagi zawodowym kryminalistom, dla których nastały doprawdy złote czasy.

Jeśli jednak dokonamy chłodnej oceny tej kwestii, ów wzrost przestępczości jest nam na rękę, ponieważ podważa wiarę obywateli we wszechmoc Systemu. Nadejdzie dzień, gdy bez ceregieli zapędzimy pod ścianę wszystkie te elementy, z którymi „posmarowani” sędziowie Systemu tak długo się cackali - a wraz z nimi tychże sędziów.

Tymczasem zapukałem do drzwi prowadzących do suterenu niegdyś eleganckiego dużego domu jednorodzinnego, a gdy zapytałem o Elsę, zaprosiła mnie do środka młoda, najwyraźniej ciężarna kobieta, trzymająca w ramionach wrzeszczącego niemowlaka. Gdy moje oczy przywykły do panującego w pomieszczeniu półmroku, dostrzegłem, że suterena służy kilkunastu osobom jako miejsce wspólnego zamieszkania. Za pomocą prymitywnych parawanów i przegród, utworzonych z kocy i prześcieradeł zawieszonych na biegnących nisko pod sufitem rurach, kilku członków komuny wydzieliło dla siebie osobne kąty. Znajdowały się tam ich na wprost prywatne sypialnie. Na środku suterenu dostrzegłem również kilka materacy. Oprócz stolika z dykty ustawionego obok zlewu, w którym dwie młode kobiety zmywały jakieś naczynia, nie było tutaj żadnych mebli, choćby jednego krzesła.

Przy ścianie stał przedpotopowy piecyk opalany drewnem, który stanowił jedyne źródło ciepła.

Dowiedziałem się później, że ta niewielka komuna mogła czerpać wodę tylko z ogólnodostępnej sieci

miejskiej, zaś opał do pieca ludzie ci zdobywali przeszukując okoliczne śmietniki lub wysyłając specjalne drużyny na górne kondygnacje budynku. Palili potem fragmentami drzwi i framug, tralkami, nawet klepką podłogową.

W górnej części domu, oddzielonej od sutereny ciężkimi, wzmocnionymi żelaznymi sztabami drzwiami, które znajdowały się na szczycie prowadzących na parter schodów, mieszkała inna, liczniejsza komuna. Sąsiedzi ci wszelako często organizowali szaleńcze imprezy narkotykowe, po których nie byli w stanie odpierać najazdów poszukiwaczy opału.

Mieszkańcy sutereny, odrzucając „ciężkie” narkotyki uważają, że stoją znacznie wyżej niż tamci. Niemniej jednak wolą zajmować swoje obskurne pomieszczenie, albowiem łatwiej je ogrzać i łatwiej go bronić. Rolę okien pełni tutaj kilka maleńkich otworków u sufitu, osłoniętych pokrytymi brudem szybami. Jednakże nie przecisnie się przez nie żaden intruz. Poza tym latem w suterenie jest chłodniej.

Wewnątrz ujrzałem siedmiu albo ośmiu lokatorów: leżeli na materacach wpatrując się w ekran bateryjnego odbiornika telewizyjnego (nadawano akurat jakiś idiotyczny teleturniej) i kopcąc skręty z marihuany. Śmierdziało zatęchłym piwem, brudną bielizną i marihuaną, która w tych środowiskach nie jest uważana za narkotyk. Na podłodze obok piecyka tarzało się, walcząc zajadłe ze sobą, dwóch może czteroletnich malców. Szary kot, który usadowił się wygodnie na jednej z rur pod sufitem, obserwował mnie z zaciekawieniem.

Ci z materaców obrzucili mnie krótkim spojrzeniem i powrócili do oglądania telewizji. Popatrzyłem po ledwie widocznych w świetle telewizora twarzach, ale nie rozpoznałem Elsy. Gdy jednak dziewczyna, która mnie wpuściła, wywołała japo imieniu, jedna ze sporządzonych z koców „kotar” uchyliła się raptownie, odsłaniając na chwilę twarz Elsy i jej nagie ramiona. Na mój widok pisnęła radośnie, powróciła za zasłonę i za chwilę wyszła spoza niej w „przyzwoitej” sukience. Poczułem lekką złość, gdy w półmroku kąta mignęła na chwilę jakaś spoczywająca na materacu postać. Ejże, czyżbym był zazdrosny?

Tymczasem dziewczyna przywitała mnie szybkim i serdecznym uściskiem i zaproponowała kubek gorącej kawy, którą nałała z wysokiego dzbanka stojącego na piecyku. Przyjąłem poczęstunek z wdzięcznością, ponieważ idąc z przystanku porządnie zmarzłem. Usiedliśmy oboje na wolnym materacu. Hałas telewizora, donośny płacz kołysanego dziecka oraz wrzask mocujących się chłopców zapewniały nam jaką taką intymność.

Rozmawialiśmy o wielu sprawach, gdyż nie chciałem zdradzać zbyt szybko prawdziwego powodu mojej wizyty. Wiele się dowiedziałem o Elsie i jej przyjaciółkach z komuny. Niektóre informacje okazały się przygnębiające, inne mnie przerażyły.

Życie Elsy okazało się nad wyraz smutne. Dziewczyna była jedynaczką, jej rodzice pochodzili z górnej warstwy klasy średniej. Ojciec trudnił się pisaniem przemówień (Elsa zerwała kontakt z rodziną ponad rok wcześniej, toteż nie miała pojęcia, czy coś się pod tym względem zmieniło) dla pewnego bardzo wpływowego senatora. Matka pracowała jako prawniczka w lewicowej fundacji zajmującej się głównie wykupywaniem domów w zamieszkałych przez Białych przedmieściach i wprowadzaniem do nich rodzin bezrobotnych Murzynów.

Elsa była szczęśliwa do ukończenia piętnastego roku życia. Jej rodzice mieszkali wtedy w stanie Connecticut, ona sama uczęszczała zaś do ekskluzywnej prywatnej szkoły żeńskiej.

(Obecnie szkoły niekoedukacyjne zostały oczywiście zamknięte.) Wakacje letnie spędzali we własnym domku letnim położonym tuż obok plaży. Kiedy Elsa wspominała okoliczne lasy i dzikie szlaki turystyczne, oraz długie spacery, które odbywała samodzielnie, jaśniała jej twarz. Miała do dyspozycji własną łódkę, którą często przepływała na maleńką wysepkę, gdzie urządziła sobie jednoosobowe pikniki. Wygrzewała się tam godzinami na słońcu, rozmyślając i marząc.

Potem jej rodzice przenieśli się do Waszyngtonu. Ojciec uległ naleganiom matki i wynajął apartament w opanowanej przez Czarnych dzielnicy opodal Wzgórza Kapitolijnskiego, rezygnując z osiedlenia się na przedmieściu, gdzie Biali jeszcze stanowili większość. Elsa należała do czworga białych uczniów w szkole, do której ją wysłano.

Wcześniej się rozwinęła. Jej naturalne ciepło, szczerzy i prostolinijny charakter oraz piękno ciała sprawiły, że już w wieku piętnastu lat stała się nad wyraz atrakcyjną seksualnie kobietą. W efekcie Elsa nie zaznała spokoju, napastowana przez czarnych chłopców, prześladowanych nieustannie również drugą białą uczennicę. Przysporzyło jej to nienawiści ze strony czarnych dziewcząt, które nękały ją na wszelkie sposoby.

Elsa bała się w szkole pójść do toalety czy nawet pozostać choćby przez chwilę poza zasięgiem wzroku nauczyciela. Niebawem przekonała się, że nauczyciele niewiele mogą jej pomóc. Do takiego wniosku doszła w dniu, gdy czarnoskóry wicedyrektor szkoły zapędził ją do kąta w swoim gabinecie i próbował wsunąć rękę pod bluzkę.

Wracając codziennie ze szkoły płacząc; prosiła rodziców, żeby przenieśli ją gdzie indziej. Matka krzyczała na nią wtedy i biła po twarzy, nazywając „rasistką”. Jeśli faktycznie dokuczają jej czarni chłopcy, twierdziła, to jest to tylko i wyłącznie jej wina. Dlaczego nie stara się nawiązać przyjaźni z murzyńskimi dziewczętami?

Ojciec również jej nie pomógł, nawet wówczas, kiedy opowiedziała mu o postępkach wicedyrektora. Incydent ów sprawił go w ogromne zakłopotanie, toteż nie chciał słuchać dalszych skarg córki. Nie był tak czynnym liberałem jak jego na wskroś „wyzwolona” małżonka. Jej filozofia i postępowanie skutecznie odstręczały go od podejmowania wszelkich kwestii rasowych.

Nawet gdy trzech młodych czarnoskórych bandytów napadło go na progu własnego mieszkania, obrabowało z portfela i zegarka, powaliło na ziemię i rozbiło okulary, matka Elsy zabroniła wzywać policję i zgłaszać napad. Uważała, iż zgłaszanie skargi przeciwko Czarnym za czyn zalatujący „fasyzmem”.

Elsie wytrzymała to piekło przez trzy miesiące, po czym uciekła z domu. Przyjęła ją ta niewielka komuna, a ponieważ z natury jest pogodna, nauczyła się niebawem, jak być szczęśliwą w nowych warunkach i otoczeniu.

Potem, mniej więcej miesiąc temu, nastąpiły pierwsze problemy (właśnie wtedy ją poznałem). Do komuny wstąpiła nowa dziewczyna imieniem Mary Jane i niebawem między panienkami doszło do waśni. Chłopiec, z którym Elsa dzieliła wówczas materac, znał tamtą już wcześniej, nim oboje wstąpiła do grupy, no i Mary Jane uznała Elsę za uzurpatorkę. Elsa z kolei ostro strofowała Mary Jane za jej niezbyt subtelne próby odbicia amanta. W efekcie pewnego dnia doszło do walki między konkurentkami, połączonej z krzykiem, wzajemnym drapaniem po twarzy i szarpaniem za włosy. Zwyciężyła silniejsza Mary Jane.

Elsa wahała się przez dwa dni po ulicach (uratowałem ją wtedy od porwania przez młodocianych zbiorów), a potem powróciła do komuny. Tymczasem Mary Jane pokłóciła się z inną dziewczyną, co Elsa wykorzystała, przedstawiając ultimatum: albo Mary Jane albo ona. Wtedy tamta pogroziła jej nożem.

- No i co dalej? - zapytałem.

- Sprzedaliśmy ją - rzuciła nonszalancko Elsa.

- Jak to sprzedaliśmy? Co to znaczy?

- Wszyscy mnie poparli, ale Mary Jane nie chciała dobrowolnie odejść, sprzedaliśmy ją więc gudłajowi Kappy'emu. Dał nam za nią ten telewizor i 200 dolców.

Okazało się, że „gudłaj Kappy” jest Żydem o nazwisku Kaplan i zajmuje się handlem białym żywym towarem. Mieszka w Nowym Jorku i podróżuje regularnie do Waszyngtonu, gdzie kupuje dziewczęta-uciekiniarki z domów. Dostarczają mu je zazwyczaj „wilcze stada” (Elsę chcieli porwać członkowie jednej z takich band). Gangi porwają dziewczyny, przetrzymują je przez tydzień, dwa, następnie zaś, jeśli zniknięcia ofiary nie odnotowują gazety, sprzedają je Kaplanowi.

Nikt nie zna ich późniejszych losów. Podobno większość trafia do ekskluzywnych nowojorskich klubów, do których uczęszczają zamożni ludzie, by zaspokajać swoje perwersyjne pragnienia. Krążą też pogłoski, że niektóre dziewczyny są odsprzedawane jakiemuś klubowi satanistów i umierają w straszliwych męczarniach podczas makabrycznych rytuałów. Któryś z członków komuny usłyszał, że

Kaplan akurat przebywa w mieście, toteż, gdy Mary Jane odmówiła odejścia, odszukali go i dobili targu.

Dotychczas sądziłem, że nic już nie jest w stanie mnie zbulwersować, lecz opowieść Elsy głęboko mną wstrząsnęła.

- Jak mogliście - rzuciłem gniewnie - jak mogliście sprzedać białą dziewczynę Żydowi?!

Elsa poczuła się wyraźnie zakłopotana. Przyznała mi rację; popełnili straszliwy występki, ona sama odczuwa wyrzuty sumienia myśląc o Mary Jane, lecz jej zdaniem było to najdogodniejsze wyjście z kłopotliwej dla całej grupy sytuacji.

Usiłowała jeszcze nieprzekonująco wyjaśniać, że takie praktyki są powszechne i władze dobrze o nich wiedzą, ale się nie wtrącają, wina za nie spada więc na społeczeństwo, nie zaś na nich, sprawców.

Potrząsałem głową w oburzeniu, dostrzegłem jednak nadarzącą się sposobność poruszenia innej kwestii, co stanowiło zasadniczy cel mojej wizyty.

- Cywilizację, która toleruje istnienie Kaplana i jego cuchnącej profesji, należy wypalić żywym ogniem - zauważyłem.

- Powinniśmy spalić ją w wielkim ognisku i rozpocząć wszystko od nowa.

Te ostatnie słowa wypowiedziałem z rozpędu podniesionym głosem, usłyszeli je więc wszyscy obecni w suterenie.

Jakiś kudłacz podniósł się sprzed telewizora i zbliżył do nas powolnym krokiem.

- A co można na to poradzić? - zapytał, zapewne jedynie w sensie retorycznym.

- Gudłaj Kappy był zatrzymywany przynajmniej z tuzin razy, ale gliny zawsze go zwalniały. Ma wpływ u polityków i klientelę wśród żydowskich grubych ryb w Nowym Jorku. Poza tym słyszałem, że kilku kongresmanów stale odwiedza kluby, które zaopatruje w świeży towar.

- Jeśli tak, ktoś powinien wysadzić Kongres w powietrze - zauważyłem.

- Hę hę, już znaleźli się tacy, co próbowali - zarechotał, najwyraźniej czyniąc aluzję do naszego ataku mózdzierzowego.

- Gdybym miał bombę, sam bym jej użył. Nie znasz kogoś, kolego, kto mógłby dostarczyć mi dynamit? Kudłacz wzruszył ramionami i poczłapał z powrotem do telewizora. Spróbowałem wtedy z Elsą. Która grupa w Georgetown zajmuje się podkładaniem bomb? Jak mógłbym nawiązać z nią kontakt?

Widziałem, że dziewczyna chce mi pomóc, okazało się jednak, iż nic nie wie. Takie sprawy niezbyt ją interesowały. Wreszcie zawołała do kudłacza:

- Harry, czy to nie ci z 29 Ulicy, no ci, którzy nazywają siebie „Frontem Wyzwolenia Czwartego Świata”? Może oni zwalczają te świny?

Harry'emu najwyraźniej nie spodobało się to wypytywanie. Zerwał się. na równe nogi, obrzucił nas wściekłym spojrzeniem, po czym bez słowa wybiegł z suterenu, zatraskując za sobą z hukiem drzwi.

Jedna z kobiet zmywających naczynia odwróciła się w naszym kierunku i przypomniała Elsie, że dziś przypada jej kolej w przygotowaniu obiadu, a przecież jeszcze nie wstawiła na ogień ziemniaków.

Uścisnąłem dziewczynie serdecznie dłoń, pozdrowiłem ją i wyszedłem.

Chyba fatalnie pokpiłem sprawę. Wykazałem dziecięcą wręcz naiwność, wyobrażając sobie, że wejść z ulicy do suterenu „giganciarzy”, którzy przekazami uprzejmie informację o ludziach prowadzących bynajmniej nie pokojowe działania przeciw Systemowi. Każdy waszyngtoński tajniak próbował już niewątpliwie podobnych sztuczek. W Georgetown wszyscy już zapewne dowiedzieli się, że jestem gliniarzem. Przez moje głupie postępowanie, narzekałem w duchu, przepadły wszelkie szansę na kontakty z grupami zwalczającymi System.

Moglibyśmy, rzecz jasna, wysłać kogoś, z poleceniem odnalezienia owego „Frontu Wyzwolenia Czwartego Świata” czy jak im tam. Teraz jednak wątpię, czy gra jest warta świeczki. Spotkanie z Elsą i jej kompanami przekonało mnie, że tacy ludzie nie nadają się do prowadzenia konstruktywnej współpracy z Organizacją. Są niezdyscyplinowani, a na dobitkę wiodą życie puste i bezcelowe. Zupełnie spasowali. Faktycznie, pragnę tylko jednego: leżeć przez cały dzień do góry brzuchem, uprawiać seks i palić trawkę. Jestem pewien, że gdyby rząd podwoił zasiłki, jakie otrzymują, nawet tych bombiarzy opuściłaby chęć do walki.

Elsa to dobry i poczciwy dzieciak, a wśród jej kumpli znalazłoby się na pewno wielu o nie zepsutym jeszcze charakterze, szkopał jednak tkwi w tym, że mieli dosyć życia we współczesnym, koszmarnym świecie, toteż dali za wygraną i odpadli. Choć my, członkowie Organizacji, również odrzucamy świat w obecnej jego postaci, i także, w pewnym sensie, odpadliśmy, ale w przeciwieństwie do Elsy i jej przyjaciół nie ulegliśmy. Trudno byłoby mi sobie wyobrazić, że ja, Henry, Katherine czy też ktokolwiek z naszych towarzyszy, siedzimy wokół telewizora, nie dbając o świat, podczas gdy tyle rzeczy wokół nas trzeba zmienić i naprawić. Jesteśmy po prostu ulepieni z innej gliny.

Ale sprawa na tym się, dla nas nie kończy. Dlaczego? Ano dlatego, że większość Amerykanów nie złożyła broni, z tym że niektórzy, jak to się mówi, ledwo ciągną, innym zaś wcale nieźle się to udaje. Nie odpadli ze szczętem, chociaż brakuje im pewnego zmysłu, który zachowaliśmy my, członkowie Organizacji, ale w jakimś stopniu również Elsa i jej najwartościowsi kumple. Pozwala on nam wyczuć węchem fetor wydzielany przez rozkładające się społeczeństwo, to samo społeczeństwo, które nałożyło sobie kneble. Są ci, którzy jeszcze mają siłę do walki, ale też wielu takich, którzy zrezygnowali, nie czują smrodu albo wcale on im nie przeszkadza. Żydzi mogliby zwabić ich i doprowadzić do każdego koryta, oni zaś wnet by do niego przywykli, pod warunkiem, że koryto zawsze będzie pełne. Ewolucja obdarzyła ich umiejętnością przetrwania, pozbawiając jednak innych cech.

Jak krucha jest cywilizacja! Jak łatwo i skwapliwie człowiek ją odrzuca, niczym organizm przeszczep! A jej przetrwanie zależy od nielicznej garstki, choć nadaje ona kształt i formę setkom milionów istnień! Jestem głęboko przekonany, że gdyby nie ów jeden, najwyżej dwa procenty najzdolniejszych jednostek, najbardziej agresywnych, inteligentnych oraz zdolnych do największych trudów i poświęceń, żadna cywilizacja, nasza czy jakakolwiek inna, długo by się nie utrzymała. Uległaby stopniowemu rozpadowi, trwającemu być może stulecia, ludziom zaś zabrakłoby woli, energii i rozumu, żeby ocalić resztki godności. W efekcie wszystko powróciłoby do naturalnego, pierwotnego stanu; świat zdominowałoby ludzkie nie tak znów niepodobni pod względem stylu i filozofii życia do członków komuny z Georgetown.

Energia i siła woli to jednak nie wszystko. W Ameryce mamy pod dostatkiem ludzi świątliwych i żądnych sukcesu, dzięki którym wszystko jeszcze jakoś idzie, jakoś się toczy. Osoby te najwyraźniej jednak nie dostrzegają, że, by ująć rzecz przenośnią, maszyna, której dostarczają napędu, dawno już zboczyła z solidnego, bitego traktu i coraz szybciej zmierza w kierunku otchłani. Na dobitkę nie przeczuwają one i nie pojmują, że nurzając się w ohydzie i zwyrodnieniu dążą ku zatraceniu i zagładzie. Doprawdy, z tego bagna mogą wyrwać nas tylko wybrańcy pochodzący z mniejszości; tylko oni mogą również wesprzeć tę mniejszość i poprowadzić przez pierwszy odcinek drogi. Wszystko zawdzięczamy tym nielicznym z naszych przodków, którzy potrafili przeczuć, co należy zrobić, a jednocześnie mogli się poszczycić stosownymi umiejętnościami.

Ale ludziom pozbawionym intuicji same tylko umiejętności nie pomogą w osiągnięciu prawdziwie wielkich celów; i odwrotnie - niedostatek zdolności prowadzi jedynie do jałowego marzycielstwa i frustracji. Organizacja wybrała spośród ludzkich mas te jednostki, które łączą w sobie tę rzadko spotykaną kombinację cech. Teraz nie wolno nam ustać w walce, która prowadzi do zwycięstwa.

Rozdział 13

21 marca 1993 r. Dziś życie rozpoczęło się dla mnie od nowa. Zbiegiem okoliczności mamy pierwszy dzień wiosny. Czuję się jakbym zmartwychwstał - 470 dni spędziłem bowiem niczym w trumnie. Ale oto znów jestem z Katherine oraz pozostałymi towarzyszami, znów mogę przystąpić do walki po tylu zmarnowanych i straconych dniach - gdy o tym pomyślę, płaczę z radości.

Od czasu, gdy poczyniłem ostatnią zapiskę (jak to dobrze, że Katherine ocaliła mój dziennik), wydarzyło się tak wiele, że trudno mi doprawdy zdecydować, jak streścić te wypadki. Ano, zacznę od najważniejszego.

Była niedziela, dochodziła czwarta nad ranem, za oknami mrok. Wszyscy spaliśmy jak susły. Pamiętam, że Katherine potrząsnęła moim ramieniem. Usłyszałem niewyraźny lecz niepokojący brzęk, ale na wpół pogrążony we śnie uznałem, że to dzwoni nasz budzik.

- Przecież jeszcze wcześniej - wybełkotałem.

- To dzwonek alarmowy na dole - szepnęła zaniepokojona Katherine - ktoś jest na zewnątrz przy budynku.

Jej słowa natychmiast mnie otrzeźwiły, nim jednak zdążyłem postawić nogi na podłodze, rozległ się ostry trzask. Jakiś przedmiot wlokący za sobą warkocz iskier wpadł przez okno do sypialni, rozbijając tarasującą je deskę. Niemal natychmiast pokój wypełniła chmura duszącego gazu; krztusząc się, chwytałem łapczywie oddech.

Wspomnienia o tym, co działo się przez następne kilkanaście minut, nieco już zbladły w mojej pamięci. Jakoś udało nam się włożyć maski przeciwgazowe, nie zapalając światła. Popędziłem z Billem na parter, nakazując Katherine i Carol ubezpieczenie okien sypialni. Na szczęście nie próbowano jeszcze sforsować wejścia do budynku, lecz po chwili usłyszeliśmy, iż ktoś krzyczy przez ręczny megafon, żebyśmy natychmiast wyszli na parking z rękami uniesionymi do góry.

Popatrzyłem ostrożnie przez otwór. Mrok panujący na dworze zamienił się w jasny dzień, ponieważ rozświetlały go dziesiątki reflektorów skierowanych na nasz dom. Blask nie pozwolił mi dostrzec wielu szczegółów w dalszej perspektywie, dałbym jednak głowę, że wokół budynku znajdowało się kilkuset żołnierzy i policjantów, wyposażonych w sprzęt używany przy takich akcjach.

Było naturalnie bezcelowe podejmowanie próby ucieczki połączonej z ostrzeliwaniem się, położyliśmy jednak krótkotrwałą zaporę ogniową - każde z nas oddało po sześć strzałów - z okien na parterze i na piętrze. Miała ona odstraszyć napastników od natychmiastowego szturmowania budynku. Następnie cofnęliśmy się wszyscy od okien i drzwi (zaczęły je wnet siekać i dziurawić serie pocisków). Zaczęliśmy naprędce gromadzić najważniejszy sprzęt i sposobiliśmy się do ucieczki przez tunel ewakuacyjny. Betonowe ściany garażu zapewniały nam skuteczną ochronę przed pociskami z broni krótkiej.

Bili, Katherine i Carol przenosili rzeczy w głąb długiego mrocznego kanału, ja zaś w gorączkowym pośpiechu zbierałem przedmioty, które koniecznie powinniśmy ocalić. Przez straszliwie wyczerpujące czterdzieści pięć minut w kanale ściekowym, znajdującym się w odległej części tunelu, moi przyjaciele zgromadzili cały stos broni oraz sprzętu łącznościowego.

Przynajmniej nie groziło im trafienie pociskami, podczas gdy wokół mnie przez cały czas świstały kule; odłamki betonu kilkakrotnie odłupane od ścian przez rykoszety dotkliwie mnie pokaleczyły. Nie wiem doprawdy, jak wyszedłem z tego cało. Co kilka minut strzelałem nawet przez drzwi, po to tylko, by zmusić napastników do ukrycia się.

Wreszcie zebraliśmy całą naszą broń krótką wraz z amunicją, około połowy materiałów wybuchowych oraz cięższego uzbrojenia, jak również wszystkie zmontowane przeze mnie urządzenia łącznościowe, a także narzędzia Billa, który ma chwalebny zwyczaj składania ich po pracy w pojemniku. Straciłem jednak większość moich przyrządów pomiarowych, ponieważ pozostawiłem je w nieładzie w całym pomieszczeniu.

W trakcie krótkiej narady postanowiliśmy, że Bili wraz z dziewczętami ukradnie samochód i wspólnie załadują do niego rzeczy, ja zaś pozostanę w warsztacie i przygotuję ładunek wybuchowy. Po jego zdetonowaniu wylot tunelu zostanie doszczętnie zasypany gruzem. Miałem dać im pół godziny czasu, po czym podpalić lont i uciec.

Katherine szybko wbiegła na górę i zgarnęła kilkanaście drobnych przedmiotów - między innymi mój dziennik - nakazałem jej jednak czym prędzej wejść do tunelu, gdzie oczekiwali Bili i Carol.

Tymczasem drzwi na dole oraz okna zostały niemal doszczętnie podziurawione kulami; przez szczeliny i otwory wdzierało się tak wiele światła, że dalsze przebywanie w budynku groziło śmiertelnym

niebezpieczeństwem. Pracując w nerwowym pośpiechu, złożyłem w kanale, tuż ponad wejściem do tunelu, dwudziestofuntowy ładunek wybuchowy i uzbroiłem go w zapalnik. Następnie poczołgałem się ku ścianie, gdzie zmagazynowaliśmy w niewielkich pojemnikach pozostałe sto funtów tritonalu. Zamierzałem połączyć lontem detonującym oba ładunki, aby nastąpił ich jednoczesny wybuch, a gruz i odłamki zasypały cały teren. Przeszukanie rumowiska zajmie gliniarzom kilka dni; dopiero wtedy odkryją wejście do tunelu.

Jednakże nie dotarłem już do ściany. Z jakiejś nieznannej przyczyny - do dziś nie pojmuję, co się właściwie stało - ładunek złożony w kanale eksplodował przedwcześnie. Być może jeden z rykoszetujących pocisków trafił w detonator albo też zapalnik zdetonował pod wpływem iskry z granatu wypełnionego gazem. Tak czy inaczej fala uderzeniowa pozbawiła mnie przytomności - i nieomal uśmierciła. Świadomość odzyskałem na szpitalnym stole operacyjnym. Z kilku następnych dni pamiętam przejmujący ból. Na ich wspomnienie do dziś czuję dreszcze. Wprost ze szpitala przewieziono mnie do celi przesłuchań w podziemiach budynku FBI, gdzie jeszcze zalegał gruz pozostały po zdetonowaniu naszej bomby siedem tygodni wcześniej. Choć byłem jeszcze oszołomiony, a rany sprawiały mi straszliwy ból, traktowano mnie nad wyraz brutalnie. Ręce skuto mi krótkimi kajdankami na plecach, a ilekroć odpowiadałem na zadawane pytania nieskładnie lub zbyt powoli, przesłuchujący kopali mnie i bili. Zmuszony do stania na środku celi i otoczony półkolem agentów, którzy krzycząc wypytywali mnie, bełkotałem coś nieskładnie; nawet gdybym zdecydował się na współpracę, w tych warunkach nie mógłbym wydusić z siebie ani słowa.

Ale nawet wtedy, wijąc się i jęcząc z bólu, ucieszyłem się, gdy wywnioskowałem z tych indagacji, że Billowi, Katherine i Carol powiodła się ucieczka.

- Gdzie są inni?! - wrzeszczeli nieustannie agenci - ilu ich było w budynku? Którędy się wydostali? Najwidoczniej rumowisko powstałe po eksplozji ładunku zasypało wejście do tunelu. Dotkliwie razy i kopniaki przerywały pytania, aż wreszcie upadłem, pogrążony w miłosiernej nieświadomości.

Gdy oprzytomniałem, nadal leżałem tam, gdzie mnie pozostawiono: na nagiej betonowej podłodze pustej celi. U sufitu paliła się lampa, słyszałem dobiegający spoza drzwi warkot młotów pneumatycznych oraz inne dźwięki. W korytarzu pracowały ekipy remontowe. Odczuwałem ból na całym ciele, a szczególne cierpienia zadawały mi mocno zaciśnięte kajdanki; odzyskałem jednak niemal całkowicie jasność myśli.

Gorzko żałowałem, że nie mam przy sobie kapsułki z trucizną. Gdy tylko tajni agenci odnaleźli mnie nieprzytomnego pod gruzem, natychmiast zdjęli mi z karku maleńki wisiołek. Kłąłem w duchu, że wcześniej, przed eksplozją, zapomniałem o włożeniu fiolki do ust. Zapewne pozostałaby tam, a ja mógłbym nagryźć ją i przełknąć w szpitalu. Odtąd często mnie gnębił żal wywołany tym zaniedbaniem.

Wyrzucałem sobie również inny grzech. Powziąłem otóż podejrzenie, które w miarę upływu czasu rosnęło, by ostatecznie zamienić się w pewność, że przyczyną nieszczęścia była moja nierozsądna wizyta w Georgetown. Najwidoczniej któryś z kumpli Elsy śledził mnie, gdy wracałem do kryjówki, a potem doniósł władzom. Podejrzenie to pośrednio potwierdzili następnymi moimi śledczy.

Pozostawiono mnie samego, zbolatego i dręczonego ponurymi myślami, zaledwie przez kilka minut. Potem rozpoczęła się druga część przesłuchania. Tym razem do celi weszło dwóch agentów FBI, którym towarzyszył lekarz oraz trzech innych mężczyzn: dwóch potężnie zbudowanych Murzynów oraz siwy przygarbiony człowiek w wieku około 70 lat. Kąciki jego grubych warg unosiły się lekko w złowieszczym uśmiechu, który niekiedy zamieniał się w diaboliczny grymas. Ukazywały się wtedy żółte od tytoniu zęby o złotych koronach.

Lekarz poddał mnie pobieżnym oględzinom, orzekł, że mogę być przesłuchiwany, po czym wyszedł. Wtedy agenci poderwali mnie z podłogi, podnieśli na nogi, a sami cofnęli się i stanęli obok drzwi. Śledztwo przejął ów złowrogi facet o złotych zębach.

Mówił z ciężkim hebrajskim akcentem, przybierając zwodniczo miły i rzeczowy ton. Przedstawił się jako pułkownik Saul Rubin z wywiadu izraelskiego. Nim zacząłem się zastanawiać, czego może chcieć ode mnie funkcjonariusz obcego państwa, pułkownik udzielił mi wyjaśnienia:

- Pańska rasistowska działalność stanowi pogwałcenie Międzynarodowej Konwencji o Ludobójstwie, panie Turner, będzie pan zatem sądzony przez międzynarodowy trybunał, w którym zasiądą przedstawiciele pańskiego kraju i mojego. Najpierw jednak chcemy uzyskać od pana pewne informacje, które umożliwią nam jednoczesne pociągnięcie do odpowiedzialności pańskich wspólników. Cóż, nie wykazał pan zbyt wielkiej ochoty do współpracy. Chciałbym zatem ostrzec, że jeśli odmówi pan odpowiedzi na moje pytania, oczekuj ą pana wielkie cierpienia. Mam czterdziestopięcioletnie doświadczenie w wydobywaniu zeznań od takich zatwardziałych osób. W końcu każdy powiedział mi wszystko, co chciałem usłyszeć. Arabowie i Niemcy - lecz dla najbardziej opornych nie było to najprzyjemniejsze doświadczenie.

Zamyślił się i po chwili dodał:

- O tak, niektórzy Niemcy, w roku 1945 i 1946, zwłaszcza ci z SS, byli bardzo oporni.

To najwyraźniej przyjemne wspomnienie skłoniło ponownie Rubina do przybrania złowrogiego uśmiechu, ja zaś poczułem dreszcz trwogi. Przypomniałem sobie makabryczne zdjęcia, które kilka lat temu pokazał mi jeden z naszych towarzyszy, były oficer wywiadu wojskowego. Przedstawiały one niemieckich jeńców z wyłupionymi oczami, wyrwanymi zębami, odciętymi palcami i zmiażdżonymi jądrami. Ich oprawcami byli sadystyczni śledczy, wielu w mundurach US Army, przysłuchujący pojmanym nim ci stanęli, jako „zbrodniarze wojenni”, przed sądami, a potem plutonami egzekucyjnymi.

Zaprzagnąłem całą duszą rozwalić jednym ciosem pięści tę wrednie uśmiechniętą żydowską mordę, ponieważ jednak uniemożliwiały mi to skrępowane kajdankami ręce, postanowiłem poprzestać na splunięciu mu w twarz i jednoczesnym kopnięciu w krocze. Niestety, drugą część zamierzenia udaremniły mi sztywne, obolałe mięśnie: kopniak trafił Rubina w udo.

Gudłaj zachwiał się i cofnął kilka kroków.

Wtedy zajęli się mną Murzyni. Spełniając polecenie Rubina, zbili mnie okrutnie, skrupulatnie i fachowo. Gdy skończyli, moje ciało zamieniło się w dygoczącą masę, którą przenikał nieopisany ból; wiłem się na podłodze, łkając i jęcząc.

Kolejne seanse były gorsze, znacznie gorsze. Z uwagi na to, że zamierzano urządzić mi „proces pokazowy”, w stylu niegdysiejszego procesu Adolfa Eichmanna, Rubin powstrzymał się od wyłupienia mi oczu czy odcięcia palców. W wyniku tych zabiegów zostałem trwale okaleczony, lecz inne jego metody okazały się równie bolesne. (Informacja dla Czytelnika: Adolf Eichmann był w latach II wojny światowej niemieckim urzędnikiem średniego szczebla. Piętnaście lat po wojnie w 39 r. p. n. e., uprowadzony przez Żydów z Ameryki Południowej, został przewieziony samolotem do Izraela, potem zaś uczyniono z niego głównego bohatera starannie przygotowanej i zorganizowanej dwuletniej kampanii propagandowej. Jej celem było pozyskanie sympatii nieżydowskiego świata dla Izraela, rzekomo jedynego raju „prześladowanych” Żydów.

Po czteromiesięcznym procesie, podczas którego .został poddany najokrutniejszym torturom, Eichmanna umieszczono w klatce o ścianach z dźwiękochłonnego szkła. Został skazany na śmierć za „zbrodnie popełnione na narodzie żydowskim”.)

Odchodziłem z bólu od zmysłów - męczarnie trwały niekiedy przez całe dni i, jak zapowiedział wcześniej Rubin, powiedziałem wszystko, bo też i żaden człowiek nie wytrzymałby zadawanych przez niego cierpień.

Dwaj agenci FBI, zawsze asystujący jako obserwatorzy w tych seansach tortur, bledli niekiedy na twarzach. Gdy Rubin nakazał dwóm Murzynom wepchnąć mi w odbył długi, tępo zakończony pręt, ja zaś krzyczałem i wiłem się z bólu niczym zakłuwana świnia, jednego z nich zdawały się chwytać nudności, ale żaden nie zaprotestował. To samo działo się chyba po II wojnie światowej, kiedy amerykańscy oficerowie pochodzenia niemieckiego obserwowali spokojnie, jak Żydzi torturują ich pobratymców walczących dla Trzeciej Rzeszy. Nie dostrzegali też nic zdrożnego w tym, że

ciemnoskórzy żołnierze gwałcą i maltretują niemieckie dziewczęta. Czy ci agenci nienawidzili własnej rasy, gdyż pranie mózgow, jakiemu poddali ich Żydzi, okazało się skuteczne, czy też byli tylko nieczułymi, zimnymi draniami, gotowymi na wszystko, byleby wypłacono im w porę pensje? Mimo jednak świetnego doświadczenia Rubina jestem teraz głęboko przekonany, że techniki śledcze stosowane przez Organizację są znacznie bardziej skuteczne. My działamy bowiem naukowo, natomiast ich jedynym narzędziem jest brutalność. Choć Rubin złamał mój opór i uzyskał odpowiedzi na zadawane pytania, na szczęście kilku istotnych nie zadał.

Przez bez mała miesiąc koszmarnych „sesji” ujawniłem mu nazwiska większości znanych mi członków Organizacji, miejsca ich kryjówek, jak również informacje dotyczące osób uczestniczących w rozmaitych działaniach wymierzonych w System. Opisałem szczegółowo przygotowania do zamachu bombowego na budynek FBI oraz mój udział w ostrzelaniu Kapitolu, a także, sposób ucieczki Billa, Carol i Katherine.

To wszystko przysporzyło naturalnie Organizacji dużych kłopotów. Ponieważ jednak przewidziała, o co policja polityczna będzie mnie wypytywać, potencjalne zagrożenie zdołała zmniejszyć do minimum. W praktyce oznaczało to pospieszną ewakuację kilku znakomitych kryjówek i zorganizowanie nowych.

Rubin, stosując swoje techniki śledcze, wydobywał ode mnie informacje jedynie w postaci odpowiedzi na konkretne pytania. Nie zapytał w ogóle o nasz system łączności, toteż niczego się o nim nie dowiedział. (Powiadomiono mnie później, że nasi „legałowie” w FBI informowali Organizację o faktach, jakie ujawniłem, toteż nie zmieniono systemu łączności.)

Żydek nie dowiedział się ode mnie również niczego o Zakonie czy też o naszej ideologii i dalekosiężnych celach, a przecież zdobycie tego rodzaju wiedzy pomogłoby niewątpliwie Systemowi w zrozumieniu strategii naszych działań. Mój śledczy wydobył ode mnie informacje dotyczące wyłącznie taktyki. Myślę, że kryło się za tym przeświadczenie ludzi Systemu, iż zniszczenie Organizacji będzie zapewne kwestią tygodni. Władze uznawały nas za trudny problem, lecz nigdy za śmiertelne zagrożenie.

Po zakończeniu przesłuchań zostałem na trzy następne tygodnie uwięziony w budynku FBI, gdyż, jak przypuszczam, byłem niezbędny do identyfikowania rozmaitych członków Organizacji, w aresztowaniu których pomogłyby uzyskane ode mnie szczegóły. Na szczęście nikogo nie zatrzymano, toteż po jakimś czasie zostałem przeniesiony do Fort Belvoir, gdzie więziono już w specjalnych warunkach blisko dwustu innych członków Organizacji oraz niemal dwukrotnie więcej „legałów”. Władze nie wtrąciły nas do zwykłych więzień powodowane obawą, że Organizacja będzie próbowała uwolnić swoich bojowników, my zaś wykorzystamy ten czas do indoktrynowania innych białych więźniów. Wszystkich schwytanych członków Organizacji przewieziono więc z całego kraju do Fort Belvoir i umieszczono w pojedynczych celach znajdujących się w budynkach otoczonych zasiekami z drutu kolczastego, czołgami, wieżami strażniczymi wyposażonymi w stanowiska broni maszynowej. Obiektu, usytuowanego na terenie bazy wojskowej, strzegły dwie kompanie żandarmerii. Spędziłem tam kolejne czternaście miesięcy. Nie wiem, czy nadal planowano postawienie mnie przed sądem. Wiele osób uznaje uwięzienie w pojedynczej celi za szczególnie okrutną represję, ja jednak uznałem to za błogosławieństwo. Nadal przeżywałem ciężką depresję, wywołaną częściowo torturami Rubina, częściowo zaś poczuciem winy spowodowanym zeznaniami oraz świadomością, iż zostałem uwięziony i nie mogę uczestniczyć w walce. Żeby dojść do siebie, potrzebowałem zatem nieco samotności. Poza tym oczywiście byłem zadowolony, że nie siedzę z Czarnymi, co w zwyczajnym więzieniu byłoby koszmarem.

Nikt, kto nie zaznał bólu i strachu, jakich zaznałem ja, nigdy nie zrozumie, jak głęboko i trwale doświadczenie to odciska się w ludzkiej świadomości. Moje rany już się zagoiły, ustąpiła również owa szczególna kombinacja depresji i napięcia nerwowego, na które zapadłem w wyniku brutalnego śledztwa. Niemniej jednak przeszedłem gruntowne przeobrażenie duchowe. Stałem się bardziej

niecierpliwym, bardziej poważnym niż niegdyś (być może nawet posępnym) i bardziej zdecydowanym, by pomagać Organizacji w walce o osiągnięcie ostatecznego celu.

Przestałem też obawiać się śmierci. Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że stałem się lekkomyślnym ryzykantem - wręcz przeciwnie - lecz obecnie nie boję się nikogo i niczego. Potrafię też wymagać więcej od siebie oraz, w razie potrzeby, od innych ludzi. Biada każdemu jęczącemu z trwogi konserwatyście, należącemu do „odpowiedzialnych”, czy też komukolwiek, kto będzie się przeciwstawiał naszej rewolucji i wpadnie w moje ręce! Nie zamierzam słuchać żadnych wyjaśnień tych samolubnych kolaborantów, sięgnę po prostu po pistolet.

My, uwięzieni w Fort Belvoir, mieliśmy przez cały czas pozostawać w ścisłej izolacji. Nie dostarczano nam żadnych materiałów do czytania, niemniej jednak wkrótce każdy z nas nauczył się porozumiewać, choć w ograniczonym zakresie, z sąsiadami osadzonymi w innych celach. Również strażnicy, którzy okazali się wcale niezłymi facetami, dostarczali nam wiadomości z zewnątrz. Najbardziej oczekiwaliśmy rzecz jasna informacji dotyczących wojny z Systemem. Podnosiły nas na duchu zwłaszcza doniesienia o skutecznych działaniach Organizacji - czyli, w żargonie Systemu, o „okrucieństwach” - popadliśmy zaś w przygnębienie, ilekroć pomiędzy poszczególnymi akcjami upływało kilka dni.

Z biegiem czasu informacje o tych działaniach zaczęły istotnie napływać coraz rzadziej, a media zapowiadały z rosnącą pewnością siebie rychłą likwidację resztek Organizacji oraz ogólny powrót do „normalności”. Bardzo nas to zmartwiło, lecz wkrótce nasze nastroje się polepszyły, gdyż do Fort Belvoir przywożono coraz mniej więźniów. Gdy mnie tam osadzono, dostarczano ich przeciętnie jednego dziennie, ale w sierpniu zeszłego roku średnia ta spadła poniżej jednego zatrzymanego na tydzień.

Właśnie wtedy, 11 i 12 września 1992 roku, przeprowadzono potężne zamachy bombowe w Houston. W ciągu dwóch ścią apokaliptycznych dni dokonano czternastu akcji, w wyniku których zginęły ponad 4 tysiące osób oraz zniszczono wiele zakładów przemysłowych i urzędzeń portowych.

Zaczął się wczesnym rankiem 11 września od wysadzenia w powietrze, na wodach zatłoczonego kanału łączącego Houston z Zatoką Meksykańską, wyładowanego statku płynącego z ładunkiem bomb lotniczych przeznaczonych dla sił powietrznych Izraela. Wraz z transportowcem poszły na dno cztery inne jednostki, blokując kanał; pożar objął pobliską ogromną rafinerię. Nie upłynęła godzina, gdy na nabrzeżach kanału doszło do ośmiu kolejnych eksplozji, które na ponad cztery miesiące całkowicie unieruchomiły najruchliwszy po Nowym Jorku amerykański port.

Pięć następnych wybuchów zniszczyło miejscowe lotnisko oraz dwa strategicznie położone wiadukty i most. W efekcie stały się nieprzejezdne dwie najbardziej uczęszczane okoliczne autostrady. Władze natychmiast ogłosiły, że Houston jest terenem dotkniętym katastrofą żywiołową. Rząd federalny wysłał tam tysiące żołnierzy, zarówno w celu utrzymania w ryzach ogarniętej gniewem i paniką miejscowej ludności, jak i zapobieżenia naszym kolejnym akcjom.

Działania te nie przysporzyły nam wprawdzie przyjaciół, nie pomogły jednak również rządowi. Nadto zadały kłam szerzącemu się wśród społeczeństwa przeświadczeniu, że nasz bunt został ostatecznie stłumiony.

Po Houston przyszła kolej na Wilmington, potem na Providence, wreszcie Racine. Akcje prowadzono z mniejszą niż dotychczas częstotliwością, ciosy były jednak coraz dotkliwsze. Ubiegłej jesieni stało się dla nas jasne, że rewolucja weszła w nową, donioślejszą fazę. Wrócę jednak do tego później.

Ostatniej nocy przeprowadzono zaś akcję o ogromnym znaczeniu dla nas, więźniów Fort Belvoir. Tuż przed północą przed główną bramą zatrzymały się jak zwykle dwa autobusy w ciemnooliwkowych wojskowych barwach. Przywoziły one zwykle około 60 żandarmów pełniących nocną służbę, zabierając z powrotem wcześniejszą zmianę. Tym razem jednak było inaczej. Połapałem się, że być może próbuj ą nas odbić, gdy wyrwał mnie ze snu terkot karabinu maszynowego strzelającego z wieżyczki strażniczej. Wnet uciszyło go jednak celne trafienie pociskiem kalibru 105 mm, wystrzelonym z jednego z czterech czołgów stale parkujących w obrębie więzienia.

Potem usłyszałem urwane salwy z broni krótkiej, wrzaski i tupot biegnących ludzi. Wreszcie drewniane drzwi mojej celi zostały wyłamane ciosem młota kowalskiego i byłem wolny. Należałem do stu pięćdziesięciu szczęśliwców, którzy wpełchnęli się do dwóch wspomnianych autobusów i uciekli. Kilkudziesięciu wspięło się na panczerze czterech uprowadzonych przez nas czołgów, których załogi wykazały niedostateczną czujność i zginęły na samym początku. Reszta musiała uciekać piechotą, brnąc w strugach ulewy, która na szczęście uniemożliwiła start śmigłowcom wojskowym.

Zginęło osiemnastu więźniów, czterech naszych bojowników, a 161 odbitych schwytano. Jednak 442 ludzi - taką liczbę podano w wiadomościach radiowych - zdołało dotrzeć do ciężarówek oczekujących opodal bazy, podczas gdy czołgi osłaniały ewakuację.

Nie był to jeszcze koniec mocnych wrażeń, dodam jednak tylko tyle, że do godziny 4.00 rano rozproszyliśmy się w kilkudziesięciu „przechowalniach” przygotowanych uprzednio na obszarze Waszyngtonu. Po kilkugodzinnym odpoczynku włożyłem cywilne ubranie robotnika, odebrałem od nieznanego mi towarzysza fałszywą kartę identyfikacyjną (sporządzono ją dla mnie dbając o wszelkie szczegóły), po czym, trzymając pod pachą gazetę, a w dłoni pojemnik z drugim śniadaniem, dołączyłem wczesnym rankiem do tłumu ludzi spieszących do pracy. Faktycznie zmierzałem do ustalonego punktu spotkania.

Czekałem tylko dwie minuty. Obok mnie zatrzymał się pickup, w którym siedziało dwoje pasażerów. Otworzyły się drzwi i wskoczyłem do środka. Bili prowadził wóz zatłoczoną ulicą, ja zaś znów trzymałem w ramionach moją najdroższą Katherine.

Rozdział 14

24 marca 1993 r. Dziś sądzono mnie pod zarzutem złamania Przysięgi, największego przestępstwa, jakiego może dopuścić się osoba należąca do Zakonu. Było to dla mnie nad wyraz bolesne przeżycie, wiedziałem jednak, że procedura jest nieunikniona. Teraz jestem szczęśliwy, że wszystko mam poza sobą.

W więziennej celi przez cały czas zadręczałem się jedną myślą: czy nie odbierając sobie życia przed schwytaniem złamałem Przysięgę? Setki razy rozpamiętywałem okoliczności towarzyszące naszej wpadce i wszystko to, co nastąpiło potem, próbując jednocześnie uspokoić sam siebie. Nie ponoszę żadnej winy za to, co się stało - powtarzałem w duchu - za to, że pozwoliłem, aby schwytano mnie żywcem. Dziś odtwarzałem wydarzenia z tamtej nocy przed moimi sędziami, członkami Zakonu.

Wezwano mnie rankiem przez radio, a ja od razu wiedziałem, co się święci, choć byłem zaskoczony usłyszawszy, pod jaki adres mam się stawić. Mój proces miał odbyć się w jednym z najnowszych i największych biurów w centrum Waszyngtonu. Gdy atrakcyjna recepcjonistka wprowadziła mnie do sali konferencyjnej należącej do sporego kompleksu biur adwokackich, byłem zdenerwowany, lecz jednocześnie wdzięczny moim towarzyszom za to, że po ucieczce z więzienia pozwolili mi wypocząć przez trzy dni w celu regeneracji sił.

Włożyłem przygotowaną dla mnie, wiszącą na wieszaku szatę; w tej samej chwili otwarto drzwi i do sali weszło cicho osiem osób w podobnych szatach, z zaciągniętymi kapturami. Ostatni z przybyszów ukazał oblicze: rozpoznałem majora Williamsa.

Postępowanie trwało krótko i starano się nadać mu charakter jak najbardziej formalny. Po złożeniu przeze mnie wyjaśnień, co trwało nieco ponad godzinę, polecono mi czekać w niewielkim pokoiku obok. Siedziałem tam blisko trzy godziny. Wreszcie wezwano mnie ponownie. Stałem przy długim stole, naprzeciw siedział major Williams, który ogłosił wyrok. O ile dobrze pamiętam, wypowiedział te oto słowa:

„Earlu Turnerze, poddaliśmy ocenie twoje postępowanie jako członka Zakonu w dwóch sytuacjach; uznaliśmy, że w obu wypadkach dopuściłeś się znacznych przewinień. Po pierwsze, bezpośrednio przed akcją policyjną, w czasie której zostałeś schwytyany, a następnie uwięziony, wykazałeś szokującą wręcz niedojrzałość i brak zdrowego rozsądku. Twoja nierozważna wizyta u dziewczyny w Georgetown - postępek, aczkolwiek sam w sobie nie zabroniony, wykraczał poza twoje organizacyjne obowiązki - ściągnęła na ciebie oraz członków twojej jednostki śmiertelne niebezpieczeństwo. Nadto Organizacja straciła cenną kryjówkę. Zważywszy na Twoją nierozwagę, postanowiliśmy przedłużyć twój okres próbny w Zakonie do sześciu miesięcy. Ponadto nie zaliczymy ci do niego czasu spędzonego w więzieniu. W konsekwencji do rytuału Zjednoczenia zostaniesz dopuszczony najwcześniej w maju przyszłego roku. Uznaliśmy jednak, że twoje postępowanie w okresie poprzedzającym akcję policyjną nie stanowi naruszenia Przysięgi.”

Odetchnąłem cichuteńko z ulgą, słysząc te słowa. Williams kontynuował jednak, przybierając bardziej posępny ton:

„Wszelako to, że zostałeś schwytyany żywcem i pozostałeś przy życiu przez blisko miesiąc, kiedy to poddawano cię śledztwu, stanowi daleko ważniejsze uchybienie. Składając Przysięgę, zobowiązałeś się do poświęcenia życia w służbie Zakonu, do przedkładania ponad wszystko powinności i obowiązków wobec Zakonu; zobowiązałeś się, że zawsze, w każdych okolicznościach, Zakon będzie ci droższy niż życie. Podjąłeś to zobowiązanie gorliwie i z własnej woli, godząc się z tym, że aż do zakończenia naszej walki będzie istniało duże prawdopodobieństwo, iż własnym życiem okupisz dochowanie Przysięgi.

Usłyszałeś również i przyjąłeś to do wiadomości, że nie możesz wpaść żywy w ręce policji politycznej; otrzymałeś jednocześnie środki, które miały zapobiec takiej ewentualności. Jednakże wzięto cię żywego i przeżyłeś. Wydobyć cię od policji przez policję informacji sparaliżowało w znacznym stopniu działalność Organizacji oraz naraziło wielu twoich towarzyszy na duże niebezpieczeństwo.

Wiemy oczywiście, że złożoną Przysięgę złamałeś wbrew własnej woli i działając pod przymusem. Zbadaliśmy skrupulatnie okoliczności, w jakich znalazłeś się w niewoli. Wiemy, jakimi technikami posługuje się obecnie policja polityczna, przesłuchując naszych członków. Gdybyś był zwykłym żołnierzem, służącym w którejkolwiek armii świata, zostałbyś natychmiast uniewinniony.

Jednakże nasz Zakon różni się zasadniczo od zwykłej armii. Przyznaliśmy sobie prawo do decydowania o życiu i śmierci wszystkich Amerykanów oraz, gdy nadejdzie czas, do objęcia rządów nad światem i kontynuowania ich wedle naszych reguł i zasad. Jeśli mamy okazać się tego godni, musimy dowieść naszej gotowości do przyjęcia łączącej się z tym odpowiedzialności.

Codziennie podejmujemy decyzje i działania, w wyniku których giną Biali; wielu z nich nie popełniło żadnych przestępstw ani nawet wykroczeń, które, według naszych kryteriów, wymagałyby kary. Postanowiliśmy jednak pozbawiać życia niewinne osoby, albowiem gdybyśmy obecnie pozostali beczcylni, naród amerykański doznałby znacznie większych krzywd. W naszych poczynaniach kierujemy się wyłącznie ostatecznym dobrem naszej rasy. Żeby ów cel osiągnąć, musimy wiele wymagać od siebie samych.

Tak, musimy być znacznie bardziej surowi dla siebie aniżeli dla innych. Musimy przestrzegać szczytniejszego kodeksu moralnego niż przeciętni obywatele czy nawet szeregowi członkowie naszej Organizacji. Obcy musi być nam zwłaszcza pogląd, który uznajemy za wytwór naszej chorej rzeczywistości - że przekonywające wyjaśnienie rozgrzesza w pełni kogoś, kto nie wykonał swojego obowiązku.

Dla nas, członków Zakonu, nie istnieje w takiej sytuacji żadne wytłumaczenie. Albo wypełniamy powinność, albo jej nie wypełniamy. Jeśli zawiedziemy, nie wolno nam szukać usprawiedliwienia. Spoczywa na nas po prostu pełna odpowiedzialność za popełnione zaniedbanie. Jeśli nasze reguły przewidują za to karę, uznajemy jej nieuchronność. Karą za złamanie Przysięgi jest śmierć.”

W sali zapanowała martwa cisza, szumiało mi jednak w uszach, a podłoga zawirowała pod stopami. Słuchałem przerażony Williamsa, który podjął po chwili swoją wypowiedź, przybierając jednak nieco łagodniejszy ton:

„Earlu Turnerze, trybunał, przed obliczem którego stoisz, ma przed sobą jasną powinność. W twojej sprawie musimy wydać takie orzeczenie, żeby każdy członek Zakonu, który może w przyszłości znaleźć się w podobnej sytuacji, wiedział zawczasu, iż jeśli niewola wydaje się nieuchronna, i tak nie uniknie śmierci. Może być to honorowa śmierć zadana własną ręką, albo mniej honorowa, gdy wyrok wykonają później jego towarzysze. Nie może taki ktoś liczyć, że dzięki „dobremu tłumaczeniu” ocali później życie.

Niektórzy z nas, tutaj obecnych, wyrazili pogląd, że jedynie powyższe względy, z uwagi na konieczność ustanowienia przykładu dla innych, powinny przesądzić o twoim losie. Inni dowodzili, że w rzeczonym czasie nie dostąpiłeś jeszcze pełnego członkostwa w Zakonie, albowiem nie uczestniczyłeś w rytuale Zjednoczenia, a zatem postępowanie twoje należy osądzić zgodnie z odmiennymi kryteriami aniżeli w wypadku osoby, która po okresie próbnym dostąpiła Zjednoczenia. Niełatwo przyszło podjąć nam ostateczną decyzję, teraz jednak musisz jej w pokorze wysłuchać i podporządkować się.

Przed wszystkim przedłużamy ci okres próbny. Potem, po jego zakończeniu, nadejdzie chwila, gdy pozwolimy ci dostąpić Zjednoczenia - ale wyłącznie warunkowo, co dla naszego Zakonu będzie stanowić precedens. Dostąpisz jednak tego przywileju tylko wtedy, jeśli podejmiesz się zadania, którego wykonanie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przypłacisz życiem.

Niestety, często, zbyt często przypada nam przykry i bolesny obowiązek przydzielania naszym członkom takich „misji samobójczych”. Postępujemy tak wówczas, kiedy nie znajdujemy innego sposobu, by osiągnąć cel. W twoim przypadku wykonanie misji ma dwojaki sens.

Jeśli zdołasz ją spełnić, wówczas dostąpisz bez przeszkód Zjednoczenia. W tym wypadku, choćbyś nawet poniósł śmierć, będziesz żyć w sercach naszych i naszych następców tak długo, jak będzie istniał Zakon. Gdyby zaś los zechciał, że wyjdiesz cało, twoje przewinienie pójdzie w niepamięć. Czy to rozumiałeś?”

Skinąłem głową:

„Tak, rozumiałem i poddaję się bez zastrzeżeń waszemu orzeczeniu. Uznaję je za stosowne i sprawiedliwe. Nigdy nie żywiłem nadziei, że wyjdę cało z walki, którą obecnie prowadzimy, i jestem wdzięczny, iż pozwoliliście mi nadal uczestniczyć w tej walce. Jestem również szczęśliwy, że nie zamknęliście przede mną drogi do Zjednoczenia.”

25 marca. Dziś przyjechał Henry. Długo rozmawialiśmy: ja, Bili i on. Henry wyrusza jutro na Zachodnie Wybrzeże i chciał wraz z Billem poinformować mnie o działalności, jaką rozpoczął w zeszłym roku. Będzie się zajmować szkoleniem nowych rekrutów oraz wykonywaniem innych wewnętrznych zadań dla Organizacji na obszarze Los Angeles, gdzie jesteśmy szczególnie silni. Na pożegnanie przekazał mi Znak; rozumiałem wtedy, że i on należy do Zakonu.

Dziś potwierdziły się domysły, jakie snułem w więzieniu: zasadniczym celem działań zbrojnych Organizacji stały się obiekty o charakterze strategicznym i o znaczeniu gospodarczym, nie zaś ludzie, których zabijanie należało do naszej taktyki.

Porzuciliśmy zamiar bezpośredniego zniszczenia Systemu. Postanowiliśmy pozbawić go poparcia ze strony ogółu Amerykanów.

Od dawna uważałem, że taka zmiana jest niezbędna. Do powyższej decyzji skłoniły Dowództwo Rewolucyjne dwa czynniki: po pierwsze: malejący napływ nowych członków, koniecznych do wypełnienia luk w naszych szeregach, powstałych w toku wojny na wyniszczenie, jaką prowadzi z nami System. Po wtóre: ciosy, jakie zadajemy Systemowi, jak również coraz ostrzejsze represje przeciw nam, nie wywarły jak dotychczas znaczącego wpływu na stosunek społeczeństwa do władz. Pierwszy czynnik okazał się decydujący. Ze względu na coraz większe ubytki w naszych szeregach nie możemy po prostu, nawet gdybyśmy chcieli, prowadzić działań przeciwko Systemowi z dotychczasową intensywnością. Według ocen Henry'ego liczebność naszych oddziałów liniowych w całym kraju - to znaczy ludzi gotowych i zdolnych do posługiwania się nożem, bronią palną czy materiałem wybuchowym - spadła drastycznie latem, osiągając wyjątkowo niski poziom. Jest takich ludzi zaledwie około 400. Stanowi to jedną czwartą ogólnej liczby członków Organizacji i grupa ta doznała nieproporcjonalnie wysokich strat.

Organizacja z konieczności osłabiła przejściowo intensywność akcji bezpośredniej, choć dysponujemy odpowiednio liczną bazą, by wzmocnić ją w przyszłości. Niestety, nasza strategia w wojnie przeciw Systemowi zawiodła na całej linii.

Stało się tak, ponieważ większość białych Amerykanów nie postępuje zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Spodziewaliśmy się, że stosowana przez Organizację „propaganda czynów” spotka się w społeczeństwie z przychylnym przyjęciem i wzbudzi naśladowictwo. Tymczasem nic z tego. Liczyliśmy na to, że gdy zademonstrujemy, w jaki sposób można zwalczać tyranie Systemu, ludzie pójdą za naszym przykładem. Sądziliśmy, że nasze widowiskowe uderzenia wymierzone w czołowe osobistości oraz w struktury gospodarcze Systemu skłonią Amerykanów do podejmowania podobnych działań. Tymczasem większość tych sukinsynów nawet nie ruszyła dupą. To fakt, spalono około tuzina synagog i nastąpił ogólny wzrost liczby aktów terroru o podłożu politycznym, ale w większości wypadków ich sprawcy błędnie wybierali cele, skutki tych zamachów okazywały się zaś niemal nieodczuwalne dla Systemu. Jeśli takie działania nie są zorganizowane, okazują się mało skuteczne, chyba że występują na szeroką skalę i przez długi czas. Riposta Systemu wzburzyła wiele osób i wywołała w społeczeństwie sporo niezadowolonych, lecz żadną miarą nie sprowokowała akcji. Nie ma co, przekonaliśmy się, że tyrania ma w Ameryce wcale licznych zwolenników.

Przeciętny Amerykanin nie ceni najbardziej wolności, ani honoru, obca mu jest również troska o przyszłość białej rasy. Najważniejszy jest dla niego czek z comiesięczną wypłatą. Wprawdzie sarkaf i narzekał, gdy dwadzieścia lat temu System zaczął wysyłać przymusowo jego dzieci do szkół dla Czarnych, ale siedział cicho, bo pozostawiono mu samochód sportowy i motorówkę.

Gdy pięć lat temu odebrano mu broń, znów zaczął psioczyć, ale siedział cicho, bo pozostawiono mu kolorowy telewizor i rożen w ogródku.

Dziś narzeka, gdy Czarni gwałcą mu żonę, a System wymaga okazywania karty tożsamości przy zakupach w sklepie spożywczym albo w pralni, ma jednak czym napełnić kałdun, siedzi więc cicho. Każdą myśl, jaka lęgnie się w jego mózgowicy, każdy jego pogląd i zapatrywanie podsuwa mu telewizja. Chce za wszelką cenę pozostać osobnikiem „pozytywnie przystosowanym” i robić oraz myśleć to, czego oczekuje od niego System. Krótko mówiąc, przeciętny Amerykanin stał się indywiduum, w jakie od ponad 50 lat usiłuje zamienić go System; „człowiekiem masowym”, członkiem ogromnego proletariatu poddanego skutecznemu praniu mózgow, zwierzęciem stadnym, prawdziwym stu procentowym demokratą.

Taki jest niestety przeciętny biały Amerykanin. Można nad tym ubolewać, jednak fakt pozostaje faktem. Próbowaliśmy wzbudzić w naszych rodakach heroicznego ducha idealizmu, którego w nich doszczętnie wytepiiono. W 99 procentach Amerykanów ducha tego zabił zalew żydowsko-materialistycznej propagandy, w której tkwią zanurzeni niemal aż do śmierci.

Jeśli zaś chodzi o ów pozostały jeden procent, ludzie do niego należący są z wielu powodów mało dla nas przydatni. Niektórzy oczywiście są przekorni z natury i nie chcą prowadzić działań w strukturach naszej Organizacji czy też jakiegokolwiek innej grupy; mogą oni tylko „chadzać własnymi ścieżkami”, co zresztą pewna ich liczba czyni. Inni wyznają po prostu odmienne poglądy albo też, odkąd zostaliśmy zmuszeni do zejścia do podziemia, nie potrafią nawiązać z nami kontaktu.

Moglibyśmy ostatecznie zwerbować większość osób należących do tej ostatniej kategorii, nie mamy jednak na to czasu. Mniej więcej pół roku temu Organizacja zaczęła po raz pierwszy traktować Amerykanów realistycznie, czyli jak stado bydła. Ponieważ nasze odwoływanie się do idealizmu nie odniosło i nadal nie odnosi żadnych skutków, postanowiliśmy użyć instrumentów, których działanie boleśnie odczują: strachu i głodu.

Ogołocimy ich stoły z pożywienia i opróżnimy im lodówki. Wytrącimy Systemowi jego główne narzędzie służące do trzymania ich w ryzach. A gdy wygłodnieją, sprawimy, że zaczną się nas bać bardziej niż Systemu. Potraktujemy ich dokładnie tak, jak na to zasługują.

Sam nie wiem, dlaczego zwlekaliśmy z tym tak długo. Przykład powinniśmy czerpać z trwających dziesięciolecia wojen partyzanckich w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Partyzanci zawsze odnosili

zwycięstwa, jeśli ludzie odczuwali przed nimi śmiertelną bojaźń, nigdy zaś wówczas gdy ich kochali. Torturując publicznie lokalnych przywódców, którzy się im sprzeciwiali, lub dokonując brutalnych masakr ludności całych wiosek odmawiających dostarczenia im prowiantu, wzbudzali w sąsiednich osiedlach takie przerażenie, że każdy obawiał się później odmówić im czegokolwiek.

My, Amerykanie, patrzyliśmy na to wszystko, ale niczego się nie nauczyliśmy. Uważamy (słusznie) wszystkich tych kolorowych za zwierzęta, toteż nie zaskoczyło nas ich postępowanie. Uznaliśmy jednak (popołniając błąd) siebie za coś lepszego i szlachetniejszego od tamtej dziczy.

Owszem, niegdyś byliśmy lepsi i szlachetniejsi - teraz my, Organizacja, walczyliśmy o to, żeby tamte czasy powróciły - obecnie jednak staliśmy się zwykłym stadem bydła, którym manipuluje, odwołując się do naszych najniższych instynktów, banda szcwanym obcych. Oto nasze ostateczne upodlenie: przestaliśmy już nienawidzić naszych ciemniejszych, poniechaliśmy też walki z nimi. Pozostał nam tylko strach i usiłowanie wkupienia się w ich łaski.

No i doskonale. Za to duchowe podporządkowanie Żydom zapłacimy bólem i cierpieniem.

Zaprzestaliśmy marnowania sił i środków, organizując zamachy terrorystyczne na niewielką skalę.

Obecnie naszą domeną stały się ataki na cele gospodarcze: elektrownie, składy paliwa, struktury transportowe, zakłady przetwórstwa i produkcji żywności, ważne obiekty przemysłowe. Nie liczymy na natychmiastowe doprowadzenie do załamania amerykańskiej gospodarki, która już i tak od dawna znajduje się w stanie rozkładu. Zamierzamy za to wywołać pewną liczbę lokalnych i przejściowych kryzysów, które doprowadzą stopniowo do społecznego efektu kumulacyjnego.

Już teraz uświadomiliśmy pokaźnej grupie Amerykanów, że nie będą w nieskończoność siedzieć bezpiecznie i wygodnie przed telewizorami, śledząc przebieg naszej wojny z Systemem. W Houston setki tysięcy ludzi zostało pozbawionych elektryczności przez blisko dwa miesiące września. Jedzenie w ich lodówkach i zamrażarkach szybko zepsuło się, podobnie jak nietrwałe produkty w supermarketach. Nim wojsko zdołało zorganizować odpowiednią liczbę punktów rozdawnictwa żywności obsługujących wszystkich mieszkańców miasta i okolic, wybuchły dwukrotnie potężne zamieszki.

Za pierwszym razem oddziały federalne zastrzeliły 26 osób z tłumu usiłującego zdobyć szturmem rządowe składy żywnościowe. Potem Organizacja zainspirowała kolejne zamieszki, rozpowszechniając pogłoski, że racje pożywienia wydawane ludziom przez służby federalne zostały zatrute jadem kiełbasianym. Sytuacja w Houston jeszcze nie powróciła do normy; w poszczególnych dzielnicach miasta nadal wyłącza się codziennie prąd na sześć godzin, co stanowi dużą dolegliwość dla mieszkańców.

Wysadzając w powietrze dwa wielkie zakłady przemysłowe w Wilmington, wystaliśmy na bezrobocie połową tego miasta. Po zniszczeniu elektrowni pod Providence połowa obszaru Nowej Anglii została pozbawiona światła. Fabryka urządzeń elektronicznych w Racine wprawdzie nie należała do największych, była jednak jedynym dostawcą pewnych kluczowych detali dla innych wytwórców na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Puszczając ją z dymem, spowodowaliśmy zamknięcie dwudziestu innych zakładów przemysłowych.

Działania te nie wywarły dotychczas znaczącego wpływu na amerykańską gospodarkę, ale jeśli będziemy je kontynuować, doprowadzimy i do tego. Przekonała nas o tym reakcja społeczeństwa na te poczynania.

Ogólnie rzecz biorąc, była ona dla nas nieprzyjazna. W Houston tłum odbił z policyjnego aresztu dwóch mężczyzn, zatrzymanych w związku z jedną z akcji bombowych, i rozszarpał ich na strzępy. Na szczęście nie należeli do Organizacji; byli to po prostu dwaj nieszczęśnicy, którzy znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwym czasie.

Naturalnie konserwatyści wzmogli swoje gęganie, zarzucając nam niweczenie wszelkich szans na poprawę sytuacji, poprzez „prowokowanie” rządu naszymi działaniami. Jeśli jednak mówią „poprawa sytuacji”, mają rzecz jasna na myśli ustabilizowanie gospodarki oraz kolejne ustępstwa na rzecz Czarnych. Wszystko zaś po to, żeby naród mógł w spokoju i wygodzie kontynuować konsumpcję w wielorasowym otoczeniu.

Ale my nauczyliśmy się już dawno liczyć nie wrogów, lecz przyjaciół, a liczba tych ostatnich wzrasta. Henry powiedział mi, że poczynając od zeszłego lata, nasz stan osobowy powiększyliśmy o połowę. Najwidoczniej nowa strategia Organizacji wyrwała z letargu wielu dotychczasowych widzów - niektórzy z nich przeszli na naszą stronę, inni zaś na stronę przeciwnika. Ludzie o dalekowzrocznym spojrzeniu zaczynają już pojmować, że nie „przesiedzą” tej wojny. Zmuszamy ich do wyjścia na pierwszą linię, gdzie muszą wybrać jeden z dwóch obozów i uczestniczyć w walce, bez względu na to, czy tego chcą, czy nie.

Rozdział 15

28 marca 1993 r. Jestem już „na bieżąco” we wszystkich sprawach. Przez ostatni weekend Katherine odpowiedziała na wiele moich pytań, informując o szczegółach (których w piątek nie przekazała mi Henry) dotyczących zwłaszcza lokalnych akcji i wydarzeń.

Gdy przebywałem w więzieniu, prace związane z budową urządzeń łącznościowych były kontynuowane; na naszym obszarze zadanie to przejęli dwaj członkowie o odpowiednich kwalifikacjach. Jednakże oczekuje mnie wiele zadań o charakterze technicznym. Bili jest wprawdzie świetnym mechanikiem i rusznikarzem, nie zna się jednak na sprawach z zakresu elektroniki i chemii, związanych z produkcją uzbrojenia. Dał mi długą listę zamówień na specjalne instrumenty i urządzenia, którą przekazano naszej jednostce, gdy przebywałem w więzieniu. Musiał ją z konieczności odłożyć ad acta. Zeszłej nocy przejrzelśmy razem ów spis, wybierając te elementy, które uznaliśmy za najniezbędniejsze. Następnie sporządziłem własny rejestr materiałów i narzędzi potrzebnych mi do pracy.

Na liście Billa czołową pozycję zajmowały detonatory odpalane drogą radiową oraz czasowe, a także zapłoniki. Jeśli chodzi o te ostatnie, Organizacja od pewnego czasu improwizowała, a w rezultacie mieliśmy zbyt wiele niewybuchów. Potrzebne było nam więc urządzenie czasowe, działające z kilkuminutową lub nawet kilkudniową zwłoką i o stuprocentowej pewności działania.

Poza tym na liście znalazły się ładunki wybuchowe i zapalające o charakterze pułapek. Obecnie stało się niemal niemożliwe wejście na teren jakiegokolwiek instytucji rządowej, nie poddawszy się u wejścia kontroli wykrywaczem metali, a wszystkie paczki i listy podlegają rutynowemu sprawdzeniu promieniami Roentgena. Trzeba będzie zdrowo pogłównkować, mam jednak w zanadru kilka pomysłów.

Ponadto Bili przygotowuje inne przedsięwzięcie, przy którym potrzebuje pomocy technicznej: chodzi o fałszowanie pieniędzy! Poinformował mnie, że na Zachodnim Wybrzeżu Organizacja już od pewnego czasu drukuje pieniądze na dużą skalę, a obecnie nasi przełożeni chcą, żeby rozpocząć produkcję banknotów również na naszym terenie.

Teraz już rozumiem, dlaczego zasoby finansowe Organizacji tak wzrosły w ostatnim roku! Od czasu przystąpienia do działań na dużą skalę zaczęliśmy czerpać dochody z kilku nowych źródeł - zwykle jest to gotówka, którą opłacają się nam grube ryby pragnące zapewnić sobie w ten sposób „polisę ubezpieczeniową”. Niezależnie od tego uznaliśmy, jak można wnosić, że należy również drukować pieniądze samodzielnie.

Nie wiem, jaki to geniusz zajmuje się robotą na Zachodnim Wybrzeżu, ale opracował on superdokładne instrukcje, z którymi zapoznał mnie Bili. Facet chyba pracował w Secret Service albo w Biurze Rytownictwa i Druku.

(Informacja dla Czytelnika: Biuro Rytownictwa i Druku było instytucją rządową zajmującą się w Stanach Zjednoczonych drukowaniem banknotów, Secret Service zaś agencją, w której gestii leżało między innymi zwalczanie fałszerzy pieniędzy. Jak wiadomo, w późniejszym okresie Organizacja, stosując tę metodę, nie tylko powiększała własne fundusze, lecz również prowadziła działania dywersyjne zmierzające do zniszczenia amerykańskiej gospodarki. W ostatnich dniach Wielkiej Rewolucji Organizacja wprowadziła do obiegu tak pokaźną liczbę fałszywych dolarów, że rząd, w odruchu desperacji, unieważnił wszelkie papierowe środki płatnicze, wprowadzając przymus płacenia

wyłącznie monetami lub stosowania środków bezgotówkowych. Wywołało to zamęt i wzburzyło nastroje społeczne, co między innymi przyczyniło się do ostatecznego zwycięstwa Rewolucji.) Bili przygotował i skompletował już niemal wszystko: urządził sobie fantastyczną drukarnię precyzyjną. Poprosił mnie o pomoc w rozwiązaniu problemu fluorescencji banknotów. Instrukcja, jaką otrzymał, zawiera wprawdzie informacje, czego należy dodać do farby drukarskiej, nie wspomina jednak ani słowem, gdzie zdobyć owe chemikalia. Mój przyjaciel nie bardzo również wie, jak zbudować i uruchomić urządzenie wyposażone w czujnik promieniowania ultrafioletowego, które sprawdza jakość końcowego produktu. Sądzę, że nie powinno to nastęczyć wielu trudności.

Naszej obecnej kwatery, a zarazem miejsca pracy, nawet nie da się porównać z poprzednią. Nie musimy się już ukrywać się i melinować „pod ziemią”; wyszliśmy, że tak powiem, na powierzchnię. Naszą drukarnię reklamuje umieszczony w witrynie neon. Zadbaliśmy również o to, by jej adres figurował na „żółtych stronicach” książki telefonicznej. Za dnia za ladą siedzi Carol, lecz Bili wyznaczył tak niebotyczne ceny za usługi, że zamówień otrzymujemy niewiele; ot, tyle, że pozwalają nam one na zachowanie pozorów. Właściwą pracę mój przyjaciel rozpoczyna po godzinach, zwykle w piwnicy, gdzie znajduje się również magazyn uzbrojenia.

Mieszkamy we czwórce na piętrze (zupełnie jak niegdyś) nad drukarnią, lecz obecnie nie musimy już zasłaniać szczelnie okien. Przed budynkiem stoi zaparkowany pickup Billa. Wszyscy mają nas po prostu za czworo młodych ludzi prowadzących zakład poligraficzny.

Wszystko gra dzięki zapewnieniu nam nowych tożsamości, stuprocentowo pewnych; na szczęście Organizacja opanowała tę sztukę do perfekcji. Każde z nas otrzymało zatem polisę ubezpieczeniową, a dwoje prawa jazdy. Dokumenty te są najzupełniej autentyczne (słyszałem makabryczne opowieści dotyczące sposobów, w jaki Organizacja je zdobywa), toteż możemy bez przeszkód otworzyć konto w banku i płacić podatki.

Musiałem tylko dobrze zapamiętać, że nazywam się teraz - pfuj! - David J. Bloom. Kpią ze mnie co niemiara z tego powodu. Na szczęście fotografia w prawie jazdy przedstawia faceta o tak nieokreślonym wyglądzie, że z powodzeniem mogę uchodzić za niego, bylebym tylko miał ufarbowane włosy.

Prawdę powiedziawszy, Organizacja nie miała większego wyboru, jeśli chodzi o zaopatrywanie w nowe tożsamości tych z nas, którzy działają w podziemiu. Sprawy w kraju zaszły bowiem tak daleko, że osoba pozbawiona dokumentów potwierdzających jej tożsamość nie może normalnie żyć i pracować. Nie sposób dokonać choćby najdrobniejszego zakupu w sklepie spożywczym czy nawet przejechać się autobusem, nie narażając się na konieczność okazania już to prawa jazdy, już to nowo wprowadzonej karty tożsamości.

Wprawdzie nadal można od biedy radzić sobie, posługując się fałszywkami, ale za kilka miesięcy ruszy nowy system komputerowy i wtedy wszystkie podrobione dokumenty zostaną automatycznie wychwycone i zdemaskowane. Organizacja postanowiła zatem wykonać solidną robotę i zapewnić nam „autentyczne” dokumenty identyfikacyjne, choć zdobywanie ich okazało się zadaniem nad wyraz żmudnym i powolnym. Zajmuje się tym kilka specjalnych jednostek, działających okrutnie i z wyrachowaniem, lecz i tak zapotrzebowanie na dokumenty stale przewyższa ich podaż.

Wydaje się również, że System zaczął traktować nas z większą brutalnością niż niegdyś. W ciągu czterech ostatnich miesięcy uśmiercono pewną liczbę członków Organizacji, może nawet 50 osób w całych Stanach. Trudno obliczyć dokładnie, ilu zabito, ponieważ wiele osób po prostu zaginęło, a ich ciał nie odnaleziono.

Gdy nasi ludzie zaczęli znikać lub też gdy zaczęto wyławiać z rzek ich zwłoki (trupy miały ręce związane na plecach i sześć lub siedem pocisków w czaszkach), w „dołach” Organizacji poszła fama, że nasze sądy ukarały tych ludzi śmiercią za przewinienia dyscyplinarne. Faktycznie, zeszłej jesieni przez pewien czas orzeczono u nas i wykonano bardzo wiele takich wyroków. Doszło do znacznego upadku morale, a więc zaszła konieczność zastosowania drastycznych środków w celu odstraszenia osób chwiejnych ideologicznie od popełniania aktów nielojalności i zdrady.

Jednakże Dowództwo Rewolucyjne (a z nim wszyscy nasi członkowie) zrozumiało niebawem, że mamy do czynienia z nowym czynnikiem. Od informatorów „zainstalowanych” w jednej z federalnych agencji policyjnych dowiedzieliśmy się, że nasi ludzie likwidowani są przez dwie grupy: specjalną ekipę izraelskich profesjonalnych zabójców oraz zespół „killerów” pracujących dla mafii, lecz pośrednio na zlecenie rządu Izraela. FBI nakazało policji trzymać się z daleka, ilekroć zachodziło podejrzenie, że zabójstwa dokonali członkowie którejś z tych grup.

(Informacja dla Czytelnika: Mafia była organizacją przestępczą, skupiającą w przeważającej części Włochów, zwłaszcza Sycyliiżyków, ale wszystkimi jej poczynaniami kierowali zwykle Żydzi.

Przeżywała ona rozkwit przez 80 lat poprzedzających Wielką Rewolucję. W tym okresie władze poczyniły jedynie kilka niezdecydowanych prób zmierzających do jej likwidacji, jednakże panujący wówczas dziki i nieokiełznany kapitalizm zapewniał idealne warunki rozwoju zorganizowanej przestępczości na wielką skalę, jak również powiązanej z nią korupcji politycznej. Mafia przestała istnieć, gdy wszyscy jej członkowie - ogółem ponad 8 tysięcy osób - zostali wyłapani, uwięzieni, a następnie rozstrzelani w czasie potężnej operacji, przeprowadzonej w okresie „oczyszczania”, który nastąpił po zwycięstwie Rewolucji.)

Dotychczas ofiarami tych zbrodni byli wyłącznie nasi „legałowie”. Prawdopodobnie ktoś w FBI przekazuje ambasadzie izraelskiej nazwiska osób podejrzewanych o przynależność do Organizacji, lecz pozostających na wolności. Żydzi nadają sprawie dalszy bieg.

Odpłaciliśmy kilkakrotnie naszym prześladowcom tą samą monetą. Gdy na przykład w Nowym Orleanie, sześć tygodni temu, dwóch naszych „legałów” (jeden był znanym adwokatem) zostało zamordowanych, podłożyliśmy miny w nocnym klubie, gdzie spotykali się członkowie mafii. Po detonacjach lokal stanął w ogniu; akurat trwało tam urodzinowe przyjęcie wydane przez jednego z pomniejszych bossów. Uciekających w popłochu mafiosów siekły na strzepy serie z broni maszynowej, ze stanowisk usytuowanych na dachach domów znajdujących się naprzeciw dwóch jedynek wyjść. Tamtej nocy zginęło ponad 400 osób, w tym około 60 członków mafii.

Uznaliśmy jednak, że to nowe zagrożenie jest nadzwyczaj poważne, ponieważ przyczyniło się do obniżenia morale naszych członków i zwolenników. Mam na myśli tych zwłaszcza, którzy, zachowując własną tożsamość, pozostali zwykłymi, przestrzegającymi prawa obywatelami. Nie korzystają oni z przywilejów, jakie zapewnia nam, działającym w podziemiu, pełna anonimowość. Jest więcej niż pewne, że niebawem będziemy zmuszeni uderzyć bezpośrednio w sprawców naszych kłopotów.

2 kwietnia. Kwestia niezbędnego sprzętu i urządzeń została rozwiązana, przynajmniej na pewien czas, wymagała jednak przeprowadzenia mokrej roboty, czego naprawdę nie lubię. Tym razem nie zachowałem się tak nerwowo jak podczas naszego pierwszego skoku z Henrym - dziś wydaje mi się, że było to tysiąc lat temu - ale mimo to zdecydowanie nie gustuję w podobnych zabawach.

Podzieliśmy z Billem naszą listę niezbędnych produktów na trzy kategorie, przyjmując jako kryterium podziału źródło zaopatrzenia. Około dwóch trzecich potrzebnych nam chemikaliów nie udostępniano w powszechnym obrocie handlowym, toteż należało spróbować je zakupić w specjalnych hurtowniach. Sto (przynajmniej) naręcznych zegarków elektronicznych, niezbędnych do przeróbki na urządzenia czasowe, kosztowałoby zbyt wiele w zwykłym sklepie. Pozostała również pewna liczba urządzeń elektronicznych i elektrotechnicznych (niektóre należały do nader pospolitych artykułów) oraz łatwych do nabycia odczynników chemicznych. Wszystko to było osiągalne bez trudności; obliczyliśmy również, że koszty nie nadszarpną naszego budżetu.

Większość czasu we wtorek i środę poświęciłem na zdobywanie materiałów należących do tej ostatniej kategorii.

W środę rozwiązaliśmy także kwestię zakupu chemikaliów. Przysporzyło to nam nieco problemów, ponieważ dostawcy odczynników dla potrzeb laboratoriów i przemysłu zostali zobowiązani do sprawdzania (podobnie jak sprzedający materiały wybuchowe), czy personalia klientów nie figurują czasem w rejestrach policji politycznej. Rzecz jasna, wolałem uniknąć takiej kontroli, skontaktowałem się więc z Dowództwem Terenowym Waszyngtonu, skąd otrzymałem informację, że jeden z naszych

„legałów” w Silver Spring jest właścicielem niewielkiej galwanizerni i może składać u swojego dostawcy dowolne zamówienia. W poniedziałek pojadę do niego, żeby odebrać towar. Ale te zegarki! Wiedziałem dokładnie, jaki typ najbardziej odpowiada moim potrzebom i że muszę dysponować odpowiednią ich liczbą, aby później ujednoczyć konstrukcję regulatorów. Dzięki temu praca poszłaby mi szybciej, a urządzenia stałyby się niezawodne w działaniu. Właśnie dlatego napadliśmy wczoraj z Katherine na hurtownię w północno-wschodnim rejonie Dystryktu Columbia. Naszym łupem padło dwieście zegarków.

Poświęciłem całe dwa dni na telefonowanie do różnych sklepów, żeby dowiedzieć się, czy mają wybrany przeze mnie rodzaj tych czasomierzy. Wreszcie uzyskałem informację, że zegarki są, ale muszą zamówić je w Filadelfii. Powiedziałem właścicielowi składu, że zależy mi na czasie i zaraz wyśle kogoś po zegarki: będzie miał potwierdzony czek opiewający na 12 tysięcy dolarów. Umówiliśmy się, że tamten będzie oczekiwać na posłańca w biurze hurtowni. Tak też się stało.

Początkowo chciałem pojechać tam z Billem, on jednak przez cały tydzień zajęty był w drukarni. Katherine bardzo nalegała, żebym zabrał ją ze sobą na tę akcję. Ma ona w swoim charakterze jakąś drapieżność oraz zamiłowanie do ryzyka, a nawet brawury; ktoś, kto jej dobrze nie zna, byłby zapewne nad wyraz zdziwiony takim zachowaniem.

Katherine rozpoczęła od charakterystyki, żeby nadać „Davidowi Bloomowi” - no i sobie - nową tożsamość. Niech to diabli: pierwsza tożsamość, druga, trzecia - doszło do tego, że nieomal zapomniałem, kto to jest Earl Turner i jak właściwie wygląda!

Potem ukradliśmy samochód. Trwało to zaledwie kilka minut, a zastosowaliśmy zwykłą przy tej robocie metodę. Zatrzymaliśmy się po prostu na parkingu przed dużym supermarketem, pozostawiliśmy tam naszego pickupa, a potem, po odnalezieniu jakiegoś wozu z nie zamkniętymi drzwiami, przeciąłem małymi szczypcami do bolców zbrojony przewód prowadzący do wyłącznika zapłonu pod deską rozdzielczą. Zlokalizowanie właściwych drucików w przewodzie i przymocowanie odprowadzeń zajęło mi zaledwie kilka sekund.

Niestety, nie obeszło się bez przemocy. Przedstawiliśmy się kierownikowi i poprosiliśmy go o ten pakunek z zegarkami. On jednak zażądał potwierdzonego cheku.

- Okay - powiedziałem - otrzyma go pan, gdy tylko sprawdzę, czy są to takie zegarki, jakie zamawiałem.

Zamierzałem zabrać po prostu karton i wyjść z hurtowni, a tamten niechby sobie wrzeszczał i domagał się zapłaty. Facet powrócił z paczką, ale w towarzystwie dwóch krzepkich pracowników. Jeden z nich zajął strategiczną pozycję pomiędzy nami a wyjściem. Byli więc nadzwyczaj ostrożni. Otworzyłem karton, sprawdziłem zawartość, a potem wyciągnąłem pistolet. Katherine również dobyte broni; machnęła lufą, nakazując pracownikowi hurtowni odejście spod drzwi. Gdy jednak szarpnęła za klamkę, drzwi się nie otworzyły!

Wycelowwała więc broń w mężczyznę, który pospiesznie wyjaśnił:

- Trzeba nacisnąć przycisk obok biurka.

- Otwieraj - warknąłem gniewnie do kierownika - albo zapłacę ci za te zegarki kilkoma porcjami rozpalonego ołowiu!

Gość jednak wyśliznął się zwinnie drugimi drzwiami (były ciężkie i okute stalą), prowadzącymi z biura do magazynu. Nim zdążyłem zareagować, zatrzasnął je za sobą.

Nakazałem wtedy uruchomić brzęczyk siedzącej przy biurku kobiecie, lecz ona zamarła z przerażenia, otwierając szeroko usta.

Zdesperowany postanowiłem odstrzelić zamek. Musiałem oddać jednak aż cztery strzały, ponieważ z pośpiechu nie celowałem dokładnie.

Pobiegliśmy z Katherine do samochodu, okazało się jednak, że szybszy był kierownik. Ten sukinsyn wypuszczał nam powietrze z opon!

Uderzyłem go w głowę lufą pistoletu; zwałił się jak kłoda na ziemię. Na szczęście zdążył wypuścić nieco powietrza z jednej tylko opony, wóz nadawał się więc do jazdy. Wynieśliśmy się stamtąd jak na skrzydłach.

Ależ parszywe życie!

Dopiero dziś po południu, kiedy ukończyłem montaż i sprawdzanie pierwszego urządzenia, uzyskałem pewność, że kosztowne zegarki były warte tej całej awantury. Nowy regulator czasu działa znakomicie: za każdym razem uzyskiwałem mocny i nieprzerwany impuls. Liczba niewybuchów zmniejszy się teraz praktycznie do zera.

Zmontowałem również dla Billa urządzenie kontrolne do banknotów, a gdy w najbliższy poniedziałek przywiozę mu dodatki chemiczne do farby, będzie mógł przystąpić do drukowania dolarów.

„Zielonym” jego produkcji daleko będzie wprawdzie do doskonałości, lecz nie powinny różnić się zbyt od prawdziwych. Będą zwłaszcza niewykrywalne przez aparaty zainstalowane zwykle w okienkach kasowych, służące do „przechwytywania” podrobionych banknotów. Fałszywość dolarów Billa będzie można wykryć dopiero w specjalnym laboratorium.

Ukończyłem też projektowanie trzech odpalarek, których nie wykryją żadne bramki zaopatrzone w emiter promieniowania rentgenowskiego. Pierwsza mieści się w ręczce parasola: weszły tam baterie, regulator czasowy i pozostałe elementy. Trzon takiego parasola można wypełnić termitem w celu uzyskania ładunku zapalającego; po odkręceniu rączki mamy zgrabny detonator. Drugie z moich urządzeń można wmontować w niewielkie radyjko tranzystorowe (w tym wypadku ładunek ulega zdalnemu odpaleniu reagując na zakodowany sygnał radiowy). Trzecie wmontowałem w zwykły naręczny zegarek elektroniczny; detonator i pobudzacznik zostały zatopione w bransoletce, niezbędnej energii dostarcza bateria czasomierza.

Oczywiście przy użyciu któregoś z tych urządzeń główny ładunek musi zostać dostarczony oddzielnie w upatrzone miejsce, można go jednak zakamuflować na wiele sposobów, na przykład uformować niczym gips, nadając kształt neutralnego przedmiotu, a nawet pomalować odpowiednio farbą.

Rozdział 16

10 kwietnia 1993 r. Po raz pierwszy w tym tygodniu mam nieco czasu dla siebie, na wypoczynek. Leżę na łóżku w jakimś motelu w Chicago i nie mam nic do roboty aż do jutrzejszego ranka, kiedy będę zwiedzać nowo wzniesioną elektrownię, atomową w Evanston. Przyleciałem samolotem w piątek po południu, obciążony dwoma zadaniami: miałem zapisać się na wycieczkę do elektrowni oraz dostarczyć partię banknotów wyprodukowanych przez Billa jednej z naszych jednostek w Chicago. Bili przystąpił do pracy w poniedziałek wieczorem, gdy tylko domieszałem chemikalia do farby. Drukował towar niemal bez przerwy aż do wczesnych piątkowych godzin porannych. W tym czasie Carol dwukrotnie wymogła na nim, żeby przespał się choć przez kilka godzin. Bili skończył dopiero wówczas, kiedy wyczerpał mu się zapas papieru. Pomagaliśmy mu z Katherine, obcinając arkusze i wkładając je do prasy. Była to niezmiernie ciężka harówka, lecz Organizacja zażądała szybkiej dostawy pieniędzy.

Ależ to była góra szmalu! Nigdy wcześniej nawet nie marzyłem, że zobaczę kiedykolwiek tyle forsy. Bili wydrukował ponad 10 milionów dolarów w dziesiątkach i dwudziestkach; nowiuteńkie, miło szeleszczące banknoty ważyły ponad tonę.

Wyglądają przewspaniale! Porównałem jeden z dziesięciodolarowych banknotów Billa z autentycznym: nie do rozpoznania.

Jedyną wyróżniającą cechą okazały się numery seryjne.

Mój przyjaciel wykonał prawdziwie profesjonalną robotę. Każdy banknot otrzymał inny numer seryjny. Sukces Billa dowodzi dobitnie, jak wiele można osiągnąć dzięki starannemu zaplanowaniu przedsięwzięcia, poświęceniu i ciężkiej pracy. Oczywiście Bili miał sześć pełnych miesięcy na przygotowanie wszystkiego oraz przeprowadzenie prób, nim dostarczyłem mu dodatki do farby i urządzenie kontrolne, toteż przed rozpoczęciem swojej trzyipółdniowej „szycoty” zabezpieczył się solidnie przed niespodziankami.

Wczoraj przekazałem jednostce 50 tysięcy nowiuteńkich dwudziestek. Zadanie naszych tutejszych przyjaciół polega na poddaniu pieniędzy „wypraniu”, tak aby Organizacja dysponowała na tym

obszarze identyczną kwotą, tyle że w autentycznych banknotach. Jest to doprawdy jeszcze bardziej śliska i czasochłonna robota niż ich wydrukowanie.

Gdy wyjeżdżałem z forszą, Katherine rezerwowała miejsce w samolocie do Bostonu; w jej walizce znajdowało się 800 tysięcy dolarów. Pod koniec tygodnia dostarczymy pieniądze również do Dallas i Atlanty. Przechodzenie z trefną forszą przez lotniskową kontrolę jest nieco stresujące, lecz dopóki tamci ograniczają się do prześwietlania bagażu, dopóty nic nam nie grozi. Wydaje mi się, że obecnie szukają tylko ładunków wybuchowych i broni. W porządku, poczekajmy jednak, co się stanie, gdy w całym kraju zaczną „wypływać” nasze banknoty!

Lecąc z Waszyngtonu, miałem czas na rozmyślenia. Z wysokości 35 tysięcy stóp człowiek patrzy na wszystko z innej perspektywy. Obserwując rozciągające się w dole przedmieścia i autostrady, zacząłem uświadamiać sobie ogrom Ameryki i to jak przeraźliwie trudne zadanie sobie wyznaczaliśmy.

Ogólnie rzecz biorąc, celem naszego strategicznego programu sabotażu jest przyspieszenie procesu naturalnego rozpadu Stanów Zjednoczonych. Podgryzamy tak jak termity belki domu, już i tak słabe, mocno nadwerężone fundamenty gospodarcze państwa, toteż cała konstrukcja runie kilka lat wcześniej, i to w bardziej widowiskowy sposób, niż gdybyśmy nie przyłożyli do tego ręki. Ogarnia mnie jednak przygnębienie, ilekroć pomyślę, że nasza ofiarność ma mimo wszystko i tak niewielki wpływ na bieg wydarzeń.

Weźmy bowiem przykładowo choćby to podrabianie pieniędzy. Pierwsze zauważalne ekonomiczne skutki tego procederu będzie można zaobserwować dopiero wówczas, kiedy w ciągu roku wydrukujemy i rozprowadzimy w kraju przynajmniej tysiąc razy tyle forsy, ile Bill wyprodukował tydzień temu, czyli przynajmniej 10 miliardów dolarów. A przecież Amerykanie wydają w tym czasie trzykrotnie większą kwotę na papierosy.

Naturalnie na Zachodnim Wybrzeżu mamy dwie kolejne drukarnie, w najbliższej przyszłości planujemy zaś uruchomienie następnych. A jeśli wymyślę jakiś sposób na zatrzymanie pracy elektrowni w Evanston, wówczas za jednym zamachem przysporzymy amerykańskiej gospodarce strat opiewających ogółem na blisko 10 miliardów dolarów - nie wspominając już o uszczerbku ekonomicznym wywołanym przerwaniem dostaw energii do zakładów przemysłowych usytuowanych na obszarze okalającym Wielkie Jeziora.

Robimy jednak coś jeszcze, coś ważniejszego od naszej zbrojnej walki z Systemem, a w dalszej perspektywie czyn ten zyska niepomiarne na ważności. Wykuwamy oto zrębny nowego społeczeństwa, nowej cywilizacji, która narodzi się z popiołów starej. Podstawą naszej nowej cywilizacji będzie światopogląd diametralnie odmienny aniżeli obecnie obowiązujący, toteż można go będzie zaszczepić ludziom stosując wyłącznie rewolucyjne metody. Społeczeństwo, którego fundamentem ideologicznym będą wartości aryjskie oraz aryjski światopogląd, żadną miarą nie powstanie na drodze ewolucyjnej; nie może go poprzedzać społeczeństwo poddane semickiej deprawacji duchowej.

Nasza obecna walka jest zatem bezwzględnie konieczna, pomijając już fakt, że podjęliśmy ją nie z własnej woli. Decyzję tę wymusiło na nas postępowanie Systemu. Gdy rozpamiętuję w tym duchu wydarzenia ostatnich 31 miesięcy - to znaczy biorąc pod uwagę nasz bardziej konstruktywny cel, dążenie do zbudowania zrębów nowego społeczeństwa, aniżeli czysto niszczycielską wojnę z Systemem - dochodzę do wniosku, że nasza początkowa strategia polegająca na uderzaniu w ludzi Systemu, nie zaś w gospodarkę kraju, wcale nie była taka zła, jak początkowo myślałem - na początek. Takie postępowanie szybko nadało pewien określony charakter naszym zmaganiom; ludzie zaczęli postrzegać je jako rozgrywkę my przeciw Systemowi, nie zaś „my przeciw gospodarce”. System odpowiedział nam represjami, chcąc osłonić się przed kolejnymi atakami. Takie postępowanie wpędziło go jednak w częściową izolację od społeczeństwa. Gdy ograniczaliśmy się do zabijania kongresmanów, sędziów federalnych, tajnych agentów policji i grubych ryb z mediów, ludzie nie odczuwali szczególnego zagrożenia, tyle tylko, że ich gniew i niezadowolenie wywoływały coraz to nowe środki bezpieczeństwa ze strony Systemu.

Gdybyśmy zatem rozpoczęli od niszczenia gospodarki, Systemowi łatwiej przysłoby wpojenie obywatelom przeświadczenia, że walka ma charakter rozgrywki my przeciw społeczeństwu, media zaś usilniej współpracowałyby z władzą w walce przeciw wspólnemu zagrożeniu, to znaczy z nami. Początkowy błąd przysporzył nam więc w efekcie korzyści, ułatwiając pozyskiwanie nowych członków teraz, kiedy dokładamy wszelkich starań, by utrudnić życie całemu społeczeństwu.

Ostatnio zresztą rosną nie tylko szeregi Organizacji. Powiększa się również liczebność Zakonu, i to w tempie nie mającym precedensu przez ostatnie 48 lat jego blisko 68-letniej historii. Wczoraj rozmawiałem z łącznikiem przysłanym po banknoty przez jednostkę z Chicago i uczyniłem ukradkiem Znak (teraz będę tak postępował, ilekroć spotykam się z nie znanymi mi wcześniej członkami Organizacji), on zaś odpowiedział mi w podobny sposób.

Zaprosił mnie w charakterze gościa na wieczorną ceremonię przyjmowania do Zakonu nowych członków-kandydatów na obszarze Chicago. Podziękowałem serdecznie, a kilka godzin później mocno się zdziwiłem widząc na sali około 60 osób, z których blisko jedną trzecią stanowiły kobiety.

Przewyższało to ponad trzykrotnie ogólną liczbę członków Zakonu na obszarze Waszyngtonu. Po zakończeniu uroczystości byłem głęboko wzruszony, tak jak półtora roku temu, kiedy sam dostąpiłem zaszczytu przyjęcia do Zakonu.

14 kwietnia. Kłopoty, kłopoty i jeszcze raz kłopoty! Odkąd powróciłem z Chicago, wszystko zaczęło iść jak po grudzie.

Bili nie może zdobyć ani kilograma papieru o identycznych parametrach technicznych jak ten, na którym wydrukował ostatnią partię banknotów. Chce nieco poimprovizować, poprosił mnie więc o pomoc. Próbowaliśmy najpierw podbarwić lekko wyblakły papier o tej samej fakturze i gęstości włókien, ale na skutek tych zabiegów otrzymaliśmy produkt o nieodpowiedniej jakości.

Zadecydowaliśmy, że Bili będzie się rozglądać za innym źródłem zaopatrzenia w papier, ja zaś dokonam jeszcze kilku eksperymentów z innymi metodami barwienia.

A potem ta historia z delegacją miejscowego Komitetu do spraw Stosunków Międzyludzkich. Wczoraj przysli czterej Czarni i obrzydliwy jak padalec biały mężczyzna, wszyscy z opaskami na rękawach.

Przynieśli wielki afisz, z tych, które widuje się teraz wszędzie, zawierający wezwanie: „pomóż zwalczać rasizm” (można to uczynić, donosząc na podejrzaną osobę policji politycznej). Żądali, żebyśmy umieścili go w oknie wystawowym. Delegacja domagała się również, abyśmy ustawili na ladzie puszkę na datki. Trafili akurat na Carol, która po krótkiej wymianie zdań kazała im wynosić się w diabły.

Zważywszy na okoliczności oraz nasze położenie, nie powinna była tak postąpić. Gdybym nie usłyszał z dołu sprzeczki i w porę się nie wtrącił, te skurwysyny niechybnie złożyłyby na nas donos.

Wyszedłem schodami z sutereny, przybrawszy wcześniej możliwie najbardziej semicki wyraz twarzy. - Uj, co jest, co się robi, co? odezwałem się, żydłaczając.

Postanowiłem zaszarżować, lecz nie ponad miarę. Liczyłem, że tamci wyciągną właściwe wnioski: oto właściciel drukarni należy również do grupy mniejszościowej, tyle tylko, że bardzo specjalnej, toteż nie sposób podejrzewać go o jakiegokolwiek wrogie zamiary wobec Komitetu czy też o potępienie jego szczytnej misji.

Czarnuch, szef delegacji, jął ostro krytykować zachowanie Carol. Przerwałem mu niecierpliwym gestem dłoni, po czym z pozornym zaskoczeniem spojrzałem na dziewczynę.

- Jak najbardziej, jak najbardziej - rzekłem, cały czas siląc się na naśladowanie żargonu typowego gudłaja - możecie panowie pozostawić u nas te puszki. To przecież w dobre sprawę. Ale nie chcę temu plakatowi, pójdzie być za mało miejsca. Jak mój kuzyn Abe chciał wywiesić tu swojemu afiszowi z Apelem Zjednoczonego Żydostwa, to nie dałem. Pozwólcie tu, panowie, pozwólcie. Coś wam pokażę. Z wystudiowaną gorliwością poprowadziłem delegację do drzwi; mijając Carol, nakazałem jej tonem godnym Simona Legree², żeby natychmiast wróciła do roboty.

² Postać z Chaty Wujka Toma H. Beecher-Stowe, uosobienie okrutnego nadzorca niewolników (przytłum.).

- W tej chwili, panie Bloom - odpowiedziała pokornie.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, przewyciężyłem odrazę i objąłem serdecznym gestem pierwszego czarnucha, pokazując mu sklep po drugiej stronie.

- U nas to pójdzie być krucho z klientelą - szwargotałem - ale u mojego dobrego przyjaciela, Solly'ego Feinsteina, drzwiczki się za nimi nie zamykają. No i są tam duże wystawy. Sol na pewno ucieszy się i wywiesi afisz. To można go przykleić pod tamtego napisu: Lombard „U Sola”, wtedy każdy szmondak pójdzie go zobaczyć. I nie zapomnijcie o puszkach, co ja mówię, o dwóch puszkach. Duży sklep on ma.

Delegaci wydawali się zadowoleni; ruszyli żwawo ku lombardowi. Jednakże ów Biały, wyjątkowo żałosna kreatura, o twarzy okrytej wypryskami i fryzurze pseudoafro, zawahał się i zawrócił.

- Może podałyby mi pan nazwisko tej dziewczyny. Niektóre jej wypowiedzi miały charakter zdecydowanie rasistowski.

- Uś, nie warto tracić czas - odparłem szorstko, żywo przy tym gestykułując. - To głupia sziksa. Zawsze jest taka. Długo u mnie nie popracuje.

Gdy wróciłem do drukarni, ujrzałem, jak Bili, który podsłuchiwał naszą rozmowę stojąc na schodach prowadzących z sutereny, oraz Carol turlają się ze śmiechu.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - ofuknąłem ich, siłąc się na powagę i surowość.

- Musiałem coś zrobić, i to natychmiast, a wy zastanówcie się; gdyby mój wygląd i akcent nie wywiódł w pole tej bandy podludzi, napytaliby nam niezłej biedy.

- Słuchaj, mała - zwróciłem się do Carol - nas naprawdę nie stać na luksus zdradzania tym gnojkom, co o nich sądzimy. Dla nas najważniejsze są zadania i powinności, a z tym ścierwem kiedyś się policzymy raz na zawsze. Trzeba na razie schować dumę do kieszeni i udawać dopóki trzeba. Ci, na których nie ciążyą takie obowiązki, jak na nas, niech sobie stają przed sądami za rasizm; jeśli tylko zechcą - do woli. Nie mogłem jednak powstrzymać sardonicznego uśmiechu, gdy dostrzegłem jak w witrynie po przeciwnej stronie ulicy pojawia się wielki afisz, który zasłonił większość ułożonego tam towaru: używanych aparatów fotograficznych i lornetek. Ależ tamten parch musiał być wściekły! A teraz wszystkim, którzy ujrzą afisz, nasuną się właściwe skojarzenia pomiędzy programem Komitetu, opierającym się na wprowadzeniu kontroli myśli, i osobami z nim powiązanymi.

Na domiar złego zeszłej nocy Katherine zachorowała na gripę. Dziś rano miała zabrać do Dallas partię banknotów, lecz czuła się fatalnie i pozostała w domu. Pewnie wstanie z łóżka dopiero za kilka dni. Oznacza to, że spadnie na mnie nie tylko obowiązek jutrzejszego wyjazdu do Atlanty, lecz również będę musiał polecieć do Dallas. W samolotach i na lotniskach stracę jeden dzień, a tak bardzo go potrzebuję na przygotowania do akcji na elektrownię w Evanston.

Chcemy na nią uderzyć w ciągu najbliższych sześciu tygodni, dopóki organizowane są tam wycieczki turystyczne. Po 1 czerwca, kiedy cały ów kompleks energetyczny, zwany Evanston Power Project, zostanie zamknięty dla zwiedzających, przeprowadzenie jakiegokolwiek akcji sabotażowej stanie się znacznie trudniejsze.

Elektrownia jest kolosalnych rozmiarów: cztery potężne reaktory atomowe, największe na świecie turbiny i generatory. Wszystko osadzone na betonowym palowaniu opodal odległego o milę jeziora Michigan, z którego pobierana jest woda spełniająca funkcję chłodziwa w wymiennikach ciepła reaktorów. Kompleks ów dostarcza 18 tysięcy megawatów mocy, czyli prawie 20 miliardów watów. Niewiarygodne!

Moc ta przekazywana jest do sieci energetycznej zasilającej cały obszar Wielkich Jezior. Przed uruchomieniem elektrowni, dwa miesiące temu, cały Środkowy Zachód odczuwał ogromny niedostatek energii; przerwy w dostawach prądu były tam znacznie bardziej dotkliwe niż na naszym obszarze, a przecież i nam dają się one mocno we znaki. Wiele fabryk pracowało z konieczności tylko przez dwa dni w tygodniu, a dotkliwą plagą tamtych terenów były niekontrolowane wyłączenia, toteż całemu regionowi zaczęła zagrażać gospodarcza zapaść.

Jeśli zatem unieruchomimy elektrownię, sytuacja znacznie się tam pogorszy. Aby utrzymać nieprzerwane dostawy prądu do Chicago i Milwaukee, władze zostaną zmuszone do „podbierania” go z bardzo odległych obszarów, na przykład z Detroit i Minneapolis, a przecież nie dysponują one żadnymi nadwyżkami. W efekcie ludność i przemysł tej części Stanów otrzymają dotkliwy cios. Projektowanie i budowa elektrowni trwały ogółem dziesięć lat, sytuacja nie powróci więc tam szybko do normy.

Jednakże władze również wzięły pod uwagę skutki jakie może przynieść uszkodzenie czy też zniszczenie elektrowni, toteż wprowadziły na jej terenie bardzo ostre środki bezpieczeństwa. Pod główne zabudowania można dostać się wyłącznie łodzią, statkiem albo śmigłowcem. Cały kompleks otoczony jest stanowiskami reflektorów, motorówki strażnicze nieustannie patrolują okalające go wody. W wodzie postawiono dziesiątki boi połączonych gęstą siecią przewodów i wyposażonych w czujniki alarmowe. Dotarcie do urządzeń drogą wodną graniczy więc z niepodobieństwem. Na brzegach jeziora ustawiono wielokilometrowe zasięki, za którymi znajdują się wojskowe stacje radarowe oraz stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Z powyższych względów każda próba wystania w samobójczą misję samolotu wyładowanego materiałem wybuchowym jest z góry skazana na niepowodzenie.

Wydaje mi się, że konwencjonalny atak można by przeprowadzić wyłącznie w inny sposób. Należałoby przesmuglować w rejon elektrowni kilka ciężkich moździerzów, umieścić je w jakiejś kryjówce opodal wybrzeża, po czym ostrzelać kompleks.

Jednakże, o ile mi wiadomo, nie dysponujemy obecnie tym orężem. Poza tym najważniejsze części kompleksu znajdują się w tak masywnych budynkach, iż, prawdę powiedziawszy, wątpię, czy atak moździerzowy przysporzy większych zniszczeń.

W zaistniałej sytuacji Dowództwo Rewolucyjne obarczyło mnie doniosłym zadaniem. Miałem zwiedzić elektrownię i przedstawić jakiś niekonwencjonalny plan jej unieruchomienia. Polecenie to wykonałem, choć pozostało do rozwiązania jeszcze wiele trudnych problemów.

Dzięki poniedziałkowej wycieczce uzyskałem całkiem niezłą orientację odnośnie do silnych oraz słabych stron ochrony kompleksu. Niektóre z tych słabych stron okazały się doprawdy zaskakujące. Najbardziej jednak zdumiewa mnie decyzja władz, które udostępniły elektrownię turystom, choćby nawet i przejściowo. Dałbym głowę, iż pośrednią przyczyną był wrzask, jaki ekolodzy i przeciwnicy energii nuklearnej podnoszą w całym kraju. Systemem powodowała chęć przekonania społeczeństwa, że zastosowane środki bezpieczeństwa są super skuteczne.

Zapisując się na wycieczkę, postanowiłem zabrać ze sobą wiele najrozmaitszych przedmiotów. Chciałem sprawdzić, które z nich zdołam bez przeszkód wnieść na teren elektrowni. Wziąłem więc dyplomatkę, aparat fotograficzny i parasol, a kieszenie wypełniłem monetami, kluczami oraz automatycznymi ołówkami.

Na promie sprawdzanie było powierzchowne. Zażądali jedynie, żebym otworzył dyplomatkę, a strażnik przejrzał pobieżnie zawartość. Jednakże w punkcie kontrolnym w budynku odebrali mi teczkę, aparat i parasol. Następnie musiałem przejść przez „bramkę”, w której zainstalowano wykrywacz metali; natychmiast wyszło na jaw, co mam w kieszeniach. Na żądanie strażników opróżniłem je, po chwili jednak otrzymałem wszystkie przedmioty z powrotem. Zauważyłem, że żadnego z nich nie oglądano zbyt dokładnie. Wniosek: na teren elektrowni można przemyścić przynajmniej ołówek termitowy.

Najbardziej zaintrygowało mnie jednak coś innego: oto jakiś starszy jegomość w mojej grupie podpierał się laską o metalowej główce. Strażnicy pozwolili mu zachować tę laskę. Wpadłem więc na następujący pomysł. Pojedynczy turysta nie zdoła, jak się wydaje, przesmuglować takiej ilości materiału wybuchowego, która mogłaby wyrządzić wewnątrz rozległe zniszczenia. Nie sądzę również, żeby tę niewielką ilość, którą mógłby ewentualnie przemyścić, zdołał następnie umieścić w odpowiednim punkcie. Chodziło o miejsce, w którym eksplozja przyniosłaby pożądane skutki, w postaci na przykład przedziurawienia któregoś ze zbiorników ciśnieniowych reaktora. Okay, spróbujemy zatem doprowadzić do skażenia elektrowni materiałem radioaktywnym, co spowoduje konieczność wyłączenia reaktorów.

Taki plan ma szansę powodzenia, ponieważ Organizacja może zdobyć materiały promieniotwórcze. Dostarczania ich podjął się pewien profesor chemii jednej z wyższych szkół na Florydzie, który używa tych substancji do badań naukowych.

Nie przysporzy nam większych trudności umieszczenie wewnątrz laski albo kuli inwalidzkiej odpowiedniej ilości szczególnie niebezpiecznego izotopu (o półrocznym lub dłuższym okresie połowicznego rozpadu), emitującego promieniowanie o silnym natężeniu, wraz z niewielkim ładunkiem wybuchowym służącym jego rozproszeniu. Na terenie skażonej elektrowni nie będą mogli przebywać ludzie. Urządzenia nie zostaną wprawdzie zniszczone, ale cały kompleks będzie musiał zostać zamknięty. Dezaktywacja pomieszczeń okaże się przedsięwzięciem tak rozległym, tak kosztownym i tak czasochłonnym, iż być może elektrownia zostanie na zawsze unieruchomiona. Niestety, będzie to misja samobójcza. Ktokolwiek przeniesie do elektrowni ów radioizotop, jeszcze przed wejściem otrzyma śmiertelną dawkę promieniowania. Praktycznie nie będzie można zapewnić mu ochrony.

Najwięcej problemów przysporzą nam zainstalowane we wszystkich pomieszczeniach wykrywacze promieniowania jonizującego. Jeśli któryś z czujników „namierzy” zamachowca nim ten przystąpi do akcji, może to oznaczać dla niego przedwczesne zdemaskowanie, a akcja nie dojdzie wtedy do skutku. Nie zauważyłem jednak żadnych czujników w sali wejściowej, gdzie strażnicy poddają kontroli grupy turystów. W ogromnej hali turbin i generatorów, dokąd prowadzi się wycieczki, dostrzegłem kilkanaście takich urządzeń, a jedno zainstalowano przy drzwiach wyjściowych, być może w celu uchronienia się przed mało zresztą prawdopodobną próbą wykradnięcia przez gościa szczypty paliwa jądrowego. Jednakże ludzie odpowiedzialni za obiekt nie przewidzieli, że ktoś może podjąć próbę przeszmuglowania materiału radioaktywnego na jego teren.

Dobrze zapamiętałem usytuowanie wszystkich czujników i będę musiał zapytać naszego człowieka na Florydzie, z jakiej odległości mogą one wykryć dostarczony przez niego izotop. Jeśli alarm zostanie uruchomiony, nim zamachowiec znajdzie się w hali generatorów, będzie musiał jak najszybciej i za wszelką cenę tam dotrzeć. Spróbujemy jednak zaprojektować „pokrowiec” w ten sposób, żeby umożliwić mu planowe wykonanie zadania.

Wszystko to jest mocno niepewne i ryzykowne, jeśli jednak sprawa pójdzie gładko, osiągniemy coś niezmiernie ważnego; mam na myśli efekt psychologiczny. Ludzie darzą promieniowanie niemal zabobonnym lękiem. Toż to woda na młyn lobby antynuklearnego. Następstwa zamachu podziałają na wyobraźnię społeczeństwa w znacznie większym stopniu aniżeli ewentualne skutki zwykłego ataku bombowego lub ostrzału z moździerza. Skażenie elektrowni napełni przerażeniem wiele osób, z których znaczna część zechce na pewno porzucić dotychczasową bezstronność i uczestniczyć w naszej wojnie z Systemem.

Jednakże Bogiem a prawdą, cieszę się, że mój okres próbny w Zakonie ma jeszcze trwać jedenaście miesięcy. Nie zażądają ode mnie, bym został wykonawcą tej misji.

Rozdział 17

20 kwietnia 1993 r. Piękny dzień, cichy i spokojny; przyjemnie odpocząć po tym piekielnym tygodniu. Wczesnym rankiem pojechaliśmy z Katherine w góry, i spędziliśmy dzień spacerując po lesie. W gęstwinie panował miły chłód, powietrze było czyste, pogoda wspaniała. Zjedliśmy posiłek, a potem kochaliśmy się na małej łące.

Rozmawialiśmy o wielu sprawach, oboje radośni i szczęśliwi. Nasze szczęście mąciło jedynie niezadowolenie Katherine wywołane tym, iż Organizacja bardzo często wysyła mnie ostatnio w podróże. Przecież upłynął dopiero niecały miesiąc odkąd odbito mnie z więzienia. Zabrakło mi odwagi, żeby powiedzieć jej, że wkrótce będziemy mieli dla siebie jeszcze mniej czasu.

Dowiedziałem się o tym wczoraj. Po powrocie z Florydy zameldowałem się wieczorem u majora Williamsa, oznajmił mi, że w najbliższych miesiącach oczekują mnie częste wyjazdy. Nie zdradził

szczegółów, dał jednak do zrozumienia, że Organizacja przygotowuje zakrojoną na szeroką skalę letnią ofensywę w całym kraju, dla mnie zaś przewidziano funkcję „lotnego” specjalisty technicznego do spraw broni i uzbrojenia.

Dziś jednak przestałem myśleć o tych sprawach, ciesząc się po prostu życiem, pięknem natury, oraz towarzystwem ukochanej kobiety.

Powracaliśmy wieczorem samochodem, gdy usłyszeliśmy przez radio wiadomość stanowiącą ukoronowanie tego cudownego dnia: w godzinach popołudniowych Organizacja dokonała zamachu na ambasadę izraelską w Waszyngtonie. Doprawdy, nie mogli wybrać lepszej pory!

Ekipa morderców z Izraela działająca na terenie Stanów likwidowała od miesięcy naszych ludzi. Dziś jednak wyrównaliśmy - przejściowo - porachunki.

Podczas koktajlu wydanego przez Izraelczyków dla swoich posłusznych sługusów z Senatu weszły do akcji nasze ciężkie moździerze. W ambasadzie gościła pewna liczba przybyłych z Izraela dostojników państwowych; ogółem, gdy rozpryskowe i zapalające pociski moździerzowe kalibru 4,2 cala zaczęły przebijać dach i rozrywać się wewnątrz gmachu, znajdowało się tam na pewno ponad 300 osób.

Spiker podał, że atak trwał zaledwie kilka minut, a jednak ponad 40 pocisków trafiło w cel. Obróciły ambasadę w ruiny i zgliszcza; ocalało zaledwie kilka osób! Ostrzał prowadzono zatem przynajmniej z dwóch moździerzy. Fakt ów potwierdził zasłyszane w zeszłym tygodniu wiadomości na temat nowego sprzętu, jakim od niedawna dysponujemy.

Zelektryzował nas fragment serwisu informacyjnego, który z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny nie został ocenzone, a dotyczył zamordowania grupy turystów przez izraelskiego ochroniarza. W czasie ataku wybiegł on z walącego się budynku ambasady na ulicę; płonęło na nim ubranie, ale w dłoniach uparcie trzymał pistolet maszynowy. Dostrzegł kilkunasto osobową grupę turystów - były to kobiety z małymi dziećmi - stojącą nieco dalej i obserwującą ze zgrozą dzieło zniszczenia. Wykrzykując gardłową hebrajszczyzną groźby i przekleństwa, Żyd otworzył do nich ogień. Położył trupem dziewięć osób, a trzy odniosły śmiertelne rany. Oczywiście nie został zatrzymany przez policję. Nadejście jednak dzień zapłaty, o Żydzi, nadejście!

Powinienem być położyć się wcześniej do łóżka ze względu na oczekujący mnie długi i ciężki dzień, lecz podniecenie wywołane naszym popołudniowym wyczynem sprawiło, że długo nie mogłem zasnąć. Udana akcja wykazała ponownie niezrównane zalety moździerzy w wojnie partyzanckiej. W efekcie stałem się wielkim zwolennikiem użycia tej broni przeciw elektrowni w Evanston, a ponadto jestem obecnie lepiej przygotowany do przezwyciężenia ewentualnych trudności, jakie może sprawić nasz profesor z Florydy.

W zeszłą sobotę, kiedy omawiałem z Henrym i Edem Sandersem kwestię przesmuglowania materiału radioaktywnego na teren elektrowni, obaj przekonali mnie, że lepiej będzie użyć moździerza, o który teraz znacznie u nas łatwiej niż niegdyś. Zrezygnowałem z wydrążonej laski na rzecz pocisków moździerzowych kalibru 4,2 cala.

Wymienimy ładunek fosforowy w trzech pociskach na nasz radioaktywny preparat. Gdy już wstrzelamy się w cel amunicją konwencjonalną, wtedy odpalimy owe „specjalne” ładunki, oczywiście o identycznej masie.

Powyższa metoda jest znacznie bardziej praktyczna od zaproponowanej przeze mnie wcześniej, a to z trzech powodów. Po pierwsze, jest pewniejsza; przy jej zastosowaniu istnieje więcej szans na pomyślny atak. Po wtóre, na terenie elektrowni znajdzie się dziesięciokrotnie więcej materiału radioaktywnego, dzięki zaś ładunkom wybuchowym w pociskach zostanie on rozproszony na znacznie rozleglejszej przestrzeni. Po trzecie: unikniemy konieczności przeprowadzenia samobójczej misji. „Gorące” pociski możemy przechowywać w opancerzonych pojemnikach aż do chwili ich odpalenia, toteż obsługa moździerza nie zostanie narażona na śmiertelną dawkę promieniowania.

Trapiły mnie jednak obawy, czy zdołamy wystrzelić pociski w ten sposób, by eksplodowały wewnątrz elektrowni, a nie tylko na jej dachu. Konstrukcja budynku jest tak solidna, że wątpię, czy pociski przebiją żelazobeton, nawet jeśli wyposażymy je w zapalniki z opóźnionym zapłonem. Ed Sanders przekonał mnie jednak, że gdy się wstrzelamy, pociski zaczną padać z wystarczającą dokładnością i pod odpowiednio dużym kątem, trafiając każdorazowo w usytuowane przy nabrzeżu skrzydło

budynku mieszczące halę generatorów. Praktycznie więc celem dla naszych moździerzy będzie wielkie okno o wysokości dziesięciu pięter i szerokości ponad stu jardów.

Rozważając w pamięci szczegóły naszego nowego planu, poleciałem na Florydę do chemika Harrisona, o którym już wspominałem. W rozmowie wyjaśniłem, iż wymagamy od niego dostarczenia odpowiedniego materiału radioaktywnego, po czym elaborowania nim przywiezionych przeze mnie pocisków. Przy tej ostatniej czynności może się posłużyć specjalnym sprzętem jakim dysponuje. Harrison wpadł jednak w szal. Wrzasnął, że zaofiarował się jedynie dostarczać Organizacji niewielkich ilości izotopów oraz innych substancji nieosiągalnych w zwykłym obrocie handlowym. Nie chciał mieć bowiem nic wspólnego z przygotowaniem, czy też z konstrukcją broni; zaprotestował zwłaszcza, gdy powiedziałem mu, o jaką ilość materiału chodzi. Oznajmił, iż niewiele osób w kraju ma dostęp do tak dużych porcji radionuklidów, zachodzi więc obawa, że ewentualne późniejsze śledztwo obejmie również jego.

Zrazu próbowałem przemówić mu do rozumu. Argumentowałem, że gdybyśmy sami chcieli elaborować pociski, wówczas, nie dysponując takimi urządzeniami jakie znajdują się w jego laboratorium, jeden lub kilku z nas uległoby śmiertelnemu napromieniowaniu. Powiedziałem mu również, iż może wybrać dowolny izotop lub skomponować ich mieszankę w taki sposób, żeby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Nam zależy tylko na tym, żeby ładunek spełnił swoją funkcję.

Harrison okazał się jednak nieprzejednany.

- Wykluczone - krzyczał - to zniszczy mi naukową karierę.

- Doktorze Harrison - wycedziłem lodowatym tonem - obawiam się, że czegoś pan nie rozumie. My przecież prowadzimy wojnę. Od jej wyniku zależy przyszłość naszej rasy. Jako członek Organizacji jest pan obowiązany wspomagać ją, wykonując wszelkie zadania, jakich się od pana wymaga. Podlega pan wewnętrznej dyscyplinie.

Zbladł jak papier i zaczął coś bąkać, ja jednak kontynuowałem.

- Jeśli nadal będzie pan trwał w swoim uporze, zabiję pana.

W istocie nie byłem uzbrojony, ponieważ na Florydę poleciałem pasażerskim samolotem rejsowym, o czym Harrison jednak nie wiedział. Przełknął kilkakrotnie ślinę, wziął się w garść i obiecał, że zrobi co będzie mógł.

Ponownie omówiliśmy kwestię ilości substancji oraz pozostałych wymagań, po czym ustaliliśmy przybliżone kalendarium wszystkich dalszych czynności. Przed odejściem zapewniłem go, iż jeśli uzna, że udział w tej operacji narazi go na zbyt wielkie niebezpieczeństwo jako „legała”, umożliwimy mu zejście do podziemia.

Facet trzęsie oczywiście portkami i nie jest zbytnio uszczęśliwiony takim obrotem spraw, nie wydaje mi się jednak, żeby próbował nas zdradzić. Jest przecież świadom tego, że Organizacja nie rzuca słów na wiatr i niemal w każdym wypadku spełnia swoje groźby. Dla wszelkiej pewności wyślemy na Florydę innego kuriera, który zabierze pociski konwencjonalne, a przywiezie z powrotem amunicję wypełnioną radioaktywnym ładunkiem. Do tej misji nie potrzeba żadnej wiedzy technicznej. Nie odpowiada mi rola „szwarccharaktera”, nie lubię też grozić ludziom. Nie leży to po prostu w moim charakterze.

Nie noszę jednak takich typków jak Harrison i jestem pewien, że gdyby odmówił współpracy, skoczyłbym mu do gardła i udusił gołymi rękami.

W Ameryce znalazłoby się na pewno wiele osób, które sądzą, że prowadzą arcy sprytną grę na dwa fronty. Dbają one wyłącznie o własne dobro, chcąc, żebyśmy to my nadstawiali karków i wykonywali wszelką brudną robotę. Wykoncypowały bowiem, że jeśli zwyciężymy, one również będą uczestniczyć w podziale łupów, a jeśli przegramy, i tak nic nie tracą.

Tak było podczas większości innych wojen i rewolucji, wątpię jednak, czy tym razem ten numer przejdzie. Wyznajemy bowiem pogląd, że ci, którzy w godzinie próby dla naszej rasy zamierzają wyłącznie korzystać z uroków życia, po prostu nie zasłużyli na to, by żyć. Niechże więc giną.

Prowadząc tę wojnę, na pewno nie zamierzamy dbać o ich wygodną egzystencję. Ludzie ci będą coraz

częściej stawać przed wyborem: bez graniczone oddanie sprawie albo opowiedzenie się po stronie przeciwnika.

25 kwietnia. Wyjazd do Nowego Jorku co najmniej na tydzień. Mają tam kilka problemów wymagających mojej konsultacji. Do czasu powrotu sprawa pocisków mózdzierzowych zostanie zapewne już załatwiona; jeśli tak, oczekuje mnie kolejna podróż do Chicago (tym razem pojedę samochodem).

Tymczasem po akcji na ambasadę Żydzi podnieśli wielki gwałt. Media poświęcają temu wydarzeniu znacznie więcej uwagi aniżeli atakowi na Kapitol czy też wysadzeniu w powietrze gmachu FBI. Telewizja codziennie uderza w coraz bardziej łzawy ton; z ekranu płynie coraz większy strumień propagandy w stylu „komór gazowych”, która okazała się tak skuteczna w przeszłości. Rwą włosy z głów, szarpią na sobie szaty: Uj, jakże straszliwie cierpimy! Uś, dlaczego do tego dopuściliście? Czy sześć milionów to mało?!

Zraniona niewinność, ot co! Żydzi tak dobrze grają w te klocki, że niemal mnie doprowadzili do płaczu. Jednakże, nie wiedzieć czemu, nikt w mediach nie zająknął się ani słowem na temat tych dziewięciu turystów. Cóż, byli oni przecież tylko gojami!

Nieoczekiwanie akcja na ambasadę przysporzyła nam pewnej dodatkowej korzyści. Doszło oto do znaczącego sporu pomiędzy Czarnymi a ich żydowskimi mocodawcami. Czystym zbiegiem okoliczności przeprowadziliśmy tę akcję na trzy dni przed przygotowywanym przez władze ogólnonarodowym „zrywem na rzecz równouprawnienia”, kolejną gigantyczną imprezą medialną, której organizatorem był Komitet do spraw Stosunków Międzyludzkich. W wielkich miastach zaplanowano urządzenie jednoczesnych „spontanicznych” demonstracji. Czarni i biali obywatele mieli wezwać jednogłośnie rząd do zniesienia ostatnich barier międzyrasowych, co zapewni Czarnym „pełne zrównanie w prawach”.

Jednakże w ubiegły czwartek, następnego dnia po naszej akcji, grube ryby w lokalnych Komitetach odwołały imprezę. Żydzi uznali, że dopóki nie zdyskontują do cna „męczeństwa”, jakiego doznali w wyniku ataku, nie zamierzają dzielić z Czarnymi cennego czasu antenowego.

Nie spodobało się to jednak kilku co bardziej zapalczywym przywódcom czarnuchów, którzy poświęcili wiele czasu i energii na przygotowanie „zrywu”. Od dawna budził ich protesty wyniosły i arbitralny sposób, w jaki Żydzi manipulowali ruchem na rzecz „równouprawnienia”. Dla niektórych Czarnych ich poczynania stały się ostatnią kroplą przepełniającą puchar. Doszło do wzajemnych oskarżeń i kontroskarżeń, cała sprawa zaś osiągnęła punkt kulminacyjny w zeszłą sobotę. Główna czarna marionetka w rękach gudłajów, nominalny przewodniczący Narodowego Zrzeszenia Komitetów do spraw Stosunków Międzyludzkich, udzielił wywiadu prasowego, w którym zmieszał z błotem swoich semickich panów. Odtąd, oświadczył, Komitety zaprzestają uznawać Żydów za mniejszość rasową. Będą oni traktowani podobnie jak biała większość, będą podlegać policyjnemu śledztwu, będzie się ich również karać za „rasizm”.

Oczywiście faceta wylali ze stanowiska na zbitą mordę, zanim zdążył połapać się, co narobił. Zastąpili go bardziej, że tak powiem, przyuczonym Czarnym, ale co się stało, już się nie odstanie. Hordy ulicznych czarnych „przedstawicieli” natychmiast złapały wiatr w żagle; obecnie biada członkom narodu wybranego, którzy wpadną w ich łapy! Tylko w ostatnich dwóch dniach kilkunastu parców zmarło podczas „przesłuchań”.

„Tomki” oczywiście przywołają z czasem do porządku co bardziej zapalczywych i krnąbrnych współbraci, tymczasem jednak Icek i Bambo skoczyli sobie do oczu. Serce rośnie, gdy człowiek patrzy, jak biorą się za łby.

6 maja. Miło powrócić do domu, choćby tylko na jeden dzień. Ależ w tym Nowym Jorku było ciekawie! Widziałem tam takie ilości uzbrojenia, o jakich nikt u nas wcześniej nawet nie marzył. Jego zdobywaniem i magazynowaniem zajmuje się jedna z naszych wyspecjalizowanych jednostek działających w tym mieście. Celem mojej wizyty było dokonanie przeglądu wszelkich rodzajów militarnych „zabawek” znajdujących się w ich składach. Miałem wybrać te, które okazałyby się

przydatne przy projektowaniu i konstruowaniu specjalnych środków walki i sabotażu. Miałem też zasugerować naszym kolegom, o co przede wszystkim powinni starać się w przyszłości.

Na lotnisku oczekiwała mnie dziewczyna, z którą pojechałem do hurtowni części hydraulicznych usytuowanej w przeraźliwie brudnej i obskurnej części dzielnicy Queens nad East River. Znajdowały się tam zakłady przemysłowe i magazyny. Wszędzie leżały sterty odpadków, stare gazety i opróżnione butelki po alkoholu. Zanim dziewczyna zaparkowała samochód na wąskim skrawku zabłoconego betonu, odgrodzonego od jezdni wysokim parkanem z łańcuchami, musiała ostrożnie mijać ogołoczone z części i przerdzewiałe wraki kilkunastu pojazdów, blokujących wąską uliczkę. Moja przewodniczka zastukała w stalowe drzwi opatrzone tabliczką „Wejście służbowe”. Ktoś otworzył i wprowadził nas pospiesznie do mrocznego i zakurzonego magazynu wypełnionego skrzyniami zawierającymi rozmaite rodzaje kształtek.

Podszedł do nas uśmiechnięty od ucha do ucha młody człowiek. Wyglądał na 25 lat, miał na sobie poplamiony smarami drelich roboczy, w dłoni trzymał notatnik. Przedstawił się tylko jako „Richard”, po czym zaproponował mi kubek kawy, którą nalał z usmolonego czajnika elektrycznego stojącego na skraju długiego kontuaru opodal drzwi.

Następnie starą i rozklekotaną windą towarową pojechaliśmy na pierwsze piętro. Gdy otworzyły się drzwi, aż jęknąłem z wrażenia. W wielkiej, nisko sklepionej hali, o długości ponad stu stóp, ujrzałem wielkie sterty najrozmaitszego uzbrojenia. Były tam karabiny samopowtarzalne, pistolety maszynowe, miotacze ognia, moździerz oraz dosłownie tysiące skrzyń z amunicją, granatami, materiałami wybuchowymi, sponkami, pobudzaczymi oraz częściami zamiennymi. Doprawdy nie pojmuję, jak stropy budynku wytrzymywały ten ogromny ciężar.

W oświetlonym narożniku hali siedziało na dwóch długich ławach czterech mężczyzn i kobieta. Jeden z mężczyzn zajmował się usuwaniem numerów seryjnych z karabinów samopowtarzalnych, które brał ze skrzyni zawierającej chyba 50 sztuk, podczas gdy pozostała czwórka oliwiła je i rozkładała na części. Były one następnie starannie pakowane do dużego kotła grzejnego o usuniętej pokrywie. W pobliżu zauważyłem kilkanaście dużych pudeł kartonowych zawierających podobne kotły.

- Tutaj właśnie przechowujemy broń i przygotowujemy ją do wysyłki - wyjaśnił Richard.

- Usuwamy z niej numery, żeby utrudnić policji ustalenie źródła pochodzenia, gdyby przejęła taki karabin albo coś innego. A kiedy kotły opuszczą tę halę, nikt nigdy nie dojdzie, skąd je wysłano.

Fałszywe etykiety na kartonach oznaczamy specjalnym kodem z informacją o zawartości. Te przerobione kociołki zainstalowano w siedzibach całkiem sporej liczby naszych jednostek bojowych na Wschodnim Wybrzeżu, ale nie tylko tam, prowadzimy bowiem, he he, wysyłkę na cały kraj.

Zaskoczony tym bogactwem, zacząłem spacerować pomiędzy stosami broni. Przystanąłem obok sięgającej do sufitu sterty skrzyń pomalowanych ciemnooliwkową farbą. Na każdej skrzyni odczytałem wypisane ołówkiem słowa:

„Moździerz, kaliber 4,2 cala, typ M 30, komplet”, a poniżej: „masa brutto 700 funtów”.

- Skąd je macie? - zapytałem.

Przypomniałem sobie, jak półtora roku temu mozoliliśmy się nad przeróbką jednego staroświeckiego moździerza.

- Nadeszły w zeszłym tygodniu z Fort Dix. Nasi towarzysze z jednostki stacjonującej pod Trenton zapłacili czarnemu sierżantowi ze służb kwatremistrzowskich 10 tysięcy dolarów za dostarczenie w umówione miejsce całej ciężarówki tych pukawek. Potem przywozili je do nas pickupem po dwie sztuki na raz. Wszystkie te rzeczy otrzymujemy z kilku baz i arsenałów w stanach Nowy Jork, New Jersey i Pensylwania. Proszę spojrzeć, co nadeszło miesiąc temu z magazynu broni w Picatinny. Mówiąc to, z dumą odrzucił narożnik brezentowej płachty okrywającej stos przedmiotów o walcowatym kształcie.

Pochyliłem się, by lepiej dojrzeć. Zobaczyłem tuby z płyt pilśniowych, długości około 2 stóp, o przekroju 5 cali. Każda tuba zawierała jeden burzący pocisk moździerzowy typu M 329. W stercie naliczyłem co najmniej 300 takich rur.

- Kiedyś większość uzbrojenia nasi ludzie, należący do personelu baz, przemycali za bramę jednorazowo po jednej sztuce. Ostatnio jednak zatrudnieni tam Czarni za pieniądze wywożą towar całymi ciężarówkami. Wprawdzie czasem otrzymujemy akurat nie to co chcemy, jednak zawsze w

znacznych ilościach. Kilku towarzyszy udaje mafiosów parających się nielegalną sprzedażą broni za granicę. Nasi ludzie w bazach kierują ich do Czarnych zatrudnionych w magazynach. Ci za dobrą zapłatą przehandlowaliby całą bazę. Muszą tylko odpalić działkę swoim „braciom” pełniącym straż. Taki system ma kilka zalet.

Najważniejsze jest to, że Czarnym łatwiej podkraść bezkarnie towar. Policja polityczna ma na oku przede wszystkim białych żołnierzy i pracowników cywilnych, toteż asfalty zorganizowały sobie w każdej bazie siatkę złodziejską. Kradną i sprzedają opony samochodowe, paliwo, towary konsumpcyjne i w ogóle wszystko, co znajdzie nabywców. Dzięki temu nasi ludzie pozostający na służbie mogą skupić się na swoim głównym zadaniu, czyli na pozyskiwaniu dla Organizacji innych białych żołnierzy i rozwijaniu naszych struktur w siłach zbrojnych.

Aż do wieczora przeglądałem zgromadzone w hali przedmioty, zapamiętując, czym dysponują nasi towarzysze. Zabrałem ze sobą po jednej sztuce rozmaitych typów zapalników, pobudzaczy oraz innych drobiazgów, z którymi chciałem nieco poeksperymentować. Oznaczało to dla mnie konieczność powrotu pociągiem.

Jeśli chodzi o nasze stosunki z wojskiem, sytuacja jest dwuznaczna. Z uwagi na fakt, że ponad 40 procent stanu osobowego sił lądowych (i niemal tyle samo w innych rodzajach broni) to Czarni, morale żołnierzy, ich zdyscyplinowanie oraz sprawność bojowa są przerażająco niskie. Ułatwia nam to znakomicie pozyskiwanie broni oraz werbunek, zwłaszcza wśród zawodowych oficerów, oburzonych tym, do jakiej degrengolady System doprowadził armię. Jednocześnie zagraża nam w przyszłości wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ prędzej czy później nadejdzie dzień, kiedy zajmiemy się również siłami zbrojnymi. Ponieważ aż tylu Czarnych dysponuje bronią, na pewno nie obejdzie się bez krwawej jatki. Gdy będziemy ich usuwali i jednocześnie reorganizowali armię, kraj pozostanie bezbronny.

Ale cóż, widocznie tak musi być.

Rozdział 18

23 maja 1993 r. Moja ostatnia noc w Dallas. Tkwię tutaj już dwa tygodnie; myślałem, że powrócę jutro do Waszyngtonu, ale dziś po południu otrzymałem polecenie wyjazdu do Denver. Znosi się na to, że chcą mi powierzyć podobne obowiązki, jakie wykonywałem tutaj, czyli udzielanie instruktażu.

Zakończyłem niedawno prowadzenie intensywnego kursu technik sabotażowych, przeznaczonego dla ośmiu wybranych członków Organizacji. Wiem, co mówię, pisząc „intensywnego”, ponieważ odkąd przyjechałem, mam dopiero teraz pierwszą spokojniejszą godzinę dla siebie. Wcześniej bywałem tak zmęczony, że nie chciało mi się nawet myśleć. Zajęcia trwały codziennie od 8.00 do 20.00, z krótkimi przerwami na posiłki.

Przekazałem kursantom całą swoją wiedzę. Rozpocząłem od zapoznania ich z zasadami budowy improwizowanych detonatorów, regulatorów czasowych oraz innych urządzeń o podobnym charakterze. Następnie zająłem się budową, charakterystyką oraz cechami działania uzbrojenia, którym dysponujemy i które można wykorzystać do rozmaitych celów.

Wszyscy uczestnicy zajęć potrafią teraz rozłożyć i złożyć z zamkniętymi oczami każdy typ zapalnika oraz opóźniacza czasowego, jaki poznali.

Potem zajęliśmy się pokaźną liczbą hipotetycznych celów, układając szczegółowe plany atakowania ich i niszczenia. Na naszej liście znalazły się zbiorniki wody pitnej, rurociągi, zbiorniki paliw, linie kolejowe, lotniska i samoloty, centrale telefoniczne, rafinerie, linie przesyłowe mocy, elektrownie, nastawnie kolejowe, elewatory zbożowe, składy oraz rozmaite typy maszyn i urządzeń produkcyjnych.

Wreszcie, w ramach zajęć praktycznych, wybraliśmy cel, który następnie zniszczyliśmy; była to główna miejska centrala telefoniczna w Dallas. Akcja odbyła się wczoraj. Dziś dokonaliśmy jej szczegółowej analizy.

Faktycznie wszystko poszło nam jak z płatka; moi kursanci zdali egzamin celująco. Naturalnie zatroszczyłem się wcześniej o wyeliminowanie ewentualnej wpadki. Przez całe trzy dni przygotowywaliśmy się wyłącznie do tej jednej akcji.

Rozpoczęliśmy od dokładnego wypytania jednej z naszych członkiń, która pracowała niegdyś w centrali jako telefonistka.

Opisała nam rozkład pomieszczeń, podała szczegółowe informacje dotyczące usytuowania sal, w których znajdowały się automatyczne łącznice. Przy jej pomocy sporządziliśmy pobieżny szkic, na którym uwidoczniliśmy klatki schodowe, wejścia dla personelu, strażnice i inne ważne punkty.

Następnie zebraliśmy sprzęt. Postanowiłem, że przeprowadzimy precyzyjne, „chirurgiczne” uderzenie; nie dysponowaliśmy zresztą taką ilością materiałów wybuchowych, która umożliwiłaby nam spowodowanie dużych i rozległych zniszczeń.

Mieliśmy trzy 500-metrowe szpule lontu detonującego o rdzeniu z PETN³, oraz ponad 20 funtów dynamitu.

Podzieliłem kursantów na dwie czteroosobowe grupy. Jeden z członków takiego zespołu został uzbrojony w samopowtarzalną strzelbę o usuniętej części lufy i kolby, drugi zaś niósł inny sprzęt. Poszczególne grupy miały się zająć trzema piętrami, na których znajdowały się urządzenia centrali, ostatnia zaś - dolną kondygnacją. Każda grupa otrzymała jedną szpulę lontu detonującego, pięciogalonowy kanister podobnej do napalmu mieszanki benzyny z płynnym mydłem, przygotowanej w ramach zajęć oraz zapalnik opóźnionego działania. Czwarta grupa weszła do akcji z 20-funtowym ładunkiem wybuchowym w woreczku oraz granatem zapalającym domowej roboty. Miała się zająć ustawionym w podziemiu transformatorem: wysadzić go w powietrze dynamitem i podpalić olej granatem.

Około 22.00 zaparkowaliśmy nasze dwa samochody w ciemnej bocznej uliczce, oddalonej o dwie przecznice od budynku. Co kilka minut przez skrzyżowanie przed nami przejeżdżała służbowa furgonetka z centrali.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany moment. Jeden z wozów zatrzymał się na czerwonym świetle, a w pobliżu nie było widać innych pojazdów ani przechodniów. Błyskawicznie ruszyliśmy do przodu, blokując furgonetkę z tyłu i od strony maski; po sekundzie dwóch kursantów otworzyło drzwi i, grożąc bronią, nakazało kierowcy przejść do tyłu. Następnie kawalkadą trzech samochodów powróciliśmy w boczną uliczkę. Po chwili wszyscy w komplecie znaleźliśmy się wraz ze sprzętem w furgonetce.

Zajęło nam to niewiele czasu. Kolejne pół godziny poświęciliśmy na „rozmowę” z porwanym kierowcą-monterem. Pod wpływem perswazji, udzielił nam dodatkowych informacji dotyczących usytuowania i rozmieszczenia urządzeń, jak również strażników i procedur ochronnych.

Ku naszemu zadowoleniu usłyszeliśmy, że nocą w budynku pełni służbę tylko jeden strażnik dysponujący bezpośrednim połączeniem telefonicznym z podkomisariatem policji, oddalonym o pięć przecznic. Pozbawiliśmy naszego jeńca munduru oraz karty magnetycznej otwierającej w nocy wejście dla pracowników. Następnie, po skrępowaniu go drutem i zakneblowaniu, podjechaliśmy furgonetką pod tylne drzwi budynku.

Wcześniej włożyłem mundur kierowcy. Postępując w myśl uzyskanych wcześniej wskazówek, wszedłem do środka, podczas gdy moi kursanci oczekiwali, ukryci w samochodzie. Odebranie pistoletu zaskoczonemu ochroniarzowi i wezwanie reszty grupy umówionym znakiem zajęło mi kilkanaście sekund. Ośmioro kursantów rozbiegło się po gmachu, ja zaś zamknąłem strażnika w szafie, którą otworzyłem, a następnie zamknąłem jego własnym kluczem.

³ Inaczej pentryt, doskonały materiał wybuchowy kruszący z grupy estrów kwasu azotowego; w czasie II wojny światowej stosowany m.in. do pocisków małokalibrowych oraz ich detonatorów i do granatów przeciwpancernych (przyp. tłum).

Ta faza operacji trwała niecałe pięć minut. Trzy grupy, które miały zająć się centralą, również działały szybko i sprawnie. Podczas gdy uzbrojony w strzelbę kursant zapędzał każdego napotkanego pracownika do pomieszczenia biurowego, jego kolega wykonywał inne zadania.

Lont detonujący odwijano ze szpuli, po czym prowadzono go wzdłuż sali, przewlekając przez otwory w dolnej części długich szaf mieszczących całą elektronikę. Potem płynem z kanistrów oblewano zarówno szafki, przez które przechodził lont, jak i sąsiednie. Wreszcie do końcówek lontów podłączono zapalniki o opóźnionym działaniu.

Oczekiwałem na parterze. Członkowie wszystkich grup po wykonaniu przydzielonych zadań znaleźli się wkrótce obok mnie.

W tej samej chwili pozbawionym okien budynkiem wstrząsnęły trzy ogłuszające eksplozje. Kilka sekund później z sutereny wybiegli towarzysze tworzący czwartą grupę.

Wsiedliśmy błyskawicznie do furgonetki. Gdy opuszczaliśmy parking, ładunek podłożony w transformatorze detonował z tak donośnym hukiem, że aż z jednej ze ścian budynku oderwał się i runął na chodnik potężny płat ceglanej fasady, odstaniając stojące w płomieniach wewnątrz centrali. Buchały stamtąd kłęby czarnego dymu.

Z informacji zamieszczonych po południu przez lokalną prasę dowiedzieliśmy się, że 24 pracowników udało się ewakuować; niestety, zamknięty przeze mnie w szafie strażnik zatruł się dymem.

Odczuwam z tego powodu wyrzuty sumienia, lecz nie mogliśmy zapobiec jego śmierci, ponieważ przyszło nam działać w szalonym pośpiechu.

Choć zniszczyliśmy większość aparatury, firma telekomunikacyjna zapowiedziała, że najważniejsze połączenia zostaną przywrócone w ciągu 48 godzin, całkowite zaś wznowienie łączności telefonicznej nastąpi za dwa tygodnie.

Ta wiadomość nie zaskoczyła nas. Wiedzieliśmy, że firma może stosunkowo szybko dostarczyć nowe urządzenia oraz sprowadzić ekipy remontowe. Nasza akcja miałaby sens, gdyby stanowiła element szerokiej ofensywy przeprowadzonej jednocześnie na wielu frontach.

System doszedł zresztą do identycznej konkluzji. Nieświadom jednak tego, że wczorajsza operacja miała charakter wyłącznie ćwiczebny, rozpoczął przygotowywać się na najgorsze. Niemal na każdym śródmiejskim skrzyżowaniu stanęły czołgi, a wojsko i policja zorganizowały na wszystkich arteriach komunikacyjnych tak wiele punktów kontrolnych, że ruch samochodowy praktycznie zamarł. Gdyby nie to, wyjechałbym do Denver dziś wieczorem, nie zaś dopiero w dniu jutrzejszym.

8 czerwca. Dziś otrzymałem wiadomość od Katherine! Znalazłem ją w pojemniku ze sprzętem, jaki przechowywałem w drukarni i o którego przekazanie prosiłem wcześniej Organizację. Kilka zapisanych kartek dostrzegłem dopiero po otwarciu pojemnika, toteż nie mogłem wysłać odpowiedzi za pośrednictwem kuriera, który przywiózł przesyłkę.

Katherine napisała, że zajęci są przez 70 albo i 80 godzin tygodniowo, drukując głównie banknoty, ale również ogromne ilości ulotek propagandowych. Skłania mnie to do przypuszczeń, że na obszarze Waszyngtonu rozpoczniemy wkrótce jakąś wielką akcję (Katherine sama się niebawem dowie, o jaką akcję chodzi!)

Była przekonana, że nadal przebywam w Dallas; pod koniec listu wspomniała, iż ma nadzieję, że wkrótce otrzyma polecenie ponownego dostarczenia do tego miasta transportu gotówki, a więc będzie okazja do spotkania. Tęsknię za nią całym sercem, choćbyśmy mieli być ze sobą tylko przez kilka godzin!

Ja jednak przynajmniej przez następne trzy tygodnie na pewno nie powrócę do Waszyngtonu, tutaj bowiem, w rejonie Gór Skalistych, musimy zająć się wieloma sprawami. W tej części kraju Organizacja nie jest szczególnie silna, ale mimo to Dowództwo Rewolucyjne właśnie tu wyznaczyło 43 cele (przyznając im najwyższy priorytet), z których połowę stanowią urządzenia i obiekty wojskowe. Musimy przygotować się do jednoczesnego ich zaatakowania, co nastąpi prawdopodobnie (oczywiście gdy otrzymamy stosowny rozkaz) na początku lipca.

Na dobitkę nie ma tutaj praktycznie nikogo obeznanego z uzbrojeniem specjalnym, toteż chcąc nie chcąc muszę szkolić, dosłownie od podstaw, 26 kursantów. Ich zadaniem będzie przygotowanie i użycie w akcji na wyznaczone cele materiałów zapalających i wybuchowych. Na szczęście Organizacja dysponuje na tych terenach kilkunastoma wojskowymi, świetnymi znawcami taktyki wojny partyzanckiej, a zatem szkolenia poświęcam wyłącznie sprawom technicznym.

Mimo tego zawężenia tematycznego nauczanie idzie mi wolniej niż w Dallas, a to z uwagi na rozproszenie zajęć. Uznano za nierozsądne tworzenie jednej grupy o liczebności 26 osób, toteż w zajęciach prowadzonych przeze mnie w Denver uczestniczy 6 osób, a w Boulder, mieście uniwersyteckim oddalonym o 20 mil na północ - 11. Z kolei w budynku należącym do zabudowań gospodarskich pewnej farmy, położonej na południe stąd, moich wykładów słucha 9 osób. Z każdą grupą spotykam się co trzeci dzień, lecz za to wszystkim zadaję dużo pracy domowej.

Dotychczas w Górach Skalistych nie prowadziliśmy żadnych działań zbrojnych przeciwko Systemowi, toteż jest tu nieco spokojniej aniżeli na Wschodnim Wybrzeżu. Niemniej jednak, w zeszłym tygodniu doszło i u nas do tragicznego wydarzenia, które stanowi, jak sądzę, ponure memento, przypominając wszystkim, iż walka będzie tu równie brutalna i ostra jak gdzie indziej.

Jeden z naszych członków, robotnik budowlany, został przyłapany w pracy na kradzieży kilku lasek dynamitu. Podobno już od dłuższego czasu wnosił codziennie z magazynu kilka lub kilkanaście sztuk tego towaru, ukrywając go w pojemniku na śniadanie.

Ochroniarze przekazali go w ręce miejscowego szeryfa, który natychmiast zarządził przeszukanie jego mieszkania. Znalaziono tam nie tylko dużą skrzynkę dynamitu, ale również kilka sztuk broni palnej i nieco literatury wydanej przez Organizację. Szeryf zmiarkował, że sprawa ta może mu pomóc w karierze, jeśli bowiem zdoła przyczynić się do rozbicia naszych struktur w Górach Skalistych, zaskarbi sobie wdzięczność Systemu. Niewykluczone, że zdobędzie posadę w legislaturze stanowej; być może zostanie nawet mianowany wice-gubernatorem albo otrzyma wysokie stanowisko we władzach stanu.

Wraz ze swoimi zastępcami skatował naszego człowieka, próbując skłonić go do ujawnienia nazwisk innych członków Organizacji. Mimo wysiłków niczego nie zdołali z niego wydusić. Przywieźli więc jego żonę i na oczach więźnia zaczęli tłuc ją i kopać. Robotnik, w akcie rozpacz i desperacji, wyrwał jednemu z zastępców szeryfa rewolwer z kabury. Nim jednak zdążył wycelować i nacisnąć spust, położył go trupem drugi zastępca. Żonę przekazano służbom FBI, które przewiozły ją do Waszyngtonu. Miała tam zostać przesłuchana. Oczywiście niewiele wiedziała, a więc nie poda im żadnych ważnych informacji, ale aż się wzdragam, gdy pomyślę, przez jakie piekło przejdzie ta biedaczka.

Szeryf krótko paradował w glorii chwały. Tego dnia, w którym zginął nasz człowiek, udzielił on wywiadu wiadomościom telewizyjnym. Chełpił się, jaki wymierzył nam dotkliwy cios - w imieniu prawa, porządku oraz równouprawnienia. Następnie, siląc się na pompatyczny ton, ostrzegł, że w podobny sposób potraktuje każdego „rasistę”, który wpadnie w jego ręce.

Gdy powrócił ze studia do domu, odnalazł w salonie zwłoki żony. Poderżnięto jej gardło. Dwa dni później wóz patrolowy, którym jechał, wpadł w zasadzkę. Ze spalonego wraku wydobyto jego ciało naszpikowane dziesiątkami pocisków.

Zabijanie kobiet należących do białej rasy jest czynem okrutnym, ale toczą się zmagania, w których zarzucono wszelkie dawne reguły „honorowej” gry. Walczymy z Żydami na śmierć i życie, oni zaś uznali, iż są tak blisko zwycięstwa, że mogą bez obaw zrzucić maski i traktować wrogów jak „bydło”, czyli wedle wskazań swojej religii. Nasza kara wymierzona szeryfowi powinna stanowić ostrzeżenie przynajmniej dla Aryjczyków-żydowskich pachotków. Jeśli będą naśladować Żydów, traktując nasze kobiety i dzieci w podobny sposób, ich własne rodziny nie będą mogły czuć się bezpiecznie.

(Informacja dla Czytelnika: dotychczas nie odnaleziono żadnych ksiąg zawierających zasady żydowskiej doktryny religijnej, zwanej „judaizmem”. Skądinąd wiadomo nam, że książki te, Talmud i Tora, nazywają nie-Żydów „bydłem”. Przerazający jest zwłaszcza stosunek Żydów do aryjskich kobiet. Nazywają je sziksa, które to słowo, pochodzące z języka hebrajskiego, oznaczało „obrzydlivość” oraz „mięso niekoszerne” lub „częściowo nieczyste”.)

21 czerwca. Powracając nocą z Boulder, zostałem zatrzymany na blokadzie policyjnej. Funkcjonariusze przepuścili mnie nie stwarzając problemów. Zadowolili się sprawdzeniem prawa jazdy (należącego do nieżyjącego już i nie opłakiwanego przez nikogo Davida S. Blooma), zapytaniem o cel podróży i spojrzaniem do wnętrza samochodu. Jednakże z powodu tej blokady na szosie utworzył się wielokilometrowy zator, a inni kierowcy byli zdenerwowani i źli. Od jednego z nich dowiedziałem się, że taką blokadę widzą na tutejszym terenie po raz pierwszy. Zorganizowanie tej blokady, jak również kilka informacji podanych w ostatnich dniach przez radio, dało mi dużo do myślenia. System chyba przeczuwa, że szykuje się akcja duże go kalibru. Miejmy nadzieję, że nie wprowadzi tutaj tak ostrych środków bezpieczeństwa jak na Wschodnim Wybrzeżu; gdyby tak się stało, pokrzyżowałyby to nasze plany. Skądinąd wszystkim miejscowym cymbałem dobrze zrobi nieco miłosnych pieszczot Wielkiego Brata. Większość tutejszych obywateli nigdy nie widziała na oczy Czarnego ani Żyda, no i zachowują się w taki sposób, jakby w Ameryce nie toczyła się żadna wojna. Wydaje się im, że są tak oddaleni od plag i nieszczęść jakie spadły na inne tereny Stanów Zjednoczonych, iż mogą spokojnie prowadzić dotychczasowy tryb życia. Nawet nie dopuszczają do siebie myśli, że mogliby na pewien czas poniechać pogoni za przyjemnościami i luksusem, aby dopomóc w usunięciu raka toczącego Amerykę. Rak ten niewątpliwie zniszczy nas wszystkich, jeśli go w porę nie wytniemy. Czego jednak można się spodziewać po przedstawicielach gatunku *Americanus Głuptakus*? Wkurza mnie, że media dotąd nie poinformowały o żadnych nadzwyczajnych wydarzeniach w Evanston. Poczynając od ostatniego tygodnia zeszłego miesiąca, codziennie oczekuję informacji o zamachu na elektrownię. Czyżby jakieś problemy z Harrisonem? A może Dowództwo Rewolucyjne postanowiło odczekać z tym atakiem, być może aż do naszej wielkiej ofensywy, przewidzianej na przyszły miesiąc? Jednakże na odprawie nikt o tym nie wspomniał. Może Harrison skrewił? Niech szlag trafi tego łobuza! Gdy ponownie obliczałem prawdopodobieństwo trafienia w cel na odległość, którą przed wyjazdem z Waszyngtonu do Dallas podała mi obsługa mózdzierza, uznałem, że powinniśmy wystrzelić nie trzy pociski z radioaktywną zawartością, ale pięć. Dzięki temu prawdopodobieństwo, że trafimy choćby jednym pociskiem w budynek z generatorami wzrośnie do blisko 90 procent. Harrison mógł jednak odmówić dostarczenia tak dużej ilości radioizotopu. Jeśli istotnie tak się stało, dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Martwi mnie również to, że nie otrzymałem żadnych rozkazów co do moich obowiązków po skończeniu bieżącej pracy. Jeśli miałbym pozostać tutaj jeszcze jakiś czas, boję się, że nie zdążę powrócić do Waszyngtonu przed rozpoczęciem naszej wielkiej ofensywy. Gdy w przyszłym miesiącu rozpocznie się zabawa, chciałbym być razem z Katherine, Carol i Billem. Prawdę powiedziawszy, mogłoby się tak stać, ponieważ nie będzie to właściwa pora na wysyłanie mnie dokądkolwiek w celu prowadzenia takich kursów jak obecnie.

Rozdział 19

27 czerwca 1993 r. Wreszcie otrzymałem rozkaz! W czasie wielkiej letniej ofensywy mam przebywać w Kalifornii. Początkowo byłem zawiedziony tym, że nie powrócę do Waszyngtonu; im dłużej jednak rozważam następstwa rozkazu, tym mocniej utwierdzam się w przekonaniu, iż przez najbliższe tygodnie najbardziej intensywne działania będziemy prowadzić na Zachodnim Wybrzeżu. Wygląda na to, że znajdę się w centrum wydarzeń, co przyniesie tak pożądaną odmianę (przynajmniej skończy się ta moja belferka).

Dowództwo Terenowe Denver wezwało dziś w trybie alarmowym mnie oraz sześciu moich kursantów. Usłyszałem właściwie tylko tyle, że w towarzystwie czterech z nich mam stawić się w Los

Angeles najpóźniej w sobotę wieczorem. Pozostałą dwójkę skierowano do San Mateo, miasta położonego tuż obok San Francisco.

Natychmiast stanowczo zaprotestowałem. Przecież wszyscy oni otrzymali wiedzę z zakresu atakowania celów na tym obszarze. Zostali przeszkoleni do działania zespołowego. Nie widzę najmniejszego sensu w rozdzielaniu grupy i wysyłaniu niektórych tylko jej członków do Kalifornii. Tutaj mogą okazać się znacznie bardziej przydatni i skuteczni. Jeśli wyjadą stąd, zostaną zagrożone wszelkie nasze plany dotyczące obszaru Gór Skalistych.

Moi rozmówcy, dwaj oficerowie z Dowództwa, zapewnili mnie, że decyzji tej nie podjęto pod wpływem czyjegoś chwilowego kaprysu. Oni sami doskonale rozumieją moje obawy, przesądziły jednak ważniejsze względy. Wreszcie, pod wpływem moich nalegań, przyznali, że otrzymali pilny rozkaz z Dowództwa Rewolucyjnego do wysłania na Zachodnie Wybrzeże, i to natychmiast, każdego towarzysza, który nie jest im absolutnie niezbędny. Podobno pozostałe Dowództwa Terenowe w Stanach Zjednoczonych otrzymały podobne rozkazy.

Wprawdzie okazali się niezbyt skłonni, by ujawnić więcej, ale przypuszczam, i chyba się nie mylę, że nasze działania w Kalifornii rozpoczną się już w przyszłym tygodniu.

Osiągnąłem przynajmniej jedno: od wyjazdu do San Mateo wyreklamowałem Alberta Masona (zastąpili go kimś innym). Obecność Alberta tutaj jest nieodzowna, jeśli operacje zaplanowane na naszym obszarze mają się zakończyć powodzeniem. Przekonanie oficerów co do konieczności dokonania nawet tej niewielkiej zamiany przyszło mi niełatwo. Zażądałem, żeby poinformowali mnie, jakie kryteria zadecydowały o kierowaniu ludzi na inne obszary. Okazało się wtedy, iż, pomijając mój przypadek, wybierano towarzyszy o doświadczeniu wojennym, służących niegdyś w piechocie, oraz strzelców wyborowych.

Wywnioskowałem z tego, że na Zachodnim Wybrzeżu potrzebują snajperów oraz ludzi obeznanych z taktyką walk na barykadach, nie zaś sabotażystów i ekspertów w dziedzinie materiałów wybuchowych.

To prawda, służąc w wojsku AI uzyskał kwalifikacje „mistrzowskie” w strzelaniu precyzyjnym, ponadto dowodził przez trzy lata plutonem w południowo-wschodniej Azji. (Informacja dla Czytelnika: Turner nawiązuje tutaj do tak zwanej wojny wietnamskiej. Wprawdzie w czasie pisania dziennika upłynęło już od niej 20 lat, lecz odegrała ona niezmiernie ważną rolę, ponieważ uzyskane wówczas doświadczenie umożliwiło bojownikom Organizacji zwycięstwo nad siłami zbrojnymi Systemu.) Był on jednak również moim najlepszym uczniem. Tylko z nim omawiałem w ramach zajęć nadprogramowych zasady budowy militarnych „zabawek” nowszej generacji, które, na co liczę, zdobędziemy w tutejszych magazynach broni. Jestem pewien, że tylko AI będzie potrafił używać, przykładowo, nowego dalmierza laserowego typu M-58, oraz wyszkolić obsługę moździerzy w posługiwaniu się tym sprzętem. Również wyłącznie jemu przekazałem tyle wiadomości z zakresu podstawowej elektroniki, że niewątpliwie zdoła skonstruować samodzielnie ładunki odpalane drogą radiową, których zastosowanie jest nieodzownym elementem naszego planu unieruchomienia, i to na dłuższy czas, miejscowego systemu autostrad.

Dopiero kiedy przedstawiłem im swoje argumenty, zgodzili się na pozostawienie Ala. Następnie poświęciliśmy całe pół godziny na przeglądanie listy wszystkich naszych towarzyszy nim wytypowaliśmy takiego, który według mojego mniemania, mógł go zastąpić bez uszczerbku dla naszych zadań na tym terenie i który spełniał również ich kryteria.

Przypuszczam, że nasze plany dotyczące tej części kraju nie zostaną odwołane, a pomyślna ich realizacja nadal uważana jest za sprawę istotną, najważniejszym jednak teatrem operacji wojennych stanie się niebawem Zachodnie Wybrzeże.

Wskutek dokonywanych w ostatniej chwili przemieszczeń nasza liczebność wzrośnie tam mniej więcej w dwójnasób, a mimo to większość operacji przygotowanych gdzie indziej będzie można przeprowadzić, tyle że skromniejszymi siłami.

Na przebycie ponad 1000 mil mamy zaledwie 48 godzin, a nie wiadomo, ile punktów kontrolnych napotkamy po drodze.

Przyjdą po mnie za około dwie godziny, a potem spakowanie „zabawek” do samochodu (w ten sposób, żeby nie znaleźli ich przy ewentualnej rewizji) potrwa przynajmniej dwa razy dłużej. Cóż, utnę sobie krótką drzemkę.

1 lipca. Boże drogi! Ależ tu ruch, ależ nerwy! Przyjechaliliśmy wczoraj około 13.00, po podróży, o której chciałbym jak najszybciej zapomnieć. Moi towarzysze rozjechali się już do wyznaczonych jednostek, ja jednak pozostałem w Dowództwie Terenowym Los Angeles, którego kwatery mieści się w osiedlu Canoga Park, położonym około 20 mil na północny zachód od centrum.

Organizacja jest tutaj znacznie silniejsza aniżeli w innych częściach kraju, co wynika choćby z faktu, że na obszarze Los Angeles istnieje osiem dowództw terenowych, podczas gdy w większości pozostałych miast tylko jedno. Oznaczałoby to, że liczba działających w podziemiu członków wynosi około 500, może 700.

Odkąd przyjechałem, oczy mi się stale kleją (w czasie podróży w ogóle nie spałem), lecz, jak zauważyłem, tutejsi towarzysze chyba w ogóle obywają się bez snu. Trwa nieustanny ruch kurierów, stale odbywają się narady i odprawy. Wieczorem zatrzymałem wreszcie kogoś niemal przemocą i dowiedziałem się, przynajmniej w ogólnych zarysach, jak wygląda sytuacja. Na najbliższy poniedziałek, 4 lipca, przewidziany jest jednoczesny atak na 600 obiektów wojskowych i cywilnych. Niestety, w środę, tuż przed naszym przybyciem, jeden z członków Organizacji został aresztowany. Najprawdopodobniej stało się to przypadkowo. Faceta zatrzymano do rutynowej kontroli i gliniarzom coś się nie spodobało.

Ponieważ nie należał on do Zakonu, nie był przygotowany ani też zobowiązany do odebrania sobie życia. Od dwóch dni wszyscy zastanawiają się, czy po torturach ujawni tamtym tyle szczegółów, że domyśla się, co planujemy na poniedziałek.

Gdyby tak się stało, władze - nawet nie wiedząc, które obiekty staną się celem ataków - wzmocnią wszędzie środki bezpieczeństwa w takim stopniu, że poniesiemy nadmiernie wysokie straty.

Dowództwo Rewolucyjne stanęło przed dylematem: zlikwidować jeńca nim zaczął go przesłuchiwać, czy odłożyć ofensywę.

Druga ewentualność jest wysoce nieprawdopodobna, poczyniono bowiem bardzo wiele starannych i skorelowanych ze sobą przygotowań, a taka przymusowa przerwa może trwać nawet miesiącami. Łączyłoby się to z wielkim ryzykiem, zbyt wiele bowiem osób przygotowanych do poniedziałkowych działań już od dawna zna wiele szczegółów.

Wczoraj zdecydowano zatem o wyborze pierwszego wariantu. Wyłoniły się jednak problemy: nie możemy uśmiercić pojmanego w Los Angeles człowieka, ponieważ narażamy w ten sposób na zdemaskowanie jednego z naszych najcenniejszych „legałów”, zatrudnionego jako agent specjalny w tutejszej centrali FBI. Miejsce uwięzienia naszego towarzysza zostało utajnione, jeśli więc zorganizujemy akcję, w gronie podejrzanych o spowodowanie „przecieku” znajdzie się tylko sześć osób.

Każdy obywatel zatrzymany przez policję podlega rutynowemu sprawdzeniu. Początkowo, jeszcze przed przewiezieniem na posterunek, zostaje poddany ogólnemu przesłuchaniu, które ma wykazać, czy jest w jakikolwiek sposób powiązany z Organizacją. Jeśli okaże się, że tak, wówczas przewożą go samolotem do Waszyngtonu, gdzie trafia do rąk izraelskich specjalistów. Do tego żadną miarą nie możemy dopuścić.

Tym razem intrygujące jest jednak to, że miejscowe FBI nadal przetrzymuje więźnia. Nie został on odesłany do Waszyngtonu w czwartek wieczorem, kiedy tamci powzięli przekonanie, że zgarnęli członka Organizacji. To niewiadomej przyczyny opóźnienie spowodowało, że w Dowództwie Rewolucyjnym zapanowała atmosfera nerwowego wyczekiwania. Nikt, nawet nasz „legał” zatrudniony w FBI, nie wie, czym kierowały się władze. Być może przyczyną był zwykły bałagan albo też tym razem, wbrew ustalonym wcześniej procedurom, mają zamiar sprowadzić ekipę z Waszyngtonu.

Dowództwo Rewolucyjne postanowiło odsunąć w czasie ofensywę i poczekać na rozwój wypadków. Ustaliło, że jeśli przez najbliższe 36 godzin więzień nie trafi na pokład samolotu, lub też nie zostanie

poddany dalszym przesłuchaniom na miejscu, problem przestanie istnieć. Jeśli bowiem System wydobędzie nawet od jeńca jakieś informacje, nie zdąży już wówczas pokrzyżować naszych planów na poniedziałek. Jeśli się jednak okaże, iż do niedzielnego popołudnia więzień ma zostać przetransportowany do Waszyngtonu lub poddany śledztwu, dokonamy błyskawicznego rajdu na tutejsze tajne więzienie FBI.

Trudno, zaryzykujemy nawet „spalenie” zatrudnionego tam naszego tajnego współpracownika, którego informacje mogą mieć dla nas w najbliższych miesiącach kapitalne znaczenie.

Jeśli chodzi o mnie, nadal nie wiem, w jakim celu zostałem wezwany i co mam właściwie robić. Nie jestem pewien, czy wie o tym ktokolwiek inny. Kazano mi po prostu czekać.

Cóż, mogę się tylko domyślać, że Organizacja stoi ponownie w obliczu wielkiej próby. Wprost nie mogę uwierzyć że już za dwa dni przeprowadzimy ogólnokrajową akcję zbrojną przeciwko Systemowi! Dysponujemy przecież w całym kraju nie więcej niż 1500 bojownikami, mimo iż w ostatnich miesiącach przybyło nam wielu nowych członków. Ogółem, włączając personel pomocniczy, kobiety i „legałów”, nasze siły nie przekraczają stanu raptem pięciu tysięcy osób, a wedle moich obliczeń jedna trzecia przebywa obecnie w Kalifornii. Nie, to wprost niewiarygodne, zupełnie jakby komar porywał się słońca!

Oczywiście nie liczymy na obalenie Systemu w ów najbliższy poniedziałek. Gdyby do tego doszło, żadną miarą nie zdołalibyśmy opanować sytuacji, ponieważ Organizacja, ze względu na swoją słabość strukturalną, nie jest jeszcze w stanie przejąć i sprawować rządów w kraju oraz przystąpić do przebudowy amerykańskiego społeczeństwa. Żeby tylko rozważyć tę ewentualność, musielibyśmy rozporządzać stukrotnie liczniejszą infrastrukturą.

W poniedziałek dokonamy eskalacji konfliktu, przeciwstawiając się w ten sposób strategii stosowanej od niedawna przez System w walce z nami. Prawdę powiedziawszy, nie mamy większego wyboru. Jeśli mamy przetrwać i rosnąć liczebnie w nadzwyczaj trudnych warunkach, które stworzyły i narzuciły nam władze, musimy zachować wewnętrzną dynamikę, zwłaszcza, że tak powiem, dynamikę psychologiczną.

Niebezpieczeństwo, jakie łączy się z faktem odejścia od polityki nieustannej eskalacji działań, polega na tym, że System swoimi działaniami doprowadzi do wytworzenia się stanu nowej równowagi. Społeczeństwo z czasem do niej przywyknie.

Warunkiem utrzymania napływu nowych członków na obecnym poziomie jest wprowadzenie znacznej części społeczeństwa w stan trwałego psychologicznego rozchwiania; musimy wpoić ludziom przeświadczenie, że System nie jest wystarczająco sprawny i skuteczny, aby nas zlikwidować. To my jesteśmy niezwykcie, a prędzej czy później oni sami zostaną w drastyczny sposób zmuszeni do opowiedzenia się po którejś z walczących stron i do uczestnictwa w wojnie.

W przeciwnym bowiem razie te skretyniałe skurwysyny wybiorą rozwiązanie najprostsze i najwygodniejsze: po prostu nie ruszą tyłków z foteli, obserwując biernie rozwój wydarzeń.

Amerykanie dowiedli już swoim postępowaniem, że będą kontynuować wariacką pogoń za przyjemnościami życia nawet w najbardziej nikczemnych warunkach, o ile, ma się rozumieć, wszelkie obostrzenia i ograniczenia będą narzucane im stopniowo, aby do nich przywykli. Właśnie dlatego najbardziej niebezpieczne jest dla nas zaniechanie działań.

Ponadto policja polityczna działa coraz skuteczniej. Mimo podjętych przez nas wyjątkowo ostrych środków bezpieczeństwa jej agenci zdołają z biegiem czasu spenetrować Organizację i zniszczyć ją - jeśli damy im na to czas. Coraz trudniej jest nam także poruszać się swobodnie po kraju. Niebawem zacznie obowiązywać nowy system kart tożsamości, ten sam, którego wprowadzenie opóźniliśmy dzięki zamachowi na centralę FBI ponad rok temu. Wiadomo, że ma być znacznie sprawniejszy i skuteczniejszy od starego. Nie wiem, czy i jak sobie wtedy poradzimy.

Ogarniając jednak myślą wydarzenia z dwóch ostatnich lat, dziwię się, że w ogóle przetrwaliliśmy tak długo. Często przecież ogarniały mnie wątpliwości, czy pociągniemy jeszcze kolejny miesiąc.

To przetrwanie zawdzięczamy częściowo czynnikowi, którego doprawdy nie możemy zapisać na koncie własnych zasług: chodzi mi o niewydolność Systemu. Tamci popełnili kilka dużych błędów i

przeoczyli wiele spraw, które, gdyby skrupulatnie je zbadali, mogłyby w konsekwencji przysporzyć nam dotkliwych strat.

Człowiek odnosi nieodparte wrażenie, że wyjąwszy Żydów, którzy istotnie nie ustają w wysiłkach, by nam zaszkodzić, wszyscy pozostali funkcjonariusze Systemu to jedna banda leserów. Niech Bóg błogosławi za to ów system „równych możliwości” oraz czarnuchów służących w FBI i wojsku! System stał się tak skorumpowany i tak skundlony, że tylko Żydzi czują się świetnie w jego strukturach, nikt inny nie poczuwa się w stosunku do niego choćby do odrobiny lojalności.

Jednakże znacznie ważniejszą przyczyną przetrwania jest sposób naszego przystosowania się do szczególnych warunków stworzonych w kraju. Przez zaledwie dwa lata Organizacja przyswoiła sobie nowy sposób funkcjonowania. Stosujemy obecnie wiele praktyk i procedur stanowiących nieodzowny warunek przeżycia; jednakże jeszcze dwa lata wcześniej nikt z nas nawet nie mógł o nich marzyć.

Weźmy na przykład badanie kontrolne, jakiemu podlegają u nas kandydaci na członków. Gdybyśmy nie opracowali zawczasu tego systemu, dziś by nas nie było. Powstał on jednak dopiero wówczas kiedy jego opracowanie okazało się dla nas koniecznością. Nie wiem doprawdy, co byśmy zrobili bez doktora Clarka.

Albo te fałszywe tożsamości. Rozpoczynając działania w podziemiu, mieliśmy jedynie blade pojęcie, jak rozwiązać ów problem. Obecnie istnieje w naszych strukturach kilka wyspecjalizowanych jednostek zajmujących się wyłącznie zaopatrywaniem naszych bojowców w nowe, niemal doskonałe, tożsamości. Koledzy ci stali się prawdziwymi profesjonalistami, ale swego ciężkiego i niekiedy makabrycznego zajęcia musieli uczyć się w ogromnym pośpiechu.

Albo pieniądze.

Na początku to był dopiero problem! Konieczność liczenia się z każdym groszem nie pozostała bez wpływu na naszą psychikę, wpoila nam bowiem sposób myślenia przyziemnymi kategoriami. O ile mi wiadomo, w szeregach Organizacji nie znalazł się nikt kto rozważał poważnie kwestię finansowania działań podziemnych, dopóki nie nabrała ona zasadniczego dla nas znaczenia. Dopiero wtedy opanowaliśmy sztukę podrabiania pieniędzy.

Pomyślnym zrządzeniem losu jeden z naszych członków dysponował niezbędną wiedzą techniczną, musieliśmy jednak stworzyć od podstaw własną sieć dystrybucji fałszywych banknotów, tak ażeby wprowadzić je do obiegu wkrótce po wydrukowaniu.

Od kilku miesięcy odczuwamy pozytywne skutki tego rozwiązania. Dysponowanie pokaźnymi zasobami gotówki stwarza nam możliwość nabywania niezbędnych materiałów; nie musimy już zdobywać ich, jak dawniej, drogą kradzieży i rabunku. Ułatwia nam to znacznie wykonywanie codziennych obowiązków. Staliśmy się bardziej ruchliwi i zyskaliśmy większe poczucie bezpieczeństwa.

Odniesione dotychczas sukcesy zawdzięczamy również sporemu szczęściu, nie ulega jednak wątpliwości, że Dowództwo Rewolucyjne zna się na rzeczy. Potrafimy układać plany, mamy doskonałych strategów, przede wszystkim zaś wykazaliśmy zdolność do stawiania czoła coraz to nowym wyzwaniom oraz rozwiązywania coraz to nowych problemów. Staliśmy się strukturą elastyczną.

Wydaje mi się, że dotychczasowe dzieje Organizacji dowodzą jednego: rewolucji nie można otóż zaplanować, a potem trzymać się wytyczonego planu. Przyszłość zawsze niesie ze sobą niepewność. Człowiek nigdy nie wie, w jakim kierunku rozwine się sytuacja. Na dobitkę, zawsze zachodzą wydarzenia nieprzewidywalne, których nie jest w stanie dostrzec zawczasu nawet najbardziej przenikliwy planista. Dobry rewolucjonista, jeśli chce odnosić sukcesy, musi zawsze brać pod uwagę konieczność przystosowania swojej strategii i taktyki do nowych okoliczności, zawsze też musi wykorzystać nadarzącą się okazję.

Mamy pod tym względem dobre doświadczenia, gdy jednak pomyślę o przyszłym tygodniu, ogarnia mnie niepokój. Jestem pewien, że w poniedziałek damy tym skurwielom porządnego łupnia. Jeśli przeprowadzimy pomyślnie choćby połowę zaplanowanych akcji, wrzucimy, by ująć rzecz przenośnią, solidny klucz francuski w tryby maszynierii gospodarczej naszego państwa. Wprowadzimy również System w stan totalnej mobilizacji, co wywoła w społeczeństwie szok psychologiczny.

Ale co potem? Co będzie za miesiąc, co będzie za dwa miesiące?

W najbliższą ofensywę zaangażujemy nasze wszelkie siły i środki, lecz wzmożoną aktywność możemy utrzymać nie dłużej niż przez kilka dni. Niestety, jesteśmy ciągle zbyt rozproszeni.

Mimo to instynkt podpowiada mi, że Organizacja, podejmując to działanie, kierując się nie tylko desperacją. W poniedziałek wcale nie nastąpi nasza ostatnia i straceńcza próba zniszczenia Systemu. Przynajmniej na to liczę. Jeśli bowiem okazałoby się, że naszym celem jest wyłącznie dokonanie takiej akcji, wówczas, gdyby nam się nie powiodło (a przy takiej ewentualności na pewno należy uznać to za pewnik), zostaniemy zmuszeni do dokonania znacznych przegrupowań. Efekt psychologiczny takiego przedsięwzięcia okaże się równie zabójczy dla nas, co pomocny i korzystny dla Systemu. Dowództwo Rewolucyjne trzyma na pewno w rękawie jakąś kartę atutową. Nie mam na razie pojęcia, co to za karta. Jestem pewien, że tak silna koncentracja naszych sił w Kalifornii może coś znaczyć, lecz nie wiem, co.

Rozdział 20

7 lipca 1993 r. Znosi się na to, że pozostanę tutaj do rana, mam więc około godziny na rekapitulację wydarzeń z kilku ostatnich dni.

Miejsce jest sztywne, niech to diabli porwą! Apartament typu „penthouse”, z którego okien roztacza się panorama niemal całego Los Angeles (dlatego, jak sądzę, usytuowano tu punkt dowodzenia). Wokół luksus i blichtr, tak że aż oczy na wierzch wychodzą: atłasowa pościel, narzuty na łóżka z prawdziwego futra, złota armatura w łazience, w każdym pokoju krany, z których płyną burbon, szkocka whisky i czysta wódka; na ścianach wielkie, oprawione w ramy, pornograficzne zdjęcia.

Właścicielem tego gniazdka był do niedawna niejaki Jerry Siegielbaum, agent handlowy miejscowego Związku Zawodowego Pracowników Najemnych, postać uwidocziona na obleśnych fotografiach ściennych. Gość najwyraźniej gustował w blondynkach aryjskiej krwi, choć jedno zdjęcie przedstawia go w sytuacji intymnej z Murzynką, inne zaś z młodzieńcem chłopcem. Ładny reprezentant pracowników najemnych, nie ma co!

Mam nadzieję, że ktoś wyniesie go niebawem z hallu na zewnątrz; od poniedziałku nie działa bowiem klimatyzacja, a związkowiec ów zaczął już mocno cuchnąć.

Wielkie miasto wygląda teraz zupełnie inaczej niż poprzednio, gdy patrzyłem na nie z tak dużej wysokości. Zgasły łuny świetlne wyznaczające zarysy głównych ulic. Mrok rozświetla tylko blask setek pożarów układających się w upiorną, chaotyczną mozaikę. Wiem, że tam w dole poruszają się tysiące pojazdów, kierowcy wyłączyli jednak reflektory, aby nie stać się celem strzelców.

Przez cztery ostatnie dni słychać było niemal wyłącznie nieustanny ryk syren samochodów policyjnych i innych służb miejskich, huk wystrzałów z broni krótkiej, łoskot eksplozji ciężkich pocisków i ładunków wybuchowych, warkot silników helikopterów. Teraz słychać - i to tylko co jakiś czas - wyłącznie odgłosy salw. Wydaje mi się, że walki weszły tutaj w decydujące stadium.

W poniedziałek o godzinie 2.00 w nocy ponad 60 naszych jednostek bojowych przeprowadziło jednoczesne uderzenie na obszarze miejskim Los Angeles; jednocześnie setki innych jednostek zaatakowało wyznaczone cele w całym Stanach Zjednoczonych, od Kanady po Meksyk i od Wybrzeża Wschodniego do Zachodniego. Nie wiem jeszcze, jakie odnieśliśmy sukcesy, albowiem System wprowadził cenzurę wszystkich środków przekazu (to znaczy tych, które nie znalazły się w naszych rękach), ja zaś nie miałem okazji do rozmowy z kimkolwiek, kto pozostaje w kontakcie z Dowództwem Rewolucyjnym. Jednakże w Los Angeles powiodło się nam nadspodziewanie dobrze. W wyniku naszego pierwszego ataku cały obszar miejski został pozbawiony wody pitnej i elektryczności, unieruchomiono główne lotniska, zablokowano wszystkie najważniejsze arterie komunikacyjne. Zniszczyliśmy centrale telefoniczne oraz wysadziliśmy w powietrze zbiorniki paliw. Obszar nad Zatoką przypomina od czterech dni wielkie kłębowisko ognia.

Opanowaliśmy co najmniej 15 posterunków policji. Na ogół po skonfiskowaniu funkcjonariuszom broni, zniszczeniu sprzętu łącznościowego i pojazdów stojących akurat w garażu wycofaliśmy się. Słyszałem jednak, że nasi ludzie zajęli kilka policyjnych budynków, urządzając w nich lokalne dowództwa.

Początkowo policjanci i strażacy miotali się w popłochu, niczym kurczęta, którym odcięto łebki; wszędzie słychać było wycie syren i błyskające światła alarmowe samochodów. Jednakże w poniedziałkowe popołudnie łączność działała już tak źle, wybuchło tak wiele pożarów i zdarzyło się tyle innych wypadków, że policja i straż pożarna przystąpiły do selekcjonowania wyjazdów. W wielu częściach miasta grupy naszych bojowników wykonywały przydzielone zadania praktycznie bezkarnie. Teraz naturalnie większość pojazdów należących do policji oraz innych służb miejskich została unieruchomiona ze względu na brak paliwa. Te zaś samochody, którymi służby porządku jeszcze dysponują, zniknęły z ulic.

W zneutralizowaniu policji (a zresztą wszystkiego) pomogła nam prowadzona od dawna praca w szeregach sił zbrojnych. Już w poniedziałkowe popołudnie wszyscy wiedzieli, że w bazach coś się dzieje. Najważniejsze było to, że wyjąwszy żołnierzy i czołgi strzegących jak zwykle elektrowni, nadajników telewizyjnych i tym podobnych obiektów, nie rzucono przeciw nam żadnego wojska. Po wtóre, uzyskaliśmy niezbite dowody, że we wszystkich pobliskich bazach wojskowych doszło do starć zbrojnych.

Widzieliśmy i słyszeliśmy przelatujące nisko nad miastem odrzutowe myśliwce bombardujące, które jednak nie atakowały nas. O dziwo, atakowały one ogniem broni pokładowej oraz bombami kilkanaście magazynów broni należących do kalifornijskiej Gwardii Narodowej, a rozlokowanych na obszarze miejskim. Samoloty te wystartowały, jak się później dowiedziałem, z położonej na południe od Los Angeles bazy lotnictwa morskiego w El Toro. Później oglądaliśmy kilka podniebnych bitew powietrznych. Nadeszła również wiadomość, że ciężkie bombowce z bazy lotniczej Edwards przeprowadziły nalot na Camp Pendleton, dużą bazę korpusu piechoty morskiej znajdującą się na południowy wschód od miasta. Istne pomieszanie z poplątaniem - dla wszystkich stron uczestniczących w tej wojnie.

Jednakże w poniedziałek wieczorem, nieoczekiwanie i najzupełniej przypadkowo, spotkałem Henry'ego, który długo wyjaśniał mi, co się dzieje. Zaczynał, stary Henry - jak to miło go znów zobaczyć! Rozmawialiśmy w budynku zdobytej przez nas rozgłośni radiowej o sygnale wywoławczym KNX⁴, pomagałem naszym specjalistom w przywracaniu sprawności urządzeń. Dodam, że od czterech dni zajmuję się właśnie taką robotą: reperuję uszkodzone pociskami nadajniki, zmieniam ich częstotliwość oraz konstruuje improwizowany sprzęt. Obecnie dysponujemy jedną radiostacją nadającą w paśmie fal ultrakrótkich i jedną w paśmie fal długich; energii dostarczają im generatory rezerwowe. Przerwaliśmy kable łączące nadajniki ze studiami: ekipy radiowców pracują w pomieszczeniach sąsiadujących z urządzeniami nadawczymi.

Henry zajechał przed budynek rozgłośni dżipem; miał na sobie mundur amerykańskich sił lądowych z naszymi pułkownika, a towarzyszyli mu dwaj żołnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe i ręczne granatniki przeciwpancerne. Przywiózł tekst komunikatu radiowego, który miał zostać wyemitowany; tekst ów skierowany był przede wszystkim do żołnierzy.

Gdy tylko podłączyłem mikrofon oraz inne urządzenia pomocnicze, oddaliłem się na bok, żeby porozmawiać z Henrym. Jednocześnie nasz spiker rozpoczął odczytywanie komunikatu. Wzywał on wszystkich białych żołnierzy, którzy jeszcze nie przeszli na naszą stronę, żeby jak najszybciej to uczynili. Zawierał też ostrzeżenia dla tych, którzy nie podporządkują się zaleceniu. Komunikat został

⁴ W USA władze federalne wydają licencje komercyjnym rozgłośniom radiowym; każda z takich rozgłośni otrzymuje swój trzy- albo czteroliterowy sygnał wywoławczy. Sygnały takich stacji w stanach wschodnich rozpoczynają się literą „W”, w zachodnich - „K”. W czasie nadawania programu każda ze stacji podaje co kilka minut na antenie swój przydzielony sygnał wywoławczy (np. „Jest godzina 9.30 rano, tu mówi rozgłośnia KNX, nadająca swój program z Los Angeles, Kalifornia, na częstotliwości 870 kiloherców.”) (przyp. aut. Do wydania polskiego).

sugestywnie napisany, jestem więc pewien, że wywarł potężny wpływ zarówno na wojskowych, jak też ludność cywilną.

Okazało się, że Henry od ponad roku zajmuje się pozyskiwaniem ochotników do Organizacji w siłach zbrojnych; poczynając od ubiegłego miesiąca, czyli odkąd otrzymał przydział służbowy na Zachodnie Wybrzeże, ograniczył swoje działania do tego obszaru. Opowiadał długo. Jeśli uwzględnić również to, czego dowiedziałem się później, najważniejsze fakty przedstawiają się tak:

Od początku istnienia Organizacji werbunek w siłach zbrojnych prowadzony jest na dwóch płaszczyznach. Do września 1991 r. adresowaliśmy do żołnierzy i młodszych oficerów naszą agitację półjawnie, potem już tylko tajnie. Do jej elementów należało szerzenie propagandy w szeregach wojska; zazwyczaj jeden żołnierz przekazywał nasze materiały najbliższemu koledze. Ponadto, jak powiedział mi Henry, nowych członków pozyskiwaliśmy (w najgłębszej konspiracji) również na najwyższych szczeblach dowodzenia.

Osią strategii Dowództwa Rewolucyjnego stało się pozyskanie przez nas pewnej liczby wyższych dowódców; w poniedziałek zagraliśmy tą kartą atutową. Właśnie dlatego nie użyto przeciw nam sił zbrojnych, od czterech dni zaś żołnierze z rozmaitych baz i jednostek uwikłali się we wzajemne walki. Ów konflikt wewnętrzny zapoczątkowały starcia jednostek dowodzonych przez sympatyków Organizacji oraz oficerów wiernych Systemowi (stanowili oni w nich przynajmniej większość). Jednakże niebawem rozgorzał i rozwinął się inny konflikt, który rychło przyćmił tamten. Wybuchły oto walki pomiędzy Czarnymi a Białymi.

Wkrótce po rozpoczęciu poniedziałkowej ofensywy w jednostkach dowodzonych przez naszych członków doszło do rozbijania czarnych żołnierzy. Podano następującą przyczynę: czarnoskórzy buntownicy wznieśli w innych jednostkach zbrojną rebelię, toteż najwyższe dowództwo nakazało rozbroić Murzynów, żeby zapobiec szerzeniu się rewolty. Biali żołnierze na ogół dali wiarę temu wyjaśnieniu i przystąpili skwapliwie do wykonywania rozkazu. Tych, którzy ze względu na swoje liberalne zapatrywania zwlekali, natychmiast rozstrzelano.

W innych jednostkach nasi zwolennicy, szeregowi, podoficerowie i chorążowie, zaczęli po prostu strzelać do Murzynów w mundurach, po czym zdezerterowali pod rozkazy dowódców-członków Organizacji. Czarni, ma się rozumieć, natychmiast uprawdopodobnili wiadomość o buncie, który jakoby wszczęli. Nawet w jednostkach dowodzonych przez oficerów lojalnych wobec Systemu wybuchły ciężkie walki pomiędzy Białymi a Czarnymi.

Ponieważ w niektórych z tych jednostek blisko połowę personelu stanowili Murzyni, walki przybrały krwawy i długotrwały charakter. W efekcie, choć jednostki dowodzone przez naszych sympatyków stanowiły początkowo zaledwie około 5 procent całości sił ulokowanych w okolicy, większość jednostek, których dowódcy pozostali wierni Systemowi, sparaliżowały walki wewnętrzne Czarnych i Białych. W wyniku tych zmagania przechodzi na naszą stronę coraz więcej białych żołnierzy. Proces ów znacznie przyspieszyły emitowane przez nas audycje radiowe. Oczywiście wyolbrzymiamy w nich liczebność i uzbrojenie naszych sił. Informujemy jednocześnie białych żołnierzy, którzy chcieliby zdezerterować, dokąd mają się udać. Aby wzmocnić naszą argumentację (oraz utrzymać czarnuchów w zastraszaniu, pozwalając im na „samodzielne działania”) uruchomiliśmy dywersyjną radiostację „soulową”, która nadaje wezwania do rozpoczęcia Czarnej rewolucji. Murzyńskim żołnierzom każe ona zabijać białych oficerów i podoficerów - nim ci zdążą ich rozbroić.

Wśród jednostek wojskowych na obszarze Los Angeles, zdolnych do skutecznego przeciwstawienia się nam, jest kilka baz myśliwców i bombowców oraz jednostka lotnictwa piechoty morskiej w El Toro. Startujące stamtąd samoloty atakują jednostki, które wedle ich mniemania miały przejść na naszą stronę. Jednakże Henry powiedział mi, że zadają, one zniszczenia w równej mierze siłom Systemu, jak też wojskom, które faktycznie przeszły na naszą stronę.

Henry uśmiechnął się sarkastycznie. Prowadzona przez nas robota werbunkowa w kalifornijskiej Gwardii Narodowej nie przyniosła najlepszych wyników, toteż nie przewidywaliśmy, aby jakieś jednostki należące do tej formacji opowiedziały się po naszej stronie. Organizacja porwała więc miejscowego dowódcę Gwardii, generała Howella; nastąpiło to tuż przed rozpoczęciem poniedziałkowej ofensywy.

Z uwagi na fakt nieoczekiwanego zniknięcia tego oficera, władze zaczęły się obawiać, że zdezerterował. Obawy te bezsprzecznie nasiliła informacja, że w niedzielę o 23.00, czyli na niecałą godzinę przed rozpoczęciem zabawy, Howell opuścił pośpiesznie swój dom w towarzystwie trzech nieznanymi mężczyzn. Podejrzenia te przerodziły się po tamtej stronie w pewność i w efekcie w poniedziałkowe popołudnie samoloty należące do eskadr lotniczych wiernych Systemowi otrzymały rozkaz zbombardowania magazynów broni i sprzętu wojskowego należących do Gwardii Narodowej.

Z kolei w bazie Camp Pendleton nie osiągnęliśmy przewagi do chwili, gdy ogarnięte paniką władze nakazały bombowcom dokonanie na nią nalotu. Jestem pewien, że to posunięcie Systemu przysporzyło nam korzyści. W tamtym rejonie toczą się jeszcze ciężkie walki, lecz wszystko wskazuje, że bierzemy w nich górę.

Nie wiem, z której bazy pochodziła kolumna czołgów, które przełamały dziś opór stawiany nam przez policję w swojej głównej kwaterze. Przybycie tych posiłków stanowiło dla nas istny dar niebios. Bez nich nasza ofensywa utknęłaby w martwym punkcie, gdyż jedynie policja stawiała nam od początku zorganizowany opór. Z mniejszymi jej jednostkami szybko się uporaliśmy. Niektóre wyeliminowaliśmy z dalszej walki, inne, po stoczeniu kilku potyczek, same zrezygnowały i wycofały się. Jednakże jeszcze kilka godzin wcześniej około 10 tysięcy policjantów z obszaru Los Angeles prowadziło z nami ostrą i krwawą walkę. Przez cztery ostatnie dni zginęło w akcji przynajmniej stu bojowników, co stanowiło od 15 do 20 procent naszych sił liniowych.

Nie mam pojęcia, dlaczego z policją nie udało się nam tak jak z wojskiem. Być może po prostu zabrakło nam ludzi, a prowadzenie werbunku w wojsku miało większe znaczenie aniżeli pozyskiwanie nowych członków w szeregach policyjnych. W efekcie kwatera główna policji stała się niemal natychmiast ośrodkiem kontrrewolucyjnego oporu.

Policję miejską wzmocnili funkcjonariusze z podlegających szeryfom hrabstw, a nawet z niektórych jednostek stanowej policji drogowej. Kwaterą główną tamci przekształcili w warownię, której początkowo nie zdołaliśmy zdobyć, dysponując zbyt skromnym uzbrojeniem. Znalezienie się w odległości nawet kilku przecznic od tego gmachu oznaczało dla naszych bojowników wyrok śmierci. Gliniarze mieli duże zapasy paliwa, ponad tysiąc samochodów, dysponowali również rezerwowym zasilaniem do urządzeń łącznościowych. Znacznie przewyższali nas też liczebnie.

Piloci policyjnych śmigłowców rozpoznawczych wypatrywali lokalnych koncentracji sił Organizacji oraz budynków zajętych przez naszych bojowców. Przeciw takim zgrupowaniom policja wysyłała następnie grupy ekspedycyjne liczące nawet 50 pojazdów i 200, 300 ludzi. Z uwagi na zniszczenie przez nas wszystkich przejazdów dwupoziomowych na autostradach zdolności operacyjne tych grup zostały znacznie ograniczone, ale obserwatorzy w śmigłowcach przekazywali wskazówki, któredy i jak można wyminąć przeszkody.

Utrzymanie najważniejszych punktów, między innymi zdobytych rozgłośni radiowych, zawdzięczamy wyłącznie dobrze okopanym stanowiskom broni maszynowej, trzymającym pod obstrzałem ulice, z których mógł zaatakować przeciwnik. Na szczęście gliniarze dysponowali jedynie kilkoma pojazdami opancerzonymi, mieliśmy bowiem tylko nieliczne egzemplarze broni zdolnej do zwalczania takich celów. Nasze jednostki otrzymały dopiero dziś uzbrojenie przeciwczołgowe.

Gdyby siły policyjne zdołały połączyć się z jednostkami wojska wiernymi Systemowi, oznaczałoby to nasz koniec. Jednakże tę groźną dla nas w skutkach perspektywę udaremnił atak dwunastu staroświeckich czołgów typu M-60, pochodzących z jednostki, która przeszła na naszą stronę. Czołgi przejechały jak po maśle przez barykady, którymi policja otoczyła swoją siedzibę, ostrzelały budynek pociskami burzącymi i zapalającymi, zasypały strumieniami pocisków z karabinów maszynowych setki pojazdów policyjnych zaparkowanych w pobliżu.

Unieruchomiliśmy system łączności policyjnej, zniszczyliśmy też generatory prądowórcze. Gliniarze musieli ewakuować budynek, my zaś otworzyliśmy na sąsiednie parkingi i ulice gęsty ogień z moździerzy kalibru 81 mm. Obecnie opuszczony gmach płonie. Wydaje się, że większość policjantów zbiegła do domów i przyodziła cywilne ubrania.

Teraz, z chwilą gdy niemal wszelki zorganizowany opór został zneutralizowany, wszystko zależy od tego, czy zdołamy opanować cały obszar, nim przybędą tutaj wezwane na odsiecz jednostki wojskowe z innych stanów. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego jeszcze zwlekają.

Kilka godzin wcześniej polecono mi zgłosić się rano do naszej grupy technicznej, która ma sporządzić szczegółowe plany odnośnie do częściowego przywrócenia na obszarze miejskim dostaw elektryczności i wody pitnej, wytyczenia dróg dla ruchu samochodowego oraz wyszukania i zabezpieczenia istniejących jeszcze zasobów benzyny i oleju napędowego. Wydaje mi się, że zadanie to powinno być przydzielone raczej inżynierowi cywilnemu aniżeli mnie.

Być może przedwcześnie, ale krzepi mnie na duchu to, że Dowództwo Rewolucyjne wydaje się być dobrej myśli w odniesieniu do przyszłości. Być może jutro dowiem się więcej na temat ogólnej sytuacji.

10 lipca. No i proszę, proszę! Dzieje się bardzo wiele, dobrego i złego. Ale jak dotychczas znacznie więcej dobrego.

Działania wojenne na obszarze Los Angeles zostały, ogólnie rzecz biorąc, zakończone, sytuacja zaś opanowana, co dotyczy również większości terenów Zachodniego Wybrzeża, choć podobno toczą się nadal zaciekle walki wokół San Francisco i w kilku innych punktach.

Ponadto kilka uzbrojonych grup (policjanci i żołnierze) buszuje jeszcze po terenie, wywołując drobne potyczki. Zdobyliśmy jednak wszystkie okoliczne bazy i lotniska wojskowe, a za kilka dni wyłapiemy przebywające jeszcze na wolności niedobitki ich załóg. Obowiązuje zarządzenie strzelania do każdego uzbrojonego człowieka nie noszącego na ramieniu którejś z naszych opasek.

Nastąpiła jakże przyjemna zmiana w porównaniu z tym, co działo się kilka dni wcześniej, kiedy to do nas strzelano. Po latach ukrywania się, przebierania i umierania ze strachu na widok gliniarza jakież to cudowne uczucie - wyjść na powierzchnię, i nosić broń.

Najwięcej problemów zaczęła przysparzać nam ludność cywilna. Cywile całkowicie potracili głowy. Właściwie nawet trudno ich za to winić; w ogóle to jestem zaskoczony, że tak długo zachowali spokój. Ostatnio od tygodnia nie było dostaw prądu i wody pitnej. Znaczny odsetek tych ludzi został również pozbawiony żywności.

Przez pierwsze dwa dni, w poniedziałek i wtorek, ludność postępowała wedle naszych przewidywań. Setki tysięcy osób wpakowało się do samochodów, usiłując przedostać się na autostrady. Oczywiście nie ujechali daleko, ponieważ zniszczyliśmy wiele ważnych połączeń drogowych, powstało jednak mnóstwo przeogromnych zatorów. Zwieńczyły one zapoczątkowane przez nas dzieło, niemal całkowicie uniemożliwiając policji korzystanie z dróg.

Do wtorkowego popołudnia większość białej ludności powróciła do swoich domów, a przynajmniej w ich sąsiedztwo. Wiele osób pozostawiło unieruchomione samochody na szosach i drogę powrotną odbyło piechotą. Ludzie ci przekonali się na miejscu, że po pierwsze: nie mogą opuścić Los Angeles samochodem; po drugie: nie mogą kupić benzyny, ponieważ dystrybutory na stacjach zostały unieruchomione; po trzecie: większość sklepów oraz instytucji jest zamknięta na głucho; wreszcie po czwarte: że dzieją się rzeczy bardzo ważne. Mieszkańcy więc pozostali w domach, włączyli odbiorniki tranzystorowe i w strachu, co przyniesie najbliższa przyszłość, oczekiwali. Dziwne, lecz doszło do niewielu aktów zbrodni i przemocy, wyjąwszy dzielnice murzyńskie, gdzie zamieszki połączone z rabowaniem sklepów i paleniem budynków rozpoczęły się już w poniedziałkowe popołudnie i wraz z upływem czasu rozprzestrzeniały na coraz większe obszary.

Jednakże w czwartek rano również w białych dzielnicach rozpoczęło się rabowanie większości sklepów spożywczych. Wiele osób nie jadło od ponad 48 godzin i kierowała nimi wyłącznie desperacja.

Z uwagi na to, że dopiero w czwartek wieczorem uzyskaliśmy stuprocentową pewność, że z policją mamy już spokój, nie podejmowaliśmy wcześniej żadnych kroków w celu przeciwdziałania niepokojom wśród ludności cywilnej. Zresztą im więcej głodnych i zdesperowanych obywateli wyjdzie na ulice i przystąpi do rozbijania wystaw sklepowych, rabowania żywności, poszukiwania wody pitnej oraz baterii do odbiorników tranzystorowych, tym mniej czasu policja będzie mogła poświęcić nam.

Z tego powodu już na samym początku przerywaliśmy dostawy energii oraz wody i niszczyliśmy sieć drogową.

Gdyby policja musiała borykać się wyłącznie z nami, niechybnie przegralibyśmy, ale walka z Organizacją i jednocześnie przywracanie porządku przerosło jej siły.

Teraz jednak obowiązek ów spada wyłącznie na nas i widzę, że zapowiada się straszliwie kurewska robota. Ludzie odchodzą dosłownie od zmysłów, porwani panicznym strachem. Zaczęli postępować w sposób całkowicie irracjonalny, wiele osób odda więc życie zanim opanujemy sytuację. Obawiam się, że wyręczą nas częściowo głód i wyczerpanie, ponieważ nie dysponujemy odpowiednimi ludźmi ani sprzętem.

Dziś, towarzysząc grupie zajmującej się odzyskiwaniem paliwa, poznałem „z bliska” tę kwestię. Doznałem głębokiego wstrząsu. Jechaliśmy wielką cysterną wraz z uzbrojoną eskortą. Ze zbiorników każdej stacji benzynowej w rejonie Pasadeny przepompowaliśmy paliwo do cysterny. Dysponujemy wprawdzie wystarczającymi zapasami, postanowiliśmy jednak, że cywile będą musieli przez jakiś czas obyć się bez samochodów.

Przed kilku laty Pasadenę zamieszkiwali w większości Biali, obecnie jednak proporcje te uległy zmianie na korzyść Murzynów. Ilekroć w czarnej dzielnicy spotykaliśmy w pobliżu stacji jakichś czarnuchów, po prostu strzelaliśmy do nich, trzymając bractwo w bezpiecznej odległości. W białych dzielnicach głodni mieszkańcy otaczali nas tłumnie, żebząc o żywność, której oczywiście nie mieliśmy.

Cholera, dobrze, że ludzie ci nie byli uzbrojeni, w przeciwnym razie znaleźlibyśmy się w niezłych opałach. Dziękujemy Ci, senatorze Cohenie!

Uff! Nie mam już czasu, bo muszę pójść na zebranie. Powinni poinformować nas o sytuacji w kraju.

Rozdział 21

11 lipca 1993 r. Tyle pracy! Jedna z elektrowni wodnych na północy wznowiła dostawy prądu do miasta, ale na razie są one niewielkie. Energia elektryczna musi być ściśle racjonowana; spędziłem cały dzień na wyznaczaniu tych rejonów metropolii, które miały ją otrzymać, oraz na wysyłaniu ekip technicznych w celu odcinania lub odłączania energetycznych linii przesyłowych i podłączania innych. W późniejszym terminie, jeśli tylko uporamy się z tym racjonowaniem, zapewnimy być może wznowienie dostaw prądu do kilku pozostałych części obszaru miejskiego.

Zeszłego wieczoru dowiedziałem się, dlaczego Waszyngton nawet nie próbował wysłać przeciw nam jednostek regularnych z innych stanów. Powód był prosty: w naszych rękach znalazła się baza lotnicza Vandenberg, a wraz z nią tamtejsze silosy z raketami!

Po poniedziałkowych wydarzeniach System przez dwie doby tak panikował, a sytuacja militarna stała się tak niepewna, że nie doszło do żadnych przemieszczeń wojska. Jeśli chodzi o nas, dysponujemy nadzwyczaj szczupłymi, a na dobitkę rozproszonymi siłami. W tej sytuacji zdobycie i utrzymanie przez dłuższy czas jakichś terenów, wyjąwszy opanowany obszar na Zachodnim Wybrzeżu, wydaje się na razie wykluczone. Niemniej jednak wywołaliśmy w całym kraju wielki chaos.

Nasi ludzie z garnizonów w innych częściach kraju otrzymali instrukcje dotyczące podjęcia takich działań, które sparaliżowałyby ich jednostki. Mieli zatem dokonywać aktów sabotażu, ale najważniejszym zadaniem stało się dla nich zabijanie wybranych grup żołnierzy. W jednostkach, w których służyło wielu kolorowych, nasi członkowie strzelali do przypadkowych Murzynów, wykrzykując przy tym slogany w rodzaju „biała siła!”. Kierowali się świadomym pragnieniem sprowokowania Czarnych. Stosowaliśmy taktykę, która okazała się dotychczas tak skuteczna: ze zdobytych stacji radiowych nadawano dywersyjne programy dla Czarnych, zawierające wezwania do zwrócenia broni przeciw swoim białym oficerom. Z opanowanych baz wysyłaliśmy fałszywe informacje, że tutejsze załogi przeszły na naszą stronę.

Ponadto doprowadziliśmy ludność cywilną do prawdziwego szaleństwa. W poniedziałkowy poranek zaatakowaliśmy w całych Stanach elektrownie, urządzenia łącznościowe, zapory wodne, najważniejsze połączenia drogowe, zbiorniki z paliwem, gazociągi oraz inne podobne cele, nadające się do wysadzenia w powietrze lub do spalenia. Wywołało to panikę wśród ludności cywilnej i spowodowało, że System musiał się przejściowo zająć następstwami tych zamachów.

Dowiedziałem się też, że w poniedziałek przeprowadziliśmy udane uderzenie na elektrownię atomową w Evanston.

Niezmiernie ucieszyła mnie ta wiadomość.

W efekcie, gdy już System rozpoznał sytuację i wytypował jednostki na tyle godne zaufania, że mogły być rzucone przeciw nam, mieliśmy już w swych rękach bazę Vandenberg i przedstawiliśmy ultimatum. Wszelkie próby zaatakowania nas przez wojska regularne spowodują odpalenie rakiet z głowicami nuklearnymi na Nowy Jork i Tel Awiw!

To właśnie dlatego przez kilka ostatnich dni był spokój!

Zacząłem już pojmować strategiczne założenia Dowództwa Rewolucyjnego, których sensu tak długo nie mogłem w pełni zrozumieć, tłumacząc sobie fałszywie niektóre nasze posunięcia. Dowództwo uznało, iż zważywszy na nader skromną liczebność naszych sił wykluczone jest przeprowadzenie uderzenia w System za pomocą środków wojskowych na tak dużą skalę i trwające tak długo, żeby doprowadzić do jego upadku. Oczywiście moglibyśmy kontynuować bardzo długo wojnę partyzancką polegającą na niszczeniu obiektów gospodarczych oraz prowadzeniu wojny psychologicznej, ostatecznie jednak czas pracowałby na korzyść Systemu. Coraz liczniejsze siły policyjne sparaliżowałyby wreszcie nasze działania, chyba że nastąpiłby jakiś naprawdę dramatyczny przełom, w następstwie którego wzrosłyby nasze szeregi.

Otóż przełom taki nastąpił. Zajęliśmy terytorium zamieszkałe przez miliony potencjalnych rekrutów; tylko na obszarze wielkiego Los Angeles pozostaje pod naszą kontrolą około 12 milionów osób. Nadal nie wiadomo, jak generalnie liczne są ludzkie zasoby, z których możemy czerpać, a to ze względu na nienormalną sytuację w północnej Kalifornii.

Opanowaliśmy teren rozciągający się od granicy meksykańskiej do punktu położonego około 15 mil na północny zachód od Los Angeles i sięgający w głąb od wybrzeża na różną odległość, przeciętnie od 50 do 100 mil. W obrębie tego pasa znajdują się San Diego, Los Angeles oraz niezmiernie dla nas ważna baza lotnicza Vandenberg. Oba łańcuchy Sierry i pustynia Mojave tworzą na wschodzie naturalną granicę naszego terytorium.

Dalej, w przybrzeżnym pasie (leżą tu miasta San Francisco i Sacramento) sięgającym niemal do granicy stanu Oregon, sytuację opanowała, jak się zdaje, sprzyjająca nam grupa wojskowych.

Dowiedziałem się jednak, że Organizacja nie przejęła tam dotychczas pełnej władzy. Również, wbrew wcześniejszym pogłoskom, stany Oregon i Waszyngton pozostają nadal pod ścisłą kontrolą Systemu.

Na pozostałych obszarach kraju panuje potężny chaos, a choć kontynuujemy ataki przeciw wybranym celom, Systemowi jak dotychczas nie grozi upadek. Najwięcej problemów zaczęła przysparzać władzom kwestia, w jakiej mierze mogą być pewne lojalności sił zbrojnych. W konsekwencji pewne jednostki zostały zmuszone do pozostania w koszarach, choć stały się niezmiernie potrzebne do przywracania ładu i porządku wśród ludności cywilnej.

Tam, gdzie było pod tym względem najgorzej (przede wszystkim z powodu wyczerpania się zapasów żywności) rząd rzucił do akcji specjalne jednostki wojskowe złożone wyłącznie z kolorowych. Kilka takich grup operacyjnych skierowano na obszary graniczące z naszą kalifornijską enklawą.

Najbliższa jednostka tego typu stacjonuje w Barnstow, około 100 mil na północ. Uchodzą do nas stamtąd gromadki Białych, którzy opowiadają wstrząsające rzeczy: czarnoskórzy żołnierze sterroryzowali miejscową białą ludność i dokonują masowych gwałtów, rozbojów oraz zabójstw. Sięgam machinalnie po pistolet, słysząc, iż coś takiego spotyka białych ludzi, jednakże reakcja społeczna na te wydarzenia może być dla nas wyłącznie korzystna. Ponadto cieszę się, że zmusiliśmy System do ujawnienia braku zaufania wobec białych obywateli i w konsekwencji swojej całkowitej zależności od kolorowego elementu.

Najważniejsze jednak jest dla nas to, że Waszyngton nie podejmuje prób ataku na kontrolowany przez nas teren. Na razie powstrzymuje go od tego groźba odpalenia rakiet z bazy Vandenberg, jednakże taka sytuacja nie będzie trwała wiecznie.

Przejściowy spokój stwarza nam wszelako możliwość zdyscyplinowania ludności cywilnej. Ależ się tu kotłuje! Płonie coraz więcej budynków, rozprzestrzeniają się też zamieszki. Nie dysponujemy po prostu odpowiednią liczbą ludzi (wliczając wojsko, pozostające obecnie, przynajmniej nominalnie, pod naszymi rozkazami), którzy mogliby uśmierzyć rozruchy, podczas gdy nasi specjaliści zajęliby się przywracaniem dostaw wody, prądu oraz zorganizowaniem sieci zaopatrzenia w podstawowe artykuły żywnościowe.

Mamy ogółem 40 tysięcy żołnierzy; niemal dwie trzecie z nich stacjonuje na obszarze metropolii, a pozostali od San Diego do bazy Vandenberg. Wytworzyła się delikatna sytuacja, albowiem na całym tym obszarze ich liczba przewyższa dwudziestokrotnie liczbę członków Organizacji. Stan ów może mieć dla nas bardzo groźne konsekwencje! Ogromną większość tej „armii” nie obowiązuje bowiem wierność wobec Organizacji; faktycznie ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że to my wydajemy im rozkazy. Na szczęście dostarczamy im zajęć w dzień i w nocy, toteż nie mają czasu na zbyt dużą dociekliwość. Do każdej jednostki, od kompanii wzwyż, oddelegowaliśmy naszych towarzyszy. Henry, z którym spotkałem się przelotnie ostatniego wieczoru, mówi, że trzymamy wojsko mocno w ryzach. Oby to się nie zmieniło!

Miałem okazję rozmawiać z kilkoma żołnierzami należącymi do grup, którym poleciliśmy odzyskiwanie paliwa oraz przywracanie sprawnego działania instalacji wodnych i elektrycznych. Myślę, że wielkie wrażenie wywarły na nich trzy fakty: że władze w Waszyngtonie utraciły panowanie nad naszym obszarem; że Czarni, zarówno wojskowi, jak i cywile, okazali się elementem niebezpiecznym i niepewnym; że oni sami, dysponując bronią oraz żywnością, znaleźli się obecnie w znacznie lepszym położeniu aniżeli ludność cywilna.

Jednakże pod względem ideologicznym reprezentują oni nędzny poziom! Niektórzy nas popierają, widać jednak, że inni przeszli solidne pranie mózgu zaaplikowane im przez System. Poglądy większości plasują się gdzieś pośrodku. Utrzymują dyscyplinę jedynie z uwagi na fakt, że prócz nas, Organizacji, nie istnieje tu żaden inny ośrodek władzy.

System nawet nie przystąpił do nadawania wezwań radiowych skierowanych do naszych żołnierzy, najwyraźniej powodowany obawą, że byłoby to równoznaczne z przyznaniem, iż odnieśliśmy zwycięstwo. Oficjalna linia propagandowa władz jest następująca: sytuacja została w znacznej mierze opanowana, a „rasistowscy gangsterzy” (czyli my) będą niebawem uwięzieni lub zlikwidowani. Ponieważ przez cały czas nadajemy audycje skierowane do ich sił zbrojnych, zawierające wezwanie do wszczęcia buntu (ponadto przedstawiamy wydarzenia w znacznie korzystniejszych dla nas barwach), wersja Systemu traci nieustannie na wiarygodności. Zamiast przeto zaprzeczać podawanym przez nas informacjom, System zaczął po prostu zagłuszać programy Organizacji. Na tym chyba się kończy jego przebiegłość.

14 lipca. Dziś przybył do miasta pierwszy duży transport żywności, konwój ponad 60 traktorów z przyczepami wyładowanymi świeżym prowiantem pochodzącym z doliny San Joaquin. Zawartość rozładowano w 30 punktach dystrybucji żywności, które utworzyliśmy w białych dzielnicach; stanowiło to jednak kroplę w morzu potrzeb. Tylko w celu zapewnienia Białym biologicznego przetrwania potrzeba nam przynajmniej pięć razy więcej pokarmu - i to codziennie. Mimo że wszystkie sklepy spożywcze obrabowano, w magazynach pozostały znaczne zapasy produktów żywnościowych.

Gdy nieco lepiej się zorganizujemy, odszukamy te zasoby i zinwentaryzujemy, przeznaczając je na uzupełnienie dostaw świeżych produktów. Tymczasem w wielu magazynach doszło do drastycznych incydentów; musieliśmy zastrzelić kilkanaście osób nie respektujących naszych rozkazów. Najbardziej parszywą robotę wykonujemy jednak w dzielnicach murzyńskich oraz wielorasowych. Przez ostatnie dwa dni kierowałem grupy poszukiwawczo-ratownicze na obszary poddane operacji oczyszczającej.

Poleciliśmy wojsku oddzielić Czarnych od pozostałej ludności, a następnie zgromadzić ich w zamkniętych strefach, w obrębie których mieli przebywać do chwili usunięcia ich z naszej enklawy. Procedura jest szybka i prosta. Wybieramy odpowiednią dzielnicę, kierując się dwoma kryteriami: odległością, jaka dzieli ją od autostrady prowadzącej na wschód, oraz tym, czy obszar ów może zostać łatwo zablokowany. Wszystkie wejścia i wyjścia obsadzamy czołgami oraz stanowiskami broni maszynowej.

Następnie rozpoczyna się przeczesywanie sąsiednich obszarów. Wyznaczone do tego zadania oddziały wojska koncentrycznie zaciskają obręcz wokół zamkniętego obszaru. Przed piechotą jadą samochody z megafonami nadającymi nieustannie komunikaty w rodzaju: „Wzywa się wszystkich Czarnych do natychmiastowego udania się do budynku Szkoły Podstawowej imienia Martina Luthera Kinga znajdującej się przy 47 Ulicy. Będzie tam rozdawana żywność i woda. Każdy Czarny, który po godzinie 13.00 znajdzie się na północ od 47 Ulicy, zostanie zastrzelony na miejscu. Wzywa się wszystkich Czarnych...”.

Początkowo wielu Murzynów próbowało stawiać opór żołnierzom; kierowali się przeświadczeniem, że kto jak kto, ale „biefuchy” nie odważą się do nich strzelać. (Informacja dla Czytelnika: słowo „biefuch” [ang. honky] było jednym z wielu pogardliwych gwarowych określeń stosowanych przez Murzynów w odniesieniu do przedstawicieli białej rasy w trzech dziesięcioleciach poprzedzających Wielką Rewolucję. Jego pochodzenie jest nieznane.) Szybko jednak się przeliczyli, a wieści o tym rozeszły się wśród tej dzicy błyskawicznie.

Większość czarnuchów uciekała ulicami prowadzącymi do wyznaczonych obszarów przed maszerującymi powoli żołnierzami, którzy pospiesznie przeszukiwali każdy budynek. Odnalezionych wewnątrz Murzynów wyprowadzano pod bagnety na ulicę. W razie najłagodniejszego nawet oporu zabijano ich bezlitośnie; dobiegający niekiedy z tyłu huk salw skłaniał Czarnych do kontynuowania exodusu.

Chyba tylko sześciokrotnie zaopatrzeni w nielegalną broń Murzyni barykadowali się w domach, strzelając do żołnierzy. Nasi ludzie omijali wtedy taki budynek i wzywali na pomoc czołg, który rozwaliał go ogniem z armaty i karabinów maszynowych. Ponownie dziękowaliśmy wtedy Systemowi za rozbrojenie ludności cywilnej, gdyby bowiem więcej Murzynów dysponowało orężem, nie poradzilibyśmy sobie z nimi, zważywszy na liczebną dysproporcję.

Moje zespoły szły tuż za piechotą. Ich zadaniem była inwentaryzacja i zabezpieczenie wszystkich podstawowych artykułów, benzyny oraz innych paliw (w większych ilościach), trwałej żywności, leków i środków opatrunkowych, ciężarówek, niektórych urządzeń przemysłowych.

Czarni gruntownie „wyczyścili” zajmowane przez siebie obszary z wszelkiej żywności, nadto, jak się okazało, zniszczyli bezmyślnie ogromną liczbę niezbędnych nam przedmiotów. Mimo to wiele przeoczyli, choćby 40 ton suszonej ryby, składnika karmy dla zwierząt domowych. Natrafiliśmy dziś rano na ów towar w jednej z hurtowni. Ryba nie jest wprawdzie wyśmienita w smaku, ale partia tego pokarmu może przez tydzień dostarczać niezbędnego białka stu tysiącom ludzi. Wczoraj odnaleźliśmy również zbiornik zawierający 30 tysięcy galonów ciekłego chloru, używanego do odkażania wody. Odzyskaliśmy też większość leków z jednego szpitala i dwóch klinik. Magazyny specyfików pozostały nietknięte, mimo że zrewoltowani Czarni splądrowali doszczętnie budynki.

Odnaleźliśmy także makabryczne resztki, świadczące dobitnie o tym, że gdy zabrakło żywności, Czarni zaczęli radzić sobie również w inny sposób - przystąpili mianowicie do uprawiania kanibalizmu. Już we wtorek na jednej z głównych ulic ustawili barykady w celu zatrzymywania samochodów, którymi jechali Biali. Nieszczęśników tych wyciągali następnie z pojazdów, wlekli do pobliskiej murzyńskiej restauracji, po czym szlachtowali ich, gotowali i jedli.

Organizowali też watahy łowcze, które przeprowadzały napaści na białe dzielnice. W podziemiach jednego z bloków zamieszkanym przez Murzynów dokonaliśmy koszmarnego odkrycia, które unaocniło nam, jakiego rodzaju łupów najazdy te dostarczały asfaltom.

Po sprawdzeniu splądrowanych pozostałości magazynu wyszedłem wraz zjedną z grup na ulicę. Zauważyliśmy przed sąsiednim budynkiem jakieś poruszenie. Kilkunastu żołnierzy zgromadzonych opodal wejścia najwyraźniej wyrażało słowami, gestami oraz mimiką najwyższe oburzenie i wstręt. Z domu wybiegł jeden z szeregowców, który zaczął wymiotować obficie na chodnik. Po chwili ujrzałem jak inny żołnierz z posępną miną wyprowadza na zewnątrz małą białą dziewczynkę. Miała może 10 lat, była naga, straszliwie brudna i niewątpliwie znajdowała się w stanie szoku. Gdy tylko precisnąłem się przez tłumek żołnierzy i wszedłem do środka, omal nie zwałił mnie z nóg przenikający wszystko ohydny fetor. Przyłożyłem do ust i do nosa chusteczkę do nosa, ale ów zaimprovizowany tampon niewiele pomógł. Przyświecając sobie latarką, wszedłem do piwnicy. Minąłem na schodach dwóch żołnierzy idących w przeciwnym kierunku. Jeden z nich niósł w ramionach milczące i wodzące dookoła przerażonym spojrzeniem może czteroletnie białe dziecko. Maleństwo żyło, lecz z wycieńczenia nie mogło chodzić. W piwnicy oświetlonej dwiema lampami naftowymi, zawieszonymi na rurach ciepłowniczych, czarni lokatorzy budynku urządzili jatkę ludzką. Podłoga była śliska od na wpół zakrzepłej krwi. Wokół stały wanny wypełnione po brzegi cuchnącymi wnętrznościami, w innych ujrzałem okaleczone głowy. Na hakach wisały cztery małe ludzkie kadłubki. Na drewnianym stole warsztatowym, ustawionym pod jedną z lamp, ujrzałem coś na widok czego zadrżałem przejęty śmiertelną zgrozą. Było to częściowo poćwiartowane ciało nastoletniej dziewczyny. Błękitne oczy spoglądały nieruchomo w sufit, złote włosy oblepiała krew, która wypłynęła ze straszliwej rany ziejącej w poderżniętym gardle. Zwymiotowałem, po czym wyszedłem chwiejnym krokiem na górę, a potem na ulicę. Nie mogłem przemóc wstrętu, toteż już nie powróciłem do tej obrzydliwej piwnicy, wysłałem tam natomiast dwóch ludzi wyposażonych w aparaty fotograficzne. Poleciłem im sporządzenie dokładnej dokumentacji zdjęciowej. Posłuży do celów propagandowych. Jeden z żołnierzy powiedział mi, że w piwnicy odnaleziono ciała co najmniej 30 białych dzieci oraz dwoje żywych maleństw. Oczekiwały na swój los, przywiązane do rury w kącie. Na podwórzu z tyłu domu ustawiono prowizoryczny ruszt do barbecue, obok zaś piętrzył się pokaźny stos niewielkich ludzkich kostek - doszczętnie ogryzionych. Sfotografowaliśmy to wszystko. Pracowałem przeważnie w dzielnicach murzyńskich, ale nasi ludzie uczestniczący w podobnych akcjach na terenach zamieszkałych przez Białych i Chicanos (pogardliwe określenie Latynosów) opowiadali podobne mrozące krew w żyłach historie. Wprawdzie wśród tych ostatnich grup rasowych nie odnotowano przypadków kanibalizmu (Murzyni okazali się zaiste wyjątkowi pod tym względem), lecz w walkach o żywność zginęło bardzo wiele osób. Doszło również do aktów przerażającego okrucieństwa; bandy Murzynów napadały na białe dzielnice oraz zamieszkałe przez Białych domy, zwłaszcza w zamożniejszych osiedlach o przestrzennej zabudowie. Pocieszające jest jednak to, że na niektórych obszarach, zasiedlonych w większości przez białe klasy średnie oraz przez robotników, mieszkańcy zagrożeni napaściami Czarnych i Chicanos utworzyli grupy samoobrony. Jest to pokrzepiająca wiadomość, zważywszy na to, na kogo od dawna ci debile głosowali w wyborach. Czy to możliwe, że białe masy okazały się mimo wszystko niepodatne na prowadzone od lat przez Żydów pranie mózgow?

Obawiam się, że w wielu, aż nazbyt wielu wypadkach, gudłaje dopięli swego. Na przykład na obszarach wielorasowych Biali cierpieli straszliwie przez ostatnie 10 lat, a jednak nikt nie kiwnął tam nawet palcem i nie przeciwstawił się napastnikom.

Oczywiście, jeśli nie dysponuje się bronią palną, przystąpienie do samoobrony zależy w znacznej mierze od liczebności oraz wykazanej woli przetrwania. Choć inne rasy drastycznie przewyższają Białych liczebnie jedynie w niewielu dzielnicach, nasi pobratymcy utracili bezpowrotnie, jak się wydaje, poczucie jedności i tożsamości rasowej, nieobce jeszcze Czarnym i Chicanos.

Na dobitkę wielu z nich tkwi jeszcze w przeświadczeniu, że każdy akt samoobrony ma nieuchronnie charakter „rasistowski”; sami boją się tedy jak ognia posądzenia o rasizm, o myślenie kategoriami

rasistowskimi. Nawet gdy hordy Czarnych uprowadzały im dzieci albo gwałciły ich kobiety, przyglądali się temu biernie. Pojebane kretyńskie skurwysyny!

Doprawdy, trudno współczuć tym Białym, którzy nawet nie próbują się bronić. Bogiem a prawdą, trudno przychodzi mi zrozumieć, dlaczego my, członkowie Organizacji, narażamy zdrowie oraz życie i wypruwamy z siebie żyły, żeby ratować i chronić takie odrażające szumowiny przed losem, na jaki ze wszech miar zasługują. A jednak największych problemów przysparzają nam dzielnice wielorasowe. Ilekroć zachodzi obawa, że od naszych pocisków zginą nie tylko kolorowi, lecz również Biali, tylko w ostateczności rozkazujemy strzelać do tłumu. Tamte sukinsyny już o tym wiedzą i odpowiednio to wykorzystują. Na niektórych obszarach stawiają nam tak zaciekły opór, że osiągnięcie celu, jakim jest zapędzenie ludności kolorowej do enklaw, staje się nieomal niemożliwe.

łączy się z tym kolejny problem: wielu osób nie można zaliczyć do stuprocentowych Białych lub „kolorowych”. Na przestrzeni lat Amerykanie ulegli tak wielkiemu skundleniu, że wszędzie aż się roi od smagłych, kędzierzawych typów o rozmaitym wyglądzie i aparycji. Nieraz nie sposób się połapać, kto jest kim.

Niemniej jednak musimy wprowadzić jakieś kryteria podziału, i to szybko! Nie sposób wykarmić wszystkich na opanowanym przez nas terenie, a jeśli nie chcemy dopuścić do dziesiątkowania Białych na skutek masowego głodu, musimy wkrótce umieścić ich na wydzielonych obszarach, zapewniając dostawy elektryczności, żywności, wody oraz innych podstawowych artykułów, niezbędnych do przeżycia. Musimy, nieważne w jaki sposób, oczyścić przeznaczone dla nich rejony z przedstawicieli innych ras. Im dłużej będziemy z tym zwlekać, tym więcej niezdyktynowania okaże ludność.

Jeśli chodzi o Czarnych, odwaliliśmy już właściwie ładny kawał roboty. Około 80 procent ich populacji znajduje się obecnie w czterech niewielkich enklawach; o ile wiem, pierwszy duży transport wyrusza dziś na wschód. Jednakże resztę Murzynów zdołaliśmy tak naprawdę jedynie przejściowo unieruchomić na zamkniętych terenach, uniemożliwiając im swobodne przemieszczanie się pomiędzy enklawami. Na pewno nie mamy nad nimi całkowitej kontroli, a ponadto dotychczas nie dokonano chyba masowych zatrzymań wśród Żydów czy też innych wrogich nam elementów. Na razie cieszą się całkowitą swobodą. Cóż, przydałoby się jak najszybciej przystąpić do dzieła!

Rozdział 22

19 lipca 1993 r. Od pięciu dni oglądam coś, co bezsprzecznie zasługuje na miano największej masowej migracji w historii naszego kraju, mianowicie ewakuację z południowej Kalifornii Czarnych, Chicanos oraz „ludzi na łodziach”⁵.

Codziennie konwojujemy ponad milion osób, lecz odnoszę wrażenie, że napływają wciąż nowi. Na wieczornym spotkaniu z członkami mojej jednostki dowiedziałem się, że jutro akcja ta ma się zakończyć. Potem pozostanie nam już tylko odsyłanie na tereny przeciwnika kilkudziesięciu grup, jako że nadal wyłapujemy ukrywające się gromady i kończymy izolowanie obszarów zachowujących wielorasowy charakter.

Mojej jednostce powierzono zadanie zdobycia środków transportu dla osób niezdolnych do poruszania się piechotą. Początkowo dostarczaliśmy do tego celu otwarte ciężarówki służące do przewozu dłużycy oraz duże przyczepy holowane przez ciągniki, zdolne pomieścić jednorazowo kilkuset ludzi. Pod koniec akcji wykorzystywaliśmy wszelkie półciężarówki i furgonetki, jakie mogliśmy odnaleźć na terenach oczyszczanych z Czarnych i Chicanos lub w ich pobliżu; było tego ogółem blisko 6 tysięcy pojazdów.

⁵ Boat people, uchodźcy z Indochin, zwłaszcza z Wietnamu, w pewnej części chińskiego pochodzenia, którzy u schyłku lat 70. na niewielkich, często prymitywnych i przeciążonych łodziach uciekali przed komunistami do innych krajów z południowo-wschodniej Azji. Stamtąd starali się wyemigrować do krajów Zachodu lub do USA (przyp. tłum.).

Początkowo sprawdzaliśmy starannie, czy w baku każdego z nich znajduje się odpowiednia ilość paliwa, która wystarczy na podróż w jedną stronę. Ponieważ jednak okazało się to nazbyt czasochłonne, zdecydowaliśmy, że zostanie wykorzystany każdy samochód, my zaś upewnimy się tylko, czy ma w zbiorniku minimalną ilość benzyny, wystarczającą do pokonania odpowiedniego dystansu.

Wczoraj wieczorem zabrakło nam ciężarówek, toteż przez cały dzisiejszy dzień gromadziliśmy samochody osobowe. Około 300 ludzi pozostających pod moimi rozkazami podzieliłem na dziesięcioosobowe zespoły. Każdy z nich dobrał sobie (obiecując im żywność za współpracę) około 50 młodych czarnych ochotników, utrzymujących, że są znawcami złodziejskiego fachu odpalania silnika „na kabel”.

Następnie nasze grupy holowały do zatłoczonych punktów ewakuacyjnych każdy samochód, od volkswagenów do cadillaców, którego silnik udało się uruchomić w ten sposób i którego zbiorniki, wypełnione były (co wynikało ze wskazań liczników) przynajmniej w jednej czwartej objętości. Tam czarni ochotnicy nakazywali jakiejś ciężarnej Murzynce lub starszemu kalece usiąść za kierownicą, pakowali do auta jak najwięcej czarnych bachorów oraz rozmaitych kuternogów i innych inwalidów (niekiedy wypełniali nimi gromadnie dachy i stopnie pojazdów) i wysyłali w podróż. Potem przystępowali do ładowania następnej partii.

Zaskoczyło mnie, że tak szorstko, wręcz brutalnie nasi pomagierzy traktują swoich ziomków. Niektórym starszym wiekiem Czarnym, niezdolnym do samodzielnej egzystencji, grozi niewątpliwie śmierć z wycieńczenia i odwodnienia organizmu, ale ochotnicy obchodzili się z nimi bezlitośnie, pakując do jednego samochodu całą gromadę. Patrząc na to, często wzdragałem się z oburzenia. Kiedy dziś rano jeden z przeładowanych do ostatnich granic cadillaców wyruszył, chwając się, ku prowadzącej na wschód autostradzie, jakieś wiekowy Murzyn stracił równowagę i zsunął się z dachu. Padając na chodnik, rozbił sobie głowę. Czarni, którzy dopiero co zakończyli załadunek tego samochodu, ryknęli śmiechem; wydawało się, że widzą najzabawniejszą rzecz pod słońcem. Stosowaliśmy procedurę urągającą wszelkim zasadom logistyki. Złamaliśmy wszelkie reguły bezpieczeństwa, narażając się na ogromne ryzyko. Czarni mieli setki okazji, by wziąć na nas odwet, ponieważ znacznie przewyższali nas liczebnie, ponadto musieliśmy pracować w głębi zatłoczonych enklaw, pozbawieni jakiegokolwiek zbrojnego ubezpieczenia.

Dysponuję zbyt małą liczbą ludzi, żeby wykonać należycie i w sposób profesjonalny powierzone mi zadanie. Pracowaliśmy przez co najmniej 18 godzin na dobę, często bez chwili wytchnienia. Często wprost upadaliśmy ze zmęczenia. Jak to dobrze, że jutro to się już skończy, obawiam się bowiem, iż moi podwładni nie wytrzymają dłużej - i że zabraknie nam szczęścia.

Jednakże nasze dotychczasowe osiągnięcia są istotnie niebagatelne. Udało się nam ewakuować z opanowanych terenów blisko pół miliona kolorowych, którzy nie zdołaliby pokonać wyznaczonej trasy piechotą. Wszyscy ci ludzie zostali teraz zdani na opiekę Systemu, który musi ich karmić, zapewnić dach nad głową, odzież i bezpieczeństwo. Oni, jak również 7 milionów zdrowych Czarnych i Chicanos, jakich wysłamy im w prezencie - toż to nieprzebrany tłum, któremu będą niezbędne wszelkie formy opieki!

Cała ta ewakuacja to nic innego tylko nowa forma wojny, wojna demograficzna. Nie tylko bowiem usuwamy kolorowych z naszego terytorium; jednocześnie dokonujemy dwóch czynności, które prędzej czy później przyniosą nam korzyść, jako że przierzucamy ewakuowanych na obszar przeciwnika. Ludzie okażą się wkrótce dodatkowym obciążeniem dla i tak mocno już osłabionej gospodarki Systemu. Ponadto życie Białych zamieszkujących obszary przygraniczne stanie się nie do zniesienia.

Jeśli nawet władze rozlokują ewakuowanych w całym kraju, odsetek ludności kolorowej w poszczególnych stanach wzrośnie przeciętnie o około jedną czwartą. Nawet biali liberałowie poddani skutecznemu praniu mózgu uznają, że tę potężną dawkę „braterstwa rasowego” diablo trudno im przełknąć.

Przed około godziną, zdążając na spotkanie z członkami jednostki, przystanąłem na chwilę na wysoko położonym występie wiaduktu, z którego rozpościerał się widok na główną trasę ewakuacyjną

prowadzącą z Los Angeles. Słońce już zaszło, ale widoczność wciąż była dobra. Patrzyłem w dół, zdjęty podziwem i zgrozą, na potężne tłumy kolorowych podążające powoli na wschód. Gdzie okiem sięgnąć, widziałem nieprzebraną ohydłą rzekę. Niebawem włączymy przy autostradzie latarnie, co umożliwi tłumom całonocne maszerowanie. Potem, wraz z początkiem upalnego ranka, ewakuacja zdrowych na ciele zostanie przyhamowana, żeby trasa była wolna dla ruchu pojazdów. Wieczorem znów ruszą piesi. Na początku, gdy chcieliśmy, żeby wszyscy poruszali się piechotą, okazało się, iż padają jak muchy.

Widok tej przeogromnej kolorowej rzeki wywołał u mnie przemożne uczucie zadowolenia, cieszyłem się, że zmierza ona na wschód, opuszczając nasze tereny. Aż wzdrygnąłem się z obrzydzenia, gdy wyobraziłem sobie, że rzeka ta płynie w moim kierunku, na moją ziemię.

Gdyby przywódcy Systemu zachowali swobodę decyzji, chętnie zawróciliby do nas tych czarnuchów, posługując się jako środkiem perswazji ogniem karabinów maszynowych. Ponieważ jednak granicę obsadza wojsko złożone w przeważającej części z kolorowych, nie mogą im rozkazać, by strzelali do swoich „braci”. Dotychczas nie znaleźli sposobu, żeby zatrzymać i zawrócić tę potężną falę przyptywu. Ludzie Systemu stali się zakładnikami własnej propagandy, głoszącej, że każda z tych kreatur to „istota im równa”. Stali się niewolnikami hasła o „ludzkiej godności”, toteż niech teraz piją piwo, jakiego sobie nawarzyli. O tak, u nas się przejaśnia, lecz jestem pewien, że w innych rejonach coraz bardziej się ściemnia! Dosłownie i w przenośni...

Świadczy o tym napływ białych uchodźców ze wschodu. Jeszcze ponad tydzień temu przybywało ich około setki dziennie, lecz obecnie liczba ta wzrosła do kilku tysięcy. Do dzisiejszego popołudnia nasze posterunki graniczne przepuściły ogółem ponad 25 tysięcy Białych.

Wydaje się, że większość z nich po prostu uchodzi przed czarnym wojskiem oraz ewakuowanymi z naszego terytorium Murzynami i Chicanos, napływającymi setkami tysięcy na przygraniczne tereny przeciwnika. Jeśli ludziom tym łatwiej uchodzić na zachód niż na wschód, tak też i czynią.

Jednakże około 10 procent napływającej ludności wcale nie pochodzi z pogranicza. Są oni białymi ochotnikami, którzy świadomie opuścili swoje rodzinne strony, powodowani chęcią przyłączenia się do nas. Niektórzy przybywają nawet ze Wschodniego Wybrzeża, całymi rodzinami, z dziećmi i młodzieżą. Podjęli tę decyzję, gdy cała Ameryka zrozumiała, że nasza rewolucja utworzyła w Kalifornii mocny i solidny przyczółek.

24 lipca. Uff! Staję się naprawdę chłopcem do wszystkiego! Dopiero co powróciłem do głównej kwatery, kończąc podróż, której celem była naprawa stacji rozdzielczej pod Santa Barbara. Od dłuższego czasu pracowała wadliwie, przerywając niemal codziennie dopływ prądu. Wysłano mnie wraz z kilkoma ludźmi, żebym sprawdził, co nawaliło, i usunął usterki. Będę doprawdy szczęśliwy, gdy zaprowadzimy tu porządek i organizację, ponieważ wówczas powrócą również do zajęć ludzie obsługujący miejskie instalacje.

Tymczasem jednak musimy wykonywać samodzielnie najniezbędniejsze prace, co jest równoznaczne z przywracaniem porządku oraz zapewnianiem ludziom żywności. Porządku jeszcze nie ma, dostarczamy do obszaru miejskiego takie ilości prowiantu, że ludzie nie muszą się już obawiać głodu. Podczas wyjazdu do Santa Barbara ujrzałem na własne oczy, w jaki sposób zorganizowano zaopatrzenie w żywność.

W wiejskiej okolicy mijałem dosłownie setki grup białej młodzieży; niektórzy młodzi pracowali w sadach i na plantacjach, inni maszerowali drogami ze śpiewem na ustach. Na ramionach zawiesili sobie kosze z owocami. Wszyscy byli opaleni, zdrowi i szczęśliwi. Jakaż to odmiana po rozruchach wszczynanych w miastach przez wygłodzone tłumy!

Gdy z przeciwka zbliżyła się grupa licząca około 20 młodych dziewcząt, poprosiłem kierowcę, żeby zatrzymał się na chwilę.

Zauważyłem, że dziewczęta mają rękawice robocze, niektóre ubrane były w podkoszulki i szorty, inne w dreluchy. Ich przywódczyni, 15-letnia roześmiana pieguska z cieniutkimi warkoczykami, przedstawiła siebie i koleżanki jako 128 Brygadę Żywnościową Los Angeles. Zakończyły właśnie

pięciogodzinne zrywanie owoców, a teraz idą na lunch przygotowany w bazie namiotowej, która znajduje się opodal głównej drogi.

Pomyślałem, że do „brygady” jeszcze bardzo im daleko, ale jednocześnie uświadomiłem sobie, że ludność cywilna zorganizowała się w znacznie większym stopniu niżby ktoś przypuszczał. Przecież napotkana przeze mnie dziewczyna była jeszcze zbyt młoda, by wstąpić do Organizacji. Nadto, jak się wnet przekonałem, w dziedzinie polityki okazała się na wskroś „zielona”.

Wiedziała tylko tyle, że w mieście dzieją się rzeczy przykre i przerażające. Jakaś miła pani z opaską na rękawie, zatrudniona w punkcie dystrybucji żywności, rozmawiała z nią, a potem z jej rodzicami. Zapewniła ich, że młodzież przystępująca ochotniczo do pracy w sadach jest otaczana troskliwą opieką i obficie karmiona. Wtedy jej rodzice wyrazili zgodę, żeby się zaciągnęła. Było to tydzień temu, a wczoraj, kontynuowała dumnie, awansowano ją na przywódczynię grupy.

Zapytałem, czy praca jest ciężka. Potwierdziła, dodając jednak, że zdaje sobie sprawę, iż wykonuje wraz z koleżankami nadzwyczaj doniosłe zadanie. Od tego bowiem, ile zbiorą owoców, zależy, czy ich rodzice i przyjaciele w mieście będą mieli co jeść. Dorośli z obozu powiedzieli im, jak ważne jest to, co robią.

Czy wyjaśnili również znaczenie Rewolucji? Nie, nic o tym nie wie; po prostu zabrakło nagle latynoskich robotników rolnych, toteż Biali musieli przejąć ich zajęcia. Dziewczyna powiedziała jednak, że może to i dobrze. Ponadto jej i wszystkim koleżankom udzielono szczegółowego instruktażu, nauczono piosenek, przy których łatwiej się pracuje, a wieczorem odbywają się wykłady z higieny.

Cóż, jak na nastolatki, to całkiem nieźle! Na dalszą edukację przyjdzie czas później. Żeby tylko dorośli byli równie chętni do współdziałania jak te dzieciaki!

Pieguska i pozostałe pannice narzekały tylko na jednostajność pożywienia. To prawda, dobrze karmiono, ale wyłącznie owocami i warzywami; brakowało mięsa, mleka, a nawet chleba. Osobom organizującym te brygady najwyraźniej pozostało jeszcze do rozwiązania kilka problemów logistycznych. Wymieniliśmy z dziewczętami pół kartonu konserwowych sardynek oraz kilkanaście paczek kruchych ciasteczek z naszych zapasów na koszt pięknych jabłek. Obie strony uznały, że ubiły świetny interes.

W górzystej okolicy na północ od Los Angeles napotkaliśmy długą kolumnę maszerujących ludzi, eskortowaną przez liczne grupy żołnierzy i uzbrojonych członków Organizacji. Kierowca zwolnił, a ja uważnie przyglądałem się więźniom, gdyż nie od razu połąpałem się, kim są. Nie wyglądali na Czarnych lub Chicanos, a jednak tylko niewielu miało wyraźne cechy białej rasy. Rysy twarzy wielu z nich zdradzały niedwuznacznie semickie pochodzenie, fizjonomie i włosy innych sugerowały zaś domieszkę krwi murzyńskiej. Przednia część kolumny skręciła z szosy w mało uczęszczaną boczną drogę, prowadzącą do kanionu usianego głazami. Obejrzałem się w kierunku miasta; tłum maszerujących rozciągał się na przestrzeni wielu mil. Ta część kolumny, którą wyminęliśmy, mogła liczyć nawet 50 tysięcy ludzi - w różnym wieku i obojga płci.

Pytałem potem w Głównej Kwaterze o ów osobliwy pochód. Nikt nie potrafił udzielić mi wyczerpującej odpowiedzi, panowało jednak ogólne przeświadczenie, że byli to Żydzi oraz mieszańcy rasowi o tak dużej domieszce białej krwi, że nie wcielono ich do grup ewakuowanych na wschód. Przypomniałem sobie wtedy coś, co mocno zdziwiło mnie kilka dni wcześniej. Oto w trakcie gromadzenia osób, które miały podlegać ewakuacji prowadzono selekcję Murzynów o bardzo jasnej karnacji skóry - tych, którzy mogli uchodzić za niemal białych, oktoronów⁶ i kwarteronów⁶, nie poddających się klasyfikacji mieszańców pochodzących z rozmaitych obszarów azjatyckich i południowych.

Teraz chyba już wszystko rozumiem. Obecność wśród osób ewakuowanych pokaźnej liczby niemal białych mieszańców wywołałaby zamieszanie i dezorientację, na obszarach poza naszą kontrolą,

⁶ Kwarteron - osobnik, którego jedno z czworga pradziadków było Murzynem - potomek Mulata i Białej lub Mulatki i Białego. Oktoron - to osobnik, którego jedno z rodziców jest kwarteronem, drugie Białym (przyp. tłum.).

zwłaszcza jeśli staraliby się oni przedstawiać jako czystej krwi Biali. Lepiej załatwić się z nimi już teraz, gdy wszystkich wyłapiemy. Przypuszczam, że ten ich marsz do kanionu był marszem bez powrotu! Niemniej jednak pozostało nam jeszcze wiele pracy. Wprawdzie wyczyściliśmy wszystkie obszary zajmowane przez Czarnych i Chicanos, jak również pewne dzielnice żydowskie, ale na terenach obejmujących niemal połowę opanowanych przez nas obszarów panuje nadal chaos i anarchia. Tamtejsi Żydzi, współdziałając wspólnie z reakcyjnymi elementami spośród Białych, burzą się i podnoszą głowy. W najgorszych pod tym względem rejonach niemal nieustannie wzniecane są demonstracje i rozruchy. Żydzi organizują akcje ulotkowe i innymi metodami szerzą niepokój. Od zeszłego piątku czterech naszych ludzi padło od pocisków snajperów. Trzeba jak najszybciej z tym skończyć!

25 lipca. Dziś nastąpiła jakże przyjemna dla mnie odmiana w porównaniu z pracą, jaką wykonywałem dotychczas. Spędziłem cały dzień na rozmowach z ochotnikami, którzy, poczynając od 4 lipca, przybywali do nas z innych stanów. Polecono mi wybrać spośród nich około stu osób, z których utworzymy później grupę do prac specjalnych. Zajmie się ona, stale i systematycznie, wykonywaniem zadań logistycznych oraz inżynierskich, jakie przypadają do tej pory mojemu zespołowi. Zgłaszający się do mnie ludzie zostali już wcześniej poddani selekcji; wszyscy oni są obeznani z techniką albo zarządzaniem w przemyśle. Przybyło ogółem około 300 mężczyzn wraz z mniej więcej setką żon i dzieci, co stanowi widomą oznakę, że otrzymaliśmy solidny zastrzyk świeżej krwi. Nie mam pojęcia, ile osób przedarło się do nas, wiem jednak, że przez trzy ostatnie tygodnie szeregi Organizacji wzrosły w Kalifornii kilkakrotnie - a przecież przyjmujemy w nasze szeregi jedynie niewielu spośród nowo przybyłych.

Przeważająca ich część zostaje wcielona do brygad pracy, przede wszystkim rolniczo-sadowniczych, lub też (co stało się regułą w wypadku mężczyzn zdolnych do pełnienia służby wojskowej) otrzymuje broń i umundurowanie sił lądowych pochodzące ze zbombardowanych z powietrza arsenałów Gwardii Narodowej. W ten sposób wojsko pozostające pod naszymi rozkazami zyska na wiarygodności; być może zwiększymy również jego wartość bojową. Wielu z tych „błyskawicznych żołnierzy” otrzymało wcześniej niewielkie lub zgoła żadne przeszkolenie, nadto nie było czasu na przygotowanie ich pod względem ideologicznym. Na ogół jednak bardziej sprzyjają oni naszej sprawie aniżeli żołnierze regularnych sił zbrojnych, zostają więc w natychmiastowym trybie wcieleni do jednostek.

Pytałem dziś ludzi o warunki życia, sytuację rodzinną, o umiejętności i kwalifikacje oraz doświadczenie zawodowe. Niemal wszystkim przydzielono mieszkania w części zwolnionych niedawno domów, położonych na zdominowanych dotąd przez Czarnych obszarach na południe od Los Angeles. W jednym z tamtejszych niewielkich bloków założyliśmy nowy ośrodek dowodzenia; właśnie tam prowadziłem rozmowy.

Tylko nieliczni nowo przybyli na coś się uskarżali, choć każdy wspominał z obrzydzeniem, że budynki, w których znaleźli lokum, zastali straszliwie brudne i zaniedbane. Niektóre mieszkania okazały się tak zapuszczone, że po prostu nie dało się do nich wejść. Wszyscy jednak radośnie i ochoczo zabrali się do pracy: dezynfekcja lokali oraz czyszczenie i odnawianie ścian zajęły im zaledwie kilka dni. Zmieniło się nie do poznania!

Przeprowadziłem krótką inspekcję; jakże krzepiący był widok prześlicznych białych dzieci bawiących się spokojnie tam, gdzie wcześniej demolowały wszystko hordy małych czarnych chuliganów. Kilkunastu dorosłych zajmowało się jakimiś reperacjami na terenie otaczającym domy. Zebrali oni pokaźny stos śmieci i odpadków pozostałych po poprzednich lokatorach: opróżnione puszkę po piwie, opakowania po papierosach, plastikowe pojemniki, w których sprzedawane są zestawy szybkich dań, roztrzaskane meble, przeżarte rdzą zlewy i wanny. Dwie kobiety ogrodziły naciągniętym na kijki sznurem całkiem spory kawałek zdeptanego doszczętnie trawnika, który teraz przekopywały, by urządzić tam ogródek warzywny. W oknach, w których poprzednio wisały jedynie podarte papierowe zasłony, pojawiły się jasne firaneczki - sporządzone, jak sądzę, w domowy sposób, z narzut na łóżka, niekiedy również pomalowane we własnym zakresie. Na parapetach, gdzie wcześniej stały wyłącznie butelki po mocnych trunkach, widziałem doniczki z kwiatami.

Większość nowo przybyłych nie dysponowała żadnym, nawet najskromniejszym dobytkiem, albowiem pozostawiła wszystko w poprzednim miejscu zamieszkania. Ludzie ci zaryzykowali własne życie, by do nas dotrzeć. To doprawdy zasmucające, że na razie niewiele możemy im pomóc, widać jednak, iż należą oni do osób, które łatwo poradzą sobie same.

Jeden z pierwszych ochotników, na jakich natknąłem się rano, okazał się mężczyzną, który zdobył gdzieś odpowiednią ciężarówkę. Wywoził regularnie śmiecie z całego osiedla, a z najbliższego punktu rozdzielczego, odległego o 6 mil, dostarczał żywność. Nim zorganizujemy nową sieć dystrybucyjną paliwa, człowiek ów sam będzie zajmować się naprawami oraz konserwacją pojazdu i we własnym zakresie zdobędzie paliwo. Facetowi stuknęła sześćdziesiątka, miał w stanie Indiana fabrykę opakowań plastikowych, z własnej woli został jednak u nas zwykłym śmieciarzem!

Gdy sytuacja się ustabilizuje, przeciętna gęstość zaludnienia na zajętych przez nas obszarach będzie niższa o bez mała połowę aniżeli miesiąc temu. Nie przewidujemy problemów z zakwaterowaniem nowo przybyłych. Ponadto najprawdopodobniej wyburzymy około połowy zabudowań w dzielnicach mieszkalnych i handlowych hrabstwa Los Angeles i założymy tam parki. To oczywiście sprawa przyszłości, a tymczasem naszym najważniejszym zadaniem jest zapewnienie nowym mieszkańcom choćby tylko prowizorycznych kwater na terenach, które zostały szczelnie odgradzone od obszarów jeszcze przez nas nie spacyfikowanych i nie oczyszczonych z nie-Białych.

Ciesz się mnie i przyprawia o dumę ów skromny początek. Jakie to cudowne uczucie przechadzać się ulicami, jeszcze kilka tygodni wcześniej wypełnionych przez kolorowych sterczących gromadnie na każdym narożniku, w każdych drzwiach i każdej bramie - i widzieć wokół tylko białe twarze, czyste, szczęśliwe, radosne, należące do ludzi, którzy postanowili walczyć o swój ą przyszłość! Pomyślnie zakończenie Rewolucji i zapewnienie tym ludziom spokojnego, bezpiecznego życia - zarówno dziewczętom ze 128 Brygady Żywnościowej Los Angeles, jak i milionom innych zamieszkałych na naszej ziemi - warte jest doprawdy każdej ofiary!

Rozdział 23

1 sierpnia 1993 r. Dziś zorganizowaliśmy Dzień Sznura; ponurą i krwawą - a jednak konieczną - ceremonię. Po raz pierwszy od wielu tygodni w całej południowej Kalifornii zapanowała za dnia cisza i spokój. Jednakże noc stała pod znakiem cichego horroru; na rozległym obszarze miejskim, na dziesiątkach tysięcy latarni ulicznych, słupów wysokiego napięcia i drzew, wisały budzące grozę postacie.

Na oświetlonych obszarach widać je wszędzie. Wiszą nawet na słupach z tabliczkami informującymi o nazwie ulicy; wieczorem praktycznie na każdym rogu ulicy dostrzegłem wisielca. Na skrzyżowaniach ulic dyndało po czterech. Zwykła kładka dla pieszych, przerzucona ponad jezdnią mniej więcej o milę stąd posłużyła za szafot dla około 30 osób. Powieszono im na piersiach kartki z napisem „zdradziłem swoją rasę”. Dwie lub trzy osoby należące do tej grupy obleczono przed egzekucją w akademickie uroczyste stroje; cała trzydziestka to prawdopodobnie wykładowcy z pobliskiego Kalifornijskiego Uniwersytetu Los Angeles.

Tam, gdzie nie przywróciliśmy jeszcze dostaw energii elektrycznej trupy są mniej widoczne, ale panuje na tych ulicach jeszcze bardziej przejmująca atmosfera makabry i horroru niż na oświetlonych terenach. Po naszym nocnym spotkaniu musiałem powrócić do kwatery przez dość rozległą, pogrążoną w ciemnościach dzielnicę mieszkalną. Pośrodku chodnika ujrzałem przed sobą jakiś nieruchomy, mroczny kształt, przypominający sylwetką człowieka. Kiedy zbliżyłem się do cichej postaci, na której twarz padał cień pobliskiego wielkiego drzewa, ta ani drgnęła, nie ustępując mi z drogi.

Powodowany lekką obawą, wydobyłem pistolet. Gdy od zneruchomiałej postaci dzieliło mnie zaledwie kilka metrów, zaczęła się ona powoli obracać. Ruch ów był tak niesamowity i osobliwy, że stanąłem jak wryty. Lekki wietrzyk zaszeleścił listowiem drzewa; nagle przedarł się przez nie promień księżycowego blasku, oświetlając tajemniczą osobę.

Natychmiast dostrzegłem kartkę z dużym napisem: „zhańbiłam swoją rasę”. Wyżej spoglądała w moim kierunku straszliwie spuchnięta, sinofioletowa twarz młodej kobiety. Miała wybałuszone oczy i szeroko otwarte usta. Dopiero po dłuższej chwili zauważyłem cienką pionową linkę niknącą w gałęziach drzewa. Stryczek najwyraźniej odwiązał się częściowo i uległ lekkiemu wydłużeniu pod ciężarem powieszanej, której stopy dotykały chodnika. Wywoływało to niesamowite i makabryczne wrażenie, że trup stanął na własnych nogach.

Zadrżałem z obrzydzenia i szybko poszedłem w swoją stronę. Dzisiejszej nocy powieszono w mieście wiele tysięcy kobiet; na szyi każdej z nich umieszczono kartki i tabliczki opatrzone identycznymi napisami. Białe kobiety, które wzięły sobie za mężów lub kochanków Żydów, Czarnych albo innych kolorowych, musiały ponieść karę. Na karkach pewnej liczby uśmierconych tą metodą mężczyzn zawisły również kartki z napisem „zhańbiłem swoją rasę”, jednakże kobiet było siedem, osiem razy więcej.

Wśród powieszonych mężczyzn znajdowali się politycy, prawnicy, biznesmeni, redaktorzy informacyjnych programów telewizyjnych, reporterzy gazetowi, wydawcy, sędziowie, nauczyciele, urzędnicy oświatowi, „przywódcy obywatelscy”, biurokraci, kaznodzieje. I wszyscy ci, którzy dla kariery lub awansu w hierarchii społecznej, zyskania głosów wyborczych czy też z innych powodów, przyczynili się do wprowadzenia oraz umacniania programu rasowego narzuconego przez System. Otrzymali już wcześniej swoje trzydzieści srebrników. Dziś my im płacimy.

Rozprawa rozpoczęła się o godzinie 3.00 w nocy. Wczorajszy dzień obfitował w wyjątkowo burzliwe zamieszki; Żydzi, posługując się przenośnymi megafonami, podburzali tłum. Wzywali uczestników zająć do obrzucania naszych żołnierzy kamieniami i butelkami. Tłum skandował hasła: „precz z rasizmem”, „równouprawnienie na wieki” i inne slogany, których wyuczyli go Żydzi. Przypominało mi to masowe demonstracje przeciwko wojnie w Wietnamie. Żydzi mają dryg do takich akcji.

Była 3.00. Niepokoje dawno się zakończyły, a ich uczestnicy spali. Tylko kilka grup najbardziej zapalczywych demonstrantów siedziało wokół głośników, przez które nadawali na cały regulator programy radiowe Systemu. Okoliczne bloki i dzielnice słuchały tego koncertu złożonego z jazgotliwej „muzyki” rockowej, przeplatanej wezwaniami do uprawiania „braterstwa”.

Nieoczekiwanie do tysięcy domów (ogółem w 50 dzielnicach) wkroczyli żołnierze. Dowódca każdego plutonu dysponował długą listą nazwisk i adresów. Wrzaskliwa muzyka nagle umilkła, ustępując innemu odgłosowi: łoskotowi tysięcy podkutych wojskowych butów.

Przypominało to akcję „Broń” sprzed czterech lat, tyle tylko, że obecnie role się odwróciły, a konsekwencje okazały się znacznie bardziej drastyczne i, rzekłbym, o znacznie bardziej trwałych następstwach dla ofiar. Ci, których wywleczono na ulice, podlegali którejś z następujących dwóch procedur. Jeśli nie byli to Biali (do tej kategorii zostali zaliczeni również Żydzi oraz ci wszyscy, których wygląd zewnętrzny wskazywał na kolorowych przodków, choćby w odległym pokoleniu) musieli dołączyć do formowanych pospiesznie kolumn. Wyruszały one w marsz bez powrotu trasą prowadzącą do wiadomego kanionu u stóp gór na północy miasta. Jeśli ktoś stawiał nawet najślabszy opór, pyskował, ociągał się lub pozostawał w tyle, natychmiast otrzymywał kulę w kark.

Jeśli natomiast chodzi o Białych, niemal wszyscy oni zostali natychmiast powieszani. Na piersiach delikwenta umieszczano wcześniej przygotowaną kartkę zawierającą jedną z wersji tekstu. Następnie szybko krępowano mu ręce za plecami, a na szyję zakładano stryczek. Drugi koniec stryczka zarzucano na najbliższą gałąź czy też słup ze znakiem drogowym, po czym bez dalszych ceremonii zaciągano go. Wieszany zaczynał „tańczyć” na wietrze, a żołnierze zajmowali się kolejną ofiarą figurującą w wykazie.

Egzekucje te, jak również formowanie kolumn śmierci, trwały nieprzerwanie przez 10 godzin. Gdy żołnierze wczesnym popołudniem zakończyli swoje ponure dzieło i zaczęli powracać do koszar, cały

obszar Los Angeles był na wskroś i doszczętnie spacyfikowany. Mieszkańcy rejonów, przez które wczoraj mogliśmy przejechać bezpiecznie wyłącznie w czołgach, dziś drżeli ze strachu. Obawiali się nawet wyrzeć na ulice przez szczeliny w zaciągniętych zasłonach. Rankiem nasze wojska nie napotkały żadnego zorganizowanego ani tym bardziej masowego oporu; tamtym przeszła najmniejsza ochota do sprzeciwiania się.

Wraz ze swoimi ludźmi uczestniczyłem w tej akcji przez cały dzień, zajmując się na ogół jej stroną logistyczną. Gdy plutonom egzekucyjnym wyczerpały się zapasy lin, zdjęliśmy ze słupów kilka mil przewodów. Wcześniej zgromadziliśmy także setki drabin.

Zajęliśmy się również rozklejaniem na każdym domu odezwy Dowództwa Rewolucyjnego. Zawierała one ostrzeżenie, iż odtąd każdy akt rabunku, organizowania zamieszek lub uczestnictwa w nich, sabotażu czy niepodporządkowania się rozkazom wojska, będzie karany natychmiastową egzekucją winnego. Podobna kara groziłaby również każdemu, kto świadomie udziela schronienia Żydom lub kolorowym, z premedytacją dostarcza naszym jednostkom policyjnym mylących informacji lub też zataja przed nimi informacje prawdziwe. Odezwa zawierała wreszcie adresy punktów, do których każda osoba miała się zgłosić (czas i data zależały od kolejności alfabetycznej nazwisk) w celu rejestracji oraz otrzymania przydziału do grupy roboczej.

Dziś o godzinie 9.00 rano opodal siedziby władz miejskich nieomal wdałem się w strzelaninę z jakimś dowódcą kompanii wojska. Tam właśnie wieszaliśmy grube ryby: znanych polityków, gwiazdy Hollywoodu oraz kilkanaście osobistości telewizyjnych. Gdyby zawisli, jak inni, przed swoimi domami, trupy ujrzałoby niewiele osób, a chcielibyśmy, żeby egzekucje tych bonzów stanowiły przykład, a zarazem ostrzeżenie dla znacznie liczniejszej publiczności. Powodowani tym zamiarem przewieźliśmy niektórych duchownych figurujących na listach do jednego z trzech wielkich kościołów. Tam oczekiwały już nasze ekipy telewizyjne mające transmitować egzekucje.

Cały feler tkwił w tym, iż wielu z tych prominentów przywiezionych przed Ratusz nie bardzo już nadawało się do udziału w widowisku, albowiem od żołnierzy z obsługi ciężarówek otrzymywali po drodze solidny wycisk.

Na przykład jedna ze słynnych aktorek, zadająca się notorycznie z kolorowymi, gwiazda kilku wysokobudżetowych epickich filmów „miłosnych” opiewających mieszanie się ras, utraciła w drodze większość włosów, jedno oko i kilka zębów, nie wspominając już o ubraniu. Na plac egzekucji przybyła okrwawiona i zmaltretowana. Gdybym nie zapytał o jej nazwisko, nigdy bym się nie domyślił, kim jest. Zastanawiałem się wtedy, czy publiczne wieszanie tej baby ma jakikolwiek sens, skoro ludzie mogą jej nie rozpoznać i nie zauważyć związku pomiędzy jej niegdysiejszym postępowaniem a obecną karą.

Moją uwagę przykuły jakiś ruch i zbiegowisko przy jednej z ciężarówek, które niedawno przybyły. Starszy wiekiem mężczyzna był spasiony jak wieprz; natychmiast rozpoznałem w nim sędziego federalnego, który w ostatnich latach wydał kilka skandalicznych orzeczeń, między innymi potwierdził prawo do zatrzymywania ludzi, przyznane przez Komitet do spraw Stosunków Międzyludzkich swoim czarnoskórem „przedstawicielom”. Drań opierał się zabiegom żołnierzy, którzy chcieli go rozebrać z piżamy i przyodziać w sędziowską togę.

Jeden z żołnierzy zwałił jurystę z nóg, a wtedy czterej inni zaczęli go kopać i uderzać miarowo kolbami karabinów w twarz, brzuch i pachwiny. Gdy zarzucano mu na kark linę i podnoszono do góry, leciał już swoim katom przez ręce, był nieprzytomny, a być może i martwy. Zawisł na latarni, podczas gdy kamerzysta filmował całą scenę, transmitowaną na żywo. Incydent ów (oraz inne o podobnym charakterze) mocno mnie zgniewał i zdenerwował, zwróciłem się przeto do oficera dowodzącego żołnierzami. Zapytałem go, dlaczego dopuścił wśród swoich ludzi do tak karygodnego rozprzężenia dyscyplinarnego. Używając mocnych słów zauważyłem, że bicie więźniów przed egzekucją zdecydowanie nie leży w naszym interesie.

Wyrównując rachunki z naszymi przeciwnikami rasowymi, musimy być silni, bezlitośni i nieprzejednani, to jasne, nie wolno nam jednak postępować jak horda Ugandyjczyków czy Portorykańczyków. (Informacja dla Czytelnika: Uganda była krajem powstałym w wyniku podziałów politycznych, do jakich doszło w czasach Starej Ery w Afryce, gdy kontynent ów zamieszkiwali

Murzyni. Puerto Rico to dawna nazwa obecnej wyspy Nowa Karolina. Osiedlili się na niej potomkowie białych uchodźców ze skażonych promieniowaniem jądrowym obszarów południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, jednakże przed czystkami rasowymi, jakich dokonano u schyłku Wielkiej Rewolucji, zamieszkiwała ją szczególnie obrzydliwa rasa mieszaińców.) Musimy zatem dbać o utrzymanie porządku we własnych szeregach - kontynuowałem - ponieważ będziemy wymagać przestrzegania ścisłej dyscypliny od ludności cywilnej. Nie wolno nam nigdy i pod żadnym pozorem uzewnętrzniać frustracji czy osobistych fobii; nasze postępowanie musi w każdych okolicznościach świadczyć o tym, że służy ono wyższemu celom.

Kapitan rozjuszył się. Wrzasnął, żeby pilnował swoich spraw. Gdy oświadczyłem mu chłodno, że właśnie to robię, spurpurowiał na twarzy i wycedził, iż nie ja, tylko on dowodzi akcją, i że stara się robić to jak najlepiej w bardzo trudnych warunkach.

Przypomniał następnie (miał bezsprzecznie słuszność), że w ostatnim miesiącu Organizacja wymieniła niemal połowę ludzi w jego kompanii na „surowych”, niewyćwiczonych szeregowych, toteż nie powinienem być zaskoczony, że z dyscypliną jest tak kiepsko. Dodał, iż zna dobrze psychikę swoich podwładnych, a zatem wie, że postępuje słusznie, pozwalając im na maltretowanie więźniów. W psychice żołnierzy umacnia się dzięki temu przeświadczenie, że tamci są wrogami i zdecydowanie zasługują na strycek.

Prawdę powiedziawszy, nie znalazłem żadnych kontrargumentów. Z niejakim zadowoleniem zauważyłem, jednak że kiedy zakończyliśmy rozmowę, oficer ów podszedł szybkim krokiem do grupy żołnierzy, tłukących brutalnie chwytaami pistoletów długowłosego, zniewieściałego młodzieńca, przyodzianego w dziwaczny „czadowy” strój - jakiegoś wykonawcę „rockowego” - i nakazał przerwać im bicie.

Kiedy myślę o tym wydarzeniu, przyznaję kapitanowi nieco racji. Oczywiście, musimy jak najszybciej wzmocnić dyscyplinę, obecnie jednak znacznie korzystniej jest dla nas, jeśli żołnierze są może mniej zdyscyplinowani, lecz za to pewni politycznie.

Opóźnialiśmy dopóki było to możliwe, czystki wśród ludności cywilnej, a wszystko po to by zyskać czas na usunięcie z szeregów niegodnych zaufania żołnierzy i zastąpienie ich ochotnikami przybywającymi z nieprzyjacielskich terenów.

Musieliśmy również poświęcić dużo czasu, by wojsko przywykło do nowych porządków i zaakceptowało je. Dlatego też świadomie popuściliśmy ludności cywilnej cugli w tak znacznym stopniu, dążąc po prostu do tego, by zyskać wyraźny powód do podjęcia drastycznych represji. W przeciwnym bowiem razie musielibyśmy zastosować jedynie połowiczne przeciwdziałanie, co na dłuższą metę nie rozwiązałoby problemu.

Dziś dowiedziałem się, że skompletowanie list proskrypcyjnych też zabrało sporo czasu. Członkowie Organizacji od kilku lat (w Kalifornii oraz w innych stanach) gromadzili informacje dotyczące wazeliniarzy Systemu, pachołków żydowskich, teoretyków równouprawnienia rasowego, jak również innych osób dopuszczających się zbrodni przeciw białej rasie.

Gromadziliśmy także nazwiska i adresy wszystkich kolorowych zamieszkujących obszary zdominowane przez Białych. Te ostatnie spisy (uzupełniane nawet i miesiąc wcześniej) wykorzystywaliśmy bez zmian. Skądinąd sporządzanie list wymagało prowadzenia trudnych i czasochłonnych ocen oraz selekcjonowania. Ale co najgorsze, mieliśmy zbyt wielu kandydatów. Na przykład biała rodzina mogła figurować w tych rejestrach jako winni zbrodni przeciw swojej rasie, ponieważ ich sąsiad podejrzwał raz, że zaprosili Murzyna na domowe cocktail party, albo też umieścili na zderzaku samochodu jedną z tych naklejek z napisem „Równouprawnienie rasowe - już teraz”, rozprawdzanych szczerze przez komitety do spraw stosunków międzyludzkich. Nazwisk takich ludzi (chyba że więcej faktów świadczyło na ich niekorzyść) w zasadzie nie umieszczaliśmy na naszych listach, w przeciwnym bowiem razie musielibyśmy posłać na szubienice ponad 10 procent białej ludności. Byłoby to przedsięwzięciem niewykonalnym i ze wszech miar niepraktycznym.

A gdybyśmy nawet zdołali powiesić tyle osób, byłoby to bezcelowe, większość bowiem z tych 10 procent nie jest właściwie gorsza aniżeli większość z pozostałych 90 procent. Wszyscy oni zostali poddani praniu mózgu, cechuje ich słabość charakteru i egoizm, nadto brakuje im poczucia

wierności ideałom własnej rasy. Ludzie są tacy, jakimi ich uformowano, i musimy zaakceptować ów fakt - przynajmniej na razie.

Zawsze i wszędzie jedynie niewielka grupa osób reprezentuje wyłącznie dobro i zło. Ogromna większość osób jest, by tak rzec, moralnie obojętna - to znaczy nie potrafi odróżnić absolutnego dobra od absolutnego zła - i wzoruje się na sprawujących aktualnie władzę.

Gdy właściwi przywódcy rządzą i wytyczają drogę narodowi, społeczeństwo jako całość pozwala się im prowadzić. Ludzie przeciętni, czy też niezdolni do oceny moralnej własnej drogi życiowej, zostają w takiej sytuacji żarliwymi zwolennikami najszczytniejszych celów i wyznawcami najszczytniejszych ideałów. Jeśli jednak rządzi zło, tak jak od lat w Ameryce, wówczas większość społeczeństwa popada w najgorszą degrengoladę. Ludzie po faryzeuszowsku znajdują wówczas upodobanie w najplugawszej i najbardziej destrukcyjnej ideologii przekazywanej z góry.

Obecnie większość sędziów, nauczycieli, aktorów, działaczy ruchu obywatelskiego, idących na pasku Żydów, nie zdaje sobie sprawy z popełniania zła; nie kieruje też nimi cynizm. Wprost przeciwnie, uważają się za „porządnych obywateli”.

Uważaliby się również za takich, postępując w przeciwny sposób, w państwie rządzone przez uczciwych przywódców. Zabijanie ich wszystkich byłoby więc czynem bezsensownym. Usunięcie tej słabości moralnej z genów członków naszej rasy nastąpi nie wcześniej niż za kilkaset pokoleń.

Tymczasem poprzestaniemy na wyeliminowaniu tej części społeczeństwa, która z pełną świadomością hołduje złu, oraz - w całym kraju - naszych okaleczonych moralnie „porządnych obywateli” - jako przykład dla innych.

Powieszenie kilkunastu najgorszych przestępców popełniających zbrodnie przeciwko swojej rasie, w każdej amerykańskiej dzielnicy bądź osiedlu, przyczyni się niezmiernie do odnowy duchowej większości społeczeństwa oraz do reorientacji jego myślenia. Faktycznie, nie tylko przyczyni się, lecz również jest absolutnie niezbędne. Jeśli chcemy wykorzenić stare nawyki i przyzwyczajenia intelektualne, ludziom należy zaaplikować silny zastrzyk psychologiczny.

Rozumiem to doskonale, zaniepokoiło mnie jednak kilka zdarzeń z dzisiejszego dnia.

Gdy przystąpiliśmy do aresztowań, ludzie początkowo nie przeczuwali, co nastąpi, dlatego też wielu obywateli przeciwstawiało się czynnie żołnierzom, klnąc i złorzecząc. Tuż przed świtem widziałem, jak żołnierze wywlekali około tuzina młodych ludzi z dużego budynku opodal uniwersyteckich kampusów. Wytypowane ofiary (jak również pozostali lokatorzy) wyzywały naszych ludzi od najgorszych, plując im w twarz. Wszyscy zatrzymani, wyjąwszy jedną osobę, okazali się Żydami, Murzynami lub rozmaitymi mieszancami rasowymi. Dwóch najgroźniej gardłujących natychmiast zastrzelono, pozostałych zaś zgrupowano w kolumnę i popędzono ulicą.

Na koniec żołnierze zajęli się białą dziewczyną; miała około 19 lat, nieco już obwisłe ciało, ale mogła uchodzić jeszcze za ładną. Wcześniej krzyczała do nich „wy rasistowskie świnię!”, lecz niebawem, pod wpływem przerażenia wywołanego rozstrzelaniem kilku osób, zamilkła. Gdy jednak zrozumiała, że za chwilę umrze również ona sama, wpadła w histerię.

- Ale dlaczego ja? - jęknęła trwoźnie, gdy powiedziano jej, że odpowie za zhańbienie rasy, jakiego się dopuściła utrzymując stosunki miłosne z Czarnym.

- Przecież robiłam to samo co inne, czego ode mnie chcecie? To nie jest uczciwe! A Helen?! Ona też z nim sypiała.

Słyszając te rozpaczliwe słowa, jedna z dziewcząt w grupie stojących opodal na trawniku milczących rówieśników (była to prawdopodobnie owa Helen), zdjeta przerażeniem, zadrzała jak osika i cofnęła się kilka kroków.

Nikt oczywiście nie odpowiedział na pytanie: „dlaczego ja?!” Prawidłowa odpowiedź brzmiałaby bowiem następująco: akurat tak się złożyło, że nazwisko dziewczyny znalazło się na liście, a nazwiska Helen tam zabrakło. Nie ma to nic wspólnego z uczciwością czy też z nieuczciwością. Dziewczynę spotkała kara stosowna do jej przewinień. Helen, która zasługiwała zapewne na ten sam los, niewątpliwie przeżywa teraz katusze psychiczne, dręczona lękiem, że prawda wyjdzie na jaw i ona sama będzie również musiała zapłacić tę samą cenę, co jej przyjaciółka.

Ów drobny incydent stanowił dla mnie lekcję pogładową politycznego terroru. Przekonałem się oto, że dosięga on ludzi w sposób nieprzewidywalny i przypadkowy, ale paradoksalnie ten właśnie fakt stanowi o jego skuteczności. Wiele osób znalazło się w sytuacji Helen; sparaliżowane obawą, że może dosięgnąć ich w każdej chwili topór kata, siedzą cicho jak mysz pod miotłą.

Bolesne słowa tamtej dziewczyny: „przecież robiłam to samo, co inne!”, skłaniają do gorzkiej refleksji. Być może nieco wyolbrzymiam tę kwestię, uważam jednak, że gdyby środowisko nie dostarczyło jej karygodnego przykładu, nigdy nie zesłaby na złą drogę. Okupiła więc życiem w równej mierze własne grzechy co grzechy innych. Dobitniej niż kiedykolwiek wcześniej pojąłem konieczność ustanowienia nowej moralności, nowych fundamentalnych zasad ideowych, których przestrzeganie sprawi, że nikt już nie ulegnie takiemu zdeprawowaniu, jakiemu uległa tamta nieszczęśliwa dziewczyna, a wraz z nią przeważająca część Amerykanów.

Przed południem ponownie uświadomiłem sobie, że właściwie zanikły już u nas zdrowe, wynikające z prawa naturalnego, zasady moralne. Uczestniczyłem w egzekucji grupy około 40 pośredników w handlu nieruchomościami; wieszano ich przed gmachem Towarzystwa Uczciwego Mieszkalnictwa Hrabstwa Los Angeles. Wszyscy oni uczestniczyli we wdrażaniu specjalnego programu zapewniającego rodzinom wielorasowym, które nabywały domy w białych dzielnicach, znaczne obniżenie rat hipotecznych. Jeden z pośredników, krzepki i przystojny, liczący około 35 lat, ostrzyżony na krótko, energicznie się bronił:

- Kurwa, ja zawsze pierdoliłem te bzdety o wielorasowości. Rzygałem na widok tych mieszanych małżeństw i ich skundlonych bachorów. Ale, panowie, człowiek musiał przecież z czegoś żyć! Szef nadzoru budowlanego hrabstwa powiedział mi, że jego urząd przymknie oczy na uchybienia na budowach u przedsiębiorców uczestniczących w tym programie.

Szermując takimi argumentami, facet bezwiednie ujawnił nam, że ponad wierność ideałom własnej rasy przedkłada wysokie apanaże; zasada ta ma niestety odniesienie do bardzo wielu osób, które uniknęły stryczka. Cóż, był dorosły, dokonał świadomego wyboru, a więc nie zasługiwał nawet na odrobinę współczucia.

Żołnierze nie wdawali się z nim zresztą w żadne spory czy targi. Gdy nadeszła jego kolej, poderwali go z ziemi równie bezceremonialnie i obojętnie jak tych, którzy przyjęli swój los w milczeniu. Wojsko otrzymało zresztą rozkaz, żeby z nikim nie dyskutować, niczego nie wyjaśniać, wyjąwszy odczytanie kilku zdań uzasadnienia wyroku. Nie zawahali się ani przez chwilę, słysząc nawet najbardziej przekonywające zapewnienia o niewinności, czy też słowa: „Mnie?! To jakaś pomyłka!”. Owszem, popełniliśmy dziś wiele pomyłek wynikających z przypisania ludziom nieprawidłowej tożsamości czy też z fałszywych oskarżeń - z chwilą jednak rozpoczęcia egzekucji nie było nam wolno przyznawać się do jakichkolwiek błędów.

Wykreowaliśmy bowiem świadomie nasz wizerunek - ludzi nieugiętych i nieprzejednanych.

I osiągnęliśmy swój cel. Gdy dziś po południu plutony egzekucyjne powróciły do koszar, z całego obszaru miasta zaczęły napływać meldunki o nieoczekiwanej fali zabójstw i pobić. Na chodnikach, w alejach i korytarzach budynków mieszkalnych znajdowano zwłoki, których większość nosiła ślady ciosów nożem. Nasze patrole zebrały również z ulic kilkuset rannych.

Choć wśród ofiar pobić i morderstw znajdowało się kilku Czarnych, szybko stało się jasne, że większość była pochodzenia semickiego. Wydaje mi się, ofiarą incydentów padły te osoby, które wprawdzie uniknęły stryczka, lecz nie uniknęły ludzkiej zemsty.

Od kilkunastu ciężko poturbowanych Żydów dowiedzieliśmy się, że przynajmniej część z nich ukrywała się u aryjskich rodzin. Jednakże po ukazaniu się naszych rozporządzeń dotychczasowi dobroczyńcy wyrzucili ich na ulicę. Powstające samorzutnie patrole obywatelskie, uzbrojone w noże i pałki, przystąpiły do wyszukiwania innych Żydów, których nazwiska nie figurowały na naszych listach. Jestem pewien, że gdyby nie ta przykra i brutalna, lecz niezbędna lekcja, jakiej udzieliliśmy społeczeństwu organizując Dzień Sznura, nigdy nie zdołalibyśmy zapewnić sobie takiej współpracy. Przeprowadzone egzekucje zmusiły ludzi dotychczas niezdecydowanych do błyskawicznego opowiedzenia się po naszej stronie.

Jutro po południu część moich podwładnych przystąpi do organizowania obywatelskich batalionów pracy. Zajmą się one odcinaniem wisielców i transportowaniem ich w miejsce, które wcześniej wybrałem. Uporanie się z tak pokaźną liczbą zwłok (jest ich od 55 do 60 tysięcy) zajmie zapewne trzy lub cztery dni; zważywszy na panujące upały, ostatni etap tej pracy nie będzie zbyt przyjemny. Odczuwam jednak ogromną ulgę, gdy pomyślę, że zakończyliśmy wreszcie tę gorszą część zadania. Odtąd będzie nam, jak to się mówi, pod górkę - w dobrym znaczeniu tych słów. Czekają nas reorganizacja, reedukacja oraz odnowa społeczeństwa w wyzwolonej enklawie.

Rozdział 24

8 sierpnia 1993 r. Cztery dni temu mianowano mnie szefem nowo powołanego Ministerstwa Bogactw Narodowych, Zakładów Użyteczności Publicznej, Służb Miejskich i Transportu Południowej Kalifornii. Nominacja jest tymczasowa i za 10 dni stanowisko przejmie inżynier wywodzący się z grupy ochotników, z którymi współpracowałem przez dwa ostatnie tygodnie. Będzie dysponował zespołem tutejszych obywateli, zatrudnionych wcześniej w podobnych instytucjach stanowych, okręgowych lub miejskich, albo też w prywatnych firmach podobnego typu. Jestem pewien, że oczyści ów resort z pluskiew, które być może już się tam zagnieździły.

Wraz z powrotem do zajęć ponad połowy specjalistów sytuacja niemal powróciła do normy. Na zajętych przez nas obszarach przywrócono dostawę elektryczności i wody oraz łączność telefoniczną; znów działa kanalizacja, pracują służby oczyszczania, choć prąd podlega ścisłemu racjonowaniu. U uruchomiliśmy nawet około 50 stacji benzynowych; ci cywile, którzy wykonują zadania o priorytetowym charakterze, zostali uprawnieni do korzystania z paliwa samochodowego.

Mój resort obejmuje swoimi kompetencjami całą enklawę, poczynając od bazy Vandenberg aż do granicy z Meksykiem. Ostatnio odbywam częste podróże inspekcyjne, by ustalić potrzeby poszczególnych obszarów oraz ich zasoby, a także by choć pobieżnie skoordynować sprawy i poczynania w terenie. Jestem bardzo zadowolony, że w tak krótkim czasie zrobiliśmy tak wiele. W hierarchii ważności nasz resort zajmuje trzecie miejsce po wojsku oraz Ministerstwie Apropowizacji; podlega nam większość personelu instytucji powołanych w enklawie.

Do moich najbardziej interesujących zajęć należy bezsprzecznie współpraca z Ministerstwem Apropowizacji. Resort ów zajmuje się produkcją żywności, w naszej zaś gestii leży jej transportowanie, przechowywanie oraz dystrybucja. Należało rozwiązać wiele problemów, ponieważ niektóre środki żywnościowe nie są dostarczane bezpośrednio z upraw do punktów rozdzielczych, lecz podlegają najpierw przetworzeniu. Stwarza to dla resortu apropowizacji konieczność zajęcia się w pewnym stopniu przechowywaniem żywności oraz przewożeniem jej z pól i plantacji do zakładów przetwórczych. Spadło na nas także zadanie dostarczania Ministerstwu Apropowizacji środków transportowych, ponieważ jego pracownicy muszą dojeżdżać z miejsc zamieszkania na pola i z powrotem.

Musiałem poznać dokładnie zakres i metody działania Ministerstwa Apropowizacji w celu ustalenia zakresu naszych obowiązków. Jestem doprawdy zbudowany tym, czego się dowiedziałem i co zobaczyłem. Tamci zmobilizowali do wytwarzania żywności ponad 600 tysięcy osób, czyli jedną czwartą ludności w wieku produkcyjnym. Około 10-15 procent tej liczby stanowią Biali, którzy pracowali wcześniej na tych terenach w rolnictwie, sadownictwie lub hodowli zwierząt. Mniej więcej jedna trzecia to młodzi ochotnicy, liczący od 12 do 18 lat. Pozostali to mieszkańcy terenów miejskich, którzy pracowali wcześniej w zawodach obecnie dla nas nieprzydatnych; zostali oni skierowani do brygad pracy organizowanych przez Ministerstwo Apropowizacji.

Wiele osób z tej ostatniej grupy wykonuje po raz pierwszy w życiu użyteczną pracę. Oznacza to, że ministerstwo zajmuje się nie tylko produkcją żywności, lecz również wykonuje ważne zadanie rehabilitacji społecznej; ściśle współpracuje z nim w tym zakresie Ministerstwo Edukacji.

Cotygodniowo dla grup organizowane są wykłady (ogółem 10 godzin), ocena zaś, jakiej podlega każdy

pracownik, zależy nie tylko od stosunku do wykonywanych zadań oraz wydajności, lecz również od tego, czy w dostatecznej mierze szkolenie ideologiczne kształtuje jego świadomość.

Nieustannie trwa przesiew; pracownicy trafiają do nowych grup roboczych w zależności od ich postawy ideologicznej oraz od dotychczasowych wyników pracy. Wyłaniamy w ten sposób pierwszą grupę liderów, spośród których wyznaczamy kandydatów do członkostwa w Organizacji.

Podczas mojego ostatniego wyjazdu służbowego zatrzymałem się, żeby pogawędzić z pracującymi w polu. Morale tych ludzi okazało się zróżnicowane, ponieważ brygada składała się zarówno z byłych pasożytów społecznych, jak też z potencjalnych przyszłych liderów. Generalnie jednak wszyscy rozumieli, że mimo przemieszczeń ludności oraz pogorszenia sytuacji życiowej, stanowiących następstwa Rewolucji, żywności na pewno nie zabraknie. Ci jednak, którzy nie będą pracować, nie będą również jedli.

Najbardziej uszczęśliwiło mnie to, że na polach widziałem wyłącznie Białych; żadnych Chicanos, żółtków, Czarnych czy mieszańców. Powietrze jakby nabrało przejrzystości, słoneczny blask - jasności, życie stało się bardziej radosne. Tak wiele przyniosło tylko to jedno osiągnięcie Rewolucji!

Robotnicy również odczuwają tę różnicę, bez względu na to, czy ktoś jest wyznawcą naszej ideologii, czy nie. Pomiędzy ludźmi zawiązało się nowe, wcześniej nieznanne, poczucie solidarności, której celem jest osiągnięcie wspólnych korzyści.

Doniesienia z pozostałych obszarów kraju są na ogół krzepiące na duchu. Choć System nadal się trzyma, w celu przedłużenia swojej egzystencji stosuje coraz bardziej jawne i coraz brutalniejsze represje. W całej Ameryce wprowadzono stan wojenny, ponadto zdesperowane władze opierają się na pospiesznie uzbrajanych i wyposażonych w specjalne uprawnienia bandach murzyńskich zbirów, wykorzystywanych do zastraszania białej ludności. Połowa wojsk regularnych pozostaje przymusowo w koszarach, żołnierzy uznano bowiem za „element niepewny”.

Warunki życia niemal wszędzie pogarszają się. Wyłączenia prądu, unieruchamianie systemu transportowego, terrorystyczne zamachy bombowe, niedobory w zaopatrzeniu, zabójstwa oraz przemysłowy sabotaż uprawiany na wielką skalę: wszystkie te plagi spadły na System, przyczyniając się do utrzymania stanu ogólnego chaosu, niepokoju i wzburzenia. Jednostki bojowe Organizacji prowadzą heroiczną walkę, ponosząc jednak ciężkie straty. Naszym najważniejszym zadaniem stało się obecnie wywieranie presji na władze oraz ludność cywilną, co też i czynimy, rażąc bezlitośnie i nieustępliwie każdy dostępny cel.

O reakcji różnych środowisk po tamtej stronie na zachodzące wydarzenia dowiadujemy się od ochotników podążających do nas w coraz większej liczbie przez nieprzyjacielskie linie. Biali liberałowie oraz mniejszości rasowe przynaglają histerycznie rząd, by ten „zrobił coś”; konserwatyści biadolą, załamując ręce i bolejąc nad „karygodną nieodpowiedzialnością osób, które swoim postępowaniem wywołały ów konflikt”, przeciętni zaś Amerykanie są coraz bardziej rozsierdzeni na wszystko i wszystkich: na nas, na System, Czarnych oraz na rozmaitych polityków liberalnych oraz konserwatywnych. Ta ostatnia kategoria ludzi pragnie jak najszybszego powrotu do „normalności” oraz wygodnego życia, do którego przywykła.

Propagandyści Systemu czynią wielkie larum z powodu usunięcia przez nas z enklawy osób kolorowych, likwidacji winnych zbrodni przeciw własnej rasie, jak również innych elementów wrogich nam lub zdegenerowanych. Prowadzona przez System kampania nie trafia jednak na podatny grunt, wyjąwszy liberałów oraz mniejszości rasowe. Przeważająca część ludzi jest obecnie zbyt zaabsorbowana własnymi problemami, żeby ronić łzy nad „ofiarami rasizmu”.

U nas zaś największą tyżką dziegciu w beczce miodu stała się północna Kalifornia. Wydarzenia wymknęły się tam spod wszelkiej kontroli. Generał Harding naprawdę pokpił sprawę. Zadaliśmy się z konserwatystą, a więc spadła na nas słuszna za to kara. Harding był, jak to się mówi, nieobecny, gdy rozdawano rozum, toteż w charakterze rekompensaty otrzymał podwójną porcję głupoty.

(Informacja dla Czytelnika: Turner wspomina o generale poruczniku Arnoldzie Hardingu, dowódcy bazy wojsk lotniczych Travis, usytuowanej w połowie drogi pomiędzy San Francisco i Sacramento. Odegrał on ważną, acz krótkotrwałą [11 tygodni] rolę w Wielkiej Rewolucji. Na jego życie

organizowano nieudane zamachy, zginął dopiero 16 września 1993 r., zgładzony przez grupę specjalną działającą z ramienia Organizacji.)

Jeśli sytuacja na obszarze San Francisco w najbliższym czasie nie poprawi się, zagraża nam wojna domowa z siłami pozostającymi pod rozkazami Hardinga. Byłaby to woda na młyn Systemu. Hardingowi można dotychczas zapisać na konto tylko jedną zasługę, mianowicie wypowiedzenie posłuszeństwa Waszyngtonowi w pierwszym tygodniu naszej ofensywy z 4 lipca; uczynił to, gdy tylko stało się jasne, że System poniósł w Kalifornii porażkę. Powołał następnie (z własnej inicjatywy) w północnej części stanu niezależny rząd wojskowy, zapewniając sobie poparcie wszystkich dowódców jednostek rozlokowanych na tamtych obszarach (wyjąwszy oczywiście agentów umieszczonych w strukturach kierowniczych wojska).

Dowództwo Rewolucyjne postanowiło w tej sytuacji, z przyczyn czysto praktycznych, pozwolić Hardingowi na samodzielne działanie. Nasi ludzie otrzymali instrukcje, żeby nie stwarzać mu żadnych przeszkód. Dzięki temu Organizacja poniosła na tamtych terenach znacznie mniejsze niż gdzie indziej straty w ludziach. Z kolei na północy Kalifornii zginęło znacznie więcej żołnierzy sił regularnych aniżeli na południu. Stało się tak, ponieważ Harding nie użył odpowiednio drastycznych środków dla konsolidacji władzy, nie wyeliminował też czarnych żołnierzy.

Zawiódł również na innym polu, nie ujął bowiem w karby ludności cywilnej. Nie pojął, jak się wydaje, konieczności posługiwania się w tym celu radykalnymi środkami. Żydzi oraz inne elementy bolszewickie w San Francisco podnoszą bezczelnie głowy, a w Sacramento Chicanos od bez mała trzydziestu dni organizują nieustannie zamieszki i awantury uliczne.

Miesiąc temu Organizacja wysłała do Hardinga parlamentarzysty z propozycją powołania wspólnego rządu dla północnej Kalifornii. Podlegające mu jednostki wykonywałyby zadania obronne, nam zaś przypadłby w udziale nadzór nad ludnością cywilną oraz powołanie sił policyjnych. Harding zaaresztował ich, a następnie uwięził. Ogłasza również proklamacje ideowe, w których wspomina o „przywróceniu Konstytucji”, walce z „komunizmem i pornografią” oraz zorganizowaniu nowych wyborów w celu „ponownego wprowadzenia republikańskiej formy rządów, jakich pragnęli ongi Ojcowie-Założyciele”⁷ (nie bardzo wiadomo, co właściwie sam przez to rozumie).

Nasze radykalne działania w południowej części stanu nazwał „komunizmem”. Oświadczył, że jest zdumiony i przerażony tym, iż przed wygnaniem nie-Białych oraz straceniem Żydów i winnych zbrodni przeciw swojej rasie, nie zapewniliśmy im uczciwych procesów sądowych.

Czy ten cymbał nie pojmuje, że Amerykanie dobrowolnie wpędzili się w to bagno? Czy nie rozumie, że Żydzi przejęli nasz kraj zgodnie z literą wszelkich praw, posługując się Konstytucją? Czy nie wie, że ludzie mieli już wielokrotnie okazję, by rządzić sobą sami, lecz za każdym razem paskudnie pokpiwali sprawę?

Przecież i ślepy by dostrzegł, że nowe wybory doprowadzą ów urobiony przez telewizję elektorat z powrotem do tego samego zarządzanego przez Żydów chlewa. Czy Harding sądzi, że tutaj, na południu stanu, zdołalibyśmy kiedykolwiek rozwiązać nasze problemy bez uciekania się do radykalnych metod?

Czy nie pojmuje on, że chaos i anarchia na jego terenie będą się dopóty pogłębiać, dopóki nie wyselekcjonuje odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, kategorii osób i rozprawi się z nimi w sposób radykalny i ostateczny? Przecież traktowanie każdego przypadku indywidualnie, zważywszy na wielką liczbę Żydów, Czarnych, Chicanos oraz innego wrogiego elementu, jest niemożliwe.

Chyba ten bałwan nie rozumie najprostszych spraw, ponieważ nadal apeluje do „odpowiedzialnych” Czarnych oraz do „Żydów-patriotów” o udzielenie mu pomocy w przywracaniu porządku. Harding, jak wszyscy konserwatyści, nigdy nie zdobędzie się na podjęcie koniecznych decyzji, ponieważ ich realizacja oznaczałaby, w jego mniemaniu, karanie „niewinnych”, „dobrych” Murzynów i „lojalnych” Żydów. Powodowany obawą, że może potraktować wiele osób „niesprawiedliwie”, kręci się bezradnie wokół własnego tyłka, podczas gdy na podległym mu obszarze wszystko się wali, a cywile padają z głodu jak muchy. Doprawdy, generałowie powinni być szyci z mocniejszego niż on materiału.

⁷ „Founding Fathers”, przywódcy walczących o niepodległość 13 kolonii, które utworzyły Stany Zjednoczone, twórcy amerykańskiej Konstytucji (przyp. tłum.).

Skutkiem takiego postępowania na nasze tereny przybywają z północnej Kalifornii tłumy uchodźców. Przez dwa ostatnie tygodnie daleko więcej osób zbiegło do nas z dotkniętych anarchią obszarów wokół San Francisco aniżeli ze stanów rządzonych przez System.

Niezmiernie interesujące jest to, iż w Ameryce istnieją jednocześnie trzy formy ustroju: na północy władzę sprawuje reżim konserwatywny, na wschodzie obowiązuje liberalno-żydowska demokracja, u nas zaś nowy świat podnosi się z ruin starego.

23 sierpnia. Jutro wyjeżdżam do Waszyngtonu. W bazie Vandenberg poznałem zasady działania mechanizmów odpalania głowic nuklearnych. Powierzono mi dowództwo grupy, która otrzymała zadanie dostarczenia czterech 60-kilotonowych głowic do Waszyngtonu. Zostaną tam ukryte w strategicznych punktach wokół stolicy.

Instruktaż pobierało wraz ze mną około 50 mężczyzn (sami członkowie Zakonu); każdy z nich, jako dowódca grupy specjalnej, ma wykonać misję podobną do mojej. Oznacza to, że początkowo na terenie Stanów Zjednoczonych znajdzie się w ukryciu blisko 200 głowic; w późniejszym terminie dostarczymy następne.

Wszystkie głowice są identycznego typu; zostały wymontowane z pocisków artyleryjskich kalibru 240 mm znajdujących się w bazie. Wprowadziliśmy do ich konstrukcji zmiany, umożliwiające zdetonowanie ładunków za pomocą kodowanego sygnału radiowego. Głowice staną się naszą „polisą ubezpieczeniową” na wypadek, gdybyśmy utracili bazę, a wraz nią silosy z raketami.

Nigdy nie uczestniczyłem w równie ekscytującej, choć jednocześnie równie ryzykownej misji. Będzie ona znacznie trudniejsza aniżeli wysadzenie w powietrze dwa lata temu budynku FBI. Nasza piątka musi przebyć 3500 mil nieprzyjacielskiego terytorium, wioząc cztery ładunki nuklearne o ogólnej masie ponad 520 funtów. Następnie należy ulokować je w punktach silnie chronionych przez oddziały wojskowe, wreszcie jak najdokładniej ukryć.

Ileż razy pomyślę o grożącym nam niebezpieczeństwie, czuję, że lodowacieją mi wnętrzności. Ponadto muszę przyznać, że targają mną mieszane uczucia, albowiem bardzo chciałbym tutaj pozostać. Uczestnictwo w tworzeniu nowego społeczeństwa jest fascynującym doświadczeniem, dostarczającym mi ogromnej radości i satysfakcji, a przecież dopiero rozpoczęliśmy dzieło przebudowy. Codziennie podejmujemy nowe wyzwania, którym chciałbym sprostać. Kładziemy podwaliny pod nowy porządek społeczny, który będzie służyć naszej rasie przez następne tysiąc lat. Ponadto możliwość życia i pracy w sensownym, zdrowym świecie białego człowieka stanowi dla mnie bezcenny przywilej. Ostatnie kilka tygodni było wprost cudowne. Bierze mnie obrzydzenie, gdy pomyślę, że będę musiał opuścić naszą oazę i ponownie zanurzyć się w bagno mieszkańców rasowych, Czarnych, Żydów oraz zidiociałych, popierdolonych białych liberałów.

Jednakże nie widziałem Katherine już od trzech miesięcy, a wydaje mi się że upłynął rok. Doskwiera mi świadomość, że Katherine jest daleko, i nie możemy wspólnie doświadczać uczucia radości. A przecież sytuacja się zmieniła. Życie w Waszyngtonie stało się znacznie cięższe i bardziej niebezpieczne niż u nas, w Kalifornii. Wiem o tym doskonale i dlatego z każdym dniem coraz mocniej dręczy mnie sumienie.

Ale na pierwszym miejscu stawiam obowiązki. Jestem dumny i mile zaskoczony faktem powierzenia mi, nadal jedynie kandydatowi do Zakonu, tak doniosłego i trudnego zadania. Muszę więc za wszelką cenę wykonać moją misję, a nim to nastąpi, nie wolno mi zaprzętać sobie głowy innymi sprawami. Dowództwo Rewolucyjne, dążąc do osiągnięcia ostatecznego i dalekosiężnego celu, jakim jest doprowadzenie Systemu do ostatecznego załamania, wykazuje znaczny realizm. Nie wyolbrzymia ono znaczenia naszych zdobyczy terytorialnych w Kalifornii, jak również trudności, których obecnie System doświadcza w całym kraju.

Oto i ponure, lecz chłodne fakty:

Po pierwsze, wyjąwszy Kalifornię, struktury Systemu pozostały zasadniczo nietknięte, a dysproporcja liczebna pomiędzy jego siłami a naszymi nawet się pogłębiła. Stało się to na skutek nierozważnego rozszerzania naszych działań na obszarze całego kraju, a to w celu wprowadzenia zamętu i chaosu

(według naszych planów, stan ten miałby trwać jak najdłużej, aby umożliwić Organizacji konsolidację sił na zdobytych obszarach).

Po wtóre, mimo że pod nasze rozkazy przeszły liczne jednostki wojskowe, System bez najmniejszych trudności - natychmiast po zapewnieniu sobie lojalności przynajmniej części sił zbrojnych jakimi dysponuje - zmiażdży nas za pomocą środków konwencjonalnych. Od wyprowadzenia takiego uderzenia powstrzymuje go jedynie nasza groźba zaatakowania bronią jądrową Nowego Jorku i Tel Awiwu.

Po trzecie: zachodzi duże niebezpieczeństwo neutralizacji naszej broni jądrowej. System dysponuje możliwościami przeprowadzenia niespodziewanego ataku na Kalifornię; jest niemal pewne, że wszystkie nasze „wzmocnione” silosy zostałyby zniszczone nim zdążylibyśmy odpalić rakiety. Przeciwnik, jak wynika z informacji wywiadu, przygotowuje właśnie takie natarcie. Zwleka tylko dlatego, że nie zrealizował jeszcze planu reorganizacji sił zbrojnych, przewidzianego na nadzwyczajne sytuacje. Plan ów zaowocuje przywróceniem i zapewnieniem politycznej lojalności sił lądowych Stanów Zjednoczonych. Natychmiast po zniszczeniu naszych silosów i wyrzutni planowany jest atak na wielką skalę. Utrzymamy się wtedy dzień, najwyżej dwa.

Na dobitkę System dysponuje alternatywnym planem przewidującym zniszczenie za pomocą broni jądrowej południowej Kalifornii. Jeśli przez kilka najbliższych tygodni nie zdoła zapewnić sobie lojalności sił lądowych, przystąpi do realizacji tych zamiarów.

Nie znamy jeszcze dokładnego kalendarza działań Systemu, nadeszły jednak informacje, że w ostatnich dziesięciu dniach ponad 25 tysięcy najbardziej zamożnych i wpływowych żydowskich rodzin po cichu spakowało manatki i wyjechało z Nowego Jorku. Większość z nich zabrała ze sobą skromny bagaż; ot, tylko na dwa, trzy tygodnie „wakacji”.

Realizacja wszelkich założeń strategicznych naszej wojny z Systemem stała się w tej sytuacji nader wątpliwa. Gdybyśmy zdołali powstrzymać nieprzyjaciela przez nieograniczenie długi czas (lub niechby tylko rok, czy dwa), wówczas jego potencjał militarny znacznie by osłabł. Mając w swych rękach Kalifornię, która ze swoimi pięcioma milionami Białych stałaby się bazą szkoleniową i zaopatrzeniową, moglibyśmy eskalować nasze działania partyzanckie na pozostałych obszarach Ameryki. Jeśli jednak utracimy Kalifornię, staje się to niemożliwe, o czym System doskonale wie. Dlatego też musimy, i to jak najszybciej, rozlokować na terenie Stanów Zjednoczonych dużą liczbę głowic jądrowych.

Zdetonujemy następnie przynajmniej jedną z nich, co uświadomi Systemowi, iż oto sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Jeśli pomimo to tamci zaatakują Kalifornię, odpalimy większość ukrytych wcześniej głowic.

Niestety, jeśli okoliczności zmuszą nas do realizacji tego planu, zginie znaczna część białej ludności Ameryki. Naszej ojczyźnie zacznie również zagrażać obca inwazja. Nie ma co, ponure perspektywy.

Rozdział 25

4 września 1993 r. Choć w Waszyngtonie przebywam już prawie od tygodnia, dopiero dziś znalazłem czas, żeby usiąść spokojnie i coś napisać. Po naszej szaleńczej eskapadzie kilka równie szalonych dni zajęło nam umieszczenie obu głowic w bezpiecznych miejscach. Ostatnią noc mogłem poświęcić wyłącznie Katherine, pierwszy raz od chwili powrotu.

A jutro wyruszam z głowicami w kolejną misję. Dziś aż do późna w nocy postanowiłem tylko pisać.

Podróż z Kalifornii przypominała jakiś wariacki film. Choć mam świeżo w pamięci wszystkie wydarzenia, wciąż nie mogę uwierzyć, że działy się naprawdę. Przez ostatnie dziewięć tygodni sytuacja w naszym kraju tak radykalnie zmieniła się, iż odnosiłem nieodparte wrażenie, że jakaś maszyna czasu przeniosła nas do innej epoki - takiej, w której obowiązują zupełnie inne reguły życia aniżeli wpajane nam od niepamiętnych czasów. Na nasze szczęście inni wydawali się równie oszołomieni i przytłoczeni zmianami.

Byłem zaskoczony, że tak łatwo udało się nam opuścić enklawę. Wojska Systemu rozlokowały się na pograniczu w kilku zwartych zgrupowaniach, przy głównych autostradach, inne zaś jednostki (głównie kompanie) obsadziły zapory oraz punkty kontrolne na drogach niższych kategorii. Te ostatnie oddziały praktycznie nie zajmują się patrolowaniem, toteż łatwo i bezpiecznie można przejechać obok ich posterunków. To dlatego tak wielu białych ochotników zdołało przedostać się na zajęte przez nas tereny.

Ciężarówką należącą do wojsk lądowych pojechaliśmy na północ, do Bakersfield, a stamtąd 20 mil na północny wschód. W odległości pół mili znajdował się posterunek obsadzony przez Czarnych. Widzieliśmy ich, a oni nas widzieli, ale w ogóle nie zareagowali, gdy zboczyliśmy z głównej trasy na podrzędniejszy szlak używany przez Służbę Leśną. Znajdowaliśmy się u podnóża masywu Sierry. Po półgodzinnym kolebaniu się na stromej, niemal nieprzejezdnej górskiej drodze, powróciliśmy na autostradę; posterunek pozostał wprawdzie daleko w tyle, znaleźliśmy się jednak w głębi na terytorium nieprzyjaciela. Raczej nie braliśmy pod uwagę ewentualności spotkania przeciwnika, wiedzieliśmy bowiem, że najliczniejsze zgrupowanie wojsk Systemu znajduje się nad brzegiem China Lake, po przeciwnej stronie łańcucha gór. Zamierzaliśmy skierować się na północ autostradą nr 395. Gdybyśmy natknęli się na ciężarówkę z zaopatrzeniem dla załogi posterunku opodal Bakersfield, zamierzaliśmy zepchnąć ją po prostu z wąskiego szlaku, nim żołnierze spostrzegą, że jesteśmy „przeciwnikiem”. Odbezpieczyliśmy przeto karabiny samopowtarzalne (oprócz nich dysponowaliśmy dwoma ręcznymi granatnikami przeciwpancernymi), lecz droga okazała się pusta. Wiedzieliśmy jednak, że mimo tego nienaturalnego braku ruchu autostrada nr 395, główna arteria o przebiegu północ-południe, znajdująca się na wschód od naszego terenu, będzie na pewno zatłoczona. Nasi zwiadowcy dostarczyli jedynie nader ogólnych informacji odnośnie do dyslokacji sił przeciwnika my zaś nie mieliśmy zielonego pojęcia, czy i jak silne posterunki, lub też inne formy kontroli pojazdów, spotkamy na drodze.

Skądinąd było nam wiadomo, że na terenach nadgranicznych białych żołnierzy jest mniej niż 10 procent. System zaczął wprawdzie darzyć coraz większym zaufaniem niektóre białe jednostki, nie kwapił się jednak zbyt do obsadzania nimi pogranicza, ponieważ żołnierze mogliby ulec pokusie i przejść na naszą stronę. Nielicznych Białych, nawet przysięgłych zwolenników mieszania się ras, Czarni traktowali podejrzliwie i z taką wzdargą na jaką tamci niewątpliwie zasługiwali. Nasi szpiedzy donieśli o kilkunastu przypadkach brutalnego i upokarzającego traktowania ich przez Murzynów. Zważywszy tedy na wszelkie powyższe okoliczności, uznaliśmy, że najskuteczniej wprowadzimy w błąd napotkanych przeciwników, udając kolorowych. Wysmarowaliśmy sobie zatem twarze i ręce ciemnym barwnikiem, a na bluzach przyszyliśmy paski z nazwiskami brzmiącymi z latynoska. Postanowiliśmy udawać latynoskich mieszkańców dopóki nie natkniemy się na prawdziwych Chicanos. Na cztery dni zostałem przeto „Jesusem Garcia”.

Nasz kierowca, „kapral Rodriguez”, odgrywał swoją rolę niczym wytrawny aktor. Ilekroć mijaliśmy grupę czarnych leniuchujących żołnierzy - dwukrotnie zatrzymano nas nawet do kontroli - pozdrawiał tamtych, unosząc w górę zaciśniętą w pięść dłoń. Błyskał przy tym zębami w szerokim uśmiechu. Oprócz tego wyszukaliśmy jakąś meksykańską stację radiową, nadającą podobną do murzyńskiego soulu ichnią muzykę, i na widok nieprzyjacielskich posterunków nastawialiśmy nasze radio tranzystorowe na pełny regulator.

Kiedy trzeba było zatankować, chcieliśmy zatrzymać się przy wojskowej stacji paliwowej. Odeszła nam jednak na to ochota, gdy ujrzeliśmy długi sznur oczekujących na swoją kolej ciężarówek i gromady Czarnych wałęsające się w pobliżu. Zatrzymaliśmy się przeto dalej, pod masywem Whitney, opodal przydrożnej restauracji, połączonej ze sklepem i stacją benzynową.

Budynek wydawał się opustoszały, toteż dwóch z nas przystąpiło do uzupełniania paliwem baku, ja zaś wraz z pozostałymi dwoma towarzyszami wszedłem do środka. Miałem nadzieję, że zakupimy tam prowiant na dalszą drogę.

Przy stoliku zastawionym szklankami i opróżnionymi butelkami siedziało czterech żołnierzy. Wszyscy zalani w pestkę, trzech Czarnych i Biały.

- E, komu mogę zapłacić za benzynę i jakieś żarcie? - zawołałem.

- Daj spokój, człowieku, nikomu. Bierz, co tylko chcesz. Trzy dni temu wypędziliśmy dwoje białuchów, właścicieli tej budy - burknął jeden z czarnuchów.

- Ale wcześniej gites zabawiliśmy się z ich córeczką, no nie? - zarechotał żołnierz o białym kolorze skóry, trącając łokciem jednego z kumpli.

Być może patrzyłem zbyt ponuro, być może nagle zauważyłem, że „kapral Rodriguez” ma zbyt błękitne oczy, albo może barwnik rozmazał się zbyt na naszych twarzach pod wpływem potu; dość, że biały żołnierz nagle spoważniał i szepnął coś Murzynom. Jednocześnie odchylił się i sięgnął po karabin spoczywający na sąsiednim stoliku.

Nie zdążył jednak dotknąć broni, ponieważ błyskawicznie ściągnąłem z ramienia swój M-16 i wystrzeliłem serię pocisków; wszyscy czterej runęli na podłogę, brocząc obficie juchą. Czarni chyba natychmiast padli trupem, lecz ich kamrat-renegat, choć dostał w klatkę piersiową, zaczął podnosić się z trudem.

- Hej, człowieku, co do pierdolonego diabła...?! - wybełkotał żałośnie.

„Kapral Rodriguez” dokończył dzieła. Z przytroczonego do paska futerału wyciągnął bagnet, chwycił żołnierza za włosy i powalił na podłogę, klując go ostrzem w szyję.

- Ty zajebany skurwysynie! - wrzasnął - teraz marsz, dołączysz do swoich czarnych „braci”!

Jednocześnie jednym zamaszystym ruchem niemal odciął mu głowę.

Pięć mil dalej znajdowało się skrzyżowanie dróg, na którym zamierzaliśmy skręcić w kierunku wschodnim. Boczną drogę blokował dżip żandarmerii, w którym siedziało dwóch Czarnych. Trzeci Murzyn kierował na główną autostradę wszystkie pojazdy wojskowe zmierzające na północ.

Zignorowaliśmy jego polecenia i pojechaliśmy w prawo, omijając szerokim łukiem dżipa. Czarnoskóry kontroler ruchu zaczął wściekle dmuchać w gwizdek, a jego towarzysze wymachiwać rękami.

Jednakże „kapral Rodriguez” uśmiechnął się szeroko, wznosił dłoń w pozdrowieniu „czarna siła”, po czym wrzasnął: „siesta frijole! Hasta la vista!”. Dodał przy tym kilka innych przypadkowych słów w języku hiszpańskim. Wskazał następnie znaczącym gestem na drogę przed nami i dodał gazu. Spod tylnych kół przyspieszającej gwałtownie ciężarówki sypnęło na Murzynów pyłem i drobnym żwirem. Pierwszy żandarm wciąż gwizdał i wymachiwał rękami, ale zniknął nam z oczu za pierwszym zakrętem. Czarnym najwyraźniej nie chciało się nas gonić, lecz trzej towarzysze ukryci z tyłu ciężarówki trzymali karabiny w pogotowiu. Ot, na wszelki wypadek.

Aż do przedmieść St. Louis nie spotkaliśmy już przeciwnika. Zawdzięczaliśmy to unikaniu jazdy głównymi autostradami oraz obwodnicami miejskimi i trzymaniu się drugorzędnych szlaków. Trzęsąc się i kolebiąc na wyboistych górskich drogach oraz na trasach wiodących przez pustynne obszary Kalifornii, Nevady, Utah i Colorado, a potem równiny Kansas i faliste wzgórza Missouri, jechaliśmy bite 75 godzin. Zatrzymywaliśmy się tylko w celu uzupełniania paliwa i załatwiania naturalnych potrzeb.

Dwóch z nas siedziało w szoferce, trzeci obserwował tylny odcinek drogi, dwóch pozostałych zaś próbowało drzemać, lecz bez powodzenia.

Gdy znaleźliśmy się we wschodniej części Missouri, zmieniliśmy taktykę, a to a dwóch przyczyn. Po pierwsze, radio podało informację o zdetonowaniu ładunków jądrowych w Miami i Charleston oraz o wystosowaniu przez Organizację ultimatum.

Spowodowało to, że czynnik czasu nabrał jeszcze bardziej decydującego znaczenia. Odtąd już nie mogliśmy pozwolić sobie na dalsze opóźnienia, spowodowane jazdą bocznymi, dłuższymi trasami. Po wtóre, możliwość dekonspiracji na odcinku St. Louis - Waszyngton zmalała do minimum, wszędzie panowały już bowiem totalny chaos i rozprężenie.

W czasie jazdy słuchaliśmy nieustannie wiadomości przeznaczonych dla ludności cywilnej oraz komunikatów wojskowych. Gdy znajdowaliśmy się około 80 mil na zachód od St. Louis, popołudniową prognozę pogody nagle przerwał komunikat.

Wczoraj w południe w Miami Beach zdetonowano bez ostrzeżenia głowicę nuklearną. Według pierwszych danych, zginęło 60 tysięcy osób i powstały ogromne zniszczenia. Przed czterema godzinami, kontynuował spiker, zdetonowano drugi ładunek pod Charleston w Południowej Karolinie, z tym że jeszcze nie nadeszły informacje o ofiarach i stratach materialnych.

W obu wypadkach sprawcą okazała się Organizacja, dodał, po czym przystąpił do odczytywania naszego ultimatum. Notowałem słowo po słowie na skrawkach papieru; oto niemal kompletna wersja tego tekstu:

„My, Dowództwo Rewolucyjne Organizacji, żądamy od Prezydenta i Kongresu Stanów

Zjednoczonych, jak również od dowódców sił zbrojnych, spełnienia następujących żądań:

Po pierwsze, natychmiastowego wstrzymania koncentracji wojsk we wschodniej Kalifornii i na sąsiednich obszarach, jak również rezygnacji z planów zajęcia wyzwolonej strefy Kalifornii.

Po drugie, porzucenia zamiaru dokonania uderzenia nuklearnego na wyzwoloną strefę Kalifornii czy też na jakąkolwiek część tego obszaru.

Po trzecie, rozpowszechnienia wśród narodu amerykańskiego, za pośrednictwem wszelkich dostępnych kanałów, naszych żądań.

W razie niespełnienia któregokolwiek z podanych warunków do jutrzejszego południa, czyli do godziny 12.00 dnia 27 sierpnia, zdetonujemy drugi ładunek nuklearny w dowolnie wybranym mieście Stanów Zjednoczonych, tak jak uczyniliśmy to w Miami na Florydzie kilkanaście minut temu.

Następnie w odstępach dwunastogodzinnych będziemy detonować dalsze ładunki, aż spełnicie nasze żądania.

Ostrzegamy was również, że jeśli dokonacie niespodziewanego i zdradzieckiego ataku na wyzwoloną strefę Kalifornii, bezzwłocznie zdetonujemy ponad 500 głowic jądrowych, które zostały ukryte w newralgicznych punktach Ameryki. Na obszarze miejskim Nowego Jorku rozlokowano ponad 40 takich ładunków. Oprócz tego użyjemy wszystkich dostępnych nam pocisków z głowicami nuklearnymi do zniszczenia żydowskich skupisk w Palestynie.

Wreszcie zapowiadamy, że bez względu na rozwój wypadków zamierzamy wyzwolić Stany Zjednoczone, potem zaś resztę świata. Gdy tego dokonamy, zlikwidujemy wszystkich wrogów narodu, a zwłaszcza Białych, którzy świadomie udzielali im pomocy.

Znane nam są i będą wszystkie wasze najtajniejsze plany, jak również wszystkie rozkazy jakie otrzymujecie od swoich żydowskich panów. Zejdźcie natychmiast z drogi rasowego zaprzaństwa; jeśli tego nie uczynicie, porzucicie wszelką nadzieję, gdy dostaniecie się w ręce ludzi, których zdradziliście.”

(Informacja dla Czytelnika: wersja podana przez Turnera jest, ogólnie rzecz biorąc, wierna i poprawna, wyjąwszy kilka drobnych nieścisłości w doborze słów i sformułowań oraz pominięcie jednego zdania z przedostatniego akapitu. Pełny tekst ultimatum znajduje się w dziewiątym rozdziale Historii Wielkiej Rewolucji profesora Andersona.)

Gdy rozpoczęto emisję komunikatu, zjechaliśmy na pobocze i przez kilka minut zastanawialiśmy się, co robić dalej. Potem podjęliśmy decyzję. Prawdę powiedziawszy, zaskoczył nas tak szybki rozwój wydarzeń. Nasi towarzysze, którzy dostarczyli głowice do Miami i do Charleston, albo wyruszyli kilka dni przed nami, albo pędzili tak szybko, że aż asfalt za nimi płonął.

Mimo że jechaliśmy niemal bez przerwy, poczuliśmy się jak banda Leserów.

Jasne stało się dla nas jednak, że rozpoczęła się awantura na całego. Wybuchła nuklearna wojna domowa, kilka zaś najbliższych dni zadecyduje ostatecznie i nieodwołalnie o losach świata. Albo Żydzi, albo my, biała rasa. Wiedzieliśmy już, że gra toczy się o najwyższą stawkę.

Zastanawiałem się jednak nad szczegółami strategii, której efektem było świeżo usłyszane przez nas ultimatum. Dlaczego wybrano jako cele Miami i Charleston? To prawda, słyszałem wcześniej pogłoski, jakoby zamożni Żydzi, których ewakuowano z Nowego Jorku zostali tymczasowo rozlokowani w Charleston i jego okolicach, a i Miami było miastem zażydżonym ponad wszelką miarę. Dlaczego nie wybrano jednak Nowego Jorku, tej „dwóipółmegaparchowej” metropolii?

Być może, mimo zapowiedzi zawartej w ultimatum, nie umieściliśmy tam jeszcze ładunków.

Nie pojmuję również, dlaczego ultimatum sformułowano w ów szczególny, nieco dziwaczny sposób: tylko kij i żadnej marchewki. Być może chodziło przede wszystkim o wywołanie jeszcze większego chaosu i rozprzężenia. Jeśli tak, ultimatum spełniło swoje zadanie. A może trwały jakieś poufne, zakulisowe rozmowy pomiędzy Dowództwem Rewolucyjnym a dowódcami sił zbrojnych Systemu, które nadały ostateczny kształt naszemu wezwaniu? W każdym razie zdołaliśmy doprowadzić do

potężnego rozłamu w Systemie. Po jednej stronie znaleźli się Żydzi i prawie wszyscy politycy, po drugiej - niemal wszyscy dowódcy wojskowi.

Stronnictwo żydowskie domaga się natychmiastowego zaatakowania Kalifornii bronią nuklearną, bez względu na skutki takiego działania. Przekłęci goje podnieśli łapę na Naród Wybrany, muszą przeto zostać za wszelką cenę zniszczeni. Skądinąd wojskowi byliby skłonni do zawarcia tymczasowego zawieszenia broni; jednocześnie wyspecjalizowane służby przystąpią do lokalizacji naszych „500 ładunków jądrowych” (liczbę tę znacznie zawyżyliśmy, co jednak tłumaczy okoliczności), a następnie do ich rozbrojenia.

Wysłuchanie komunikatu sprawiło, że zapragnęliśmy tylko jednego: jak najszybszego dowiezienia naszego śmiertelnie niebezpiecznego ładunku do Waszyngtonu. Uznawszy, że najnowsze wydarzenia wytrącają wszystkich z równowagi, postanowiliśmy wykorzystać ogólny chaos i przekształcić naszą ciężarówkę w pojazd wojskowych służb sanitarnych. Nie mieliśmy syreny, ale z przodu i z tyłu samochodu zainstalowano błyskające czerwone światła. Niebawem też dokonaliśmy przemiany. W wiejskim sklepiku zakupiliśmy kilka pojemników farby, po czym posługując się zaimprovizowanym szablonem wyciętym ze starych gazet, namalowaliśmy w odpowiednich miejscach duże emblematy Czerwonego Krzyża.

Dzięki takiemu fortelowi osiągnęliśmy Waszyngton w niecałe 20 godzin, mimo paniki i zamętu na drogach. Jechaliśmy poboczami, omijając korki. Niekiedy podążaliśmy pełnym gazem pod prąd, z wyjątkiem klaksonem i błyskającymi światłami. Po polach i zakrytych rowach odpływowych, omijaliśmy zablokowane skrzyżowania dróg. Ignorowaliśmy polecenia żołnierzy regulujących ruchem, przejeżdżając „na wariata” obok kilkunastu blokad i posterunków kontrolnych.

Nasza pierwsza bomba została ukryta w Fort Belvoir, wielkiej bazie sił lądowych na południe od Waszyngtonu, tam gdzie więziono mnie przez ponad rok. Czekaliśmy jak na rozżarzonych węglach przez bite dwa dni na nawiązanie kontaktu z naszym człowiekiem należącym do obsługi, z którym ustaliliśmy sposób przeszmuglowania ładunku i jego odpowiedniego ukrycia.

„Rodriguez” sforsował ogrodzenie, niosąc głowicę na plecach. Następnego dnia zameldował przez radio o wykonaniu zadania. Tymczasem pozostali członkowie naszej grupy ulokowali drugą bombę w Dystrykcie Columbia. Gdy ją zdetonujemy, zginie kilkaset tysięcy Czarnych; ponadto ma tam siedziby pokaźna liczba agencji rządowych. Zostanie również sparaliżowana znaczna część struktur transportowych stolicy kraju.

Dopiero dzisiajszego popołudnia otrzymałem instrukcje dotyczące trzeciego ładunku. Zostanie on ulokowany w leżącym na północy Silver Spring, skupisku ludności żydowskiej na podmiejskich obszarach stanu Maryland. Czwarty ładunek został przeznaczony dla Pentagonu, ponieważ jednak przedsięwzięto tam drastyczne środki ostrożności, nie wpadłem jeszcze na żaden pomysł, w jaki sposób przenieść ładunek choćby na odległość kilkudziesięciu metrów od gmachu.

Wyznam, że od czasu powrotu pochłania mnie nie tylko praca dla Organizacji. Często poświęcam czas Katherine, niestety z uszczerbkiem dla obowiązków. Do chwili naszego rozstania, które nastąpiło tak szybko po mojej ucieczce z więzienia, każde z nas rozumiało, jak wiele jedno znaczy dla drugiego. Wiosną, przez ten jeden miesiąc poprzedzający mój wyjazd do Teksasu, do Colorado, a wreszcie do Kalifornii, staliśmy się bliscy jak dwoje zakochanych w sobie ludzi.

Odkąd wyjechałem, a zwłaszcza od 4 lipca, dla Katherine i pozostałych towarzyszy nastąpiły ciężkie czasy. Znaleźli się pomiędzy młotem a kowadłem. Organizacja domaga się od nich, żeby nie ustawali w wysiłkach, ale niebezpieczeństwo aresztowania przez policję rośnie z każdym tygodniem.

System zaczął zwalczać nas nowymi metodami. Przeprowadzane są zakrojone na szeroką skalę rewizje wszystkich mieszkań w całym kwartałach poszczególnych dzielnic, wyznaczane nagrody dla informatorów o astronomicznej wysokości, stosowane bardziej rygorystyczne niż kiedykolwiek kontrole przechodniów i samochodów. Jednakże w wielu częściach kraju środki te stosowane są ze znacznie mniejszym nasileniem, a na obszarach, gdzie System nie panuje już nad porządkiem publicznym - zwłaszcza tam, gdzie wybuchła panika wywołana zdetonowaniem ładunków jądrowych

w Miami i Charleston - zawiodły one na całej linii. Jednakże w Waszyngtonie oraz jego okolicach władze trzymają wszystko w silnym, rzekłbym nawet w żelaznym, uścisku.

Dziś późnym popołudniem wymknęliśmy się z Katherine na kilka godzin z drukarni. Spacerując, mijaliśmy grupy żołnierzy obsługujących otoczone workami z piaskiem gniazda karabinów maszynowych wokół gmachów rządowych. Oglądaliśmy poczerńiałe od płomieni i dymu zgłiszcząca stacja kolejki podziemnej (nie dalej jak dwa tygodnie temu Katherine zdetonowała tam ładunek dynamitu), potem skwer, gdzie z głośnika umieszczonego wysoko na latarni dobiegały wezwania skierowane do „wszystkich prawomyślnych obywateli”. Ktoś wrzaskliwym głosem domagał się, żeby o każdym rasistowskim postępku sąsiada czy kolegi z pracy natychmiast donosić policji politycznej; na koniec zawędrowaliśmy na jeden z mostów przerzuconych nad Potomakiem. Nasz brzeg należał do Dystryktu Columbia, przeciwny - do stanu Wirginia. Autostrada wiodąca przez most była pusta, urywała się bowiem 50 jardów dalej, przechodząc w plątaninę rozerwanego żelazobetonu i prętów zbrojeniowych. W lipcu Organizacja wysadziła ów most w powietrze; od tamtej pory nawet nie przystąpiono do jego naprawy.

Po naszej stronie panowała cisza, którą mąciło jedynie odległe wycie syren policyjnych samochodów i od czasu do czasu warkot przelatującego helikoptera. Rozmawialiśmy, obejmowaliśmy się, kontemplując w milczeniu krajobraz. Słońce powoli zachodziło. O tak, przez kilka ostatnich miesięcy my i nasi towarzysze broni solidnie zmieniliśmy świat, zarówno przedmiejski świat prostych białych ludzi na wirginijskim brzegu mostu, jak też świat Systemu, symbolizowany przez wypełnione gwarem i gorączkową krzątaniną rządowe biurowce. A jednak wszędzie wokół nas dawała się odczuć obecność Systemu. Jakże inaczej było w Kalifornii!

Katherine zarzucała mnie pytaniami o warunki życia na wyzwolonych terenach. Próbowałem wyjaśniać jej wszystko tak wyczerpująco, jak umiałem, obawiam się jednak, że moje słowa nie zdołały wyrazić różnic zachodzących pomiędzy tym światem a tamtym. Należą one bowiem raczej do sfery ducha, aniżeli polityki czy życia społecznego.

Staliśmy tak, przytuleni do siebie, prowadząc rozmowę i wpatrując się w zawirowania na wodzie; zapadał zmierzch. Nagle po przeciwnej stronie przepołowionego mostu pojawiła się grupa młodych Murzynów. Zaczęli, zwyczajem Czarnych, bić się między sobą i przeklinać; kilku sikało do rzeki. Wreszcie jeden z nich dostrzegł nas; wszyscy uderzyli w ryk i zaczęli wykonywać obsceniczne gesty. Uznałem, że ich obecność i zachowanie najdobitniej unaoczniają tę różnicę, której nie bardzo potrafiłem wyrazić słowami.

Rozdział 26

18 września 1993 r. Przez ostatnie dwa tygodnie zaszło tyle wydarzeń, a do tego tak fatalnych, że doprawdy trudno mi przyszło zmusić się do pisania. Żyję i jak dotychczas cieszę się dobrym zdrowiem, a jednak zazdrozczę tym dziesiątkom milionów ludzi, którzy ostatnio zginęli. Obumarła we mnie dusza, stałem się żyjącym trupem.

Dreńczy mi umysł, nie dając spokoju, tylko jedna przygnębiająca myśl: nie mam już mojej Katherine! Aż do wczoraj, kiedy jeszcze nie byłem pewien, jaki los ją spotkał, gnębiłem się i cierpiałem katusze duchowe. Teraz wszystko przeminęło. Mam poczucie dojmującej wewnętrznej pustki, straty, której nikt i nic już nie odwróci.

Powierzono mi ważne i odpowiedzialne zadania; wiem, że jeśli chcę je wykonać, muszę przestać rozpamiętywać przeszłość.

Postanowiłem jednak, że dzisiejszy wieczór przeznaczę na zapisanie swoich doznań i myśli. W chaosie, jaki obecnie zapanował giną, bezpowrotnie, miliony ludzi, po których znika nawet najdrobniejszy ślad. Pozostaną oni na wieki zapomniani i bezimienni, lecz ja mogę powierzyć tym kruchym i delikatnym kartkom papieru swoje wspomnienia o Katherine oraz o wydarzeniach, które nastąpiły dzięki poświęceniu jej i moich pozostałych towarzyszy. Mam przy tym nadzieję, że mój

dziennik przeżyje mnie. Przynajmniej w ten sposób możemy spłacić dług naszym umarłym, naszym męczennikom - zatrzymując w pamięci ich postacie i czyny.

Była środa, 7 września; ulokowałem nasz trzeci ładunek w wyznaczonym miejscu. W poniedziałek wraz z dwoma towarzyszami wydobyliśmy go z kryjówek, w której pozostała już tylko jedna głowica, po czym przewieźliśmy do Maryland.

Wcześniej wybrałem odpowiedni punkt, w którym zamierzałem umieścić bombę. Przez cały tydzień na obszarze Waszyngtonu trwały jednak tak intensywne ruchy wojska, że musieliśmy oczekiwać przez trzy dni, aż powstanie sposobność do wykonania misji.

W Waszyngtonie i wokół tego miasta ruch pojazdów cywilnych jest już od dawna bardzo utrudniony z powodu licznych blokad, punktów kontrolnych, zamykania pasm ruchu. Jednakże w tym tygodniu został niemal doszczętnie zablokowany. Mój powrót do drukarni trwał bardzo długo ze względu na konieczność przeciskania się wśród setek samochodów podążających w przeciwnym kierunku i wyładowanych domowym dobytkiem, przymocowanym do drzwi, masek i dachów. Nie dalej niż pół mili od celu zauważyłem obsadzony przez wojsko posterunek, którego nie było, gdy wyjeżdżałem. Jezdnię przegrodzono splotami drutu kolczastego, opodal stał czołg.

Zawróciłem i spróbowałem przejechać inną ulicą, ta jednak również okazała się zablokowana.

Wychylając się z okienka trucka, zawołałem donośnym głosem do żołnierza, że jadę pod taki a taki adres; zapytałem go również, którędy mogę tam dotrzeć.

- W ogóle pan nie może - odrzyknął - odtąd jest to zamknięta strefa bezpieczeństwa. Wszystkich rankiem ewakuowano. Każdy dostrzeżony tam cywil zostanie zastrzelony bez ostrzeżenia.

Przeraziłem się. Jaki los spotkał Katherine i pozostałych przyjaciół?

Władze wojskowe najwidoczniej powiększyły nieoczekiwanie promień strefy bezpieczeństwa wyznaczonej wokół Pentagonu z dwóch do trzech mil. Nasza drukarnia znajdowała się w bezpiecznej odległości pół mili od poprzedniej granicy strefy. Nigdy nie pomyśleliśmy, że granica ta może zostać rozszerzona. Nastąpiło to bezsprzecznie w celu uniemożliwienia Organizacji umieszczenia ładunku nuklearnego w takiej odległości od Pentagonu, by został on zniszczony. Prawdę powiedziawszy, sądziłem, że i poprzednia strefa stanowiła dostateczną ochronę przed skutkami eksplozji 60-kilatonowej głowicy, zwłaszcza że w gmachu już dawno założono specjalne okiennice ochronne i otoczono go żelbetowymi osłabiaczami podmuchu. Od czasu powrotu do Waszyngtonu bezskutecznie zachodziłem w głowę, w jaki sposób ulokować ładunek w obrębie tej strefy. Pojechałem do rezerwowego punktu zbornego naszej jednostki, znajdującego się kilka mil na południe od Aleksandrii, nikogo tam jednak nie zastałem. Nie pozostawiono również dla mnie żadnej wiadomości. Nie mogłem skontaktować się z Dowództwem Terenowym Waszyngtonu i zapytać, gdzie przebywają Katherine, Bili i Carol, ponieważ cały nasz sprzęt łącznościowy pozostał w drukarni. Jednakże fakt nieobecności wszystkich trojga w punkcie rezerwowym niemal upewnił mnie, że zostali aresztowani.

Choć było już po 24.00, natychmiast zawróciłem, kierując się na północ, ku rejonowi, do którego wysłano widzianych przeze mnie wcześniej ewakuowanych. Pomyślałem, że być może spotkam kogoś mieszkającego w sąsiedztwie naszej drukarni kto wiedziałby, co się stało z moimi towarzyszami. Przynaję, że było to nierozsądne i niebezpieczne, powodowała mną jednak desperacja: uratowało mnie chyba zablokowanie jezdni przez przejeżdżający akurat konwój. Musiałem zjechać na pobocze i spałem potem w samochodzie aż do świtu.

Gdy wreszcie dotarłem do ewakuowanych, przekonałem się, że mam bardzo nikłą szansę na uzyskanie jakichkolwiek informacji. W potężnej hali przedmiejskiego supermarketu, na pobliskim parkingu oraz w szczerym polu umieszczono setki namiotów wojskowych. W narożniku obozowiska ujrzałem masę przenośnych toalet oraz cywilnych pojazdów, wciąż obciążonych dobytkiem. Roito się tam również od wojska.

Przez blisko trzy godziny przeciskałem się przez tłum, nie dostrzegłem jednak żadnej znajomej twarzy. Próbowałem wypytywać ludzi na chybił trafił, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Wszyscy bali się i zbywali mnie byle słowem albo milczeli. Zdeprymowani i oszołomieni ludzie, nie chcieli narażać się na

nowe kłopoty, moje zaś pytania, czy widzieli jakieś aresztowania, niechybnie takie problemy zwiastowały.

Mijając jeden z namiotów, który był dwukrotnie większy od pozostałych, usłyszałem dochodzące z jego wnętrza stłumione okrzyki i histeryczne łkanie, zagłuszane chwilami przez chrapliwy męski rechot i szydercze docinki. U wejścia ustawiło się w kolejce około tuzina czarnych żołnierzy. Zatrzymałem się; w tej samej chwili ujrzałem dwóch czarnuchów o wykrzywionych radością gębach, przeciskających się przez gromadę kumpli pod namiotem. Wlekli przerażoną i płaczącą białą dziewczynkę, wyglądającą na około 14 lat. Kolejka posunęła się o jedno miejsce.

Podbiegłem do białego oficera z naszywkami majora. Zacząłem gwałtownie protestować, nim jednak zdążyłem wypowiedzieć pierwsze zdanie, oficer ów zwiesił ponuro głowę, odwrócił się i oddalił. Podobnie zachowało się dwóch stojących w pobliżu białych szeregowych. Nikt nie chciał zostać posądzony o „rasizm”. Tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałem się od wydobycia pistoletu i ostrzelania wszystkich znajdujących się opodal. Potem także odszedłem.

Wsiadłem do trucka i pojechałem do jedyne miejsce, w którym według moich przypuszczeń mogłem zastać członków Organizacji: do sklepu z upominkami w Georgetown.

Znajdował się on poza obrębem nowej strefy bezpieczeństwa Pentagonu. Przybyłem na miejsce, gdy zapadał mrok; skierowałem wóz na zaplecze budynku.

Wysiadłem i postąpiłem kilka kroków ku tylnemu wyjściu, gdy nagle przez chwilę zrobiło się jasno jak w południe. Rozbłysło przeraźliwie jaskrawe światło, które traciło stopniowo na intensywności i przez kilka sekund zmieniało odcień z białego na żółty, a wreszcie na purpurowy. Wokół tańczyły długie cienie domów i przedmiotów.

Pobiegłem ku alei, żeby lepiej ogarnąć wzrokiem niebo. Widok, jaki mi się ukazał, spowodował, że krew zastygła mi w żyłach, a włosy podniosły się na głowie. Ogromna, rosnąca i jaskrawa, w znacznej części rubinowa lecz miejscami ciemnopurpurowa kula, poznaczona ruchliwymi plamami jasnego oranżu i żółci, wznosiła się nad północnym horyzontem, oświetlając krajobraz złowieszczym krwistym blaskiem. Doznałem uczucia, że oto ludziom ujawniło się piekło.

Kula rozszerzała się i wznosiła; u jej podstawy wyrosła ciemna pionowa kolumna przypominająca trzon potężnego grzyba.

Powyżej filara ukazały się rozedrgane języki elektryczno błękitnego ognia. Były to wielkie błyskawice, ze względu jednak na dużą odległość nie usłyszałem jednocześnie grzmotu. Wreszcie nadciągnął; głuchy i stłumiony, a jednak przytłaczający dźwięk, który zapewne towarzyszy niewyobraźalnie potężnemu trzęsieniu ziemi kładącemu w ruinę wielkie miasta, a wraz z nimi tysiące stupiętrowych drapaczy chmur.

Zrozumiałem, że oglądam zniszczenie oddalonego o 35 mil Baltimore; dziwił mnie jednak ogrom wybuchu. Czyżby tak potężny efekt wywołała jedna z naszych 60 kilotonowych głowic? Wydawało mi się, że eksplodował ładunek megatonowy. W wiadomościach nocnych (informację tę powtórzono również nazajutrz) zdetonowanie bomby przypisano Organizacji. Ładunek zrównał z ziemią Baltimore, powodując śmierć ponad miliona osób. Tego samego dnia inne ładunki zniszczyły 24 miasta. Podano również, że rząd federalny dokonał kontrataku i zlikwidował „gniazdo rasistowskich żmij” w Kalifornii. Naród wprowadzono w błąd, lecz dopiero po upływie dwóch dni poznaliśmy prawdę.

Tymczasem ja i sześciu towarzyszy, pogrążeni w czarnej rozpacz siedzieliśmy do późna w nocy, w ciemnej sklepowej suterenie. Patrzyliśmy i słuchaliśmy, jak komentator telewizyjny opowiada chętnie o zniszczeniu naszej kalifornijskiej strefy wyzwolonej. Fizjonomia dziennikarza świadczyła dobitnie o jego żydowskim pochodzeniu; faceta naprawdę poniosły emocje.

Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

Po solennym wymienieniu nazw większości miast zniszczonych tego dnia i podaniu wstępnych danych odnośnie do liczby ofiar (oto i próbka jego stylu: „...a w Detroit, które to miasto rasistowskie diabły ugodziły dwiema raketami, zginęło ponad 1,4 miliona niewinnych amerykańskich mężczyzn, kobiet i dzieci wszystkich ras i kolorów skóry...”) zajął się Nowym Jorkiem. Oczy napłynęły mu łzami i załamał się głos.

Szlochając poinformował, że 18 eksplozji ładunków jądrowych obróciło w perzynę Manhattan oraz dzielnice i przedmieścia położone w promieniu około 20 mil od centrum. Według pierwszych ocen zginęło na miejscu 14 milionów osób, a przez kilka następných dni kolejnych 5 milionów umrze w wyniku doznanych poparzeń oraz choroby popromiennej. Następnie z angielskiego przeszedł na hebrajski; płakał rzewnie i uderzając się w piersi wydawał osobliwie przeciągłe, jęklive zawodzenie. Jednakże po kilku sekundach zebrał się w sobie i zmienił ton. Smutek i rozpacz ustąpiły pola nienawiści do tych, którzy zniszczyli jego ukochany żydowski Nowy Jork, nienawiść zaś, mściwej satysfakcji, ta wreszcie - triumfującej radości.

„Dokonałiśmy jednak aktu dziejowej zemsty na naszych wrogach i zmiotliśmy ich z powierzchni ziemi. Od dawien dawna rozmaite ludy i narody zwracają oręż przeciw nam, usiłując już to wygnać nas ze swoich ziem, już to wybić doszczętnie.

Jednakże to do nas zawsze należy ostateczne zwycięstwo. Nikt nam się nie oprze. Wszyscy, którzy kiedykolwiek podnieśli na nas rękę - Egipt, Persja, Rzym, Hiszpania, Rosja, Niemcy - sami zostali zniszczeni, a z ruin tych państw odradzaliśmy się w glorii chwały, niczym Feniks z popiołów. Zawsze zdołaliśmy przetrwać najgorsze i dobrze się nam potem działo. A teraz rozbiliśmy w proch i pył tych, którzy wydali nam wojnę. Tak jak Mojżesz poraził Egipcjan, my porazimy Organizację”.

Opisując zniszczenia, jakich tego samego popołudnia doznała jakoby zaatakowana bronią jądrową Kalifornia, wysuwał co jakiś czas język, żeby zwilżyć usta, a ciemne oczy jarzyły mu się nienaturalnym blaskiem. „Ich ukochana wyższość rasowa na nic się nie przydała, gdy odpaliliśmy setki rakiet z głowicami nuklearnymi, wprost w to rasistowskie gniazdo. Biała ohyda padła jak stadko much. Należy tylko żywić nadzieję, iż ginęli ze świadomością, że wielu naszych wiernych żołnierzy, którzy uruchomili wyrzutnie, było Czarnymi, Latynosami i Żydami. Tak, Biali wraz ze swoją zbrodniczą dumą rasową zostali w Kalifornii zlikwidowani, a teraz musimy przystąpić do zabijania rasistów w całym kraju, żeby przywrócić w nim harmonię rasową i braterstwo. Musimy ich wymordować! Wymordować! Wymordować! Wymordować!...”

Ponownie przeszedł na hebrajski, a jego głos zabrzmiał donośniej i zagrały w nim ostrzejsze tony. Wstał i pochylił się ku kamerze; wściekłe wrzaski i bełkot uczyniły zeń żywe wcielenie nienawiści. Płynąca z ust ślina okryła mu brodę.

Jednakże niektórzy z jego trzeźwiej myślących pobratymców musieli odczuć zażenowanie tym spektaklem, ponieważ nagle wyłączono obraz, a w chwilę później na ekranie pojawił się jakiś goj, który aż do wczesnych godzin porannych podawał nieustannie informacje o ofiarach ataków.

Przez następne 48 godzin dowiadawaliśmy się stopniowo coraz to nowych szczegółów dotyczących tego strasznego kontraktaku, zarówno z późniejszych i dokładniejszych biuletynów informacyjnych, jak również z naszych własnych źródeł.

Pierwsza i najważniejsza wiadomość nadeszła w zaszyfrowanej postaci wczesnym rankiem w piątek. Dowództwo Rewolucyjne poinformowało wszystkie jednostki na terenie kraju, że Kalifornia wcale nie została zniszczona! Atak nuklearny unicestwił jedynie bazę Vandenberg, a dwie rakiety spadły na Los Angeles, zabijając wiele osób i powodując ogromne zniszczenia. Mimo to co najmniej 90 procent mieszkańców strefy wyzwolonej ocalało, ponieważ na kilka minut przed atakiem zostali ostrzeżeni. Umożliwiło to im znalezienie schronienia.

Niestety, ludność zamieszkała w innych częściach kraju nie otrzymała takich ostrzeżeń, toteż w wyniku ataków jądrowych zginęło ogółem 60 milionów osób (wliczając w to zmarłych przez ostatnie 10 dni w wyniku poparzeń i ran oraz choroby popromiennej). Tyle tylko, że wystrzelone rakiety nie pochodziły z amerykańskich arsenałów. Wyjąwszy Nowy Jork, jedynie początkowo ugodzony pociskami wystrzelonymi z bazy Vandenberg, na Baltimore, Detroit oraz inne miasta (nawet Los Angeles) spadły rakiety radzieckie. Baza Vandenberg okazała się jedynym celem w Stanach Zjednoczonych zniszczonym na rozkaz władz federalnych.

Te apokaliptyczne w skutkach wydarzenia zapoczątkowała niewątpliwie trudna i bolesna decyzja Dowództwa Rewolucyjnego, z doniesień nadchodzących w pierwszych dniach miesiąca wynikało bowiem, że w Waszyngtonie coraz większe wpływy zdobywa stronnictwo żydowskie domagające się

natychmiastowego uderzenia na Kalifornię. Żydami powodowała obawa, że sytuacja patowa może nabrać permanentnego charakteru, co w konsekwencji przyniesie nam ostateczne zwycięstwo. Aby temu zapobiec, rozpoczęli działania zakulisowe. Stosowali swoją zwykłą taktykę, której elementami były perswazje, groźby, przekupstwo oraz wywieranie zmasowanej presji na konkretną, wytypowaną uprzednio osobę. Dzięki temu zdołali doprowadzić do wymiany kilku najwyższych dowódców wojskowych na własne kreatury. Dowództwo Rewolucyjne uznało w tej sytuacji, że została zaprzeczona ostatnia szansa na uniknięcie wojny jądrowej z siłami rządowymi. Postanowiliśmy uprzedzić ich uderzenie. Nasze rakiety nie zostały jednak wycelowane w zgrupowania wojsk Systemu.

Pociski wystrzelone z bazy Vandenberg spadły na dwa kraje: Izrael i Związek Radziecki (tylko sześć ugodziło w Nowy Jork).

Natychmiast po odpaleniu rakiet Dowództwo Rewolucyjne telefonicznie zawiadomiło o tym fakcie Pentagon, który uzyskał oczywiście potwierdzenie informacji na ekranach radarowych. Nie miał więc wyboru. Natychmiast dokonał zmasowanego uderzenia jądrowego na ZSRR, chcąc osłabić w ten sposób radzieckie kontruuderzenie.

Było ono istotnie straszliwe w skutkach, lecz nie miało takiej skali, jak oczekiwano. Rosjanie wystrzelili na nas wszystko, czym dysponowali, lecz liczba rakiet okazała się zbyt mała. Ocalało kilkanaście największych miast, między innymi Waszyngton i Chicago.

Korzyści, jakie osiągnęła Organizacja, są następujące:

Po pierwsze: wyeliminowaliśmy Nowy Jork oraz Izrael, dwa z najważniejszych światowych ośrodków żydowskiej władzy.

Przegrupowanie sił i zorganizowanie nowego systemu kierowania swoimi rodakami zajmie Żydom niewątpliwie nieco czasu.

Po wtóre: zmuszając rząd do podjęcia zdecydowanych działań, wzmocniliśmy w znacznym stopniu pozycję wojskowych Systemu. Praktycznie rzecz biorąc, to właśnie oni sprawują obecnie władzę w Ameryce.

Po trzecie: prowokując Rosjan do kontruuderzenia, w znacznie większym stopniu przyczyniliśmy się do demontażu Systemu i wprowadzenia w kraju ogólnej anarchii niż gdybyśmy atakowali samodzielnie wybrane cele w Ameryce. No i dysponujemy obecnie większością 60-kilotonowych głowic! W najbliższej przyszłości da nam to ogromną przewagę.

Po czwarte: usunęliśmy niedogodny czynnik, który wcześniej musieliśmy z konieczności zawsze brać pod uwagę, opracowując nasze plany. Chodzi mianowicie o zagrożenie radzieckim uderzeniem, które mogłoby nastąpić po długotrwałej wojnie na wyczerpanie pomiędzy nami a Systemem.

Podjęliśmy rzecz jasna ogromne ryzyko w postaci narażenia Kalifornii na zniszczenie w następstwie ataku Rosjan. Również Pentagon mógłby dać się ponieść emocjom i nawet w zaistniałej sytuacji zaatakować Kalifornię, choć - wyjąwszy bazę Vandenberg - nie dysponowaliśmy w strefie wyzwolonej żadną bronią jądrową. W obu wypadkach bogowie wojny potraktowali nas w miarę życzliwie, choć zagrożenie ze strony sił zbrojnych Systemu bynajmniej nie przeminęło.

Skądinąd ponieśliśmy znaczne straty: zginęła niemal jedna ósma członków Organizacji oraz niemal jedna piąta białej ludności Ameryki, nie wspominając już o niewiadomej, lecz idącej w miliony liczbie naszych białych braci w Rosji. Na szczęście najwięcej ofiar było w największych miastach, których ludność składa się w większości z nie-Białych.

Ogólnie rzecz biorąc, nasze położenie strategiczne ogromnie się poprawiło, i tylko to ma znaczenie. Jesteśmy przygotowani na każde ofiary, jeśli okaże się to konieczne - i jeśli System poniesie proporcjonalnie większe od nas straty. Na dłuższą bowiem metę, najistotniejsze jest to, by, ujmując rzecz przenośnią, ostatni ocalały batalion okazał się naszym batalionem, gdy opadną bitewne dymy.

Dziś odnalazłem wreszcie Billa, który opowiedział mi, co zaszło w drukarni w czasie ewakuacji. Mój przyjaciel również stracił najbliższą mu osobę, a jego relacja była krótka, lecz przejmująca. Ewakuację mieszkańców zamieszkałych na obszarach, które znalazły się w rozszerzonej strefie bezpieczeństwa Pentagonu, rozpoczęto bez żadnego ostrzeżenia. 7 września o godzinie 11.00 na ulice

wjechały nagle czołgi, a żołnierze zaczęli łomotać do wszystkich drzwi, dając ludziom zaledwie 10 minut na opuszczenie domów. Opieszających traktowali bardzo brutalnie.

Bili, Carol i Katherine akurat drukowali ulotki propagandowe i ledwo zdążyli ukryć pod brezentem obciążające ich materiały, gdy do drukarni wtargnęło czterech czarnoskórych żołnierzy. Ponieważ wojsko nie przeprowadzało rewizji, wszystko prawdopodobnie poszłoby gładko, gdyby jeden z Murzynów nie wypowiedział kilku prowokacyjnych uwag pod adresem Katherine pakującej pośpiesznie do walizki odzież i rzeczy osobiste.

Katherine zbyła go milczeniem, lecz jej lodowate spojrzenie zraniło, jak się wydaje, „godność ludzką” asfalta. Murzyn wypowiedział jęklwym tonem zwykłą formułę: „o, dziecinko, cóż to, nie lubimy czarnych ludzi?”.

Odzywka ta - bambusy zdążyły już ją wypróbować - potrafiła czynić cuda w wypadku obarczonych poczuciem winy białych liberalnych dziewcząt, obawiających się jak ognia posądzenia o „rasizm”, gdyby odrzuciły niemiłe im zaloty czarnego Casanowy. Gdy Katherine, obarczona dwiema ciężkimi walizkami, chciała wyjść z drukarni, Murzyn zastąpił jej drogę, usiłując włożyć łapę pod bluzkę.

Wykonała unik i kopnęła zalotnika w pachwinę, co ostudziło jego zapędy miłosne. Niestety, w tym momencie wyczuł, że Katherine ma na udzie kaburę z bronią. Ostrzegł krzykiem swoich kamratów i wywiązała się strzelanina. Katherine i Carol użyły pistoletów, a Bili raził czarnuchów z samopowtarzalnej strzelby o skróconej lufie i kolbie.

Wszyscy czterej odnieśli śmiertelne obrażenia, zdążyli jednak ranić całą trójkę. Jeden z żołnierzy zdołał wydostać się na ulicę i dopiero tam wyzionął ducha. Bili, który odniósł najłżejsze rany, miał niewiele czasu, by się upewnić, że Katherine umiera. W chwilę potem wymknęli się wraz z Carol tylnym wyjściem.

Ukryli się na poddaszu sąsiedniego budynku, żołnierze zaś nie potrafili ich znaleźć. Carol niebawem tak bardzo osłabła, że nie mogła się poruszać, a i Bili był w niewiele lepszym stanie. Nocą, mimo bolesnych ran, wyszedł z ukrycia i przyniósł żonie wodę, żywność i lekarstwa znalezione w okolicznych domach.

Carol zmarła po czterech dniach. Upłynęło jeszcze pięć dni, zanim mój przyjaciel odzyskał siły i opuścił strefę bezpieczeństwa.

Wiem, że Bili nigdy by mnie nie okłamał, toteż pocieszam się przynajmniej myślą, że Katherine nie dostała się żywa w ręce wroga. Teraz muszę uczynić wszystko, poświęcić cały swój czas, by udowodnić, że nie zginęła na próżno.

Rozdział 27

28 października 1993 r..Ponad miesiąc przebywałem w Baltimore, a ściślej mówiąc w ruinach tego miasta; dopiero niedawno powróciłem. Wraz z czterema towarzyszami zaopatrzyliśmy się w przenośną aparaturę do pomiaru promieniowania, po czym udaliśmy się do Silver Spring. Po dołączeniu do jednostki z Maryland kontynuowaliśmy podróż aż do granic Baltimore. Główne arterie okazały się nieprzejezdne, toteż połowę trasy musieliśmy przebyć piechotą. Dopiero ostatnie 12 mil przejechaliśmy ciężarówką.

Choć od zniszczenia miasta upłynęło ponad 2 tygodnie, w okolicach metropolii panował nieopisany chaos. Nawet nie próbowaliśmy się zbliżyć do spalonego doszczętnie śródmieścia. Również na peryferiach i w okolicach odległych o 10 mil na zachód od punktu „zero” połowa zabudowań padła pastwą ognia. Drogi na przedmieściach i wokół nich były zarzucone wypalonymi wrakami samochodów; wszyscy ludzie poruszali się piechotą.

Wszędzie widać było gromady szabrowników, plądrujących szczątki sklepów. Ludzie szukali też żywności na polach, obarczeni wypchanymi plecakami oraz tobołkami ze zrabowanym lub uratowanym od zniszczenia dobytkiem. Najczęściej były to artykuły żywnościowe, niekiedy odzież,

materiały budowlane i wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Nieszczęśnicy maszerowali we wszystkich kierunkach niczym stado mrówek.

No i ta masa trupów! Doprawdy, również z tego względu należało trzymać się jak najdalej od dróg. Nawet tereny, na których stosunkowo niewiele osób zginęło od podmuchu fali gorąca i choroby popromiennej, były usłane tysiącami trupów, w większości zwłok uciekinierów z obszarów dotkniętych bezpośrednimi skutkami eksplozji.

W pobliżu City widziało się ciała tych, którzy zginęli od poparzeń; większość zdołała przeżyć o własnych siłach zaledwie niecałą milę i dopiero wtedy ginęła. Dalej spoczywały zwłoki osób, które odniosły lżejsze obrażenia. Jeszcze dalej, na przedmieściach i peryferiach, leżeli ci, którzy po kilku dniach lub tygodniach zginęli od choroby popromiennej. Nikt nie usuwał trupów, wyjąwszy nieliczne tereny, gdzie wojsko zdołało przywrócić względny porządek.

Wśród osób, które ocalały, znalazło się 40 członków Organizacji. W pierwszym tygodniu dokonywali aktów sabotażu, zabijali policjantów, żołnierzy, prowadzili też inne działania partyzanckie. Zauważali jednak, że zmieniają się reguły gry.

Mogli już wyjść z ukrycia. Wprawdzie zaatakowani funkcjonariusze odpowiadali ogniem, lecz już ich nie ścigali. Wyjąwszy kilka obszarów, policja odstąpiła od systematycznego rewidowania przechodniów. Zaprzestała też poszukiwań w budynkach. Wydawało się, że System popróbował taktyki: „zostawcie nas w spokoju, to i my damy wam spokój”.

Ludność cywilna przyjęła, zgodnie z naszymi oczekiwaniami, bardziej neutralną postawę. Wprawdzie nadal obawiała się Organizacji, ale tylko w nielicznych wypadkach okazywała nam otwartą wrogość.

Ludzie nie wiedzieli, czy nasze rakiety zniszczyły ich miasto (tak utrzymywały władze), byli jednak skłonni do obarczania winą Systemu za to, że do tragedii dopuścił, jak i nas - sprawców piekła.

Holocaust, jakiego doświadczyli, przekonał ich dobitnie o jednym: System już nie potrafi zapewnić im bezpieczeństwa.

Przestali ufać władzom, chcieli tylko przeżyć i obecnie gotowi byli poprzeć każdego, kto zapewni im jakikolwiek wikt i dach nad głową.

Członkowie Organizacji, wyczuwając tę zmianę nastrojów, rozpoczęli półjawną rekrutację wśród ocalonych, i tworzyli spośród pozyskanych grupy robocze. Osiągnęli na tyle dobre wyniki, że Dowództwo Rewolucyjne udzieliło pozwolenia na założenie niewielkiej strefy wyzwolonej na zachód od miasta.

Nasza jedenastka przystąpiła z entuzjazmem do pracy i zaledwie w kilka dni wydzieliliśmy teren o dogodnym położeniu obronnym. W jego obrębie znajdowało się około dwóch tysięcy rozmaitych budynków, a zamieszkiwało tu blisko 12 tysięcy osób. Moje główne zadanie polegało na badaniu gleby, zabudowań, roślinności i źródeł wody, żeby upewnić się, czy nie wystąpił zbyt wysoki poziom promieniowania, wywołany opadem radioaktywnym.

Z około 300 obywateli sformowaliśmy całkiem sprawną milicję, którą zaopatrzyliśmy w broń. Uznaliśmy, że uzbrajanie liczniejszej milicji jest jeszcze zbyt ryzykowne, ponieważ nie było czasu ani okazji, żeby poddać ludność odpowiedniemu szkoleniu ideologicznemu. Wymaga ona nadal nadzoru i ścisłej obserwacji. Wybraliśmy jednak rokujących najlepsze perspektywy zdrowych mężczyzn, a w czym jak w czym, ale w dobieraniu kadr mamy nieco doświadczenia. Nie zaskoczy mnie, jeśli połowa tych milicjantów zostanie przyjęta do Organizacji, a niektórzy nawet dostąpią zaszczytu wstąpienia do Zakonu.

Myślę, że ogólnie rzecz biorąc możemy liczyć na naszych nowo pozyskanych członków. Mimo rozpowszechnionego w Ameryce zepsucia nadal dysponujemy licznym i zdrowym moralnie materiałem ludzkim. Degrengolada i zepsucie są przecież efektem zarażenia wrogą i obcą ideologią ludzi, którzy zeszedli na złą drogę pod wpływem narzuconego im nienaturalnego i przesiąkniętego deprawacją stylu życia. Piekło, przez które obecnie przechodzą, oduczy ich, przynajmniej w pewnej mierze, głupoty; spowoduje, że wykażą większą skłonność do przyjęcia i zaakceptowania właściwego światopoglądu.

Naszym pierwszym zadaniem stało się oczyszczenie enklawy z elementów obcych, jak również z osób winnych zbrodni przeciw własnej rasie. Doprawdy, to zadziwiające, ilu pochodzących z Bliskiego

Wschodu cudzoziemców o kręconych włosach i smagłej pici przybyło z Bliskiego Wschodu do Ameryki w ostatnim dziesięcioleciu. Odnosiłem wrażenie, że w Maryland przejęli wszystkie restauracje i kioski z hot dogami. W naszej niewielkiej enklawie musieliśmy postawić pod murem przynajmniej tuzin Irańczyków, a przynajmniej dwukrotnie więcej uciekło, gdy przewąchali, co się święci.

Sformowaliśmy następnie brygady robocze, które przystąpiły do wykonywania niezbędnych zadań, przede wszystkim do usunięcia i pochowania setek trupów. Były to w większości zwłoki osób o białej skórze. Słyszałem jak jeden z naszych członków stwierdził, że zginęły one w wyniku „rzezi niewiniątek”.

Cóż, obecny Holocaust należałoby nazwać inaczej. Oczywiście boleję nad losem milionów Białych, w Ameryce i w Rosji, którzy zginęli (i jeszcze zginą) w tej wojnie. Ale „niewiniątka”? Co to, to nie.

Większości poległych dorosłych nie można nazwać niewiniątkami, bo czy człowiek nie ponosi odpowiedzialności za stworzenie sobie takich a nie innych warunków życia, przynajmniej w sensie zbiorowym? Gdyby białe narody świata nie podporządkowały się z własnej woli Żydom, nie przejęły żydowskiej ideologii i żydowskiego ducha, wówczas obecna wojna stałaby się zbędna. Nie możemy z ręką na sercu twierdzić, że nie ponosimy żadnej winy, że nie mieliśmy żadnego wyboru, że nie sposób było uniknąć żydowskich sidła. Nie możemy twierdzić, że nie zostaliśmy ostrzeżeni.

Ludzie światli, prawi i odważni stale ostrzegali przed konsekwencjami naszego szaleństwa. Jednakże nawet gdy oddaliśmy się Żydom w zwodniczo błogą niewolę, również i wtedy mieliśmy niejedną sposobność, by się ocalić. Po raz ostatni taka sposobność zdarzyła się 52 lata temu, kiedy to Niemcy starli się z Żydami w śmiertelnej walce o panowanie nad Europą Środkową i Wschodnią.

Ostatecznie zostaliśmy wtedy sojusznikami Żydów, ponieważ wybraliśmy sobie na przywódców ludzi doszczętnie zdeprawowanych. Postąpiliśmy tak, ponieważ nie ceniliśmy w życiu tego, co należy cenić.

Wybraliśmy przywódców, którzy obiecywali nam coś za nic i wykorzystywali nasze słabości oraz przywary; przywódców o atrakcyjnych, „filmowych” osobowościach i przyjemnym uśmiechu, pozbawionych jednak charakteru oraz wszelkich skrupułów moralnych. W sferze życia publicznego ignorowaliśmy naprawdę istotne sprawy, dając na dobitkę wolną rękę Systemowi. Prowadził on nasz naród ścieżkami, jakie sam wybierał, my zaś godziliśmy się na to w zamian za chleb i igrzyska.

Czy szaleństwo, świadoma ignorancja, lenistwo, chciwość, nieodpowiedzialność oraz chwiejność moralna nie są równie godne potępienia, jak występki popełniane z najwyższą premedytacją? Czy wszystkie nasze grzechy zaniedbania nie obciążają nas w równym stopniu, jak Żydów ich grzechy popełnienia?

Wszystko to zapisano w Księdze Stwórcy. Natura nie przyjmuje „przekonywających” usprawiedliwień oferowanych zamiast czynów. Żadnej rasy, która przestaje się troszczyć o swoje przetrwanie, mimo że łatwo może je sobie zapewnić, nie sposób uznać za „niewinną”. Kara, jaka ją dotyka w następstwie takiego postępowania, choćby najbardziej surowa, nie jest niesprawiedliwa.

Gdy utworzyliśmy kalifornijską enklawę, liczne kontakty z ludnością cywilną po stokroć umocniły mnie w przeświadczeniu, że Amerykanie żadną miarą nie zasługują na miano „niewiniątek”. Stosunek ludzi do prowadzonej przez nas wojny zależał wyłącznie od tego, w jakiej mierze wojna ta wywierała wpływ na ich życie. Przez kilka pierwszych dni, nim większość zmiarkowała, że możemy odnieść zwycięstwo, biali cywile, nawet ci o wysokiej świadomości rasowej, traktowali nas na ogół wrogo. Przewróciliśmy przecież do góry nogami ich dotychczasowy tryb życia, utrudniając w najwyższym stopniu dotychczasową nieustanną pogoń za przyjemnościami.

Potem, gdy już zaczęli się nas bać, podlizywali się nam na wyprzódki. Jednakże Bogiem a prawdą nic nie obchodziły ich korzyści i straty, jakie przynosi prowadzona przez nas wojna; obojętnie traktowali też dogłębne aspekty psychologiczne naszego wyzwania rzuconego Systemowi oraz jego dalekosiężne konsekwencje. Dajcie nam ideały, a natychmiast zostaniemy ich wyznawcami - oto filozofia tych ludzi. Zależało im tylko na szybkim powrocie bezpieczeństwa, a wraz z nim wygodny dzień codzienny. Nie przemawiał przez nich bynajmniej cynizm ani zblazowanie; byli to po prostu zwykli szarzy obywatele.

W istocie ci wszyscy zwykli ludzie ponoszą winę w nie mniejszym stopniu niż osoby „nietuzinkowe”, podopry Systemu.

Weźmy na przykład policję polityczną. Jej funkcjonariusze (mam na myśli Białych) nie są gorsi od zwykłych Amerykanów. To fakt, służą złej sprawie, ale racjonalizują swoje postępowanie; niektórzy tłumaczą je patriotyzmem („chronimy naszą wolność i demokrację”), inni odwołują się do religii czy ideologii („bronimy chrześcijańskich zasad równości i sprawiedliwości”).

Zgoda, można to nazwać hipokryzją i słusznie zauważyć, że tacy ludzie świadomie powstrzymują się od wszelkiej głębszej refleksji, która może unaocznić im płytkość chwytliwych banałów, jakimi usprawiedliwiają swoje postępowanie. Czy jednak nie jest hipokrytą każdy, kto toleruje System, bez względu na to, czy wspiera go czynnie, czy też zachował bierność? Czy bez winy są wszyscy ci, którzy, niczym papugi, powtarzają bezmyślnie banały, nie wnikając w ich następstwa i sprzeczności?

Doprawdy, przedstawiciele żadnej białej grupy społecznej - poczynając od prostych i niewykształconych jełopów z Maryland wraz z rodzinami (kilka dni wcześniej ich radioaktywne zwłoki spychaliśmy maszynami do potężnego dołu) aż po profesorów uniwersyteckich powieszonych w lipcu w Los Angeles - nie mogą z ręką na sercu powiedzieć, że ich środowisko nie zasłużyło na swój los. Przecież nie dalej niż kilka miesięcy temu ci wszyscy, dziś utracili domy i rozpaczają z powodu nieszczęść, jakie na nich spadły, grali na zupełnie inną nutę.

Niemaló naszych ludzi zostało brutalnie z maltretowanych (wiem, że dwóch zginęło), gdy wpadli w łapy tych nieokrzesanych prostaków, „klawych chłopów”. Nie byli to żadni tam, broń Boże, liberałowie, czy szabesgoje, ale serdecznie nienawidzili „radykałów”, którzy chcą przecież „obalyc rzund”. W ich wypadku mamy do czynienia wyłącznie z ignorancją.

Ignorancja nie jest jednak ani krzywą lepsza niż tępy, owczy liberalizm szczwanych pseudo-intelektualistów, sączących w nasze życie ideologię żydowską. Nie jest ona również lepsza aniżeli egoizm i tchórzostwo, które to cechy są właściwe amerykańskiej klasie średniej. Klasa ta hołdowała skwapliwie obcym prądom oraz ideom, narzekając tylko wtedy, kiedy doznawały uszczerbku jej portfele.

Nie, rozważania o tych „niewiniątkach” nie mają żadnego sensu. Obecną sytuację należy rozpatrywać w aspekcie zbiorowym, w szeroko pojętym aspekcie rasowym. Musimy wreszcie pojąć, że nasza rasa przypomina pacjenta poddanego ciężkiej operacji, która ma jednak uratować mu życie. Tylko skończony idiota dociekałby w tej sytuacji, czy tkanka usuwana z jego organizmu jest „niewinna”. Byłoby to równie bezsensowne, co odróżnienie „dobrych” Żydów od złych; czy też, co z takim uporem praktykują tępe „klawe chłopaki”, wyróżnianie „dobrych czarnuchów” spośród ogółu należących do tej rasy.

W istocie bowiem wszyscy ponosimy indywidualną odpowiedzialność za to, ku jakiej etyce skłaniają się członkowie naszej rasy. Na dłuższą metę nie sposób uniknąć tej odpowiedzialności, co odnosi się w równej mierze do nas, ludzi Białych, jak również o innym kolorze skóry. Każdy z osobna musi być przygotowany, że zawsze może zostać wezwany, by zdał rachunek ze swoich czynów. Ostatnio wielu zostało wezwanych.

Jednakże przeciwnik również płaci słoną cenę. W pewnej mierze panuje jeszcze nad sytuacją w Ameryce, lecz na innych obszarach globu jego rządy mają się ku końcowi. Choć większość wiadomości ze świata podlega cenzurze władz, otrzymujemy poufne raporty od naszych jednostek działających w obcych krajach. Prowadzimy też nastuch europejskich biuletynów informacyjnych.

W ubiegłym miesiącu, po upływie 24 godzin od naszego ataku na Tel Awiw oraz sześć innych celów w Izraelu, setki tysięcy Arabów przekroczyło granice okupowanej Palestyny. Większość była cywilami, uzbrojonymi wyłącznie w pałki i noże.

Żydowscy strażnicy zastrzelili tysiące, aż wreszcie wyczerpała się im amunicja. Tłumiona przez 45 lat nienawiść pchała Arabów do przodu: przez pola minowe, przez ogień karabinów maszynowych, w radioaktywne piekło dopalających się miast.

Kierowało nimi jedno pragnienie: zabić ludzi, którzy zrabowali im ziemię, wymordowali ojców, upokorzyli dwa pokolenia. Nim upłynął tydzień, poderżnięto gardło ostatniemu Żydowi w ostatnim kibucu oraz w ostatnim spalonym domu w Tel Awiwie.

Ze Związku Radzieckiego nadchodzą jedynie skąpe informacje. Jak wynika jednak z doniesień, ci, którzy przeżyli atomowe uderzenie, postąpili z Żydami w podobny sposób co Arabowie. Przez kilka pierwszych dni, gdy opadły już radioaktywne deszcze, w ruinach Moskwy i Leningradu polowano na Żydów, których wrzucano żywcem do palących się domów lub na płonące szczątki.

Antyżydowskie rozruchy wybuchły w Londynie, Paryżu, Brukseli, Rotterdamie, Bukareszcie, Buenos Aires, Johannesburgu i Sydney. Upadły skorumpowane do cna przez Żydów rządy Francji i Holandii; obecnie mieszkańcy tych krajów wyrównują rachunki ze swoim odwiecznym semickim wrogiem. Oczywiście, poczynając od średniowiecza, świat często bywał areną podobnych wydarzeń, ilekroć zdesperowani ludzie mieli już dosyć Żydów oraz ich brudnych sztuczek. Niestety, jeszcze się im nie zdarzyło doprowadzić dzieło do końca i nie można na to liczyć również tym razem. Idę o zakład, że Żydzi obmyślają już powrót, gdy tylko sytuacja uspokoi się, a ludzie zapomną.

Bo też ludzie mają tak krótką pamięć!

My jednak mamy dobrą pamięć! Nieważne, jak długo to potrwa i jak radykalnych środków będziemy musieli użyć, lecz doprowadzimy do ostatecznego rozliczenia pomiędzy naszymi rasami. Jeśli Organizacja wyjdzie zwycięsko z tych zmagania, Żydzi znikną, co do jednego. Przetrząśniemy najodleglejsze zakątki świata, żeby zniszczyć to nasienie szatana.

Tutaj, w Maryland, organizujemy się nieco inaczej aniżeli w Kalifornii, a to z uwagi na odmienne warunki środowiskowe.

Tutejszej enklawy nie oddzielają od przyległych obszarów żadne naturalne przeszkody terenowe, nie blokują jej też oddziały wojsk rządowych.

Dołożyliśmy naturalnie wszelkich starań, by, że tak powiem, zniwelować te niedoskonałości. Przed wszystkim wybraliśmy obszar ograniczony położonymi w pewnej odległości od siebie skupiskami zabudowy. Muszę nadmienić, iż na jednym z odcinków lukę tę zatyka pasmo szosy o stumetrowej szerokości. Drugie pasmo znajduje się pod kontrolą sił Systemu. W niektórych punktach założyliśmy zasieki z drutu kolczastego, spaliliśmy też budynki i skupiska krzewów, w których mogliby ukryć się nieprzyjacielscy snajperzy lub grupy wojska.

Gdyby jednak mieszkańcy enklawy zechcieli ją opuścić, nasza milicja mogłaby zatrzymać najwyżej kilkunasztu. Nie przejawiają oni jednak ku temu najmniejszej ochoty, powodowani czymś zgoła innym aniżeli strachem przed rozstrzelaniem. Po pierwsze, zapanował porządek, który udaje się nam utrzymywać znacznie lepiej i skuteczniej niż władzom federalnym na swoich obszarach. Po tak długim życiu w rozprężeniu wszyscy ludzie (wyjąwszy najbardziej zatwardziały zwolenników wybujałego indywidualizmu, kierujących się zasadą: „czyń, co ci się podoba”) łakną ładu i dyscypliny niczym kania dżdżu.

Po wtóre, jesteśmy na dobrej drodze do samowystarczalności. Dysponujemy pojemnym zbiornikiem wody, który będzie stale pełen dzięki uzupełnianiu go wodą ze studni głębinowych. Są dwa niemal nieuszkodzone magazyny żywności oraz jeden prawie wypełniony silos zbożowy, mamy wreszcie cztery gospodarstwa produkcyjne (w tym jedno mleczne), które z pewnością wyżywią połowę mieszkańców enklawy. Poza tym dokonujemy wypadów na obszary pozostające pod kontrolą przeciwnika, gdy jednak każdy wolny skrawek gruntu zostanie przeznaczony pod uprawę warzyw, zapewne zrezygnujemy z tej praktyki.

Oto kolejny i zapewne nie ostatni w hierarchii ważności powód: nasza ludność jest bez wyjątku biała - ze wszystkimi niepewnymi elementami załatwiliśmy się zbiorowo i w trybie doraźnym - podczas gdy na zewnątrz enklawy kłębi się ta sama co zawsze ohydna ciżba złożona z Białych, prawie Białych, pół-Białych, Cyganów, Chicanos, Portorykańczyków, Żydów, czarnuchów, żółtków, Arabów, Persów i diabeł jeszcze wie, kogo. Typowy kosmopolityczny rasowy konglomerat, jaki spotyka się w każdej amerykańskiej metropolii. Jeśli ktoś odczuwa potrzebę powrotu pod skrzydła żydowskiego „braterstwa”, może w każdej chwili i bez żadnych przeszkód opuścić enklawę. Wątpię wszelako, czy znajdzie się wielu takich.

2 listopada. Dziś po południu odbyło się długie zebranie, podczas którego poinformowano nas o rozwoju wypadków w kraju, jak również przedstawiono nowe priorytety odnośnie do naszego programu działań na skalę lokalną.

Przez ostatnie sześć tygodni w Ameryce nie zaszły radykalne zmiany. Rząd nie ma zbyt wielkich możliwości zaprowadzenia porządku na zniszczonych obszarach ani przywrócenia, choćby częściowo, funkcjonowania komunikacji, dostaw prądu, wody i gazu, odbudowy sieci dystrybucji żywności, słowem odbudowania podstawowych elementów gospodarki narodowej. Większość obywateli pozostawiono własnemu losowi, System zaś boryka się ze swoimi problemami; do najważniejszych należy ponownie kwestia zapewnienia politycznej lojalności sił zbrojnych.

Skądinąd ta stagnacja jest dla nas zjawiskiem ze wszech miar korzystnym i pożądanym, albowiem stanowi widomą oznakę tego, że System nie panuje już nad sytuacją w takiej mierze, jak przed 8 września. Przywracanie porządku na ogromnych obszarach kraju jest już ponad siły władz.

Rzecz jasna, nasze jednostki prowadzą intensywną działalność sabotażową, a to w celu utrzymania obecnego stanu rzeczy. Jednakże Dowództwo Rewolucyjne przed podjęciem decyzji dotyczącej strategii kolejnego etapu walki oczekuje na rozwój wydarzeń.

Na zebraniu zostały podjęte pewne decyzje: przypadło nam zadanie prowadzenia na terenie kraju działań o podobnym charakterze jak w Maryland. Rezygnujemy z wojny partyzanckiej na rzecz organizowania ludzi, jawnie i półjawnie.

Fantastyczna wiadomość, oznacza to bowiem eskalację naszej ofensywy, którą podejmujemy w pełnym przeświadczeniu, że szala bitwy przechyliła się zdecydowanie na naszą stronę.

Jednakże nie nastąpił jeszcze koniec naszej walki; największe zagrożenie stanowi ewentualna, zakrojona na szeroką skalę, inwazja na Kalifornię. W południowej części tego stanu następuje szybka koncentracja sił rządowych; atak na strefę wyzwoloną wydaje się nieuchronny. Jeśli się powiedzie, System niewątpliwie zaatakuje nasze enklawy w Baltimore oraz wszędzie tam, gdzie jeszcze je założymy, nawet ryzykując nuklearny odwet z naszej strony.

Tymczasem solą w oku jest dla nas kilku konserwatywnych generałów w Pentagonie, którzy uznali, że my, Organizacja, stanowimy większe zagrożenie dla ich władzy aniżeli dla Systemu. Oficerowie ci bynajmniej nie kochają Żydów i nawet nie boją się zbyt nad tym, co się obecnie dzieje, ponieważ zostali de facto władcami Ameryki. Dążą jedynie do instytucjonalizacji wprowadzonego stanu wojennego; następnie stopniowo byłoby przywracane status quo, którego podstawę stanowiłaby ich nader reakcyjna i krótkowzroczna ideologia.

Oczywiście w ich beczce miodu to my jesteśmy łyżką dziegciu, przygotowują więc siły i środki, żeby nas zmiążdżyć.

Przedstawiają dla nas duże niebezpieczeństwo, gdyż w przeciwieństwie do swoich poprzedników, nie obawiają się odwetu nuklearnego. Wiedzą bowiem, że choć możemy zniszczyć więcej miast i uśmiercić znacznie więcej osób niż dotychczas, oni sami pozostaną poza naszym zasięgiem.

Przez ponad godzinę omawiałem w cztery oczy z majorem Williamsem z Dowództwa Terenowego Waszyngtonu kwestię zaatakowania Pentagonu. Pozostałe nieprzyjacielskie ośrodki dowodzenia albo zostały przez nas zniszczone 8 września, albo też połączyły później swoje struktury z Pentagonem, który tamci dowódcy uważają, jak się wydaje, za niezdobytą twierdzę.

Mają, cholera, rację. Roztrząsaliśmy wszystkie warianty ataku, lecz nie zdołaliśmy zaplanować żadnej sensownej i skutecznej metody zniszczenia tego bastionu. Pozostał chyba tylko jeden sposób: zrzuć bombę atomową z samolotu.

Choć w potężnym pierścieniu obronnym rozciągającym się wokół Pentagonu poczesne miejsce zajmuje artyleria przeciwlotnicza, uznaliśmy, że przemierzający się nisko nad ziemią mały samolot zdoła zapewne przebyć ów trzymilowy „korytarz śmierci”, niosąc na pokładzie jedną z naszych 60-kilotonowych głowic. Na korzyść takiej metody ataku przemawia fakt, że dotychczas nie zastosowaliśmy jej w naszej kampanii, toteż możemy zaskoczyć obsady dział i wyrzutni rakiet przeciwlotniczych.

Wszystkie lotniska cywilne znajdują się pod kontrolą wojskowych, ale na szczęście dysponujemy starym samolotem służącym do opylania zasiewów rolniczych, ukrytym w stodole, zaledwie o kilka mil stąd. Otrzymałem zadanie opracowania do najbliższego poniedziałku szczegółowego planu przeprowadzenia ataku powietrznego na Pentagon.

Musimy podjąć wtedy ostateczną decyzję i działać bezzwłocznie.

Rozdział 28

9 listopada 1993 r. Do świtu pozostały jeszcze trzy godziny, aparatura pokładowa pracuje sprawnie. Postanowiłem wykorzystać te parę chwil, jakie mi jeszcze pozostały, i zapiszę kilka stron - po raz ostatni. Lot nad Pentagon będzie dla mnie ostatnim lotem. Głowica jądrowa została przymocowana do przedniego fotela starego Stearmana. Detonacja nastąpi po zderzeniu się maszyny z przeszkodą albo gdy pociągnę za dźwignię znajdującą się przy tylnym fotelu. Jeśli dopisze mi szczęście, uniknę pocisków przeciwlotniczych eksplodujących na niskim pułapie i dolecę nad gmach. Jeśli się nie uda i mnie zestrzelą, spróbuję przynajmniej przedostać się jak najbliżej celu.

Ostatnio siedziałem za sterami samolotu ponad cztery lata temu, zapoznałem się jednak bardzo dokładnie z urządzeniami pokładowymi Stearmana i otrzymałem szczegółowy instruktaż dotyczący techniki lotu. Chyba nie będzie żadnych problemów. Stodoła-hangar znajduje się w odległości zaledwie 8 mil od Pentagonu. Rozgrzejemy silnik, a gdy moi towarzysze otworzą wrota, wystrzelę z budynku niczym szatan z piekła, kierując się wprost na Pentagon. Polecę na wysokości około 50 stóp. Gdy znajdę się nad strefą ochronną, będę szybować z prędkością około 150 mil na godzinę, toteż dotarcie do celu zajmie mi niewiele więcej niż 70 sekund. Dwie trzecie żołnierzy strzegących Pentagonu to Murzyni, co powinno znacznie zwiększyć moje szanse. Powinno utrzymać się duże zachmurzenie, lecz widoczność będzie na tyle dobra, że dostrzegę wszystkie punkty orientacyjne na ziemi. Pomalowaliśmy samolot w ten sposób, żeby na tle nieba stał się niemal niewidzialny. Nadto będę leciał zbyt nisko dla urządzeń radarowych kierujących artylerią przeciwlotniczą. Zważywszy na wszystkie te czynniki, uważam, że mam ogromne szansę.

Żałuję, że nie dane mi będzie uczestniczyć w ostatecznym zwycięstwie naszej Rewolucji, jestem jednak szczęśliwy, że w jego osiągnięcie wniosłem tak duży udział. W tych ostatnich godzinach doczesnego istnienia pocieszam się i krzepię myślą, że spośród miliardów kobiet i mężczyzn należących do mojej rasy, którzy kiedykolwiek żyli na Ziemi, to właśnie mnie, Earlowi Turnerowi, przyszło odegrać tę arcy doniosłą rolę i tym samym zmienić przyszłe dzieje rodzaju ludzkiego. Niewiele jednostek wpłynęło w równej mierze na bieg historii. Mój dzisiejszy czyn historycy uznają za ważniejszy i bardziej przełomowy aniżeli wszelkie podboje Juliusza Cezara i Napoleona - jeśli naturalnie mi się powiedzie!

Musi mi się udać, w przeciwnym bowiem razie nasza Rewolucja znajdzie się w ogromnym niebezpieczeństwie. Według ocen Dowództwa Rewolucyjnego nie dalej niż za 48 godzin System planuje dokonać inwazji na Kalifornię. Kiedy Pentagon wyda odnośne rozkazy, nie zdołamy się przeciwstawić temu atakowi. Jeśli więc nie wykonam zadania, będziemy mieli zbyt mało czasu, żeby spróbować jakiegoś innego wariantu.

W poniedziałkowy wieczór, gdy została podjęta ostateczna decyzja, dostąpiłem zaszczytu dopełnienia obrządku Zjednoczenia, ale pełnoprawnym członkiem Zakonu zostanę dopiero w chwili śmierci.

Wielu uznałoby, że to nader ponura perspektywa - wielu, lecz nie ja. Już od marca, czyli odkąd stanąłem przed trybunałem Zakonu, wiedziałem, co mnie oczekuje. Cieszę się, że okres mojej próby uległ skróceniu o pięć miesięcy. Nastąpiło to częściowo z uwagi na obecny kryzys, częściowo zaś dlatego, iż uznano, że poczynając od marca swoje obowiązki wykonywałem wzorowo.

Nie spodziewałem się, że ceremonia będzie aż tak wzruszająca i piękna. W piwnicy sklepu z upominkami w Georgetown (usunięto z niej ścianki działowe i sterty skrzynek) zebrało się dwieście osób. Najpierw zaprzysiężone 30 członków-kandydatów, po czym 18 z nas, w tym ja, dostąpiło udziału w obrządku Zjednoczenia. Zostałem jednak wyróżniony z uwagi na szczególne okoliczności związane z moją osobą.

Gdy major Williams wypowiedział moje nazwisko, wystąpiłem z szeregu i odwróciłem się twarzą ku milczącemu, zakapturzonemu zgromadzeniu. Jakże inaczej wyglądało to zaledwie dwa lata temu,

kiedy świadkami mojej inicjacji było jedynie siedem osób! Chociaż przed kandydatami stawia się szczególne wymagania, szeregi Zakonu rosą w zdumiewającym tempie.

Ponieważ wiedziałem, jakimi przymiotami mogą się pochwalić stojący naprzeciw mnie ludzie, serce rośło mi z dumy. W niczym nie przypominali oni zgromadzenia chwiejnych moralnie konserwatywnych biznesmenów, którzy przybyli, żeby praktykować jakieś durne masońskie rytuały. Nie byli to również mocni w gębie, podchmieleni i pustogłowi osiłkowie, utyskujący aż do znudzenia na „tych cholernych czarnuchów”. Nie byli to także zdewociali i zastraszeni osobnicy o płaskich od klęczenia kolanach, błagający jęklonie o wstawiennictwo jakieś antropomorficzne bóstwo. Miałem do czynienia z prawdziwymi ludźmi, Białymi Ludźmi. Dostępowałem z nimi aktu zjednoczenia: duchem, świadomością oraz krwią.

Światło pochodni pełgało po szarych, zgrzebnych szatach, w jakie przyodziani byli członkowie milczącego zgromadzenia. Ci oto są najlepszymi ludźmi, jakich nasza rasa zrodziła w obecnym pokoleniu i dorównują pod tym względem sobie podobnym, których wydały inne generacje. Żarliwa pasja działania, chłodna dyscyplina, głęboka inteligencja, gotowość do czynu, silne poczucie własnej wartości i bezgraniczne oddanie wspólnej sprawie, oto ich cechy. Oni są nadzieją świata. Awangardą zbliżającej się Nowej Ery, pionierami, którzy wydobędą naszą rasę z czeluści, w jakie została wtrącona, wyżej i wyżej, ku niedosiężnym szczytom. A ja jestem jednym z nich!

- Bracia! Dwa lata temu, gdy wstąpiłem w nasze szeregi, przysięgłem poświęcić życie dla Zakonu i dla jego dzieła.

Sprzeniewierzyłem się jednak tej przysiędze. Teraz jestem gotów spełnić zobowiązanie. Ofiarowuję wam swoje życie. Czy je przyjmiecie?

- Bracie! - usłyszałem pobrzmiwającą basowym echem odpowiedź - przyjmujemy twoje życie. W zamian ofiarujemy ci nieśmiertelność w nas. Czyn twój nie okaże się daremny, bo zawsze, po wieczne czasy, pozostanie w naszej pamięci.

Ręczymy za to własnym życiem.

Czułem całym sercem, całą duszą, całym umysłem, całym sobą, że jeśli nie zawiodę Zakonu, on również mnie nie zawiedzie. Życie Zakonu to bowiem coś więcej aniżeli zwykła suma istnień wszystkich jego członków. Gdy Zakon przemawia jako zbiorowość, tak jak przemówił w poniedziałek, wtedy człowiek doznaje uczucia, że oto obcuje z czymś doskonalszym, mądrzejszym i starszym od każdego z nas - ma do czynienia z ideą, która będzie trwać wiecznie. Niebawem sam poznam tajniki tego najwspanialszego i najwznioślejszego życia.

Żałuję naturalnie, że nie mam dzieci z Katherine, ponieważ, gdybym je miał, dostąpiłbym, że się tak wyrażę, nieśmiertelności również innego rodzaju. Widocznie jednak nie było mi to pisane. Cóż, mówić się trudno.

Silnik rozgrzewa się już od dziesięciu minut i widzę, jak Bili pokazuje mi gestem, że nadszedł czas.

Pozostali członkowie grupy ukryli się już w schronie, który wykopaliśmy pod podłogą stodoły.

Powierzę teraz swoje zapiski Billowi, który umieści je w specjalnej skrytce wraz z poprzednimi tomami.

Epilog

Oto i zakończenie dzienników Earla Turnera, równie bezpretensjonalne jak ich początek.

Autor oczywiście wykonał pomyślnie powierzone mu zadanie, a jego czyn wspominamy corocznie 9 września, w Dniu Męczenników.

Federalne jednostki wojskowe otaczające kalifornijską enklawę oczekiwały rozkazów, które jednak nigdy nie nadeszły, ponieważ został zniszczony centralny ośrodek dowodzenia. Upadające morale, rosnąca liczba dezertów, coraz większe niezdyscyplinowanie czarnych żołnierzy, wreszcie zaś niezdolność Systemu do utrzymania dróg dowozu zaopatrzenia dla oddziałów przebywających w

Kalifornii: wszystko to sprawiło, że zagrożenie inwazją spadło. Po pewnym czasie System przystąpił zresztą do dyslokacji sił w obliczu nowych zagrożeń powstających na innych obszarach kraju. Potem spełniły się najgorsze obawy Żydów. Bojownicy Organizacji ruszyli w przeciwnym kierunku aniżeli w tygodniach i miesiącach poprzedzających pamiętną datę 4 lipca 1993 roku. Początkowo setki, a następnie tysiące ideowych bojowników pochodzących z enklawy zaczęło forsować coraz szczuplejszy pierścień wojsk federalnych, podążając na wschód. Stanowili oni zbrojne ramię Organizacji, która, tak jak to się stało w Baltimore, szybko zakładała coraz to nowe enklawy, zrazu na obszarach zniszczonych bronią jądrową, potem również tam, gdzie System utrzymał jedynie szczątkowe panowanie.

Początkowo najważniejszą z nich stała się enklawa w Detroit. Wśród ludności ocalałej po ataku jądrowym, przeprowadzonym 8 września, przez kilka tygodni panowała krwawa anarchia. Wreszcie jednak przywrócono tam stan, który od biedy można by nazwać porządkiem; na mocy niepisanej umowy siły rządowe podzieliły się władzą z przywódcami lokalnych czarnych gangów. Choć Biali, którzy utworzyli kilka izolowanych punktów oporu, zdołali odstraszyć hordy czarnych rabusiów i gwałcicieli, większość zdemoralizowanych i ogarniętych paniką białych mieszkańców Detroit i okolic okazała się niezdolna do stawienia Czarnym skutecznego oporu. W następstwie tego faktu ludzie ci przeszli straszliwą gehennę.

Potem, w połowie grudnia, Organizacja przejęła inicjatywę. Kilkanaście zsynchronizowanych w czasie błyskawicznych wypadów przeciw zgrupowaniom sił wojskowych Systemu na obszarze Detroit przyniosło jej łatwe zwycięstwo.

W Detroit Organizacja przyjęła pewną zasadę postępowania, której niebawem zaczęto przestrzegać również na innych terenach. Wziętym do niewoli białym żołnierzom, którzy złożyli broń, proponowano przejście na naszą stronę. Ochotników natychmiast izolowano od reszty; podlegali wstępnemu przesiewowi, po czym wysyłano ich do obozów w celu poddania indoktrynacji ideologicznej oraz specjalnemu przeszkoleniu. Pozostałych bezlitośnie rozstrzelowano na miejscu. Niekiedy w równie bezlitosny sposób traktowano białą ludność cywilną. Gdy jednostki kadrowe Organizacji wkroczyły do umocnionych punktów oporu zorganizowanych przez Białych na przedmieściach Detroit, ich oficerowie uznali, że najpilniejszym zadaniem jest likwidacja większości białych lokalnych przywódców. Tylko w ten sposób można było wprowadzić tam niekwestionowaną władzę Organizacji. Oficerowie nie mieli czasu ani cierpliwości na toczenie sporów z krótkowzrocznymi Białymi, zapewniającymi, że nie są żadnymi „rasistami” czy „rewolucjonistami”, a zatem nie potrzebują pomocy „obcych agitatorów” w rozwiązywaniu własnych problemów. Podobnie traktowano tych, którzy przejawiali jakiegokolwiek konserwatywne czy prowincjonalne obsesje.

Życie w enklawie w Detroit oraz w strefach wyzwolonych zakładanych w innych częściach kraju toczyło się raczej według schematów i zwyczajów przyjętych w enklawie w Baltimore aniżeli w strefie kalifornijskiej, tyle tylko, że proces organizacyjny przebiegał w znacznie szybszym tempie, mniej również dbano o szczegóły. Przeważnie brakowało możliwości przeprowadzenia w sposób uporządkowany i na dużą skalę (tak jak w Kalifornii) akcji selekcjonowania i separowania nie-Białych, toteż wojna rasowa trwała tam miesiącami. Zbierała ona krwawe żniwo wśród Białych znajdujących się poza obszarem ściśle nadzorowanych przez Organizację enklaw.

Zimą roku 1993 wystąpił dramatyczny niedostatek żywności. Czarni, podobnie jak wcześniej w Kalifornii, praktykowali kanibalizm. Do granic stref wyzwolonych przybywały, żebrząc o jedzenie, setki tysięcy głodujących Białych, którzy ignorowali wcześniej apele Organizacji o wzniecanie rebelii przeciw Systemowi. Ponieważ Organizacja mogła wykarmić tylko mieszkańców enklaw (a i to wprowadzając nadzwyczaj rygorystyczne racjonowanie żywności), wielu przybyszów odchodziło z pustymi rękami.

Ci, których przyjmowano - czyli wyłącznie dzieci, kobiety w wieku rozrodczym oraz zdrowi na ciele mężczyźni skłonni do podjęcia czynnej walki z Systemem w służbie Organizacji - byli poddawani selekcji rasowej; stosowano przy tym znacznie surowsze kryteria aniżeli w Kalifornii. Nie wystarczyło już mieć białą skórę; pożywienie otrzymywali tylko nosiciele szczególnie wartościowych genów.

W Detroit wprowadzono następującą zasadę, zaakceptowaną później przez władze innych enklaw. Każdy zdrowy biały mężczyzna deklarujący chęć osiedlenia się na terenie enklawy otrzymywał jeden ciepły posiłek oraz bagnet lub inną tego rodzaju broń. Następnie znakowano mu czoło specjalnym nie-zmywalnym atramentem i odstawiano poza granicę enklawy.

Mógł powrócić i zostać przyjęty na stałe tylko wówczas, kiedy przynosił głowę zabitego Czarnego lub przedstawiciela innej rasy kolorowej. Zastosowanie tej metody dawało pewność, że bezcennej żywności nie otrzymają ci, którzy nie zechcą lub nie będą mogli zasilić szeregów bojowników Organizacji. Osobnicy o słabym charakterze lub bardziej dekadentckim usposobieniu nie potrafili bądź nie chcieli wywiązać się z zadania.

W pierwszej połowie roku 1994 zginęły dziesiątki milionów osób; w sierpniu tego samego roku liczba białej ludności spadła w Stanach Zjednoczonych do około 50 milionów. Wtedy jednak blisko połowa pozostałych przy życiu Białych zamieszkiwała w enklawach, a w nich produkcja żywności stopniowo rosła, osiągając wreszcie na tyle wysoki poziom, by można było zapobiec klęsce głodu.

Choć nadal istniało coś na podobieństwo rządu centralnego, siły Systemu zostały z powodów praktycznych zredukowane do jednostek podległych lokalnym dowództwom. Ich działania ograniczyły się do rabowania żywności, alkoholu, paliwa oraz porywania kobiet. Zarówno Organizacja jak i System unikały starć na większą skalę. Organizacja poprzestała na dokonywaniu błyskawicznych i intensywnych wypadów przeciw zgrupowaniom wojsk Systemu oraz jego instytucjom i obiektom. Oddziały wierne Systemowi strzegły jedynie swoich źródeł zaopatrzenia oraz, na niektórych obszarach, próbowały hamować proces zakładania nowych enklaw.

Niemniej jednak, liczba tych ostatnich (oraz ich powierzchnia) wzrastała przez wszystkie pięć Mrocznych Lat, czyli okres poprzedzający Nową Erę. W pewnym momencie istniało w Ameryce blisko dwa tysiące enklaw. Poza obrębem tych stref ładu i bezpieczeństwa szalały anarchia i bestialstwo; władzę sprawowały tam grasujące i walczące ze sobą gangi, które prześladowały bezbronne masy ludności.

Członkami wielu takich gangów byli Czarni, Portorykańczycy, Chicanos i pół-Biali. Jednakże coraz częściej powstawały również białe gangi; proces ten przebiegał bez żadnej inspiracji ani kontroli ze strony Organizacji. W miarę trwania tej straszliwej, wyniszczającej wojny, miliony urodzonych i wychowanych w miastach Białych, o mięczakowatym charakterze i poddanych praniu mózgom, odzyskiwały męstwo. Pozostali wyginęli.

Organizacja oprócz sukcesów doświadczała niestety również porażek. Jedną z najbardziej dotkliwych była makabryczna masakra w Pittsburgha w czerwcu 1994 roku. W maju założono tam enklawę, zmuszając wojska Systemu do opuszczenia terenu, okazano jednak karygodną opieszałość w identyfikacji i likwidowaniu miejscowego elementu żydowskiego.

W efekcie pewna liczba Żydów, po nawiązaniu przymierza z białymi konserwatystami oraz liberałami, zyskała czas niezbędny na przygotowanie akcji dywersyjnej. Jej skutkiem było odbicie Pittsburgha przez siły Systemu, które wspomagała żydowska „piąta kolumna” działająca na terenie enklawy. Żydzi wspólnie z Murzynami przystąpili następnie do krwawej rozprawy z Białymi, przypominającej najgorsze ekscesy sprowokowanej przez Żydów 75 lat wcześniej rewolucji bolszewickiej w Rosji.

Wszyscy Biali zginęli albo zostali zmuszeni do ucieczki z enklawy. Pozostali przy życiu członkowie sztabu Dowództwa Terenowego Pittsburgha, których chwiejna postawa wobec Żydów doprowadziła do tej tragedii, zostali wyłapani i rozstrzelani przez specjalny oddział dyscyplinarny Organizacji, działający z ramienia Dowództwa Rewolucyjnego.

Po listopadzie 1993 roku Organizacja tylko raz została zmuszona do użycia broni jądrowej na kontynencie amerykańskim; rok później przeciw Toronto. W latach 1993 i 1994 setki tysięcy Żydów zbiegło ze Stanów Zjednoczonych do tego miasta - które z tej przyczyny przekształciło się niemal w drugi Nowy Jork - tworząc z niego nowy ośrodek dowodzenia siłami Systemu walczącymi na południu. Należy tu przypomnieć, że w późniejszych latach Wielkiej Rewolucji granica amerykańsko-kanadyjska

utraciła jakiegokolwiek znaczenie; w połowie roku 1994 na północ od tej linii panowały jedynie nieco mniejszy chaos i anarchia niż na południe.

Przez Mroczne Lata żadna ze stron nie mogła liczyć na zdobycie zdecydowanej przewagi nad przeciwnikiem, oba bowiem obozy dysponowały bronią jądrową oraz miały możliwość jej użycia. Na początku tego okresu, kiedy System zdobył znaczną przewagę nad Organizacją w broni konwencjonalnej, najczęściej tylko groźba zdetonowania przez nią ponad 100 głowic nuklearnych, ukrytych w głównych skupiskach ludności kontrolowanych jeszcze przez Żydów, powstrzymywała ich od podejmowania działań przeciwko strefom wyzwolonym.

Później pokaźne zdobycze terytorialne i spadek wartości bojowej sił Systemu doprowadził do odzyskania przez Organizację przewagi w uzbrojeniu konwencjonalnym. Wtedy jednak System przejął ponownie kontrolę nad pewną liczbą jednostek dysponujących bronią atomową. Grożąc jej użyciem, zmusił Organizację do poniesienia prób przypuszczenia ataku na koncentracje swoich wojsk.

Jednakże okazało się, że nawet elita wojsk Systemu - hołubione przez władze jednostki uzbrojone w broń jądrową - podlega demoralizacji podobnej do tej, która w ogromnej mierze osłabiła konwencjonalny potencjał militarny Systemu. Wszystko to doprowadziło do historycznego Rozejmu w Omaha 30 stycznia 1999 roku, kiedy ostatnia grupa generałów poddała się Organizacji. W zamian uzyskali zapewnienie, że oni sami wraz z rodzinami nie będą prześladowani. Organizacja dotrzymała tego zobowiązania; generałów osiedlono w specjalnej kolonii założonej na jednej z wysp u wybrzeży Kalifornii.

Potem nastąpił okres oczyszczania kraju, trwający aż do likwidacji ostatniej bandy kolorowych, następnie zaś dokonano ostatecznej czystki wśród białej ludności, usuwając z jej szeregów elementy niepożądane pod względem rasowym.

Od wyzwolenia Ameryki Północnej, aż do początków Nowej Ery, upłynęło zdumiewająco niewiele czasu, bo tylko niecałe jedenaście miesięcy. Profesor Andersen przedstawił szczegółową kronikę oraz analizę wydarzeń z tego przełomowego okresu w Historii Wielkiej Rewolucji, dlatego też wystarczy w tym miejscu jedynie przypomnieć, że z chwilą likwidacji ośrodków światowej potęgi żydowskiej oraz usunięcia radzieckiego zagrożenia nuklearnego, przestały istnieć dwie najważniejsze przeszkody uniemożliwiające Organizacji osiągnięcie zwycięstwa w skali globalnej.

Już w roku 1993 zaczęły działać w Europie Zachodniej komórki Organizacji, których liczba wzrastała w niezwykłym zaiste tempie przez sześć lat poprzedzających jej zwycięstwo na kontynencie północnoamerykańskim. Ideologia liberalizmu przyczyniła się w znacznym stopniu nie tylko do degrengolady i upadku Stanów Zjednoczonych, lecz również państw europejskich. W większości z nich stary porządek przypominał, by użyć obrazowego porównania, zmurszały i wypalony czerep.

Kraje te zachowały jedynie zewnętrzne pozory dawnej potęgi. Katastrofalny kryzys gospodarczy, jaki ogarnął Europę wiosną 1999 roku, tuż po upadku Systemu w Ameryce Północnej, w znacznej mierze przygotował duchowo tamtejsze narody do zaakceptowania władzy Organizacji nad światem.

Nastąpiło to w czasie wielkich ruchów społecznych, jakie jesienią 1999 roku ogarnęły całą Europę.

Oczyszczające wichry przemian zaczęły szaleć nad Starym Kontynentem, usuwając w ciągu kilka miesięcy wszelkie szumowiny i brudy, które stanowiły pozostałość panującej tam ponad tysiąc lat obcej ideologii, jak również stuletniego okresu psychicznej i fizycznej dekadencji. Ulice wielu europejskich miast spływały krwią, gdy zasłużony los spotkał zdrajców swojej rasy, zdegenerowane i skundlone potomstwo wielorasowych pokoleń oraz hordy gasterbeiterów. Niebawem na Zachodzie nastąpiła zarania Nowej Ery.

Na początku grudnia 1999 roku jedynym mocarstwem mogącym zagrozić nowemu światowemu porządkowi były Chiny.

Wprawdzie Organizacja skłaniała się do odłożenia na kilka lat rozwiązania kwestii chińskiej, ale sami Chińczycy zmusili ją swoim postępowaniem do podjęcia natychmiastowych i drastycznych rozwiązań. Po ataku nuklearnym na Związek Radziecki, który nastąpił 8 września 1993 roku, zajęli oni azjatyckie obszary tego państwa, lecz aż do jesieni 1999 roku nie wyrażali zainteresowania ekspansją na Zachód od Uralu, zaabsorbowani konsolidacją nowo pozyskanych terytoriów.

Jednakże latem i wczesną jesienią 1999 roku, gdy Organizacja wyzwalała kolejno europejskie narody, Chińczycy postanowili zająć również rosyjską część Europy. Organizacja przeciwstawiła się tym poczynaniom, dokonując potężnego kontruderzenia; jej rakiety z ładunkami nuklearnymi niszczyły prymitywne chińskie pociski oraz bombowce strategiczne, rażąc także pewną liczbę zgrupowań wojsk przeciwnika na zachód od Uralu. Niestety, nie powstrzymało to żółtej fali wylewającej się z Chin na północ i na zachód.

Organizacja potrzebowała czasu, żeby dokonać pełnej reorganizacji i reorientacji politycznej ludności państw europejskich, toteż nie mogła wyprowadzić natychmiastowego konwencjonalnego kontrnatarcia, skierowanego przeciw nieprzeliczonym masom chińskiej piechoty podążającej z Uralu w kierunku Europy. Pewnych pod względem ideologicznym jednostek w tym czasie zaledwie wystarczało do obsadzenia garnizonów na nowo wyzwolonych i jeszcze nie w pełni poddanych kontroli terenach Europy Wschodniej i Południowej.

W tej sytuacji dokonano potężnego kombinowanego uderzenia z zastosowaniem broni chemicznej, biologicznej i atomowej.

Przez cztery lata obszary o powierzchni 16 milionów mil kwadratowych, rozciągające się od Uralu do Pacyfiku i od Morza Arktycznego do Oceanu Indyjskiego, zostały trwale wyjałowione. Tak powstało Wielkie Wschodnie Pustkowie.

Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu Organizacja uznała, że pewne jego części nadają się do rekolonizacji. Mimo to są one „bezpieczne” wyłącznie w tym sensie, że substancje zagrażające ludzkiemu zdrowiu i życiu, które znajdują się w tamtejszej glebie, uległy na tyle zaawansowanemu rozkładowi, że utraciły swoje zabójcze właściwości. Nawet i teraz realne zagrożenie stanowią hordy mutantów przemierzające Pustkowie; może upłynąć sto lat, nim ostatnia z tych band zostanie zlikwidowana i na rozległe rubieże znów powróci biały człowiek.

Jednakże w roku 1999 (według kalendarza Starej Ery), zostały urzeczywistnione marzenia o świecie wyłącznie dla Białych.

Należy pamiętać, że spełnienie tych marzeń zawdzięczamy wieloletnim ofiarom z własnego życia, składanym dobrowolnie przez nieprzeliczone rzesze mężczyzn i kobiet należących do Organizacji. Earl Turner był jednym z owych tysięcy, należał jednak do najbardziej zasłużonych dla sprawy. Tamtego listopadowego poranka, 106 lat temu, zyskał sobie nieśmiertelność.

Wiernie wypełnił zobowiązania wobec swojej rasy, Organizacji i Zakonu, który przyjął go w swoje szeregi. Dokonując tego czynu, Turner przyczynił się w ogromnym stopniu do przetrwania i rozkwitu naszej rasy, jak również do osiągnięcia przez Organizację globalnych celów politycznych i militarnych. To także dzięki niemu mogły się rozpocząć na Ziemi mądre, łagodne i wiecznotrwałe rządy Zakonu.

(Tekst z netu, obróbka moja - Zorg)

